

*„Na nic złote gluty na ścianach, wynajęci artyści i niekończące się laudacje. Na nic chóry autorytetów. Po dwudziestu latach przychodzi czas rewidowania mitów, pytań o prawdę”.*

Tygodnik „Wprost”, 2008

**Wydawnictwo Nobilis**



Warszawa 2008

Waldemar  
**Łysiak**



**MITOLOGIA**  
świata bez klamek

## NOTA EDYTORSKA

Chcieliśmy wydać zbiór felietonów Waldemara Łysiaka (publikowanych w „**Gazecie Polskiej**” od lipca 2005 do lipca 2007) i uzupełnić tom o wywiad - rzekę, co razem stworzyłoby „**Łysiaka na łamach 7**”, lecz autor nie wyraził zgody na to, tłumacząc, że nie lubi siódemki, jako człowiek przesądny - tzw. numerolog, czy coś w tym rodzaju. Dziwne, bo piątka nie lubi jeszcze bardziej (a konkretnie: to piątka nie lubi jego), zaś swego czasu przeciwko „**Łysiakowi na łamach 5**” nie oponował. Cóż - kaprysy twórców są żelazne jak fochy bożków, wydawca nie może pisarza zmusić. A przynajmniej tego pisarza, którego nie imają się żadne perswazje (szeleszczące, brzęczące, żadne). Może gdyby wydawca był dwudziestoparoletnią blondynką, miałby na mistrza większy wpływ, ale jakoś tak się złożyło, że nie jest.

Zamiast „**Łysiaka na łamach 7**” oferujemy więc Czytelnikom „**Mitologię świata bez klamek**”. Jest to kolejna bitwa Łysiaka z machiną opiniotwórczą, którą on nazywa Salonem, i kolejny tom porachunków Łysiaka ze światem kształtowanym przez tzw. polityczną poprawność, którą on uważa za szczególnie groźną chorobę gatunku ludzkiego. Pojawiają się w tym tomie pewne wątki, aspekty i tematy analizowane już w „**Stuleciu kłamców**”, w „**Salonie**” i w „**Salonie 2**”, lecz nie ma tu żadnych powtórek treściowych - „fabularnie” rzecz biorąc: „**Mitologia...**” to treści zupełnie nowe, oparte wyłącznie na źródłach i wydarzeniach z lat 2006 - 2008. Treści momentami szokujące, zważywszy drastyczność lub humorystyczność faktów przytaczanych przez autora jako materiał dowodowy dla wysuwanych tez i wniosków.

Istnieje mitologia grecka, mitologia rzymska, mitologia prekolumbijska, mitologia bliskowschodnia oraz rozliczne inne mitologie, a według Łysiaka dominującą dzisiaj mitologią jest mitologia salonowa. Lektura książki o tej mitologii jednym złoży dłonie do entuzjastycznych braw, a innym do zaciśniętych kułaków, lecz nikogo nie zostawi obojętnym.

*„Trzeba się nauczyć mówić «nie».  
Słowo «nie» jest bardzo istotną częścią  
mowy. To niezgoda na zło”.*

Zbigniew Herbert, 1998

## PRZEDMOWA

### [zamiast „wywiadu - rzeki”]

Uzbierało się trochę listów od Czytelników stęsknionych do „**Łysiaka na łamach**”, a ściślej do żelaznego punktu programu w każdym „**Łysiaku na łamach**” - do „*rozmowy - rzeki*” vel „*wywiadu - rzeki*”. Dzięki takiemu „*interview*” moi wielbiciele, mieniący się „*Łysiakomanami*” (vide ich strona internetowa), łykali trochę aktualności o bieżącym życiu Waldemara Ł. Nigdy o intymnym życiu. Chronienie sfery prywatnej zawsze było moją „*idee fixe*”, dlatego nie mam komórki, nie prowadzę blogu (nie mam komputera), nie „*uczęszczam*”, ergo: nie chodzę na żadne imprezy publiczne (stąd nie figurowałem nigdy na łamach kolorowych plotkarskich brukowców) i od lat nie udzielam wywiadów (coraz bardziej bowiem dochodzę do wniosku, że każda forma wywiadu jest formą mizdrzenia się, prócz, oczywiście, wywiadu i kontrwywiadu wojskowego). To ostatnie (unikanie wywiadów) jest najtrudniejsze (gdyż często bywam molestowany o wywiad) i przynosi wymierne szkody, exemplum dygnitarz kulturowy „**Rzeczypospolitej**”, redaktor Krzysztof Masłoń, który - gdy odmówiłem „zaśpiewania” do jego mikrofonu - obraził się na mnie tak śmiertelnie, że niechęć premiera wobec prezydenta i vice versa to przy tym „*male pivo*”. Kilka „*wywiadów - rzek*” (1993, 1995, 1997, 2001) dawało pewną namiastkę otwartości/wylewności Łysiaka, chociaż była tam mowa głównie o literaturze i o fascynacjach kulturowych wypytywanego, a nie o jego bieżącym życiu. Niniejszą przedmowę zechcą Czytelnicy potraktować jako ekwiwalent kolejnego „*wywiadu - rzeki*”.

Przez siedem lat od ostatniego „*wywiadu - rzeki*” pozwoliłem sobie na jedną ledwie dużą wylewność publiczną. Był to kilkukolumnowy tekst „**Krew, pot i lzy**”, zamieszczony w „**Niezależnej Gazecie Polskiej**” (2006), a odślaniający niektóre (tylko niektóre) tajniki mego warsztatu literackiego. Ujawniłem tam m.in., że wbrew mej rewolwerowej duszy Romantyka oraz na przekór „*cowbojskim*” fragmentom mego życiorysu - jako pisarz jestem pedantem patentowanym, gryziptórem tak ciężko pracującym nad „*formą*” (manierą stylistyczną),

by wyglądało, iż pisze mi się samo, łatwiusieńko, od ręki. Niby nie ma się czego wstydzić, w końcu pedanteria nie figuruje na liście ciężkich grzechów. Superpedantem był choćby reżyser Ingmar Bergman, genialny twórca „**Siódmej pieczęci**”, i nie wstydził się tego; udzielając wywiadu tygodnikowi „**L'Europeo**”, rzekł:

- Zawsze byłem pedantem do kwadratu. Jestem tak dalece pedantyczny, że kiedy robiłem swój pierwszy kolorowy film, całą ekipę kazałem okulistycznie przebadać, bez wyjątku, bo nie chciałem mieć daltonisty na planie.

Ja zaś nie chcę mieć niezręczności stylistycznych na żadnej stronie, stąd warsztatowa pedanteria. Notabene: jej ujawnienie niewiele pomogło - dalej robię za szczęściarza, któremu „*samo się pisze*”, a fakty wydawnicze zdają się to potwierdzać. Zwłaszcza fakty tegoroczne: trzy książki w jednym roku („**Lider**”, „**Historia Saskiej Kępy**” i „**Mitologia świata bez kłamek**”). Wyjaśniam tedy, że „**Lider**” był napisany rok wcześniej (kończyłem go w październiku bądź w listopadzie 2007, zaś do marca 2008 tylko uzupełniałem tę powieść o drobne aktualności), natomiast „**Historię Saskiej Kępy**” miałem już dawno gotową, a opóźniłem jej druk (kilka lat) wskutek dopełniania unikatowej ikonografii. Trochę podobnie przedstawia się sprawa z wcześniejszym (2007) „**Talleyrandem**” - miałem od dawna gotowe 90% tego biograficznego tomu, który chyba zamknął już definitywnie moją napoleońską serię wydawniczą (never say never!) charakteryzującą się empirowymi pszczołami na „tapiseryjnej” okładce. Ten typ eseju historycznego budzi (zwłaszcza gdy się bardzo dobrze sprzedaje) furję rodzimych zawodowych (dyplomowanych) historyków, co wyszydził ostatnio (2008) Norman Davies:

- W Polsce, wśród kół akademickich i branżowych, wciąż ceniona jest wyłącznie „*ciężka naukowość*”, którą ja zwę szkołą niemiecką. Według tej szkoły - historyk, który ma lekkie pióro i którego kochają czytelnicy, z definicji nie jest dobrym historykiem. Tymczasem w Anglii nie ma mowy o dyskryminowaniu historiografii eseistycznej, popularyzatorskiej, czy nawet beletryzującej.

U nas głosowanie odbywa się w księgarniach („**Talleyrand**”: ponad 100 tysięcy sprzedanych egzemplarzy) i w obiegowych hasłach; nawet wrogi mi „**Newsweek**”, pragnąc zareklamować nową książkę o Rewolucji Francuskiej, pisze (2006): „*Znakomite szkice, napisane*

w stylu Waldemara Łysiaka”. Pewnie, że tak - wszystko, co jest w stylu Waldemara Łysiaka, jest znakomite, każda bliska mi dama to potwierdzi.

A propos wzmiankowanego głosowania przy kasach księgarń: „**Lider**” dokonał prawdziwej masakry na priwiślińskim rynku wydawniczym, przez pełny kwartał (maj, czerwiec, lipiec 2008) bijąc wszelką konkurencję („**Magazyn Literacki KSIĄŻKI**” nr 7: „*Triumfalny powrót Waldemara Łysiaka na sam szczyt list bestsellerów z nową książką pt. «Lider»!*”), zaś w pierwszym półroczu 2008, jak pokazała zbiorcza lista rankingowa „**Rzeczypospolitej**” (styczeń - czerwiec), przegrał tylko z kolejnym tomem „**Harry'ego Pottera**”, deklasując cały peleton polskiej i obcej literatury (dodatek literacki „**Rzeczypospolitej**”: „*Pierwsze półroczcie 2008 należało w literaturze polskiej do Waldemara Łysiaka...*”). Wspominam o tym samochwalczo dla jednej faktograficznej konkluzji: w gazetach Salonu (90% rodzimych czasopism) nie ukazała się ani jedna (ani jedna) recenzja książki, która przez kilka miesięcy była najlepiej sprzedającą się książką III RP! Marta Sawicka (szefowa działu Kultura i Styl tygodnika „**Wprost**”) wystawiła cenzurki najmodniejszym książkom polskiego rynku przed sierpniem 2008, stosując jako kryterium skalę temperatur: chłód (ocena negatywna) i ciepło (pozytywna). Chłodno/zimno oceniła m.in. Akunina, Coelho, Nurowską i Grocholę. Ciepło/gorąco - mojego „**Lidera**” („*Temperatura wzrasta przy Waldemarze Łysiaku*”), dodając zaraz fakt oczywisty: „*Recenzenci stosują wobec Łysiaka zмовę milczenia*”.

Marcin Hałas (2008): „*Salonowi krytycy popularyzują tylko swoich. Natomiast tych, którzy czymś im się narazili, karzą zesłaniem w krainę zamileczenia*”. Rzecz normalna; toczę z Salonem vel michnikowszczyzną wojnę od lat dziewiętnastu - jestem przyzwyczajony. Lekkie zdziwienie budzi we mnie tylko to, że do salonowej zмовы zamileczania Łysiaka dołączyła część prawicowych tytułów i prawicowych publicystów (ich żywym godłem jest Rafał Ziemkiewicz, autor hasła „*Inteligencą bronią był zawsze argument, a nie wykluczenie*”, który wykluczył mnie bez pardonu ze wszystkich swoich gawęd o walce polskiej prawicy przeciwko terrorowi imperium Michnika). Odkąd ewakuowałem się z „**Gazety Polskiej**” - również jej firmowy recenzent, Marcin Wolski, przestał mnie zauważać...

Formy wykluczania Łysiaka są rozmaite, zazwyczaj równie humorystyczne co głupie lub bezczelne. Przykładowo: „**Życie Warszawy**” (przez wiele lat III RP postesbecka pepiniera), w artykule o Bazarze Różyckiego, chrzani bez wstydu (2008): „*Bazar Różyckiego pojawia się i u Hłaski, i u Tyrmanda, i u Nowakowskiego. Ale nie ma utworu, który wykorzystywalby go w głębszy sposób. Jest to egzotyka, która służy jedynie jako tło*”. Autor tych słów, Maciej Miłosz, i wtórujący mu Zbigniew Mentzel, kłamią jak z nut (salonowość zobowiązuje), udając, że nigdy nie słyszeli o powieści „**Dobry**” (dwa wydania, 1990 i 1996, łącznie prawie 400 tysięcy egzemplarzy), która jest cała poświęcona Bazarowi Różyckiego, od strony pierwszej do ostatniej. Lecz padają tam brzydkie słowa a propos Michnika i jego kompanii, więc salonowy knebel dalej obowiązuje zasrańców - salonowców.

Komizm sytuacji leży m.in. w tym, że nawet salonowiec, który chce mnie bezpośrednio ubłocić, musi to robić anonimowo, bez wymieniania mojego nazwiska, ledwie „*dając do zrozumienia*” komu przywała swoim tekstem. Tak właśnie zrobił fagas Salonu priwiślińskiego, Tomasz Jastrun, któremu kilkakrotnie wymierzyłem klapsa piórem felietonisty, bo mnie mierzył swą pasją antyilustratorską i antyprawicową. Machnął (2007) parę akapitów odwetowych, chłoszcząc Łysiaka (bez wymieniania mojego nazwiska) za wrogość wobec inteligencji salonowej. Pod hasłem „*Nie ma nic bardziej obrzydliwego niż. intelektualści opętani niechęcią do inteligencji*”. Przy okazji dał też kopniaka memu idolowi, cesarzowi Bonapartemu, żeby wiadomo było komu współczesnemu dokopuje. Wystękał dużo gładkich salonowych głupot, lecz ciekawsze były prawdy, które przemilczał. Udawał, iż nie wie, że mnóstwo mędrców (od starożytnych filozofów tudzież myślicieli Renesansu i piętnującego „*głupotę inteligentów*” Chamforta, po autora „**The Intellectuals**”, Paula Johnsona, i po Biblię, która napomina: „*Bacz, byś nie zgłupiał przez mądrość twoją*”) - darzyło niechęcią intelektualistów jako kretynów lub faryzeuszów. Udawał, iż nie zna tezy wielkiego pisarza, Andrzeja Bobkowskiego, że „*intelektualiści to są, niestety, w przeważającej ilości kurwy*”. Udawał, iż nie rozumie, że istnieją gorsze postęпки anizeli krytykowanie prostytutkiujących się intelektualistów (choćby donosicielstwo, serwilizm, relatywizowanie dobra i zła, pornografizacja idei, zasad oraz kanonów, kelnerska twórczość itp.).



Kilkunastoletnia praktyka medialna III Rzeczypospolitej wykazała, że chociaż nazwisko Łysiak jest u salonowców przeklęte, zanatemizowane (bo nawet krytykowanie Łysiaka po nazwisku mogłoby mu dawać zysk wedle starej amerykańskiej reguły: *„Źle czy dobrze, byle po nazwisku!”*) - to jednak elita elity (*„równiejsi”*) korzysta z praw wyjątkowych do imiennego flekowania superwroga. Sama góra, sztab, „kopula” interesu - „GW”. Odkąd w pierwszej połowie lat 90 - ych zostałem nazwany (za artykuł **„Ministerstwo Prawdy”** i za powieść **„Najlepszy”**) *„wrogiem numer 1 Adama Michnika”* - **„Gazeta Wyborcza”** kilkakrotnie tłukła mnie dużymi artykułami, mającymi wbić Łysiaka głęboko w czeluść wykletych przez Salon. Pisała je śmietana michnikowskich manipulatorów (m.in. złej sławy Antoni Pawlak, autor paszkwilu **„Łysiak Zbawiciel”**); ostatnim młotkowym na tej liście jest Wojciech Czuchnowski, żurnalista pogardzany w całym środowisku. Bronisław Wildstein powiedział o nim Michałowi Karnowskiemu (dla **„Dziennika”**, 2007), że nie rozmawia z Czuchnowskim, bo to człowiek *„niewiarygodny”*, **„Rzeczpospolita”** wyraziła opinię (2008), że *„Czuchnowski bije wszelkie rekordy bezczelnego kłamstwa”*, zaś we **„Wprost”** wymieniono (2008) *„publikacje Wojciecha Czuchnowskiego”* przy stwierdzeniu: *„Można się zastanawiać gdzie przebiega granica pomiędzy dziennikarstwem a esbeckim sterowanym donosem”*. Rok temu (2007) Czuchnowski poświęcił mi duży tekst, w którym nawet nie 99%, lecz dokładnie 100% oskarżeń to były kłamstwa ssane z brudnego palucha michnikowszczyzny. Wychłostałem ów paszkwil dzięki łacom **„Gazety Polskiej”**, ale ponieważ ma ona znacznie mniejszy nakład niż michnikowska **„GW”** - przedrukowuję niniejszym mój artykuł in extenso (patrz str. 260).

Gdyby ktoś prowadził dziś ze mną *„rozmowę - rzekę”* - musiałyby paść pytania o **„Gazetę Polską”**. Zerwanie przez Łysiaka współpracy było przykrością dla wielu Czytelników, dawali o tym znać często w korespondencji z redakcją **„GP”**; do dzisiaj otrzymuję listy pełne próśb, bym wznowił felietonistykę u redaktora Sakiewicza. Wyjaśniam, że nie mam na to ochoty - przygoda z **„GP”** dała mi solidną lekcję nieufania w życzliwość rzekomych sprzymierzeńców. Pracowałem dla **„GP”** dwa lata (od lipca 2005 do lipca 2007). Zostałem przez red. Sakiewicza namówiony/najęty dla - czego nie ukrywał - podniesienia nakładu pisma, które robiło bokami (Sakiewicz przejmował

„GP” przy 16 tysiącach nakładu). Moje nazwisko miało być magnesem ściągającym zwolenników prawicy. Mechanizm zadziałał - nakład rósł lawinowo (do 70 tysięcy egzemplarzy) i ustabilizował się, a rozradowana redakcja cytowała listy szczęśliwych odbiorców („Kupuję GP tylko dlatego, że publikuje u Was Pan Waldemar Łysiak. Dla jednego tekstu Łysiaka kupiłbym GP nawet za 20 zł”, „Osobne podziękowania dla Waldemara Łysiaka, którego wspaniałe powieści rozjaśniły mi w głowie i nauczyły odróżniać dobro od zła”; „Pierwsze Pióro Rzeczypospolitej wraca do publicystyki - felietony Łysiaka w «Gazecie Polskiej!»! Tak trzymać!” - numery „GP” z 13 lipca i 3 listopada 2005). A potem wszystko zaczęło się psuć. Czytelnicy kochali mnie dalej, lecz szefostwo „GP” już nie bardzo...

Poszło o braci Kaczyńskich. Nie mogę rzec, by redaktor Tomasz Sakiewicz kiedykolwiek narzucał mi treści, tematy czy szlabany - nawet nie próbował, zna mój charakter. Ale coraz częściej sarkał (czasami aluzyjnie, a czasami expressis verbis) na moje uszczypliwości wobec Kaczorów i na krytykę pewnych posunięć PiS - u, dodając, że Jarosława K. gniewa moje pióro. Miałem gdzieś irytację pana premiera, lecz red. Sakiewicz - dziennikarz frontowy - nie mógł być analogicznym luzakiem. Czuję, że powoli staję się persona non grata, nie pasuję do hołdowniczej „linii” redakcji, a potrzebny też już tam nie byłem, bo nakład ustabilizował się mocno. Dzisiaj myślę, że intryga rozpętana długopisem red. Jacka K., wskutek której trzasnąłem drzwiami, była zaplanowana z zimną premedytacją. Uważam ją za świństwo. Sojusznikom nie pakuje się w plecy noża, jest to elementarna zasada lojalności, ale redaktorzy Sakiewicz i Jacek K. chyba nie znają tego wyrazu. Może musieli - Julian Kostrzewa o małostkowości braci Kaczyńskich (2007): „Bracia krytyki nie zapominają”. Jeden z Czytelników ładnie to wszystko skomentował, pisząc, iż red. Jacek K. wyparł Łysiaka z redakcji „GP” „wedle klasycznej monetarnej reguły Kopernika”.

Od tamtej pory (od lipca 2007) nie uprawiam prasowej publicystyki, mimo kilku propozycji lukratywnych bardzo. „Najwyższy Czas!” aż dwa razy tłumaczył się Czytelnikom, którzy żądali skaptowania Łysiaka, dlaczego jest to niewykonalne: 26 stycznia 2008 („Oczywiście, że staramy się pozyskiwać najlepszych autorów, lecz Waldemar Łysiak postanowił - mamy nadzieję, że chwilowo - odpocząć od pu -

blicystyki bieżącej”) i 1 marca 2008 („Tak, rozmowy z p. Waldemarem Łysiakiem były prowadzone, ale niestety zrobił on sobie urlop w działalności publicystycznej. Ponieważ część archiwalnych tekstów rzeczonoego Autora ma wymiar ponadczasowy, może przypomnimy niektóre na *nczas.com*”.

Moje „*archiwalne teksty*” brzęczą mi w uchu ilekroć czytam dziś jakże słuszne wywody naszych prawniczych publicystów. Czytam np. tekst Bronisława Wildsteina (2008): „*Za największego wewnętrznego wroga uznać można kompleks postaw i poglądów wymierzonych w fundamentalne instytucje naszej cywilizacji: religię, rodzinę, własność, naród, ład moralny, hierarchię dóbr czy porządek prawny. Jego rzecznicy podjęli wojnę domową przeciw tradycji cywilizacji Zachodu*”. Nic dodać, nic ująć - czytam i biję brawo. Właściwie samemu sobie, bo od dwóch dekad głoszę identyczne treści na łamach prasy i na kartach moich publicystycznych książek (kolejną jest „*Mitologia...*”). Minione 19 lat bojów prawicy III RP z lewicą III RP zatarło prekursorskie teksty, czyli dokonania pionierów inicjujących walkę (Marek Baterowicz w australijskim „**Tygodniku Polskim**”: „*Ziemkiewicza pamiętamy z krytyki Adama Michnika wyrażonej książką «Michnikowszczyzna», choć na tym polu prekursorem w kraju był Waldemar Łysiak*”, 2008). Za tę właśnie pisaninę biorę z rąk Salonu ciągi już prawie 20 lat, a z rąk prawicy pochwały (Bohdan Urbankowski: „*Waldemar Łysiak - bodaj najlepszy współczesny eseista*”, 2007; Arkadiusz Gołka: „*Prawicowy czytelnik wczytuje się pasjami w odkłamującą rzeczywistość twórczość Waldemara Łysiaka*”, 2007; itp.).

Chociaż bardzo niewiele periodyków (wyłącznie antybolszewickich) może się pochwalić „*archiwalnymi tekstami Waldemara Łysiaka*” - niektórzy się nimi chwala, chociaż nie mają żadnych. Tak się stało, kiedy luksusowy miesięcznik „**Gentleman**” (nr 6 - 2008) opublikował listę „**100 najbardziej wpływowych gentlemanów w Polsce**”. Kilka dni później tygodnik „**Wprost**” chwalił się tekstem „**«Wprost» - pismo dżentelmenów**”, pisząc: „*Listę stu najbardziej wpływowych dżentelmenów w Polsce po raz pierwszy ogłosiła redakcja miesięcznika «Gentleman». Spośród tej setki nie tylko najbardziej wpływowych, ale też - co znacznie rzadsze - nienagannie wychowanych, 15 osób jest lub było autorami «Wprost» (...). Takie nasycenie dżentelmenami jest w prasie polskiej wyjątkowe*”. Ja bym rzekł: przesycenie. Bo czy -

tając te piętnaście nazwisk autorów, którymi chwalił się „**Wprost**”, ujrzałem również, ze zdumieniem: Waldemar Łysiak. Tygodnikowi „**Wprost**” „*something pojebalos*”. Owszem, pisał o mnie wiele razy (zwłaszcza w latach 90 - ych, kiedy nadworny michnikoliz tygodnika, niejaki Wiesław Kot, co raz to darł ze mnie pasy za krytykowanie takiej świętości jak szef „**GW**”), lecz ja nigdy nie opublikowałem ani słowa we „**Wprost**”, więc ta rzekoma piętnastka jest co najwyżej czternastką.

A gdy już wspominałem o dżentelmeńskim rankingu miesięcznika „**Gentleman**” - dla porządku muszę nadmienić, że przy moim nazwisku ukazał się tam jedyny „wywiad”, jakiego udzieliłem od paru lat. Stosuję cudzysłów, bo ta mikroskopijna wypowiedź to nie był wywiad, ino coś jakby sonda telefoniczna. Było tak: zadzwoniła z „**Gentlemana**” przemiła redaktorka i poinformowała, że pismo umieściło mnie na liście wpływowych dżentelmenów. Odparłem, że wolę być na liście przystojnych dżentelmenów lub jurnych dżentelmenów, co zignorowała i zapytała jaka jest według mnie definicja dżentelmena. Ta definicja jest według mnie bardzo krótka i klarowna (dżentelmen to gość, który we wtorki nie bija kobiet), ale miast na tym poprzestać, dałem się wciągnąć w telefoniczny dialog i redakcja opublikowała te kilka słów, konkretnie: cztery moje odpowiedzi na cztery zadane pytania (standardowe, identyczne dla każdego). Na pytanie: „- *Czy dobre wychowanie pomaga w robieniu kariery?*” - odparłem:

- Nie mam pojęcia, bo nigdy nie robiłem kariery w sensie administracyjnym. Generalnie - dobre maniery, kindersztuba, są koniecznie potrzebne. Świat chamieje przerażająco szybko. Kiedyś brak dobrych manier kojarzył się tylko ze społecznością lumpów i niższych sfer. Ludzie wykształceni i z wysokim statusem społecznym starali się przynajmniej zewnętrznie utrzymywać normy. Poczynając od niesmarkania na ulicy, a na stosunku wobec bliźnich kończąc. Obecnie mamy do czynienia z szaloną promocją złego wychowania, a dobre maniery przeżywają tragiczny upadek. Słowa, które kiedyś nie przeszłyby przez gardło, teraz często padają publicznie, a w tekstach literackich nawet bez wykropkowania - mnie też się to już zdarza. Im jest jednak gorzej, tym bardziej trzeba doceniać dżentelństwo.

Na pytanie: „- Czy ma pan swój ideał dżentelmena?” - odparłem:

- Nie ma ludzi bez wad... Są symbole, nie ma idealnych figur. Wśród moich ukochanych symboli jest pisarz Antoine de Saint - Exupéry, którego kocham nie za „Małego Księcia”, jak wszyscy, lecz za „Ziemię, planetę ludzi”, „Twierdzą” oraz „Nocny lot”.

Na pytanie: „- Czy jest ktoś, kogo chciałby pan wyzwać na pojedynek ? Kto byłby wówczas pańskim sekundantem i jaki rodzaj walki by pan wybrał?” - odparłem:

- Kiedyś Zbigniew Herbert sprawił mi ogromną satysfakcję, mówiąc publicznie, że do walki w pojedynku wzięłby mnie za sekundanta. To był duży zaszczyt, bo sekundant musi być osobą honorową nieskazitelnie. Rewanżując się - przy moim pojedynku wzięłbym Herberta jako sekundanta. Wcześniej jednak sprowokowałbym adwersarza do wyzwania mnie na pojedynek, gdyż to wyzwany ma prawo wyboru broni. Wybrałbym drewniane kije, bo nimi trzeba bić chamów.

Na pytanie: „- Kobiety wolą dżentelmenów czy brutalni? „- - odparłem :

- Coraz trudniej być dżentelmenem wobec kobiet. Tak zwana polityczna poprawność sprawia, że przepuszczenie kobiety w drzwiach jest aktem szowinistycznym. Świat stanął na głowie.

I tu doszliśmy do sedna - do „*świata stojącego na głowie*” - czyli do treści książki „**Mitologia świata bez kłamek**”, drodzy Państwo. Dom wariatów, w którym musimy żyć, nie odpuszcza, każdego dnia przynosi jakąś nową fabułę alias nową rzeczywistość wyprodukowaną przez utytułowanych idiotów. Właśnie kiedy piszę te słowa, media zajmują się tylko jednym: Rosja oderwała Gruzji Abchazję i Osetię Południową. Godzina za godziną, dzień za dniem, chóry ekspertów i autorytetów krzyczą z ekranu telewizora, że „*Moskwa brutalnie złamała prawo międzynarodowe*”, „*Putin bezprawnie pogwałcił suwerenność Gruzji, wydzierając jej dwa terytoria*”, etc, etc. Gdzie byli wszyscy ci faryzeusze z PO i z PiS - u, z uniwersytetów i z redakcji, z fundacji i z centrów kultury, wszyscy ci „*thinktankowcy*” i mądrale, fachowcy od belfrowania społeczeństwu i od stosowania dubeltowych standardów - kiedy kilka miesięcy wcześniej Ameryka (przy udziale równie załganej UE) wyrwała Serbii siłą, dla islamu, kolebkę serbskiego narodu (Kosowo), łamiąc brutalnie prawo międzynarodowe tudzież wszelkie ludzkie i boskie prawa?! Gdzieście wtedy byli, sukinsyny obłudne?!...

Kilka lat temu, gdy inicjowano odrywanie Kosowa zachodnimi bombami od serbskiej macierzy - jako jedyny Polak publicznie przeciwko temu protestowałem (vide „**Stulecie kłamców**”, 2000). Rok później (2001), udzielając wywiadu, ostrzegałem, że Zachód ciężko za to zapłaci:

- Ten błąd Jankesów i europejskich lewicowców kokietujących islam zemści się.

Wreszcie dwa lata temu („**Salon 2**”, 2006) zapowiedziałem, że „*scenariusz kosowski będzie mógł służyć jako wzór*”, i wskazałem Kaukaz oraz Krym jako kolejne estrady. Nikt nie chciał słuchać, bo rządzi Salon, a dla Salonu Łysiak to „*bête noir*”. Dzisiaj słowo „*oszołoma*” stało się ciałem: Putin mądrze i bezwzględnie „*wyzwolił*” dwie gruzińskie krainy, wykorzystując precedens, jaki stworzyły durne elity Zachodu, gdy ogłosiły „*niepodległość Kosowa*”. Inteligentny Zachód znowu - użyję tu porzekadła amerykańskiego - „*strzelił sobie w stopę*” (patrz „**Mit inteligentnego Zachodu**”, str. 208).

Świat dzisiejszy, którego bezkłamkowości poświęcam tę książkę, przypomina mi asfaltowego taternika z historyjki opowiedzianej e - mailowo przez reżysera Piotra Zarębskiego wydawcy periodyku „**Kultura i Biznes**”, Wojciechowi Grochowalskiemu:

*„Podczas jednego z tatrzańskich obozów wspinaczkowych pojechaliśmy w rejon Morskiego Oka. Dotarliśmy pod ścianę. Instruktor zaproponował, żebyśmy sobie strzelili po jednym, «aby nam się ściana trochę położyła i będzie się lepiej wchodzić». Towarzystwo nie namyślało się długo i zaczęliśmy «kłaść ściany» dość intensywnie. Z czasem flaszki topniały jedna po drugiej i skończyło się na kompletnym uboju. Gdy grupa ocknęła się równo ze świtem, zauważyliśmy, iż brakuje wśród nas prowodyra libacji, instruktora. Zapieprzamy gazikiem, wyjeżdżamy zza zakrętu, a tu jakiś facet idzie przez, środek drogi na czworaka, wbija haki w asfalt i asekuje się liną..”.*

1

## Mit tytana Nikodema W.



„Panowanie” w dziele Cesare Ripy „Ikonomia” (drzeworyt, 1603)

Od kilkunastu lat admiruję Lecha Wałęsę. Zostać prezydentem dużego kraju tylko po to, by uzyskać możliwość zniszczenia swego konfidenckiego dossier - to jest piękny „numer”, pragmatyzm polityczny klasy cymes - lux. Trudno nie czuć podziwu - kapelusze ze łba!

Znalazłoby się, co prawda, trochę żywych analogii. Piotr Skórzyński (2007): „Václav Havel, będąc prezydentem, blokował dekomunizację (...) Dziennikarze czescy odkryli potem, że wszystkie taśmy z jego przesłuchań - podobnie jak wcześniejsze ślady kontaktów z StB, z okresu sprzed zerwania przezeń współpracy - zniknęły”. Się zgadza: w Polsce też zniknęły i taśmy, i papiery wałęsowskie, a blokowa -

nie dekomunizacji było głównym zajęciem prezydenta Wałęsy (prócz niszczenia dokumentów TW „*Bolka*” i obijania pingpongową piłeczką ścian Belwederu Wachowskiego), chociaż wcześniej przysięgał on rodakom, iż „*puści czerwonych w skarpetkach*”. Puścił ich w szczerozłotych pantalonach, o co jest dzisiaj zaczepiany, ale już tylko przez naiwnych cudzoziemskich żurnalistów. Ostatnio (2008) pytaniem a propos tych skarpetek ukąsił Wałęsę dziennikarz „**Russkowo Rieportera**”; „*Lechu*” odparł spokojnie to samo, co już bełkotał kilkanaście lat temu, wedle wzoru „*chcem, ale nie mogem*”. Zapytany: dlaczego nie zmienił nawet systemu emerytur będącego krzyczącą niesprawiedliwością (kilkutysięczne emerytury dla esbeckich oprawców, kilkusetzłotowe dla ofiar) - klarował niekumatemu Ruskiemu, że gdyby próbował to zrobić, wybuchłaby w Polsce krwawa esbecka kontrewolucja, dawni esbecy zrobiliby rzeź patriotów, siłą przejęliby ster rządów i przywróciliby bestialski totalitaryzm. Sic! - naprawdę tak rzekł, i tak wydrukowano.



Zasadnicza różnica między mitycznym Havlem a mitycznym Wałęsą sprowadza się do IQ. Havel, bliski przyjaciel Michnika, to inteligent, klasyczny wytwór i koryfeusz Salonu, gdy Wałęsa to cham, nieuk, paramenel dysponujący sprytem i mózdzkiem chłopka - roztropka. W nadwiślańskim życiu publicznym III RP tego typu prostaków, będących jak znalazł odbiciem Dyzmy literackiego, panoszyło się kilku, jednak nawet chłoporobotnik Lepper nie osiągnął równej zgodności z literackim pierwowzorem - Wałęsa to najpikniejszy (najprawdziwszy) Nikodem Dyzma wtryniony przez Historię Polakom. Lumpowstwo wytykają mu (gdy zdobywają się na szczerłość) delegaci wszystkich priwiślińskich politycznych nurtów. Niżej cytuję - chcąc, aby tzw. „*wachlarz opinii*” był szeroki - przedstawiciela betonowej komuny, przedstawiciela liberalnej lewicy, przedstawiciela solidarnościowej konserwy i przedstawiciela neoendeckiej prawicy. Mieczysław Rakowski po kilku pierwszych kontaktach z Wałęsą charakteryzował go krótko per: „*cwany żulik*”. Ryszard Bugaj o pierwszym spotkaniu z Wałęsą (2008):



- Przeżyłem szok. Zobaczyłem strasznego kaboty na. Przeraził mnie językiem, zarozumiałstwem i prostactwem.

Dokładnie taki sam szok przeżywał każdy inteligentny człek, który bezpośrednio zetknął się z Wałęsą. Andrzej Gwiazda zauważył (2008) ciekawą prawidłowość: „*Inteligenci, którzy z Wałęsą nie rozmawiali, byli nim zachwyceni*”, a ci, co rozmawiali, ujrzeli „*strasznego prymitywa*”. Gwiazda przypomniał też, że liczni robotnicy tak samo jak inteligenci gardzili głupotą „*Lecha*”, i gdy zamawiali w sklepie lub w knajpie piwo „*Lech*”, mówili krótko (a zupełnie czytelnie dla ekspedientek i barmanów):

- Dwa głupole proszę.

I wreszcie obiecany delegat neoendeckiej prawicy, Stanisław Michalkiewicz (2008): „*Ten «cretino» najwyraźniej uwierzył w swój nieomylny geniusz i próbuje kontynuować życie po życiu, co zresztą przybrało już postać symptomów medycznych (...) Telewizja portugalska pokazała Wałęsę, przytaczając jego wypowiedź jak to obalił komunizm «sam jeden z żoną i dziećmi», ponieważ «nie miał ludzi». Nie można tego złożyć na błąd w tłumaczeniu, bo Lech Wałęsa mówił po polsku i dopiero Portugalowie przekładali te belkoty na swój język*”.

Przekładanie kolokwialnej menelczyzny „*Lecha/Bolka*” na normalny język obrosło już sporą liczbą anegdot. Gdy jako prezydent miał podejmować na Wawelu prezydenta Czechosłowacji i premiera Węgier, funkcjonariusze UOP odwiedzili pewną tłumaczkę, świetną znawczynią języka węgierskiego, proponując jej, by w trakcie rozmów towarzyszyła Wałęsie i od ręki tłumaczyła co trzeba. Tłumaczka rzekła, iż chętnie to zrobi, ale tylko wtedy, jeśli będzie im towarzyszył drugi tłumacz, przekładający słowa prezydenta z dialektu wałęsowskiego na polszczyznę. Wydarzenie to ujawnił Wojciech Raj (2008), kontynuując: „*Panowie z UOP bezskutecznie apelowali do jej patriotyzmu, etc. Jak mi wyjaśniła - tłumacz podejmujący się tłumaczyć Wałęsę (tym bardziej z marszu) ryzykuje dożywotnią utratę wiarygodności, bowiem gdy polityk ten palnie w swej urągającej stylistyce i logice wypowiedzi głupstwo (a zdarza mu się to stale) - całą winę zrzuca na słuchaczy (że źle go zrozumieli) lub na tłumaczy (że źle go przetłumaczyli). Mylą się wszyscy inni. On nie. Tak to już jest z ludźmi obciążonymi genetycznym defektem nieomylności*”.

Wśród retorycznych „palnięć” czy też lapsusów Elektryka z Gdańska pyszny był zwłaszcza bon mot, iż lewica jest jak lewa noga, prawica jak prawa noga, a On, pan prezydent, tkwi między tymi nogami, pośrodku. Tak u niego istotnie było, zresztą od młodości do dzisiaj. Amerykańskim słowem, które u Polaków zaczyna się na literę „ch”, określili go głośno dawni sztabowcy i przyjaciele prezydenta Ronalda Reagana, gdy wizytujący USA „Lechu” perorował publicznie, że komunizm obaliło dwóch tylko ludzi (Wałęsa i Wojtyła), nie wspominając ni



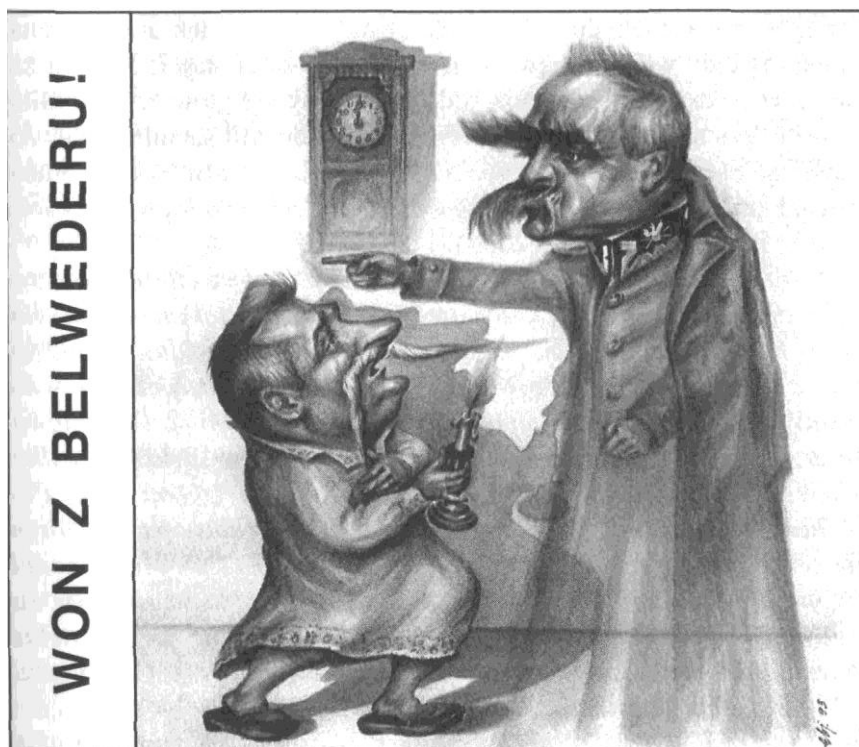
Lech Wałęsa, były prezydent RP

20 ( WPROST ) 6 stycznia 2008

słowem o głównym pogromcy komuny, prezydencie RR (bredził tak za życia Wojtyły; dzisiaj już bredzi samolubnie: że sam jeden obalił komunę, „własnymi rękami”). Notabene: wszędzie w USA dawał popisy „kindersztuby” ryszczokowej, co zostało opisane przez Polonusa, historyka Jana Marka Chodakiewicza (2008), i taką puentą: „Podobnie zawiódł na pewnym balu na Florydzie, gdzie zachowywał się nie lepiej aniżeli jego wytatuowana córka, którą przywiódł ze sobą”.

W internecie krąży o Lechu Wałęsie nader celne szyderstwo: „Miał być Człowiek z Żelaza, a wyszedł Człowiek - Żenada”. Krąży po polsku - tylko dla rodaków. Świat dalej go kocha. „Cretino” vel „kabotyń” z Gdańska stanowi dziś największą (właściwie jedyną) międzynarodową legendę polską - jest wszech -

światowo znanym gigantem, żywym pomnikiem, wcieleniem Robin Hooda, Wilhelma Tella i Spartakusa razem wziętych (Chodakiewicz: *„Zagraniczna legenda Wałęsy jest w zasadzie nie do ruszenia. Obrosła mitem i wykatapultowała elektryka ze stoczni na poziom światowej super gwiazdy”*, 2008). W ojczyźnie Wałęsa również doczekał się supermitu i długo był bożyszczem milionów rodaków. Dzięki jego kompromitującej prezydenturze ta arcypopularność mocno zmalała, jednak dalej miał rzesze fanów wśród głupców. Dzięki ujawnieniu jego tajnej współpracy z peerelowską bezpieką - nimb Wałęsy ponownie się skurczył, lecz wciąż nie brakowało mu fidelisów. Kolejni wierni odpadli, gdy w sierpniu 2008, podczas sądowej rozprawy, wsparł generała Jaruzelskiego, plotąc duby smalone o braku jego odpowiedzialności za masakry Grudnia '70 (historyk Tytus Bazyli: *„Dziś pożegnałem się z legendą Lecha Wałęsy, który ostatecznie pozbawił mnie złudzeń i szacunku do siebie. Jego wystąpienie w warszawskim są -*



*dzie i rozgrzeszenie generała Jaruzelskiego za Grudzień '70 definitywnie pogrzebało ostatnie ciepłe uczucia, jakie miałem dla tego człowieka”).* Ilu jeszcze zostało nad Wisłą prawdziwych (nie taktycznych, jak faryzeusze salonowi) wielbicieli gdańskiego Dyzmy, szczerze ufających w jego mitologię?

Być może - gdy sama proreżimowa konfidenckość, grzech denuncjacji, nie są wystarczającym powodem, by społeczeństwo całkowicie odarło Wałęsę z mitu herosa - trzeba szukać innego zarzutu, który by pogruchołał ten mit. Jeśli nie udało się do tyłu ludzi trafić przez serce lub rozum - trzeba szukać innego adresu, na który wrażliwy jest każdy, mądry i głupi, i tam celować. W kieszeń! Że Wałęsa to megadefraudant, złodziej, który ukradł miliony wzięte od Francuzów dla Związku „Solidarność” - to krzyknął kilka lat temu pionier „Solidarności”, Krzysztof Wyszkowski, i został pozwany przez Dyzmę do sądu, gdzie go skazano, bo salonowiec Geremek świadczył na rzecz Wałęsy. Ale ten problem - problem „manka” w gigantycznej finansowej pomocy Zachodu dla „Solidarności” - to wciąż otwarta rana, i kiedy odejdą wreszcie sędziowie z peerelowskiej stajni, będą tu zapadać wyroki, które postawią rodakom włosy na głowie. Piotr Skórzyński (dziennikarz, który 3 czerwca 2008 popełnił samobójstwo, zostawiając list: „*Nie potrafię godzić się na nikczemność świata*”) analizował problem „*nierozliczonych funduszy pomocowych dla «Solidarności»*” parę lat temu (2006):

*„Warto zwrócić uwagę, że atmosfera «omerty» wokół «Bolka» zrodziła się m. in. ze sprawy, która do dziś stanowi absolutne tabu: chodzi o pieniądze z zagranicy, jakimi dysponowali działacze podziemia, a które (mimo uporczywych apeli Jerzego Giedroycy) nigdy nie zostały rozliczone. Dziś wiemy, że 90% z tych sum było kontrolowane przez SB, począwszy od Biura «Solidarności» w Brukseli, całkowicie spenetrowanego. Gen. Pożoga w rozmowie z Henrykiem Piecuchem poświadczył, że Biuro Brukselskie «Solidarności», którym kierował Jerzy Milewski, było pod ścisłą kontrolą MSW. Jak dodał, SB nie doliczyła się jedynie 50 tys. dolarów - była to zapewne suma, którą «Franciszek» (kryptonim Milewskiego) urwał dla siebie. Peter Schweizer pisze w książce «Wojna Reagana», że CIA przekazała polskiemu podziemiu około 60 milionów dolarów - odbiorcami było wydawnictwo NOWA i «Tygodnik Mazowski», a potem Bujak,*

*Lis i Frasyniuk. Odnotujmy, że odbiorcy nigdy nie przedstawili bilansu, a Bujak wręcz wyparł się, by otrzymał jakąś pomoc od CIA (...) Miesięcznik «Solidarność Walcząca» zamieścił (1992) wywiad z Andrzejem Szczęśniakiem. Czytamy w nim: «150 lokalnych przywódców Solidarności rozstało się z życiem w niewyjaśnionych okolicznościach. Co robił Milewski na Zachodzie? Sprowadzał komputery, lecz, nie takie, jakie są potrzebne do składania gazet do druku. Tylko takie, które są potrzebne do sterowania raketami. I wszystkie te komputery przejmowała bezpieka»”.*

W dzisiejszych polskich prokuraturach i sądach nie da się rozliczyć tamtych kont prawidłowo, gdyż odziedziczony po PRL - u wymiar sprawiedliwości III RP zwyczajnie „robi sobie jaja” ze wszystkich i ze wszystkiego (głównie ze sprawiedliwości), ferując wyroki urągające logice, etyce i faktom. Rękopiśmienne dowody współpracy z SB nie przeszkodziły sędziom uwolnić Mariana Jurczyka (TW „Święty”) od zarzutu „kłamstwa lustracyjnego”. Według tych samych hucpiarskich kryteriów Lech Wałęsa również uzyskał sądowe zaświadczenie swojego dziewictwa (2000), co pozwala jemu i jego wiernej publice krzyczeć wbrew oczywistym faktom, iż ma życiorys kryształowy, niepokalany. Ów krzyk był najgłośniejszy latem 2008 roku. Wcześniej „*bolkowa*” awantura była dużo cichsza. Sam kilkakrotnie pisałem o konfidenckiej karcie Wałęsy (przycaczając nawet treść jego donosów), robili to też inni, kręcono filmy dokumentalne o jego zdradzie (reżyser Grzegorz Braun), stawiano ludzi przed sądem dla zamknięcia im ust (casus Krzysztofa Wyszkwoskiego) - ale nie urastało to do rangi wojny religijnej. Dopiero kiedy dwaj historycy z IPN - u, Sławomir Cenckiewicz i Piotr Gontarczyk, opublikowali pracę naukową „**SB a Lech Wałęsa**” - rozpułało się między Tatrami i Bałtykiem polemiczne piekło.

Spór o książkę Cenckiewicza i Gontarczyka był fundamentalnym sporem salonowców z anty salonowcami, gdyż głównym tematem starcia nie była (wbrew pozorom) denuncjatorska przeszłość Wałęsy, tylko prawo do mówienia prawdy nad Wisłą. Salon bowiem orzekł - nim jeszcze książka się ukazała - że ukazywać się nie powinna, ergo: że nie wolno pisać takich dzieł, ponieważ wartość mitu Wałęsy jest dużo wyższa niż jakokolwiek prawda (parafrazując łacińską sentencję „*caritas maior iustitia*”, można rzec: *mythus maior verum*). Jeśli fakty

mitowi przeczą - tym gorzej dla faktów (parafrazując wers „Szpota”: fakty zmyśleniom czasem przeczą, a to jest karygodną rzeczą!). Co było źle odbierane przez ludzi mających wszystkie klepki. Krytyk Krzysztof Kłopotowski (2008): „Michnik stał się zakładnikiem fałszu”. Reżyser Andrzej Żuławski (2008):

- Michnik podpisujący się pod listem, że nie należy tykać świętego Wałęsy, jest kretynem.



Wałęsa także robił co mógł, by uniemożliwić wydanie kompromitującej go książki; przed kamerami strach odbierał mu resztki sprytu: groził, majaczył, bredził, wyklinał, miotał na IPN pełne epitetów pioruny, rósł mu coraz dłuższy nochał Pierwszego Kłamcy III RP. Zgodnie z tezą rymopisa doby Stanisławowskiej, biskupa Ignacego Krasickiego („Pocziwość prawdy się nie lęka”) - eksponował nerwowo całą swoją ohydłą niepocziwość, przez całe lata bluźnierczo maskowaną wpiętym w kłapę znaczkiem Częstochowskiej Madonny. Notabene: wersy dawnych poetów cisną mi się pod pióro hurtem, gdy tykam problem

polskiej domowej wojny o książkę dającą niezbite ślady brudnego curriculum vitae pseudoherosa. Julian Ursyn Niemcewicz dawno temu (utworem „Lew i piesek”) przestrzegał piszących prawdę o Wałęsie:

*„... silnym mówić prawdę niebezpieczno,  
Bo u nich prawda ma postać potwarzy”.*

I Wałęsa, i wspierający go Salon - wrzaskiem uznali za potwarz oskarżanie „Lecha” o jakąkolwiek współpracę z SB, rażąc oskarżycieli piorunami nienawiści. Co jest naturalne; już XVII - wieczny poeta Jan Gawiński pisał (wiersz „Prawda”):

*„Prawda rodzi nienawiść, tedy się rzec godzi:  
Ta matka świątobliwa niecną córkę rodzi”.*

Wtórował Gawińskiemu kolega, Waclaw Potocki (też XVII wiek):

*„... za prawdą nienawiść,  
jako cień za ciałem...”*

Dmąc przed wydaniem książki Cenckiewicza i Gontarczyka w surmy katastroficzne - salonowcy demonizowali ujawnianie prawdy o „Lechu” jako swoiste ojcobójstwo („*Nie czynicie Prawdy groźną i złowrogą*” - przestrzegał sto lat temu Wiktor Gomulicki), lansowali wybielającą „Lecha” kontrprawdę („*Nazwali kłamstwo prawdą; z tego całą literaturę zrobili*” - pisał Stanisław Przybyszewski w „**Tańcu miłości i śmierci**”), i częściowo im się udało „*falsz oczywisty podnieść do godności prawdy*” (Henryk Rzewuski, XIX stulecie). Częściowo, bo zabełtali głowy wielu łatwowiernych prostaczków, którzy wciąż współczują mitologicznemu Wałęsie jako krzywdzonemu bóstwu. Kazimierz Laskowski (XIX wiek):

*„A choć może kłamał trocha,  
Miał słuchacze zapłakane,  
Bo są kłamstwa, co się kocha,  
Jak i prawdy niekochane”*

Święte słowa. Równie święte co słowa Stefana Żeromskiego, które mówią o miazmatycznej duszy polskiej rozdartej między biegunami uczuć: „*My, Polacy, lubimy żyć cieniami prawdy i kłamstw. Jest to nasz system filozoficzny, nasza narodowa mądrość stanu*”. Ów „system filozoficzny” potrafi przyćmić resztki rozumu i zamknąć oczy na wszystko co bruździ mitofilnym wyobrażeniom. Exemplum: fakt ukradzenia przez prezydenta Wałęsę konfidenckiego dossier TW „*Bolka*” i zniszczenia najbardziej obciążających papierów. Jeśli nawet ktoś nie chce uznać tego za fakt ewidentny, to nie może negować, iż prezydent Wałęsa kazał sobie dostarczyć własną „teczkę” esbecką - nie może, bo zachowały się pokwitowania jej odbioru. Klakierom Wałęsy należy rozdawać kserokopie wywiadu dziennikarki Agnieszki Kublik („**Gazeta Wyborcza**”) z Lechem Wałęsą (1996):

- Czy jako prezydent prosił Pan Urząd Ochrony Państwa o teczkę „*Bolka*”?
- Nic takiego nie było.
- Nie kusilo Pana, by zajrzeć do swojej teczki?

- Pani Agniesiu... już Pani zapytała, ja odpowiedziałem.
- Nie miał Pan nigdy tej teczki w ręku?
- Nie, oczywiście, że nie miałem. Po co te pytania?

Kłamał w żywe oczy (własnoręcznie podpisał kwit odbioru: „*Wypożyczyłem 28.09.1993. L. Wałęsa*”) - można mu po takim łgarstwie ufać jeszcze choćby ciut? Bez ustanku powtarzał, iż Służba Bezpieczeństwa miała na Wybrzeżu aż 54 agentów o pseudonimie „Bolek”, gdy rzeczywistość miała - co udowodnili Cenckiewicz i Gontarczyk - tylko jednego „Bolka”, zatrudnionego w gdańskiej stoczni (Jerzy Krzętowski machnął fenomenalną karykaturę a propos owej kłamliwej liczby 54). Jak można ufać krętaczowi tego rodzaju? Ufające mu prostaczkę godne są politowania, zaś salonowy twierdzący do mikrofonów, że mu ufają, godni są wzgardy, kłamią bowiem z pełną tego świadomością, cynicznie par excellence. Tragikomizm sytuacji polega tu na tym, że ci sami ludzie - ten sam warszawkowo - krakówwowy Salon - kilkanaście lat wcześniej (gdy Mazowiecki był konkurentem Wałęsy podczas walki o prezydenturę) deptali gdańskiego Dyzmę bez pardonu. Michnik szalał, wytykając Wałęsę „bolszewickie myślenie”, peronizm oraz antysemityzm, i konkludując, że Wałęsa „z symbolu polskiej demokracji stał się jej karykaturą”. Jeszcze niedawno, gdy ujawniona została esesmańska przeszłość noblisty Grassa,







Michnik wspominał Wałęsę, że ten również ma brudną kartę w swym życiu. Ale gdy Salon zdecydował o gnojeniu książki Cenckiewicza i Gontarczyka paskudzącej „narodowy kapitał moralny” - Michnik śpiewa melodię inną: „Trudno pojąć intencje instytucji i ludzi, którzy podejmują obecnie kampanię oskarżeń i zniesławień wobec Lecha Wałęsy (...), gwałcą prawdę, naruszają fundamentalne zasady etyczne (...), szkodzą Polsce”. Maleszka lepiej by nie napisał...



Tak więc „*fundamentalne zasady moralne*” przypomniały się Salonowi w związku z okolicznościami taktycznymi (zwalczanie lustracji tudzież lustratorów), i spowodowały konieczność ponownego ozdobienia Dyzmy heroicznym laurem. Norwid pisał na ten temat jasno („**Początek broszury politycznej**”):

*„Nie trzeba kłaniać się Okolicznościom,  
A Prawdom kazać, by za drzwiami stały;  
Przedawać laury starym znajomościom,  
Myśląc, że dziejów rytm zagłuszą tymbały!”*

Tłumienie „*tymbalami*” wolności słowa (quasi - cenzuralna kampania Salonu wzbraniającego pisać książki piętnujące salonowe mity) Norwid też ujął rymem w „**Rzeczy o wolności słowa**”:

*„Widzę - że, skoro Wolność - słowa jest w ucisku,  
To, co jej wzięto, Cynizm daje pośmiewisku  
I ironia to bierze w opiekę macoszą,  
Mówiąc: «Nie znieśli prawdy, niech poświst jej znoszą»”*

Salon musi znosić szyderczy poświst ze strony antysalonowych publicystów, gdyż walcząc na śmierć i życie z historykami IPN - u - przekroczył ostatnie granice autokompromitacji. Nie tylko poeci rodzimi tępil rymem cenzurowanie demaskatorskich tekstów, exemplum John Milton („**Raj utracony**”), który ganił obwarowywanie prawdy kajdanami zakazów. Lekceważąc mądrość stuleci - Salon rozpętał wobec książki Cenckiewicza i Gontarczyka sabat w stylu żandarmeryjno - zamordystycznym par excellence. Krzyczał publicznie: morda w kubeł, nie tykać narodowego mitu! Jako koronny argument przeciwko ujawnionym dokumentom salonowcy rzucili wyświechtaną błagę o fałszowaniu „*kwitów*” w MSW. Dyzma chwycił się tego, piszcząc rozpaczliwie pośród kamer i mikrofonów:

- Macie prosty wybór - możecie wierzyć mnie lub esbecji!

Mnóstwo rodaków (tych traktujących już Dyzmę jako superkonfabulatora, króla łgarzy) wolało w tym przypadku wierzyć esbecji, bo ona miała za PRL - u dziwny zwyczaj nieoszukiwania samej siebie: nie fabrykowała lewych firmowych dokumentów (rejestrów, wniosków, raportów resortowych etc.) gwoli wykiwania „*Firmy*”. Klarownie wypowiedział się na ten temat Janusz Stachowiak (oficer SB, który pro -

wadził teczkę „*Bolka*”), pytając czemu miałyby tworzyć nieprawdziwe, kompromitujące Wałęsę papiery już wtedy, kiedy Wałęsa był nikim i kiedy nikomu przez myśl nie przeszło, że ten cwaniaczkowski „*robot*” będzie ikoną „Solidarności”, noblistą i bohaterem mitu?

Bracia Kaczyńscy (którzy, notabene, mają w sprawie Wałęsy też kartę nieczystą, gdyż współpracowali z nim na początku lat 90 - ych wiedząc, iż to „*Bolek*”) tudzież inni kontrsalonowcy zadają sobie pytanie ważniejsze: czy Wałęsa całkowicie zerwał współpracę z SB przed rokiem 1980? Czy może pracował dla reżimu dalej, zakonspirowany lepiej? I czy jako prezydent RP też wysługiwał się kagiebowcom? Przytaczane są fragmenty rozmów, które Wałęsa toczył w latach 80 - ych z wysokimi oficerami SB (pułkownicy Kuca, Kliś i Starszak), zapewniając esbeków, że pacyfikował władze NSZZ „Solidarność” wedle ich życzeń (m.in. usuwał wszystkich wskazanych „*radykałów*”). Wielki konkurent Wałęsy, Andrzej Gwiazda, pewien, iż „*zapis o zerwaniu współpracy pozostawiony w archiwum jest kamuflażem przeniesienia Wałęsy na wyższy pułap współpracy*” oraz że „*Wałęsę przekwalifikowano i przeniesiono do innego pionu «pod legendą zerwania współpracy»*„, - upublicznił taką hipotezę (2008): „*W 1976 r. Wałęsa nie zerwał współpracy, lecz został przekwalifikowany z roli agenta operacyjnego, czyli donosiiciela, do roli agenta wpływu. Zadaniem agenta wpływu jest właśnie wywieranie wpływu na decyzje pewnego gremium lub organizacji. Sądzę, że Wałęsę zaangażowano do roli przywódcy planowanego lub samoistnego buntu robotników (...) Agent wpływu jest tak cenny, że fachowe «służby» starają się nie pozostawiać materialnych śladów jego działalności. Agentowi wpływu nie wolno składać meldunków operacyjnych. A jeśli mimo zakazu składa, oficerowi prowadzącemu nie wolno czytać tych meldunków, gdyż. może ulec pokusie skorzystania z zawartych informacji i zdekonspirować bezcennego agenta. Takie zasady podano mi za oceanem*”.

Wałęsowski rok 1980 pasuje do tej hipotezy, bo też zaczyna się od mitu - od legendarnego skoku przez stoczniowy plot. Europeoseł Ryszard Czarnecki (2008): „*Chodzi o «operację Wałęsa». Mitem jest często powtarzana opowieść, że przyszłego prezydenta do stoczni przywiozła motorówka SB. To bzdura. To był kuter strugowodny. I nie należał do SB, tylko do WOP, czyli Wojsk Ochrony Pogranicza (...) Ówczesny zastępca dowódcy WOP, Henryk Chmielak, już 20 sierp-*

*nia mówił swoim gościom, że «parę dni temu przywieźliśmy do stoczni ich przywódcę». Była to zresztą tajemnica poliszynela; w kręgach WOP i szerzej - wojska - mówiło się o tym «otwartym tekstem»,»*

Co było później? Później (roku 1980 i roku 1981) hołubiono Wałęsę jak półboga. Znowu Andrzej Gwiazda (2008): *„Na rynku w Krakowie «wdzięczny naród» nosił Wałęsę na rękach. Do dzisiaj zachowały się triumfalne zdjęcia, co pozwoliło zidentyfikować awangardę «wdzięcznego narodu». Otóż wszyscy niosący ukochanego wodza na rękach okazali się zarejestrowanymi współpracownikami SB”*.

Salon protestuje ze wszech sił przeciwko takim informacjom oraz dywagacjom. Ma do tego własnych, dobrze wyszkolonych aktywistów. Jak Antoni Pawlak, mój stary „znajomy”, bo swego czasu, będąc etatowym żurnalistą „**Gazety Wyborczej**”, pełnił tam rolę michnikowego frontmana dla flekowania Łysiaka. Zamieszczał całokolumnowe antyłysiakovskie paszkwile, mające wbić mnie głęboko (pogrzebowo) w muf Lechistanu. Później trafił do biznesu, do firmy wydawniczej Tower Press, założonej przez głośnego konfidenta SB, Edwina Myszka (Krzysztof Wyszowski: *„Całe lata reprezentował firmę jednego z najbrzydliwszych agentów SB”*, 2008), zaś jego rolę Łysiakobójcy przejął w „**GW**” niejaki Czuchnowski, figura równie cuchnąca. I oto latem 2008, gdy trwał już wściekły szturm Salonu na książkę Cenckiewicza i Gontarczyka, salonowcy urządzili „w kolebce «Solidarności»” szumną prowałęsowską demonstrację. Przed historyczną bramą nr 2 Stoczni Gdańskiej odczytano manifest broniący Dyzmę i kwestionujący dalsze istnienie IPN - u. Kto konkretnie odczytał? Antoni Pawlak, ten sam. Stara michnikowska gwardia nie rdzewieje.

Ale i nadzieja na prawdę nie umiera. Jeszcze raz Andrzej Gwiazda, tak kończący swój felieton o brzydkich maskach Wałęsy (2008): *„Dotychczas prawda stojąca w jaskrawej sprzeczności z mitem Wałęsy zazwyczaj przegrywała z tym mitem (...) Obalenie mitu, który zakrywał ludziom oczy i paraliżował mózgi, otwiera drogę do prawdy”*.

2

## Mit „jazgot- menscha” B.



„Piekielnictwo” w dziele Cesare Ripy „Ikologia” (drzeworyt, 1603)

Salon polski, zwany też michnikowszczyzną, zawsze miał upodobanie do kreowania lewackich „*autorytetów moralnych*”, i zawsze miał pecha z efektywnością tego kreowania, bo przysłowiowy „*koniec, który wieńczy dzieło*” nigdy nie okazywał się dla Salonu „*happy endem*”. Pierwszy lansowany autorytet ogólnopolski był równie oczywisty jak dwa razy dwa - „*z definicji*” został nim wielki mistrz Salonu priwiślińskiego, guru Adam Michnik. Lecz jego nimb zaczął się walić bardzo szybko, wkrótce po Okrągłym Stole. Dzisiaj nie brakuje pretendentów do lauru pionierstwa w walce z michnikowszczyzną, więc może trzeba dumnym rycerzom przypomnieć tytuły (i daty edycji) antymich-

nikowskich książek Łysiaka: od „Lepszego” (1990) i „Najlepszego” (1992), po „Salon - Rzeczpospolita kłamców” (2004). Zaś pierwszą dużą antymichnikowską publikacją prasową był mój artykuł „Ministerstwo Prawdy” (1994, na łamach „Tygodnika Solidarność”) o „Gazecie Wyborczej” jako imperium notorycznego kłamstwa.

W drugiej połowie lat 90 - ych michnikowszczyzna wylansowała nowy megaautorytet - literata A. Szczypiorskiego. Pasował jak ulał: za PRL - u słałwł komunizm, twierdząc, że czerwony ustrój to ziemski raj, a za III RP gloryfikował Salon, twierdząc, że to Olimp. Chociaż był klinicznym grafomanem - „GW” i inne medialne tuby Salonu zrobiły zeń geniusza literackiego. Przez kilka lat zabierał publicznie głos we wszelkich sprawach, ucząc rodaków jak być człowiekiem prostolinijnym i przyzwoitym. Ponieważ ciągle wysługiwał się antypolsko Niemcom - Niemcy wieńczyli mu faryzejską głowę stosem laurowych liści, ergo: corocznych przekładów, nagród i medali (po szczegóły odsyłam Czytelników do rozdziału o Szczypiorskim w „Rzeczpospolitej kłamców”). Jednak zmarło się renegatowi (2000), i nadto ujawniono, że przez kilkadziesiąt lat był donosicielem esbeckim na etacie TW. Powstała próżnia hierarchiczna w dziale „moralnych autorytetów”, bo chociaż Salon miał pełną ich stajnię, cały legion, lecz zawakowało miejsce tronowe - stanowisko głównego autorytetu. Tro -



nu nie mógł objąć byle kto, szukano tuza. I znaleziono. Umarł król (TW „Mirek” Szczypiorski), niech żyje król! Nowym „moralnym autorytetem” numer 1 michnikowszczyzna mianowała (w pierwszych latach XXI wieku) „profesora” Władysława Bartoszewskiego.

Nadawał się wybornie. Nie powtórzono już błędu ze Szczypiorskim - pan B. miał życiorys wolny od wysług dla SB, co nie znaczy, że nie miał ze Szczypiorskim cech wspólnych. Były nimi: szczerza prosalonowość, jadowita antyprawicowość i antykonserwatywność, wreszcie fakt, że od lat hołubiły go i fetowały dwa państwa: Izrael („*ulubiony polski goj Izraelczyków*”) i Niemcy („*ukochany Polak Niemców*”). Stanisław Michalkiewicz napisze (2007): „*Władysław Bartoszewski swoją stawę i chwałę zawdzięcza zarówno Żydom, jak i Niemcom (...) Biorąc pod uwagę konieczności, przed którymi stoi rząd premiera Tuska, Bartoszewski do specjalnych poruczeń nadaje się jak mało kto. Udowodnił to już jako minister spraw zagranicznych, kiedy w Knesecie gładko przeżył obelgi pod adresem narodu polskiego, a nawet się do nich przyłączył, no a wobec Niemców, jako człowiek kulturalny, żywi uczucie dożgonnej wdzięczności (pomagali mu za komunę), więc trudno wymagać, żeby akurat im się sprzeciwił*”.

Różne komplementy niemieckich mediów wobec Bartoszewskiego (Paweł Paliwoda: „*Media o kapitale niemieckim w Polsce, który całkowicie zdominował nasz. rynek prasowy, i media w RFN mają obecnie w naszym kraju niekwestionowanego pupila. Jest nim Władysław Bartoszewski*”, 2008) i różne prysiudy Bartoszewskiego wobec Niemców mocno denerwowały rodzimych patriotów, ściągając nań liczne gromy ze strony kół prawicowych, jednak nie dał się w tej materii reedukować, czego świeżym dowodem fakt, iż wbrew polskiej racji stanu popierał (luty 2008) nonsensowną koncepcję udziału Polaków w niemieckiej, ewidentnie antypolskiej inicjatywie Widomy Znak (gloria i gehenna niemieckich „wypędzonych”). Przebywając na terenie Niemiec i Izraela częściej niż na terenie kraju - Bartoszewski stał się mistrzem karmienia niemieckich i żydowskich resentymentów antypolską retoryką, budzącą furię polskiej prawicy („*Gazeta Polska*”, maj 2008: „*W. Bartoszewski raz jeszcze popisał się w Berlinie. Opluwając były rząd polski i aktualnego prezydenta RP. Występy Bartoszewskiego nabrały już tak jednostajnej, kłopotliwej formy, że nawet Niemcy są zażenowani*”). Powszechna jest wśród niezależnych obserwato-

rów opinia, iż rząd Tuska prowadzi wobec Berlina „*politykę kolanową*” (exemplum nierówność statutowa Polsko - Niemieckiej Fundacji na rzecz Nauki) pod wpływem właśnie Bartoszewskiego.

Analogiczna opinia panuje względem polityki rosyjskiej rządu Donalda Tuska, który - gdy tylko Platforma Obywatelska zyskała władzę (2007) - zaczął się umizgiwać wobec Kremla, znosząc wszelkie antyrosyjskie restrykcje dyplomatyczne rządu PiS - owskiego. Bartoszewski ma na tym polu dużo dawniejsze wysługi. Jako minister spraw zagranicznych w gabinecie postkomunistów (rząd Oleksego) kwestionował plan wejścia Polski do struktur NATO, mówiąc (1995), iż „*Polska nie będzie się spieszyła z wejściem do NATO (...)* *Polska nie jest zainteresowana reprezentowaniem jakiegś idei NATO*” (sic!!!). Dialogując z rosyjskim ministrem spraw zagranicznych, Andriejem Kozyriewem, potwierdzał ów dziwnie kontrapatriotyczny wybór, i przyznawał, że Moskwa ma

prawo czuć się zaniepokojona planami rozszerzenia Sojuszu. Była to bardzo słodka muzyka dla Rosjan; Kozyriew i inni kremlowscy dygnitarze wychwalali wówczas „*pokojową*” spolegliwość Bartoszewskiego. Tylko „*ciemnogród*” nie docenił jego antyNATowskich starań - „*oszolomy*” wylały na jego „*kolanową dyplomację*” kubły pomyj.





A więc nadawał się internacjonalnie do roli wzoru wszelakich cnót i tronującego salonowo autorytetu, lecz nie tylko jako kontestator atlantyckich, klinczujących Moskwę struktur militarnych. Posiadał kilka innych zalet, choćby chwałę profesora, które to miano zawsze robi na ludzie



polskim wrażenie, podobnie jak godność prezesa czy kardynała. Co prawda nikt nie wie od kogo pan B. dostał owo profesorstwo i czy ma *formalne* prawo nosić *ten* tytuł (efektem są szyderstwa; Robert Tekieli: „*Jaki stopień naukowy ma profesor Bartoszewski?*”), czy też nie (podobno prócz matury nie ma on niczego: ani profesury, ani doktoratu, ani nawet magisterium), lecz jego dworzanie i czciciele (salonowcy, komuchy, wykształciuchy) zważ bożka rytualnie „*profesorem Bartoszewskim*”, i ta pseudonominacja jest wedle Salonu nienaruszalna, a motłoch nie musi przecież znać realiów. Zresztą honoris causy tudzież rozliczne (mnóstwo!) naukowe splendory izraelskie i niemieckie dawno już uprawniały profesorski łże - tytuł. Zdarzało się, owszem, że niektóre spośród tych nagród wywoływały skandal, lecz cóż - świat pełen jest łajdaków, których rozsierdzą cnota autorytetów. Tak było m.in. w roku 1996, kiedy Niemcy przyznali Bartoszewskiemu kolejny laur, Nagrodę Braunsa, „*za szczególne zasługi dla szerzenia katolickiej nauki społecznej*” (sic!). Wówczas dziesięciu naukowców z KUL - u (Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego) publicznie zaprotestowało, zważ ten laur hucpą i pytając jakie to konkretnie „*zasługi dla szerzenia katolickiej nauki społecznej*” ma pan Bartoszewski, bo oni nie znają żadnej, choćby minimalnej, nu! Protestacyjny „*list dziesięciu*” został skarcony ostro przez rektora KUL - u, długoletniego konfidenta PRL - owskiej bezpieki, biskupa Wielgusa (TW „*Grey*”), a w obronie „*profesora*” twardo stanęły „*GW*” i „*Tygodnik Powszechny*”, wspierane tutaj pryncypialnie przez Aleksandra Kwaśniewskiego.

Gdy lewica została odsunięta od władzy (2005) - Władysław Bartoszewski związał się z opozycją, czyli z postudecją (PO), zwalczając rząd PiS - u bez pardonu. Mówił jasno, że ta prawicowa władza jest dla

niego rodzajem okupacji, i stale pocieszał hierarchów tudzież szeregowych członków Salonu, że kolejne wybory zmiotą zły reżim. Nadużywał wtedy słów tak bardzo, iż „**Rzeczpospolita**” wytknęła mu to jako nieprzyzwoitość tout court. Salon zaś wywdzięczał się mu hojnie, klekąc olimpijski mit pt. „*Profesor Władysław Bartoszewski, największy autorytet moralny Polaków*”, ergo: cnót krynica. Medialna psiarnia salonowa robiła co mogła dla wyzłacania tego tombaku: reklamowano hucznie książki „*profesora*”, pchano je rękami - nogami na listy bestsellerów, prydupnik Salonu, red. Lis, zamienił pewną edycję swego programu telewizyjnego „Co z tą Polską?” w jednoosobowy show Bartoszewskiego (Lis tylko dwa razy w całej kilkuletniej karierze tego programu przeznaczył całą godziną emisję dla jednego zaproszonego gościa: uhonorował tak Kwaśniewskiego i Bartoszewskiego).

Międzynarodową kulminacją walki „*profesora*” przeciwko gabinetowi PiS - owskiemu był donos (trudno to inaczej nazwać), jaki Bartoszewski złożył na forum europejskim wraz z kilkoma innymi czerwonymi i różowymi ekszsefami MSZ - u, zwanymi „*korporacją Geremka*”. Konkretnie był to publiczny sprzeciw wobec zbyt twardej (w domyśle: zbyt nacjonalistycznej, konserwatywnej, zaściankowej i antypostępowej, vulgo zbyt patriotycznej) polityki zagranicznej braci Kaczyńskich. Wkrótce potem Salon urządził dziękczynną tromtadracką fetę na cześć „*profesora*”. Kiedy wszystkie salonowe fanfary trąbiły glorię mandaryna i wszystkie kamery ukazywały go podczas ceremonii otoczonego wianuszkami głównych adoratorów (Geremek, Edelman, Gronkiewicz - Waltz, Mazowiecki), i wszystkie salonowe pisma drukowały peany Szewacha Weissa oraz epigonów cukrujące jubilata jako półboga - reporterzy zapytali prezydenta Kaczyńskiego dlaczego nie bierze w tej fecie udziału. Prezydent odparł zimno kilka słów, które znaczyły, że nie podaje się ręki ludziom pokroju Bartoszewskiego.

Po tej aferze tyczącej swoistego listu otwartego, którym „*korporacja Geremka*” alarmowała opinię światową i judziła świat przeciwko rządowi własnej ojczyzny (rzecz kuriozalna w stosunkach międzynarodowych; polityka światowa nie zna analogii, nie miało to precedensu, nienotowany był równie haniebny, wprost renegacki wybryk dyplomatów!) - ja też oberwałem, rykoszetem. Kiedy bowiem na łamach „**Gazety Polskiej**” wybatożyłem (sierpień 2006) ów „*skandaliczny list byłych szefów MSZ, w tym idealizowanego Bartoszewskie-*

go, wymierzony jako międzynarodowy donos przeciw polskim władzom, czyli polskiej racji stanu”, i kiedy mianowałem ów list „hańbą, za jaką dawnymi czasy kładło się pod topór infamijny łeb „- Bartoszewski odwinął w swym „wywiadzie - rzece” (schyłek 2006) prowadzonym, jakżeby inaczej, przez Michała Komara (patrz str. 162). Opowiedział mianowicie dlaczego musiał zakończyć współpracę ze „Stolicą” i rozpocząć z „Tygodnikiem Powszechnym”: „Do redakcji przyjęto wiernych ludzi PZPR, moczarowców, Leszka Moczulskiego, Krzysztofa Naumienkę, Waldemara Łysiaka. Przekształcili tygodnik w tubę Komitetu Warszawskiego PZPR, okropne rzeczy tam wypisywali”. I dodał: „To był koniec grudnia 1960”.

Koniec grudnia roku 1960 oznaczał dla mnie Boże Narodzenie licealisty - miałem 16 lat. Już samo to czyni odwetowe enuncjacje Bartoszewskiego nonsensem. Bartoszewski cynicznie (bo świadomie) kłamał we wszystkich aspektach wlepionego mi przezeń „życiorysu”. Nigdy nie byłem „wiernym człowiekiem PZPR”, oraz nie przekształcałem żadnej gazety w „tubę Komitetu”, gdyż dzięki uwarunkowaniom genetycznym (antykomunizm już od becika) nigdy nie byłem członkiem ani sympatykiem PZPR. Co za tym idzie: z Moczarem i moczarowcami łączyło mnie tyle samo, co z Hitlerem i hitlerowcami - wyłącznie wstręt (równie dobrze mógłby mnie nazwać transwestytą). Nigdy też nie byłem członkiem redakcji „Stolicy”, a jedynie tzw. autorem z zewnątrz - publikowałem tam artykuły o tematyce napoleońskiej, bibliofilskiej i varsavianistycznej (w latach 70 - ych, czyli dziesięć lat później!) tudzież felietony (1975 - 1981); potem zawiesiłem wszelką działalność publicystyczną (aż do 1989 roku) w proteście antyjaruzelskim. Razem ze mną publikowało na łamach „Stolicy” grono szacownych autorów (Gomulicki, Syga i in.). Zatem wszystko czym uderzył mnie odwetowo W. Bartoszewski było łgarstwem wysanym z brudnego palca, czynem podłym. Gdyby ktoś napisał o panu B. taką samą metodą (np. że był członkiem NSDAP i esesmanem) - Bartoszewski oddałby sprawę do sądu. Ja nie oddałem, ponieważ według „Kodeksu” Boziewicza W. B. się nie kwalifikuje.

Przedwojenny „Polski Kodeks Honorowy” Władysława Boziewicza mówi jasno (w artykule 1), że pozywać można tylko „ludzi honorowych”. I dalej (w artykule 8) tłumaczy: „Wykluczonymi ze społeczności ludzi honorowych są osoby, które dopuściły się pewnego ścis-

le kodeksem honorowym określonego czynu; a więc indywidua następujące:”. Niżej Boziewicz wylicza 28 rodzajów podłości eliminujących osobnika z grona ludzi honorowych, od kryminalistów, denuncjatorów i tchórzy zaczynając. Na 16 miejscu figuruje: „oszczerca”. Jednak nie trzeba sięgać po lektury archiwalne, by mieć tę świadomość. Starczy sięgnąć po współczesną „**Rzeczpospolitą**” (2007), by móc się dowiedzieć tego samego: „*W normalnych społeczeństwach oszczerstwo - i oszczerca insynuacja także - pozbawia oszczercę zdolności honorowych, skazuje go na infamię i banicję z życia publicznego. U nas nie. Oszczercy i insynuatorzy traktowani są tak, jakby nic złego nie zrobili*”. Tak właśnie jest traktowany W. Bartoszewski - pupil michnikowszczyzny stosowanej.

Przed cytowanym wyżej kodeksem Boziewicza ukazał się kodeks prezesa Klubu Szermierzy w Wiedniu, Witolda Bartoszewskiego (czyżby - dziwnym zbiegiem okoliczności - praszczur?), „**Pojedynek, jego zasady i reguły**” (1886). Puenta (ostatnie zdanie tej pracy, wytłoczone rozstrzelonym drukiem) brzmi tak: „*Są obrazy, które - jeżeli nie zostaną odpowiednio ukarane - zabijają moralnie obrażonego*”. Wymierzyłem piórem tę konieczną karę. Odpowiedziałem na kalumnię Bartoszewskiego felietonem pt. „**Oszczerca**”, negując jego mit, czyli jego kreowaną przez Salon renomę człowieka bez skazy, wielkiego „*moralnego autorytetu*”, gdyż kalumniarz ma z moralnością tyle wspólnego, co hiena z trawożernością (aforyzm indyjski: „*Nie istnieje odkupienie dla czterech przestępców - dla zdrajcy przyjaciela, dla niewdzięcznika, dla zabójcy kobiety i dla oszczercy*”).

Ta pseudoautorytetowość „*autorytetów*” made by Salon była wtedy piętnowana powszechnie (oczywiście tylko ze strony prawej). Rozgoryczony Lech Kaczyński mówił tygodnikowi „**Wprost**” (marzec 2007):

- To jest w ogóle poważny problem, iż autorytety są traktowane jako role społeczne - role całkowicie oderwane od rzeczywistych osób. Nasuwa się tu porównanie z aktorem...

Wielki (prawdziwy) bohater „Solidarności”, Andrzej Gwiazda, skonstatował w „Pulsie wieczoru” (luty 2007):

- Najgorszą rzeczą jest to, że musimy ludzi nikczemnych uważać za autorytety moralne...

Piotr Lisiewicz, kontestując na łamach „**Gazety Polskiej**” (marzec 2007) czapkowanie Bartoszewskiemu przez gromady ogłupione syre-

nim śpiewem salonowych mediów, westchnął: *„Właśnie to jest w sektach najgorsze. Bezkrytyczna wiara w prawdomówność guru”*.

Bezkrytyczna nie znaczy wszakże ogólnonarodowa. Mit Bartoszewskiego został skonstruowany solidnie, wzniesiono pompatyczny gmach i aparat glorii „profesora”, maszynka funkcjonowała wręcz koncertowo, o czym miały świadczyć nakłady jego autohagiograficznych książek i twierdzenie, że przyciągnął pono do partii Tuska dużo klakierów. Tymczasem rankingi popularności, szacunku i zaufania zdają się temu przeczyć. Wykonany przez GFK Polonia sondaż **„Politycy, którym najbardziej ufamy”** (maj 2008) przyniósł klęskę Bartoszewskiemu: „pełnomocnik rządu ds. zagranicznych” zajął... ostatnie miejsce, z wynikiem 2%! Co oznaczało, że ufa mu tylko michnikowski Salon, a salonowe krzyki o superpopularności „profesora” są totalną brednią. Ranking wśród internautów również nie był przychylny Bartoszewskiemu: uznano, że jedyne ministerium, jakie winien sprawować pan „prof.” (tak właśnie pisano, w cudzysłowie), to „resort bajania i bajdobzdurzenia”. Feralna bywa też dla niego dziesiątka. Zorganizowany przez **„Wprost”** wśród polskich dziennikarzy szydery ranking **„10 najbardziej charakterystycznych ról w polskim obiegu medialnym”** (maj 2008) miał jako pozycję 10: *„Coty lub ćwierćinteligent”*. W tej kpiąco - ezopowo nazwanej kategorii zwyciężył Bartoszewski (przed podobną mu kompanią: Lisem, Michnikiem, Pilchem, Sierakowskim, Szczuką, Geremkiem, Kołakowskim, Żakowskim i Kutzem). Także na 10 pozycji znalazł się „profesor” w kpiarskim, piętnującym *„polityczną poprawność”* rankingu Marka Magierowskiego (**„Rzeczpospolita”**, grudzień 2007); punkt ów wyśmiewał salonowy aksjomat, który stanowi credo mitu: *„Władysław Bartoszewski to niepodważalny autorytet”*.

Ten aksjomat (a więc cały mit) jest od półtora roku coraz częściej kwestionowany - nigdy z lewa, wciąż z prawa. Cytuję niżej kilka znacznych figur, wyrażających publicznie bardzo złe zdanie o Bartoszewskim. Jerzy Narbutt: *„Władek postawił na kartę niemiecką. To smutne”*; Jerzy Biernacki: *„Władysław Bartoszewski postawił na kartę poprawności politycznej, która jest niczym innym, jak tylko kłamstwem lub drogą do kłamstwa”*; Krzysztof Ligęza: *„Nie sposób myśleć i pisać bez obrzydzenia o działalności bandy «pożytecznych idiotów», na czele z bezpowrotnie roztrwającą zasoby szacunku Wła-*

dysławem Bartoszewskim, którego umysłu starość najwyraźniej nie oszczędza”; Krzysztof M. Mazur: „Dawniej, gdy ktoś w dojrzałym wieku plótł androny, zwykle się mawiać, że «taki stary, a taki głupi», co po przejściu rewolucji kulturalnej zwanej polityczną poprawnością należałoby przerobić na «w wieku złotej jesieni, a taki mądry inaczej». Te objawy w ostrej formie wystąpiły u «profesora Bartoszewskiego” (kłania się tu aforyzm La Rochefoucaulda: „Starzy głupcy są głupszy od młodych głupców”); Stanisław Michalkiewicz: „Do grona osobistości obsrywających Polskę dołączył też ostatnio Władysław Bartoszewski. Dlaczego robi z siebie blazna? A za Józefa Oleksego wszystko było gites tenteges?”; Marian M. Miszański: „Bartoszewski gędzi. Od sędziowości do śmieszności niewielki krok”; Piotr Lisiewicz: „Kto krytykuje poglądy Straszego Dziadziunia, ten cham i prostak. A Dziadziuniowi wolno bluźgać na kogo zechce, bo Dziadziunio jest stary (...) We mnie chamstwo wyzwała się w postaci dwóch słów skierowanych do tej «pomnikowej» postaci: «Spieprzaj, dziadul!!!»”.

Passus „Dziadziuniowi wolno bluźgać” tyczył kampanii wyborczej PO (2007), podczas której „pan profesor” dawał publiczne wykłady antyPiS - owskie „laciną”, czyli za pomocą lumpowskiego „miecha”, co budziło szok nawet u jego akolitów. Słowem: staruszek już nie panował nad sobą - rozpalając się tracił samokontrolę i żeby szpanować przed elektoratem geriatryczną jurnością, ryszotkowo „bluźnił”. To zadawniona tradycja Salonu, którego guru, „Adaś” jąkała, miał publicznie epitetem „kurwiozum” (sic!), wyklinając grupę uczonych, którzy ośmielili się krytykować kolekcjonowanie lipnych niemieckich nagród przez Bartoszewskiego. Historyków IPN - u, ośmielających się badać esbecką przeszłość Wałęsy, inny salonowiec, Frasyński, traktuje publicznie per: „holota”.



Radosław Sikorski proponuje „dorżnąć watahę”, myśląc o przeciwnikach politycznych. Itd., itp. Bartoszewski wpisał się w tę tradycję „z marszu”: najpierw publicznie przezwiał całą opcję PiS - owską (polityków oraz elektorat) „dewiantami psychicznymi”, a później całą konserwatywno - pravicową stronę barykady „bydłem”. Tak po prostu.

Termin „bydło”, postponujący mniej więcej 40% społeczeństwa (m.in. licznych ludzi kultury, twórców, naukowców, polityków, dziennikarzy, duchownych), spotkał się z trojaką reakcją. Znaczący „Talmudu” (redakcja „Najwyższego Czasu!”) bezzwłocznie zauważyli, iż żydowska święta księga, którą Bartoszewski zna na pamięć, określa tym terminem gojów, czyli nieobrzezanych vel niekoszernych - „goim” to istoty półludzkie, właściwie zwierzęta, bydło, z którym Żyd może robić wszystko, gnojenie gojów nie należy bowiem do grzechów. Różne osobistości opublikowały piętnujące Bartoszewskiego listy protestacyjne (m.in. prof. Jan Dowgiałło, były ambasador RP w Izraelu, na łamach „Rzeczypospolitej”: „Sądzę, że całemu społeczeństwu należą się przeprosiny od Pana”), a dziennikarze pravicowi publikowali brzydkie słowa o „popaprańcu Bartoszewskim” i „Herr Bartoszewskim”. Wreszcie uczeni w piśmie analitycy opublikowali eseje a propos, szukając głębszych znaczeń - prof. Ryszard Legutko pisał o „furiackiej nienawiści”, „wstydzie polskiej inteligencji” i „spustoszeniu mentalnym”, a prof. Andrzej Nowak, zamartwiając się przyszłością kraju, pytał: „Czy możliwa jest zgoda bydła z niebydłem?” (oba te kontrbartoszewskie artykuły ukazały się późną jesienią 2007).

Nie brakowało wszakże „profesorowi” oklasków. Część elektoratu PO uznała go za świętego, a inna część za twardziela. Postkomuniści wołali: biiiis!! Należący bezsprzecznie do niebydła Szewach Weiss (eksambasador Izraela w RP) już wcześniej mienił swego druha „profesora” twardzielem, pisząc (luty 2007): „Bartoszewski to «Mensch»!”. Z czego adwersarze PO zrobili: „jazgotmensch” (bo furiacki starowina ma zwyczaj skrzekliwie jazgotać autorytarnym dyszkantem, nie lubi normalnie mówić), ale kto by się przejmował muczeniem bydła, meine Frauen und Herren? Lub buceniem oszołomów. 31 lipca 2008,

# Wybuczeli Bartoszewskiego

**gazeta**

Nr 181 (4. VIII.). Cena 1,50 zł

**Obchody rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego przejdą do historii. Po raz pierwszy**

Kurtyka, szef CBA Mariusz Kamiński oraz likwidatorzy WSI Jan Olszewski i Antoni Macierewicz. Brawa na cześć spóźnionego Macierewicza zakłóciły minutę ciszy. Staliśmy się świadkami profanacji.

w trakcie uroczystych obchodów rocznicy Powstania Warszawskiego, „profesor” Bartoszewski został przez publiczność wybuczany. „Gazeta” Michnika pryncypialnie piętnowała ten incydent, konkludując: „Dla tłumy wyjącego na prof. Bartoszewskiego nie ma nic świętego”, lecz taktownie wstrzymała się od postulatu „santo subito”.

Azjatyckie przysłowie powiada, że nie ma większego wstydu niż wtedy, gdy chwalać cię głupcy lub nikczemnicy. Starzejącego się brzydko pana B. chwalać dziś wyłącznie betonowi postkomuniści i michnikowi salonowcy. Nawet gdy opluwa ich śliną w serdecznym ferworze bratania się. Bez śliny nie umie gadać, a już szczególnie mocno pluje przy paraapoplektycznym jazgotaniu kontrprawicowym (wtedy ślina „profesora” całymi salwami chłoczce obiektywy kamer, więc widzowie mają wrażenie, iż owe strugi lecą ku nim razem z epitetami „- Ciemnota!”, „- Nierządnicy!”, „- Wyjcie!”, itp.). Paweł Zarzeczny (2008): „Należałoby podpowiedzieć panu Bartoszewskiemu, używającemu tytułu profesora, że jak się wygłasza płomienne oracje, nie wypada równocześnie pluć śliną raz po raz - po to wymyślono chusteczki”.

Chusteczki służą też do wycierania brudu, lecz brud polityczny trudno wytrzeć chusteczką. „Jazgotmensch” przez swą wredność i wrzaskliwość symbolizuje dzisiaj ów salonowy polski brud. Pewnej swojej książce dał tytuł: „Warto być przyzwoitym”. Fakt. Może kiedyś mu się uda, może jeszcze zdąży...



3

## Mit Liska chytruska



„Chępliwość” w dziele Cesare Ripy „Ikonomia” (drzeworyt, 1603)

Salon michnikowski wyhodował sobie armię usłużnych dziennikarzy, słusznie mniemając, że „czwarta władza” bardzo pomaga w zdobywaniu i utrzymywaniu władzy pierwszej, rządowej. Wypromowano też (bo reguły gry tak kazały) elitę owego stada, której każdy członek jest już, dzięki zabiegom salonowego piar, figurą sui generis mitologiczną. Jacek Żakowski, Piotr Pacewicz, Piotr Najstüb, Paweł Wroński, Tomasz Sekielski, Wojciech Czuchnowski, Andrzej Morozowski, Grzegorz Miecugow, Monika Olejnik, Justyna Pochanke, Janina Paradowska, Katarzyna Kolenda - Zaleska e tutti quanti, można komplet tych medialnych wierchuszkowców - salonowców zliczyć na wszystkich pal-

cach mężczyzny, który nie jest kaleką. Łącznie więc 21 - a palcem dwudziestym pierwszym jest Tomasz Lis. Dlaczego właśnie jego uważam za peni., pardon, za prymusa? Bo dostał od swych pryncypałów mitologię najbardziej blaskomiotną. Cała ta ferajna ciągle otrzymuje jakieś laury, przeróżne nagrody, fawory, splendory, wiktory, telekamery i inne sitwowe bzdety (przyznają je sobie wzajemnie co roku, jak każde świrujące towarzystwo wzajemnej adoracji), lecz tylko Lisa próbowano wypromować na prezydenta kraju, a to już olimpijski gradus mitologii salonowej stosowanej, unikat.

Był początek roku 2004. Salonowy „**Newsweek**” obwieścił, że według sondaży - wśród ewentualnych kandydatów na nowego prezydenta czołowe miejsce chwilowo zajmuje żona aktualnego prezydenta, pani Jolanta K., lecz tuż za nią plasuje się znany dziennikarz, Tomasz Lis! I że jego notowania rosną jak drożdże. Wielu normalnych (zdroworozsądkowych) Polaków, usłyszawszy ten „*news*” „**Newsweeka**” - oniemiało. Szefowie TVN - u (gdzie Lis prowadził „Fakty”) wzięli całą sprawę za głupi żart, ale gdy spytali Lisa czy będzie kandydował - Lis nie zaprzeczył. Wywalono go więc z roboty, bo trudno żeby polityk aspirujący do prezydentury prowadził wieczorny dziennik dla milionowego elektoratu, odbierając tym swojej stacji wszelką wiarygodność. Wódz TVN - u, Mariusz Walter, tłumaczył widzom i dziennikarzom:

- Zdezorientowany widz nie wiedziałby z kim ma do czynienia! Z dziennikarzem, czy z samopromującym się kandydatem na prezydenta !

Chcąc się zemścić, Lis udzielił wywiadu „**Przekrojowi**” (2004):

- Opowiem taką zabawną historię, która zdarzyła się cztery czy pięć lat temu. Mariusz Walter powiedział mi... być może temu zaprzeczy... pewnie zaprzeczy... powiedział mi w swoim gabinecie: proszę pana, pan kiedyś będzie prezydentem.

Walter istotnie zaprzeczył (również w wywiadzie dla „**Przekroju**”):

- Lis kłamie, to człowiek chorobliwie ambitny i egocentryczny.

Bezrobotnego Lisa przygarnęła konkurencja (Polsat), której szef, Zygmunt Solorz, też wykluczył równoczesne kandydowanie prezydenckie i etatowe brylowanie medialne dziennikarza, lecz sfera salonowa dalej nadmuchiwała komiczny balon. 13 stycznia 2005 portal internetowy Interia.pl oraz „**Super Express**” ogłosiły wyniki sondażu, według którego Donald Tusk i Tomasz Lis szli łeb w łeb jako faworyci

do prezydentury (po 20% głosów), wyprzedzając Włodzimierza Cimoszewicza, Lecha Kaczyńskiego i Marka Borowskiego (pani Jola już się zdewałowowała - Salon obstawiał samców). Te 20% było wszakże mizerią, robiono zatem co można, by ogłaszane wyniki puchły. „**Gazeta Polska**” pisała (2005): „*W światku politycznym krążą informacje o sondażach, które mają potwierdzać szanse Lisa na prezydenturę. Zdaniem niektórych zlecił je sam. Miałoby z nich wynikać, że głosowanie na Tomasza Lisa bierze pod uwagę 30 do 40 proc. Polaków, i że gdyby w drugiej turze znalazł się choćby z Lechem Kaczyńskim, mógłby go pokonać nawet dwukrotną przewagą głosów*”.

Ta hucpa - jak każda farsa - nie mogła trwać wiecznie. *Salon* wreszcie oprzytomniał, widząc, że popada w śmieszność (członkowie różnych partii kpili: „- Lis?... *To może wystawmy Marylę Rodowicz*”), i zdjął Lisa z tapetu kandydackiego, obstawiając definitywnie lidera PO, Tuska, a Lisowi robiąc „*widoki na przyszłość*”, jeśli się zasłuży. Zasługiwał się więc tydzień w tydzień swym autorskim programem telewizyjnym „Co z tą Polską?”, vulgo: próbował ambitnie ścigać sojuszniczą „**Gazetę Wyborczą**” pod względem braku obiektywizmu i dziennikarskiej przyzwoitości. Nie bez sukcesów: stał się „**GW**” szklanego ekranu. Miał metody proste jak cep: po jednej stronie estrady sadzał dwóch antysalonowców (ludzi z PiS i LPR), po drugiej dwóch salonowców (ludzi z PO i SLD), a sam wymądrzał się między nimi (salonowo) jako rzekomy arbiter. Do uczestnictwa spraszał zazwyczaj antysalonowców gorzej sobie radzących medialnie (retorycznie) i salonowców perfekcyjnie wyszczekanych. Tym drugim basował, więc każdorazowo delegacja Salonu wygrywała 3:2. Aby dobić pokonanych „*faszystów*” - każdy program Lis kończył ogłaszając wynik „*sondy*” (głosowanie telewidzów). Wyniki były zawsze identyczne, jak czkawka: 85 - 95% przeciwko opcji braci Kaczyńskich.

Jednak te cotygodniowe triumfy nie dały platformersom ani władzy rządowej, ani zwycięstwa prezydenckiego, i dopiero dwa lata później wysiłki Lisa oraz reszty szalejących każdego dnia antyPiS - owsko michnikowców medialnych przeważały szalę w drugą stronę. Koszt tej wiktorii był wszakże dla Lisa duży - bezpowrotnie utracił wśród szerokiej publiczności status dziennikarza uczciwego (obiektywnego, rzetelnego), chociaż jego salonowy mit dalej powieli sofistyczny bełkot o nieskalanym profesjonalizmie „*redaktora Tomasza Lisa*”.

Do Salonu zapisał się „red. Lis” bardzo wcześnie, z całą pewnością przed rokiem 1992. A konkretnie przed czerwcową nocą 1992 roku, kiedy półprzysłomni ze strachu „Bolkowie” uwalali w Sejmie antykomunistyczny rząd Jana Olszewskiego, bo chciał dokonać lustracji prominentów. Dokumentalny film „**Nocna zmiana**”, prezentujący ten sabat renegatów, jest dla Lisa przekleństwem, sennym koszmarem. Miał, biedaczysko, pecha: kamera uchwyciła młodego reportera TVP, Tomasza Lisa, który jęczy do przebiegającego Lecha Wałęsy:

- Niech pan nas ratuje, panie prezydencie!!

Wałęsa ich wtedy uratował, parlamentarną intrygą (quasi - puczem) obalił lustratorski rząd, lecz kiedy upubliczniono dokumentalny film „**Nocna zmiana**”, kontrsalonowcy zaczęli mówić brzydkie rzeczy o bojącym się lustracji redaktorku. Wskazywano m.in. książkę „**Tajne dokumenty Biura Politycznego PZPR a Solidarność 1980 - 81**” (1992), gdzie jest wypowiedź członka Biura Politycznego KC PZPR, Andrzeja Żabińskiego, o dziennikarzach:”... *utworzyliśmy w redakcjach zakonspirowane grupy*”. Cytując to, Piotr Skórzyński suponował (2007), że takie grupy „*działają do dzisiaj - uzupełnione o młodych arywistów w rodzaju J. Żakowskiego i T. Lisa*”. Ci właśnie dwaj „arywiści” stanęli solidarnie przy Michniku jako frontmeni wojny z „*polowaniem na czarownice*” - wojny z lustracją i dekomunizacją. Kiedy „**Rzeczpospolita**” urządziła dyskusję medialnych gwiazd o „*oświadczeniach lustracyjnych*” (2007) - Żakowski i Lis gardłowali najgwałtowniej przeciwko deratyzatorom Polski jako łobuzom. Żakowski grzmiał:

- Pytanie o to, czy jesteś kapusiem, jest nieprzyzwoite (...) Zmierzamy w kierunku okresowej dyktatury!

A Lis puentował:

- Lustracja jest elementem budowania w Polsce państwa strachu! Imponuje antylustratorską konsekwencją, czego świeży przykład dał, gdy głośnego astronoma, prof. Wolszczana, zdemaskowano jako esbeckiego kapusia (wrzesień 2008) - rozwścieczony Lis ryknął wówczas na łamach „**Polski**”, że „*w d.... ma taką wolność*”. Nic dziwnego, że zwolennicy deubekizacji też mają Lisa w... dużym poważaniu. Oto dowód: minionego roku (2007) miesięcznik „**Opcja na Prawo**” dał okładkę szyderczo reklamującą TOK - Towarzystwo Ochrony Konfidentów im. Lesława Maleszki. Na czele kroczy Lis, trzymając dum-

nie szylid TOK - u; tuż za nim maszerują dziarsko Michnik, Żakowski i osławiony mecenas lewicy Jan Widacki.

Z lewicą (zwłaszcza z lewicą rządzącą) miał Lis związki bardzo ciepłe (delikatnie mówiąc). Chyba nie wszystko co trzeba, lecz dużo

◆ FAŁSZYWE AUTORYTETY ◆ RZĄDY AGENTURY ◆

# opcja

Nr 4/  
Cena 6 zł  
w tym 7% VAT

WARTO TU BYĆ

szujące show!

Towarzystwo Ochrony Konfidentów im. Lesława Maleszki

JAK ZOSTAĆ ANTYSEMITĄ REAGAN I HOLLYWOOD

ISSN 1642-0646 04  
9 771642 064002

mówi o tym list Jana Baranieckiego ze Stanów Zjednoczonych („**Gazeta Polska**”, 2006), gdzie „*red. Lis*” był przez pewien czas korespondentem telewizji: „*Jak widzę tego pomiota komuszeego w okienku TV, to przypomina mi się jego charakterystyczna, uniżona sylwetka w czasie spotkań z postkomunistami Trzeciej RP w USA w 1997 roku. Przebywał on tam, co prawda, z ich polecenia, w nagrodę za lizanie im tyłków, ale jego umizgi do położonych, bardzo niskich rangą, budziły u normalnego obserwatora odruch wymiotny. Teraz - o zgrozo! - Lis uchodzi w TV, i nie tylko, za wiodącego dziennikarza*”. Exactly. To jest właśnie mitologia, którą referuję - salonowy mit „*wzorowego dziennikarza*”.

„*Red. Lis*”, przypadkowy bohater filmu „**Nocna zmiana**”, sam również został filmowcem dokumentalistą. Popęłił film apologetyczny, o premierze Millerze, rządzącym komuchu. Film będący arcydziełem sztuki wazeliniarskiej. Stanisław Janecki komentował to tak (2007): „*Autorytet Lis gromi w eterze koleżankę po fachu (swoją byłą podwładną z Polsatu), że ta w TVP uprawia «obleśne wazeliniarstwo» wobec PiS. I powtarza to chyba cztery razy. A jeszcze nazywają «poputcziczką». Prawdziwy dżentelmen i arbiter elegancji. Tyle że mówi to ktoś, kto gdy Leszek Miller został premierem, zrobił dokument produkcyjniak w najlepszym socrealistycznym stylu. Wazelina łała się cysternami. Można się było zatkać ze wzruszenia (...) Ale przecież od «obleśnego wazeliniarstwa» są inni. Światowej i moralności są ponad to. Oni mają wszystko poukładane - w rękach, którymi myślą (vide: «**Menda porządkowa**»)*”.

Będąc „*mendą porządkową*”, Lis ma pewne nawyki. Również terminologiczne. Są to raczej brzydkie nawyki, jak większość jego nawyków. Niechętnych mu komentatorów (antykommunistów, pravicowców, konserwatystów, zwolenników deubekizacji et cetera) lubi zapisywać do fanklubu PZPR, zwąc ich - dla spotęgowania efektu - „*poputcziczką*” lub „*poputczikiem*”. Mnie to spotkało ze strony „*arywisty*” Lisa u schyłku 2005 roku. Ripostowałem felietonem „**Falszerz zapisywacz**”, który przedrukowuję na końcu niniejszej książki (str. 279). Innym nawykiem terminologicznym „*red. Lisa*” jest - jak usłyszano od jego byłych współpracowników - komunikowanie się z podwładnymi za pomocą języka łańskiego (ze szczególnym uwzględnieniem kilku soczystych zwrotów na „*k*”, „*ch*” i „*p*”), przy równoczesnym

czapkowaniu przełożonym. Prasa cytowała jego charakterystyczny żargon z „newsroomu” redakcyjnego: „- Ch.. w kasku!”, „- Z ch... się na lby pozamieniałeś?!”, „- Co ty, pedał jesteś?... Może byś przerznął jakąś kobietę i zaczął czytać jak mężczyzna!”, „- Gdzieś ty zostawiła mózg?!” (to wrzask na własną żonę), itp. Wreszcie lubi też „red. Lis” być parodystą - złośliwie przedrzeźnia ludzi, którym chce zrobić „kuku”. Pewnego razu trochę z tym dziażdzioleniem przegiął, i wówczas dwudziestu pięciu niemichnikowskich dziennikarzy (same znane nazwiska) opublikowało protest medialny pt. „**Przeciwko chamstwu na antenie**” (2007):

*„W piątkowej porannej dyskusji w Radiu TOK FM doszło do niemającego precedensu zachowania Tomasza Lisa. Publicysta Polsatu posunął się do wulgarnego przedrzeźniania kobiety, naszej koleżanki Joanny Lichockiej. Nie spotkało się to z żadną reakcją prowadzącego dyskusję Jacka Żakowskiego, który zachęcał jeszcze do tak ordynarnego zachowania. Nie nastąpiła też żadna reakcja ze strony uczestniczących w dyskusji Tomasza Wołka i Jacka Rakowieckiego. Nie przypominamy sobie, by w ostatnim czasie miał miejsce podobny wybryk, świadczący o braku kultury. Trudno nam znaleźć odpowiednie słowa na wyrażenie naszego niesmaku i oburzenia”.*

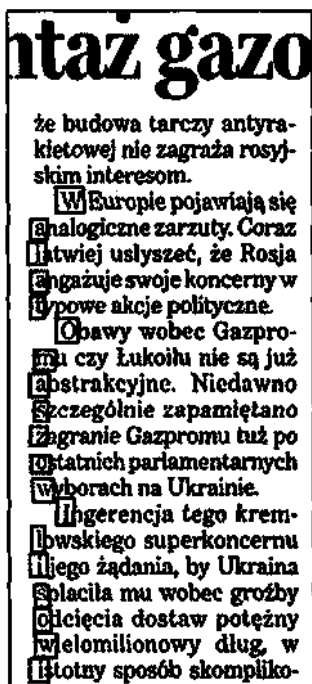
Ów protest pewnie spłynął po Lisie jak woda po kacze, lecz kolejny zadał bolesny cios wygórowanej pysze „red. Lisa”. Typowano go bowiem „w kuluarach” na szefa „**Gazety Wyborczej**”. Miał zastąpić Michnika, przeżywającego ostry chorobowy, prestiżowy i wewnątrzredakcyjny kryzys (były izraelski korespondent „**Najwyższego Czasu!**”, Katar Zar, pisał wtedy o „programie odżydzenia «**Wyborczej**» przez Łuczywo i Rapaczyńską” - sic!). Nadawał się bez reszty - był salonowy w dwustu procentach. Kogo trzeba hagiografował, a kogo trzeba gnoił. Gnoił wrogów Salonu (o Kaczyńskich napisał, że ich działalność jest „*naruszeniem oczywistych standardów demokracji i państwa prawa*”), zaś lizał tyłki dygnitarzom Salonu (Leszka Balcerowicza zwał geniuszem ekonomii; w tym samym czasie ranking personalny Europejskiego Towarzystwa Ekonomicznego w ogóle nie uwzględnił Balcerowicza, podobnie jak prestiżowe wydawnictwo „**Kto jest kim w światowej ekonomii**”, gdzie pośród tysiąca biogramów Balcerowicz nie figuruje!). Dla dobra sprawy potrafił nawet „*odstrzelić*” wroga Salonu. Exemplum zniszczenie, fałszywymi zarzuta-

mi o korupcję, wojewody śląskiego, Marka Kempkiego, który się później skarżył (2006):

- W telewizyjnym programie Tomasza Lisa pokazano wymyślony schemat wyprowadzania pieniędzy z Urzędu Wojewódzkiego do prywatnych firm.

Wszystkie zarzuty wobec Kempkiego prokuratura uznała za bezpodstawne, ale było już po Kempkim (wskutek medialnej nagonki premier Buzek zdymisjonował go w 2000 roku). Czym przewinił Salonowi wojewoda? Tępieniem mafii śląskiej „parasolowanej” przez Salon. Nadawał się tedy „red. Lis” idealnie do „GW”, jednak Michnik przetrwał swój wielobranżowy kryzys i trzeba było mitologizowanemu żurnaliście jakoś inaczej zrobić dobrze, więc Salon wymyślił dlań fotel szefa „Dziennika”. I tu spotkała „red. Lisa” monstualna przykrość. Potraktowano go akrostychem.

Akrostych znała - jako broń intelektualną - już kultura starożytna. Były to



utwory wierszowane, w których początkowe litery lub słowa każdego kolejnego wersu, czytane z góry na dół, tworzyły wyraz lub zdanie. Gdy po Warszawie rozeszła się wiadomość, iż lada moment Tomasz Lis weźmie „Dziennik”, bo Salon już zadecydował - 25 października 2007 w „Dzienniku” wydrukowano tekst o moskiewskim szantażu gazowym. Pierwsze litery wersów trzech akapitów tworzyły tam hasło: „Wata Tomaszowi Lisowi”. Tym sposobem członkowie redakcji zasygnalizowali co myślą o „red. Lisie” i o decyzji Salonu, a później duża część zespołu (m.in. kierownicy działów) zagroziła natychmiastową rezygnacją z pracy jeśli Lis zostanie szefem. Było w tym zapewne również (prócz pogardy) dużo strachu, wiadomo bowiem całemu środowisku dziennikarskiemu, że jako szef Lis jest wulgarną bestią, chętnie niszczącą ludzi (stąd po jego odejściu z Polsatu pracownicy tej firmy przez cały tydzień opijali swoje wyzwole -



nie, zwąc rządy Lisa - cytując prasę - „koszarami”, „apartheidem” i „regularną rzezią”). Żurnaliści „**Dziennika**” sprzeciwili się reaktywacji w ich gazecie takiego gułagu. Kierownictwo koncernu Axel Springer musiało uwzględnić ten dziennikarski bunt, Salon decyzję cofnął, i „*red. Lis*” obszedł się smakiem.

Wzgardliwe zdanie żurnalistów „**Dziennika**” o Lisie jako człowieku i fachowcu podziela dużo ludzi kultury. Przytaczam garść opinii znanych figur - kilka spośród wielu analogicznych, co zostały upublicznione. Pisarz Marek Nowakowski, który gangstersko - postesbecką i salonową III RP zwie „*małą Polską*” (2007):

- W większości środowisko dziennikarskie również jest w tej „małej Polsce”. Nie wiem z jakich powodów. Może liczy na to, że ta „mała Polska” jest sprytniejsza, bardziej skuteczna w walce o władzę i wygra. Bo to jest wyraźne w dużej części mediów. Niektórzy z nich zupełnie się zapominają w swojej pysze, mówię tu o Tomasz Lisie, który przekroczył wszelkie granice służby tej „małej Polsce”.

Publicysta Krzysztof Ligęza (tekst „**Świniowisko**”, 2007): „*Jeśli w Polsce obowiązującym prawem miałyby stać się sumienia pań Moniki Olejnik, Ewy Milewicz, Agnieszki Kublik, Heleny Łuczywo, Katarzyny Kolendy - Zaleskiej, Justyny Pochanke, oraz panów Tomasza Lisa, Jacka Żakowskiego, Piotra Stasińskiego, Wojciecha Czuchnowskiego, Pawła Wrońskiego, Piotra Pacewicza, Seweryna Blumsztajna czy Grzegorza Miecugowa - to rzeczywiście stoimy w obliczu jakiegoś szaleństwa*”.

Komentator kulturowy, Robert Leszczyński (2008): „*Tomasz Lis, autor programu o ultrakabotyńskim tytule «Co z tą Polską?»*”.

Publicysta i edytor Marek Król (2007): „*Dlaczego jeszcze Tomasz Lis, wybitny autor książki «Polska, głupcze!», ociąga się z wydaniem następnej pt. «Europa, głupcze!», trudno zrozumieć. Podobno obawia się, że musiałby napisać trzecią książkę pt. «Głupota, głupcze!», i byłaby to autobiografia*”.

Satyrycy oraz publicyści, Marek Sobczak i Antoni Szpak (2008): „*Tomasz Kregoshup z Modeliny Lis to żaloszna postać na telewizyjnym rynku. Dla Lisa zmienić poglądy łatwiej niż splunąć (...) Lis to mistrz autokreacji i dorabiania ideologii do swoich poczynañ*”.

Publicysta i poeta Wojciech Wencel (2008): „*Obciach nieuświadomiony. Do tej kategorii należą takie zjawiska, jak francuskie kino,*

*piercing, tatooing, styl emo czy publicystyka Tomasza Lisa. Autor «Co z tą Polską?» wierzy, że wyznacza rodzime standardy dziennikarstwa. Niestety, pretensjonalne, napuszone i nienaturalne pozy najczęściej maskują intelektualną pustkę?».*

Publicysta i redaktor naczelny, Stanisław Janecki (2008): „*Ludzie nie chcą się taplać w wymiocinach. Niestety, fatalną rolę odgrywają tu niektórzy dziennikarze (ostatnio Tomasz Lis), wyzwalający najniższe instynkty swoich gości*”.

Publicysta i pisarz, Maciej Rybiński (2008): „*Nowa książka Lisa, «My, naród», bardzo salonowa, a nawet kabotyńska*”.

Krytyk literacki Krzysztof Masłoń (2008): „*Lis pociesza się, że jego wiarygodność na tym nie straciła. A miał ją kiedykolwiek?*”.

Satyryk Maciej Zembaty (2008):

- Ludzie bez poczucia humoru, jak Jacek Żakowski czy Tomasz Lis, nie mają udanego życia seksualnego.

Potwierdziła to pierwsza żona Lisa, Kinga Rusin, wyznając (2008):

- Cóż, nie mam żadnego doświadczenia w udanym seksie małżeńskim.

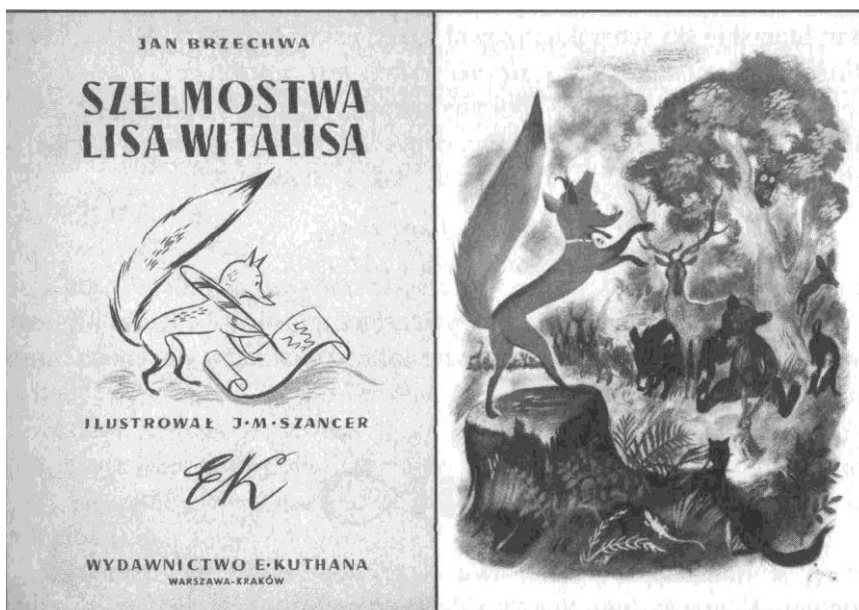
Gdy już mowa o seksie, trzeba wspomnieć, iż „*red. Lis*” i „*red. Lisowa*” (primo voto Smoktunowicz, najpierw metresa, później małżonka gwiazdora TV, którego odbiła swojej najlepszej przyjaciółce, byłej pani Lisowej) - przez całe lata stanowili smaczny kąsek dla plotkarskich magazynów. Równocześnie razem obsługiwali Polsat, więc dzisiaj, kiedy razem obsługują TVP, widzowie mogą się napawać komizmem faktu, że prezenterka Lisowa radośnie przedstawia wyniki oglądalności wieczornego dziennika TVP jako deklasujące wieczorny dziennik polsatowski, chociaż jeszcze niedawno, będąc prezenterką Polsatu, robiła



odwrotnie, reklamując wieczorny dziennik tamtej stacji jako czempiona bezkonkurencyjnego. Czytelnicy również mogli się napawać, albowiem dużą przykrość zrobił pani Lisowej „**Dziennik**”, cytując tego roku komiczne przykłady jej braku „*ee*” (elementarnej erudycji - erudycji na poziomie szkolnym tout court).

Państwo Lisowie stworzyli telewizyjny tandem do robienia Polakom wody z mózgu, nie mogą się więc dziwić, iż są już charakteryzowani jako spółka. Publicysta Stanisław Michalkiewicz pisze (2008): „Ciekawe, że takim np. hitlerowcom nie udało się osiągnąć skiepszczenia Polaków przy pomocy folksdojczów i wódki. No ale wtedy nie było jeszcze telewizji z nieśmiertelnymi redaktorami Lisową i Lisem - bo z ich pomocą poszłoby im jak z płatka (...) Wystarczy dostarczać stawy duchowej za pośrednictwem takich przeżuwaczy jak państwo redakторstwo, a wszyscy pomaszczą w karnych szeregach choćby i do rzeźni, jeśli tylko na czele korowodu będzie postawiony ktoś podobny do Adama Michnika (...) Taki ma właśnie być zadowolony z własnego rozumu obywatel Eurokotchozu i uzależniony konsument lajna chlustającego nieprzerwanym strumieniem z telewizyjnych ekranów”.

Inny czołowy komentator, Maciej Rybiński, pisze zbulwersowany aktem terroryzmu w wykonaniu pani Lisowej (2008): „Pani Lis Hanna, nowa prezenterka «Wiadomości», odmówiła ich prowadzenia, bo nie podobala się jej jedna z przygotowanych informacji. Mężowi pewnie też. się nie podobala. Postawa prezenterki Lis Hanny powinna być wzorem dla innych. Nie podoba się, nie występować. W ten spo-



*sób doszlibyśmy po pewnym czasie do ideału programów informacyjnych, które może nie podobałyby się publiczności, ale zachwyciłyby Lis Hannę i jej kolegów po prezenterstwie. Kiedy sędziwy Henry Ford I leżał złożony niemocą, rodzina wydawała dla niego, w jednym egzemplarzu, ulubioną gazetę, w której były same dobre wiadomości, by tatuś się nie denerwował. Będziemy mieli teraz dzienniki telewizyjne dla państwa Lisów i trzeba mieć nadzieję, że ich gusta dzielają także inni, z rządem i partią rządzącą na czele. Inaczej znów zaczną się konflikty (...) Niech «Wiadomości» będą takie, by Lis nigdy już nie musiała opuszczać studia, a politycy koalicji mogli leżeć przed telewizorami i poddawać się masowaniu duszy. Niech mają przyjemność, jak tyłu poprzedników. Jak PZPR, Unia Wolności, SLD. Dlatego nawołuję - Żakowski na prezesa, Paradowska na wiceprezesową. Lis, Hanna albo Tomasz, do układania tak dzienników, by się tatuś nie denerwował».*

„Tatusiowie” Lisa są silni i groźni - tego typu mocodawców nie wolno drażnić brakiem lojalności, bo gdy „padrone” się zdenerwuje, może być krewa. Rewers medalu służebności to sztuka mimikry - noszenie masek, które zasłaniają prawdziwą fizjonomię duchową harcownika, ukazując publice gieroja, a nie kukielkę na sznurku. Ironista Jan Stanisławski scharakteryzował „red. Lisa” (2006): „Mistrz kamujlażu, cały czas starający się ukryć kim jest naprawdę”.

Kim jest naprawdę? Tandetnym wytworem swego czasu - świata, w którym tandeta stała się królową. Anglosasi przezywają takich mydlków: „red fox” - rudy lisek. Jak u Brzechwy:

*„Pospolity lisek rudy,  
pelen sprytu i obłudy”.*

Żadna salonowa mitologia, wyzłacająca gipsową (a czasem gumową bądź plastelinową) figurę gwiazdora medialnego, nie może zmienić tego werdyktu.

4

## Mit bojowca monopolisty



„Oszustwo” w dziele Cesare Ripy „Ikonomia” (drzeworyt, 1603)

Chodzi o mitologię buntu w getcie warszawskim (1943) i o Marka Edelmana, który robi dzisiaj za żywy symbol tego zrywu, monopolizując cały akt żydowskiego bohaterstwa na rzecz lewackiej frakcji powstańców, co jest - jak wszelka salonowa mitologia - niezgodne z faktami. Trudno się jednak temu dziwić, zważywszy, iż lewacki Salon włada Rzeczpospolitą (również gabinetowo i parlamentarnie, choć tu z krótkimi przerwami, liczącymi łącznie dwa i pół roku) od dziewiętnastu lat.

Michnikowszczyzna wytworzyła dwa duże tyżące buntu w getcie mity - zewnętrzny i wewnętrzny. Na użytek zewnętrzny (światowy)

rozpropagowano kłamliwą tezę, iż kilkudniowy zryw garstki Żydów był największym antyhitlerowskim powstaniem Warszawiaków. Dlatego - podczas niedawnych obchodów 60 - ej rocznicy Powstania Warszawskiego (2004) - cały świat był przekonany, że chodzi o warszawskie getto. Amerykańska telewizja CNN informowała, że *„sekretarz stanu USA, generał Colin Powell, jedzie do Polski, aby wziąć udział w obchodach 60 - ej rocznicy powstania w getcie warszawskim”*. Bredzili tak nie tylko zresztą dziennikarze. Brytyjski historyk, Norman Davies (2004): *„Większość historyków Zachodu - historyków europejskich i amerykańskich - jest przekonana, że Powstanie Warszawskie odbyło się w getcie”*. Jasne - tą wiedzą nakarmił ich Salon. Zaś mit wewnętrzny, którym Salon karmi priwiślińskich tubylców, to rzekoma lewicowość buntu stołecznego getta. Ostatnimi wszakże czasy coraz częściej się słyszy krzyczane salonowcom w twarz: gówno prawda!

Okazją do antysalonowego sprzeciwu stały się obchody 65 - ej rocznicy (2008) powstania żydowskich bojowców. Błogostan uroczystej ceremonii zmałił Stanisław Cichocki, żądając głośno, by zaczęto wreszcie mówić prawdę o żydowskim zrywie, to jest: by zwrócono należne honory Żydowskiemu Związkowi Wojskowemu (ŻZW) Dawida Wdowińskiego i Moryca Apfelbauma, gdyż odegrał on dużo większą rolę bojową niż lewacka ŻOB (Żydowska Organizacja Bojowa) nadmiernie hołdowanych Anielewicza i Edelmana. Po czym ruszyła mała lawina medialnych protestów tego samego rodzaju. Mała, ponieważ media prawicowe są nad Wisłą nieliczne alias *„niszowe”*. Mirosław Kokoszkiewicz (2008):

*„Czy kontynuowana będzie wersja wydarzeń według Marka Edelmana, czy może przebiję się do opinii publicznej choć część prawdy o tamtych dramatycznych dniach ? Po pierwsze - o Marku Edelmanie powinno się mówić zgodnie z prawdą, że jest żyjącym przywódcą jednej z dwóch organizacji bojowych biorących udział w powstaniu. Jednej - i to tej mniej militarnie znaczącej. Powojenna wersja historii, pisana przez komunistów, w sposób typowy zawłaszczyła ten zryw żydowskich bojowników dla socjalistów, komunistów i «klasy robotniczej» tworzących Żydowską Organizację Bojową. Reakcyjny i niepoprawny politycznie Żydowski Związek Wojskowy był przez lata systematycznie rugowany z historii, począwszy od pierwszych po-*

*wojennych lat (...) Bohaterscy powstańcy z ZZW zostali wybici niemal do nogi, co ułatwiło ocalalej części przywódczej ŻOB w sposób bezczelny i nieetyczny przypisać sobie wszelkie zasługi i przez lata wypinać piersi po orderzy - są dekorowani jako jedyni przywódcy i bohaterscy bojownicy powstania w getcie (...) ŻZW stawiał bohaterski opór Niemcom od 19 do 27 kwietnia, ŻOB jedynie kilkanaście pierwszych godzin”.*

Analogiczny tekst data **„Opcja na Prawo”** (2008): *„Przed II Wojną Światową Marek Edelman należał do Bundu - organizacji lewicowo - socjalistycznej, nawiązującej do tradycji marksizmu i zabiegającej o autonomię dla Żydów mieszkających w Europie Wschodniej. To przede wszystkim za sprawą Edelmana wyrosła legenda Żydowskiej Organizacji Bojowej jako jedynej organizacji, która podjęła nierówną walkę z Niemcami. Zasługi wielokrotnie liczniejszego Żydowskiego Związku Wojskowego (złożonego z byłych oficerów i żołnierzy Wojska Polskiego pochodzenia żydowskiego) poszły w niepamięć. Wbrew prawdzie historycznej”.*

Polityczną kolebkę Marka Edelmana - przedwojenną żydowską partię Bund - sanacyjna **„Encyklopedia Ultima Thule”** określa jako „*bolszewicką*”. Nie bez racji, Bund bowiem wspierał rosyjskich bolszewików, a w II R.P okresowo współpracował z Komunistyczną Partią Polski (część Bundu przeszła nawet do KPP). Gdy wybuchł zbrojny konflikt polsko - sowiecki roku 1920 - bundowcy deklarowali się po stronie Sowietów! Gdy krasnoarmiejcy zajęli Polskę w 1945 roku - Bund witał ich radośnie jako swoich. Wcześniej była kilkuletnia niemiecka okupacja, podczas której Bund stworzył w getcie ŻOB. Edelman został zastępcą komendanta ŻOB - u, Mordechaja Anielewicza. Kiedy Anielewicz zginął - naturalnym biegiem rzeczy Edelman zajął jego miejsce jako przywódca stawiającego zbrojny opór ŻOB - u. Represyjność PRL - u nie skłoniła go do zmiany poglądów (do degosyzacji), lecz pchnęła do członkostwa w KOR. Następnie był (obok Geremka) ważną postacią ROAD - u (Ruchu Obywatelskiego Akcja Demokratyczna), które to ugrupowanie po wyborach 1990 weszło do tworzonej wtedy Unii Demokratycznej nie tyle jako jej lewe skrzydło, ile jako jej lewy mózg i szkielet - jako lewacka siła mentalna i motoryczna UD. Od tej pory rósł lansowany przez michnikowszczyznę nimb Edelmana - gwiazdora Salonu.



Mianowany (werdykt „GW” i spółki) czołowym „autorytetem moralnym” - Edelman ma w III RP określone obowiązki (piętnowanie kontrsalonowej prawicy, „dzikiej lustracji” czyli lustracji, i „tradycyjnego polskiego antysemityzmu”). Wypełnia je regularnie, pryncypialnie, z pasją (z prawdziwą pasją, jazgocząc niby Bartoszewski, do którego jest zresztą czasami porównywany), nie przebiera słów (epitetów), wali na odlew, prawdziwy bojowiec, „Mensch”. Notabene - jeśli już przywołałem jego komilitona, czy raczej brata w jazgocie - warto wspomnieć, iż Władysław Bartoszewski miał podobne kłopoty a propos bezprawnej monopolizacji zasług. Jerzy Biernacki

(2007): „W ostatnim czasie obchodzono 65. rocznicę utworzenia «Żegoty» (Rady Pomocy Żydom), było trochę szumu w «przekaziorach» elektronicznych, zwłaszcza w telewizji - wszystkie splendory spłynęły na pana Bartoszewskiego. O inicjatorce Rady - pisarce Zofii Kossak - Szczuckiej, humanistce najwyższej klasy, która pośmiertnie została udekorowana medalem «Sprawiedliwy wśród Narodów Świata» za ratowanie Żydów - ledwie wspomniano, tylko jeden raz. I nie zrobił tego Bartoszewski. To już, wydaje się szczególnie «ohydkowane» - jak mawiał Witkacy”.

Szczególnie „ohydkowane” wydały się wielu Polakom (m.in. niesalonowym publicyście) wrzaski Edelmana w kampanii wyborczej 2007 roku. Prawicę, konserwę, i wszystko co związane z antylewicą, a niezwiązane z Platformą, czyli z Salonem - łódzki „autorytet moralny” odsądzał od czci i wiary bezpardonowo. Braci Kaczyńskich - wciąż i wszędzie czapkujących Żydom (Nowy Jork, Teł Awiw, Chicago, Toronto etc.) - przezwiał antysemitami; terminem „antysemityzm” szafował zresztą bez opamiętania („ - Proszę zwrócić uwagę, że każda kolejna ekipa rządząca była mniej lub bardziej antysemita - od stalinizmu począwszy, poprzez Moczara, aż do panów Kaczyńskich”). Piotr Semka (2008): „Czy po licznych wysiłkach prezy-



denta Lecha Kaczyńskiego i pracowników jego kancelarii (z minister Ewą Junczyk - Ziomecką na czele) dla jak najtroskliwszego uszanowania pamięci o losach polskich Żydów - można beztrąsko mówić o «panach Kaczyńskich» jako «reakcyjnych narodowościowo?»”. Pewnie, że można - placet daje Salon, fabryka Michnika.

Przez ostatnie dwa lata różnym komentatorom „ohydkowane” wydały się u Edelmana różne rzeczy - tak adresy (szczególnie brzydkich epitetów użył na łamach pisma, które zatrudniło kapitana Piotrowskiego, mordercę księdza Popieluszki), jak i metafory (rządy PiS - u równane z totalitaryzmem; Marek Igo: „*Nakreślenie państwa pod rządami Prawa i Sprawiedliwości jako niemalże zbrodniczego i więziennego - obraża ludzi*”, 2007). Ściślej: obraża inteligencję normalnych (niezboczonych salonowo) ludzi, bo przecież ludzie autopsyjnie oceniają realia. Polaków wkurzały także metody terapii proponowane przez Edelmana: „- *Jeśli chcemy ocalić Polskę, moja rada brzmi, by chwycić za nóż i uderzyć tam, gdzie ich zaboli!*”. Plótł te brednie prasie rodzimej (salonowej) i cudzoziemskiej (między innymi wywiad dla „**The Daily Telegraph**”), więc zaczęto powątpiewać w jego zdrowie umysłowe - w kondycję mentalno - psychiczną. Krzysztof Ligęza (2008): „*Niektórym ludziom podeszły wiek odbiera sprawność fizyczną. Innym wdzięk. Jeszcze innym wspomnienia. Markowi Edelmanowi starość odebrała rozum. To jedyne wytłumaczenie sytuacji, w jakiej człowiek starzeje się tak brzydko*”.

Brzydkie starzenie się zarzucono mu też przy dwóch żydowsko - polskich wydarzeniach 2008 roku - przy niesławnym „**Strachu**” i przy rocznicy Marca '68. „**Strach**” to książka Polakożercy Jana Tomasza Grossa, o której dyskutowano między Bugiem a Odrą w styczniu i lutym roku 2008. Gross, bliski druh Michnika, przeszedł jako historyk inteligentną drogę między kontrsowietyzmem a Polakożerczością. Jego studium o sowietyzacji Kresów („**Revolution from Abroad**”, 1988) nie ciekawiło Zachodu (zero recenzji), stwierdził więc, że nie tędy droga - trzeba poszukać „*targetu*” bardziej chodliwego. I dostrzegł jak świetnie sprzedaje się „*polski antysemityzm*” czyli antypolonizm. Jak dobrze prosperują autorzy książek szkalujących Polaków, tudzież satyrycy wyszydający Polaków (czołowy żydowski satyryk, Lior Szlain, twierdzi, że polska kultura to hipostaza, coś, co jest wzmiankowane, ale co nie istnieje). Zmienił więc „*emploi*” - stał się Polakożercą.

eksploatując (tym razem z sukcesem) żydowską doktrynę polskiej odpowiedzialności za Holocaust. M. J. Rosenberg (Forum Polityki Izraelskiej): „*Wrogość Żydów wobec Niemców została przeniesiona po wojnie na Polaków, bo Niemcy zostali sojusznikami Zachodu. Polska stała się łatwym chłopcem do bicia*” (2008).

Książka „**Fear**” („**Strach - antysemityzm w Polsce po Auschwitz**”) ukazała się za oceanem w roku 2006 i wzbudziła spore zainteresowanie, dzięki reklamującym ją mediom. Epatowały one czytelników soczystymi „*kawalkami*”. „**The Washington Post**” (2006): „*Gross opisuje jak mieszkańcy Warszawy przyglądali się młodym żydowskim bojownikom wyskakującym z okien płonących domów podczas rozpaczliwego i wspaniałego powstania w getcie warszawskim, a później oklaskiwali dobijających ich niemieckich żołnierzy*”. „**Los Angeles Times**” (2006): „*Po wojnie sąsiedzi - Polacy urządzali na Żydów nagonki, zabijali, okradali, wywlekali z pociągów, roztrzaskiwali głowy żelaznymi łomami. Do tropienia Żydów najęto polskich harcerzy. Polska stała się strzelnicą, a ocaleni z Holocaustu - celami (...) Dzięki tej rasowej czystce polscy chłopi wzbogacili się holocaustowo jako nowa klasa średnia*”. Itp., itd.

Te kłamstwa „*makabrycznego bajkopisarza*” (jak go przezwano w Polsce) wzbudziły furję polskich historyków niebędących lokajami michnikowszczyzny (Piotr Zychowicz: „*Gross splanca dług zaciągnięty u Adama Michnika*”, 2008), lecz silna kontrofensywa polemiczna eksplodowała dopiero wówczas, gdy „**Strach**” ukazał się po polsku. Zarzucono Grossowi notoryczne uchybienia elementarnemu warsztatowi naukowemu (lekceważenie archiwów, lekceważenie świadków, pomijanie niewygodnych źródeł i niewygodnych opracowań, jak choćby monografia Marka Jana Chodakiewicza „**Po zagładzie**”, etc; Piotr Gontarczyk: „*Manipulacja jest bodaj najbardziej charakterystyczną cechą grossowego warsztatu. Autor nie tyle opisuje fakty, ile metodami niedozwolonymi w nauce po prostu je tworzy*”, 2008). Gdy podczas spotkań autorskich przytaczano ewidentne fakty obalające werdykt Grossa, ten bezczelnie kładł je na karb „*złudzenia optycznego świadków*” (sic!), a kiedy udowodniono mu posługiwanie się fałszywkami, spokojnie ripostował:

- Cóż... jeśli to nie jest prawda, to zostało to dobrze zmyślane. To jest nieprawda trafiona, drodzy państwo.

Będąca bastionem Grossa „**Gazeta Wyborcza**” rzuciła przeciwko kompromitowaniu autora „**Strachu**” faktami siłę „*moralnych autorytetów*”, wedle tej samej metody, którą wykpił „*Szpot*”:

*„Fakty teoriom bowiem przeczą,  
A to jest karygodną rzeczą”.*

Głównym „*autorytetem moralnym*” w tej sprawie był - rzecz prosta - heros z getta. Podobnie jak w sprawie Marca '68 (40 - ta rocznica) - znowu miał okazję pluć na przyrodzony antysemityzm Polaków, przez których musiało A.D. 1968 - 1969 opuścić Polskę prawie 15 tysięcy Żydów. Chociaż nie była to wina Polaków, tylko rządzących Polakami komuchów - antysemitów (Gomułka chętnie w Marcu przypominał żydowskość „*aparatu*” i bezpieczeństwa: „- *No przecież tam byli sami towarzysze pochodzenia żydowskiego!*”) - winą obarcza się całe społeczeństwo polskie. Rocznicę obchodzono z fanfarami współczującymi „*wypędzonym*” (rocznie polskich martyrologii ludobójczych i ekspulsyjnych - prawdziwych martyrologii - jak Rzeź Wołyńska czy sowieckie masowe wywózki, III RP nie obchodzi, nie są istotne), ale raptem Bohdan Urbankowski (poeta i historyk) przytomnie zauważył, iż „*większość w masie wyjeżdżających stanowili b. aparatecznicy, «utrwalacze» z UB i wojska*”. Rzeczywiście - wyjeżdżały (nie bez radości!) zbiry reżimu, oprawcy, jak Oskar Szyja Karliner, Salomon Morel, Stefan Michnik (brat Adama), Helena Wolińska i in. Tudzież czołówka prosowieckich ideologów („*marksistów*”) - Leszek Kołakowski, Włodzimierz Brus, Bronisław Baczko, Krzysztof Pomian, Zygmunt Bauman i in. Urbankowski (2008):

*„W 1968 roku wśród wielu zwykłych obywateli wyjechało z Polski kilkuset komunistycznych propagandzistów, którzy, aby ukryć swoją stalinowską, często zbrodniczą przeszłość, zaczęli wrzeszczeć o polskim antysemityzmie, o pogromach itp. Wrzeszczeli tak przekonująco, że sami w to uwierzyli (...) Nie było to «wygnanie» - nikt nikomu nie przystawiał pistoletu, nie był to żydowski exodus - większość «Żydów» została w PRL, żyła sobie spokojnie, a nawet robiła kariery. Byli wśród nich publicyści moczarowej, jak Śledzińska - Katarasińska, byli bardziej neutralni komuniści - np. Edelman. Włos z głowy nie spadł zbrodniarzom w rodzaju Bermana, Fejgina, Różańskiego czy Bristigerowej; rozkwitali w antysemickim PRL dygni -*

tarze MBP/MSW - Mietkowski, Świetlik, Hibner, Alster. Włos nie spadł z głowy propagandzistom w rodzaju Lewina, Międzyrzeckiego, Toeplitza, Passenta czy Schaffa. Już w kwietniu potępiło «syjonistów» Towarzystwo Społeczno - Kulturalne Żydów w Polsce, a zwłaszcza Szymon Szurmiej».

I jeszcze Antoni Zambrowski (2008): „W odróżnieniu atoli od ZSRR i innych krajów obozu, które w owym czasie również przeżywały takie same kampanie antysemitki, polskim Żydom Władysław Gomułka dał szansę unikatową w całym obozie komunistycznym - legalnego wyjazdu na Zachód, czego im zazdrościli pozbawieni takich przywilejów Polacy. Zwróciła na to uwagę premier Golda Meir, kiedy socjaliści europejscy chcieli potępić PRL za antysemityzm”.

Takie teksty (takie prawdy) publikowane a propos rocznicy Marca '68 musiały wkurzać Edelmana, a glos Zambrowskiego musiał go wkurzyć dubeltowo, gdyż Antoni Zambrowski jest żydowskiego pochodzenia. Tym bardziej musiało Edelmana zboleć, gdy skarcono go (personalnie) w Izraelu. Nic bowiem mocniej nie wkurza wojującego Żyda (wojującego orężem kontrantysemityzmu) jak antysemita dwóch gatunków: sławny człowiek dokopujący Żydom (exemplum motoryzacyjny superfabrykant Henry Ford, czy genialny poeta, wielbiony na całym świecie Thomas Stearns Eliot, też antysemita „zoologiczny”) oraz Żyd dokopujący Żydom, vulgo: Żyd - antysemita. Takim jest („antysemitą” w cudzysłowie) wieloletni korespondent „Najwyższego Czasu!”, Izraelczyk Kataw Zar (Edward Grossbaum - Etlar), niezostawiający suchej nitki na różnych świecznikowych Żydach - na Woodym Allenie („Allen to sepleniący kurdupel i nic więcej”), na Elim Wieselu („Wiesel to grafoman czysty jak kryształ”), bądź na Adamie Michniku i jego gazecie; według Katawa Zara „Gazeta Wyborcza”, wskutek „nieodżyczenia” w porę, wzięła sobie za dewizę roboczą hasło „Gój nie wszystko musi wiedzieć” (2006) i „dotąd huluje czytelników w obłoki filosemityzmu” (2008) - sic! Tudzież ku różnym innym politycznie poprawnym „filo”, np. ku manii filoukrainizmu, więc kiedy „GW”, hagiografując Julię Tymoszenko, pisze, że „piękna Julia” jako młoda mężatka zaczęła „działalność gospodarczą”, nie dodaje, iż jej pierwsza firma to była wypożyczalnia kaset pornograficznych, bo przecież „gój nie wszystko musi wiedzieć”. Kataw Zar tępi takie faryzeuszostwo, stąd - chociaż Żyd - ma przypinaną łatkę an-

tysemityzmu. Ten syndrom „antysemityzmu” żydowskiego wymaga krótkiej dygresji:

Żydzi - antysemita funkcjonują od setek lat. Niektórzy (ci głośni, jak Marks lub Freud) przynosili diasporze żydowskiej wiele szkód (Marks ciągle piętnował „wrodzone szachrajstwo Żydów”, a Freud „falszywych, obdarzonych sprytem geszefciarzy, wyjątkowo nieznośne towarzystwo”). Dzisiaj przynoszą szkody głównie państwu Izrael, że wymienię choćby żydowską sektę Neturei Karta (rabin Moishe Hirsch), której idolem jest negujący Holocaust prezydent Iranu Mahmud Ahmadineżad - błagają go, by zniszczył „grzeszne państwo Izrael”. Za całowanie Ahmadineżada po rękach inny antysyjonistyczny rabin, Moishe Friedman, został w Polsce ciężko pobity przez ortodoksyjnych Żydów (2007).

Ci antysyjonisci żydowscy zyskali miano „największych antysemitów” ex aequo z żydowskim uczonym Arielem Toaffem, szefem Wydziału Historii Żydowskiej na Uniwersytecie Bar - Ilan (Tel Awiw), który monografią „**Krwawa Pascha - europejscy Żydzi i mordy rytualne**” (2007) orzekł, iż „zabijanie chrześcijańskich dzieci na macę potwierdzają historyczne fakty”. Przy takim kainowym ciosie w plecy - cóż znaczą ciosy ze strony innych Żydów (jak choćby odgrzewanie XIX - wiecznej tezy rabina Moishego Montefiore: „*Póki nie opanujemy gazet - nie będziemy rządzić światem i gojami. Bez prasy nie ma władzy, bracia!*”, 1848), a tym bardziej „antysemickie” piski gojów (Janusz Korwin - Mikke: „98% pracowników «*New York Timesa*» to Żydzi”, 2006). Wytykanie monopolu bankowego, kulturowego, medialnego - to wszystko drobiazg. Ale uhistorycznienie, ufaktowienie rytualnych mordów, czyli obalenie (piórem żydowskiego sawanta!) głównego argumentu przeciw antysemitom jako zmyślaczom - to katastrofa monsturalna. Profesora Toaffa zmuszono do wycofania książki ze sprzedaży, jednak wycofać szkód, które monografia przyniosła, już się nie dało.

Podobnie z inną skandaliczną książką - z „**Przemysłem Holocaustu**” żydowskiego historyka Normana Finkelsteina. Finkelstein dostał karnie dziesięcioletni zakaz wjazdu do Izraela, bo ośmielił się ujawnić, iż Żydzi pod pretekstem rekompensaty za Shoah grabią cały glob (rozkradane miliardowe „odszkodowania”), a także podważył „wyjątkowość Holocaustu”, przypominając ludobójstwa analogiczne. To ostat-

nie wprawia Żydów w straszliwą wściekłość - Izrael twardo odrzucił prośbę prezydenta Ukrainy, Wiktora Juszczenki, by uznać za ludobójstwo Wielki Głód lat 30 - ych (Stalin wymordował wówczas głodem kilka milionów Ukraińców), a szef żydowskiej Ligi Przeciw Zniesławianiu (ADL) w Nowej Anglii, Andrew Tarsy, został zdymisjonowany, bo ośmielił się uznać za ludobójstwo rzeź Ormian przez Turków (oba casusy - 2007). Również rosyjskie Głównoje Uprawlenije Łagieriej (GUŁag) jest w Izraelu wyciszane, gdyż stanowi zbyt silną konkurencję dla Holocaustu. Teoria „wyjątkowości Holocaustu” zawsze będzie przez Izrael broniona jak niepodległość, co Żyd Leonard Fein (pisarz i politolog amerykański) skomentował arcylapidarnie: *„Polityka triumfuje nad prawdą”*. Ileż to prawd jeszcze nas czeka o Shoah ? Ostatnio (2008) „**Sunday Times**” doniósł, że Adolf Eichmann, powieszony w Izraelu za kierowanie Holocaustem, ukrywał i ratował Żydów (około tysiąca ludzi). Henryk Szafir z Jerozolimy: *„Ta informacja wywołała w Izraelu prawdziwe trzęsienie ziemi (...) W pierwszej chwili potraktowano to jako głupi żart, ale po kilku dniach przemówili świadkowie...”*.

Wróćmy do ocalonego z Holocaustu „antysemitę” Katawa Zara (antysemita uznało go Centrum Praw Człowieka Instytutu Nauk Prawnych Polskiej Akademii Nauk) i do jego opinii na temat Marka Edelmana. Zar podważył (2008) mentalno - psychiczne predyspozycje Edelmana, pisząc, że Edelman jest *„lekkofiksujący”* i że *„ma od jakiegoś czasu nierówno pod sufitem”*. W tej samej korespondencji z Tel Awiwu Zar ujawnił, że w Izraelu nazwisko Edelman to pusty dźwięk, nikt go tam nie czei, nie traktuje bohaterem getta '43, bo jako komunista, członek antysyjonistycznego Bundu, został uznany za wariata - renegata. Nic dziwnego, że rodzima PAN uznała korespondenta „NCz!” *„antysemitą”*. Salon nie lubi, gdy się chłoszcze jego pupilów.

Chłostanie żydowskich pupilów Salonu przez Żydów jest koncesjonowane pod względem wybaczalności (jednym wolno, innym nie wolno), lecz trzeba pamiętać, że kryteria akceptacji zostały mocno zaostrzone u schyłku XX wieku. Przed II Wojną Światową Żyd Antoni Słonimski mógł bezkarnie pisać (1930), że *„w całej produkcji filmowej świata przeważa kapitał żydowski”*, i naśmiewać się, że prawie wszyscy polscy reżyserzy filmowi to też Żydzi, ale kiedy kilka lat temu Marlon Brando mruknął, iż Hollywood jest całkowicie opanowa-

ny przez Żydów - dotknęła go anatema skreślająca z listy ludzi, którym podaje się rękę. Nic natomiast nie słyhać, by zakazano podawać rękę wszelkim żydowskim realizatorom produkcji antysemityzmu - tej wedle genialnych słów noblisty Isaaca Bashevisa Singera: *„Żyd współczesny nie może żyć bez antysemityzmu. Jeśli antysemityzm gdzieś nie istnieje - on go stworzy”*.

Stwarzają aż miło, dlatego mnoży się liczba doniesień o zapalczywych producentach antysemityzmu. Monique de Wael alias Misha Defonseca, żydowska autorka światowego bestselleru **„Przeżyć z wilkami”** (**„Surviving with Wolves”**, 2005), została zdemaskowana tuż po sfilmowaniu jej historii piętnującej Holocaust i paskudną Żydofobię gojowską (2008). Wszystko zmyśliła, jej ojciec kolaborował z Niemcami, miast nędzy i głodu sączyła luksus, itp., itd. Nazwano ją *„mitomanką”*, a reklamujący jej antygojowskie konfabulacje Salon musiał przełknąć gorzką pigułkę wstydu. Lub te ohydne graffiti antyżydowskie (swastyki, szubienice itp.) malowane nocami na nowojorskich synagogach. Policja wreszcie capnęła sprawcę (2008) - okazał się nim Żyd Ivaylo Ivanov, były agent Mossadu. Lub te swastyki i antysemityczne hasła kaligrafowane aerozolem (2008) na żydowskich gmachach (synagoga, szkoła, kilka instytucji) w Pikesville (stan Maryland). Trzej aresztowani sprawcy okazali się Żydami (jeden był członkiem wspomnianej synagogi). Lub ta żydowska studentka uniwersytetu stołecznego (George Washington University), którą przyłapano (2007) jak malowała swastyki na drzwiach komnat akademika. Chciała dobrze - chciała *„pokazać czego się dopuszczają antysemiticy”*. Coraz liczniejsze są przypadki tego rodzaju szlachetności kontrantysemitycznej.

Marek Edelman to właśnie taki szlachetny człowiek. Piewca totalnej wojny z antysemityzmem rozpanoszoną niczym gangrena nad Wisłą. Mówi o tym ciągle i głośno, produkując antysemityzm z niczego, i jakoś nikt go jeszcze za tę działalność nie aresztował...

5

## Mit człowieka z farfuru



„Grzech” w dziele Cesare Ripy „Ikonomia” (drzeworyt, 1603)

„*Farfury*” to staropolskie określenie gorszego sortu naczyń ceramicznych (m.in. nocników). W XIX stuleciu określano tak tylko wyroby fajansowe, często udające szlachetną porcelanę, dlatego fabryki fajansu zwano farfurniami.

Główną priwiślańską farfurnią ostatnich kilkudziesięciu lat jest Salon. Wyprodukował mnóstwo farfur - kreatur sławnych wskutek dania im twórczych estrad, środków i funduszków, oraz wskutek nagłośnienia przez monopol opiniotwórczy. Sporo tych gwiazd promowanych w PRL - u zgłosiło po roku 1989 - roku, od którego miało być zupełnie inaczej. Miało już nie być kłamstwa, pajacowania, kuglowania, ro-



bienia ludziom wody z mózgu. Jerzy Przystawa (2006): „Niestety, ostatnie 17 lat okazało się latami wielkiego społecznego rozczarowania. Pół wieku systematycznej tresury w kłamstwie przyniosło plon okropny - kłamstwo weszło nam w krew i żyć bez niego nie sposób. Ta straszna spuścizna odciska bez przerwy swoje piętno na naszym życiu publicznym”. Piotr Skórzyński (2006): „Już w lutym 1992 roku Adam Michnik zwierzył się ze swego lęku przed «dyktaturą prawdy». Rok później, w telewizyjnej rozmowie z Jerzym Waldorffem o narodowej prawicy, ustawił sprawę jasno: «Panie Jerzy, albo my ich weźmiemy za mordę, albo oni nas»”.

Przez dwie dekady trwania III RP budowa pomników z fajansu nie utraciła tempa i rozmachu peerelowskiego. W polityce brylowali całe lata tacy ludzie z farfuru, jak Kuroń, Małachowski, Kwaśniewski czy Geremek. Ten ostatni był fajansiem symbolicznym, swoistym godłem salonowej kasty politycznej, co bystry obserwator mógł wróżyć już kilkadziesiąt lat temu, widząc pewien odczyt na Sorbonie. Przyjechał wtedy do Paryża młody polski historyk, Bronisław Geremek, a jego prelekcję uniwersytecką zaszczylicili... prezydent Francji, premier Francji, większość ministrów i znane paryskie fisze. Historyk nie był naukowo kimś ważnym, ale we francuskiej masonerii (konkretnie: w lewicowym Wielkim Wschodzie Francji) zajmował już ważne stanowisko...

Analogicznie mocno w lewicowych kręgach europejskich był osadzony kilkadziesiąt lat temu dzisiejszy guru opiniotwórczego Salonu nad Wisłą, Adam Michnik. Magik, któremu udało się wpoić milionom akolitów wirtualną rzeczywistość, całkowicie abstrahującą od faktów - fałszywy „real”, gdzie kłamstwo mieni się prawdą, i vice versa. Jerzy Biernacki (2008): „Co do Michnika, to raz. jeszcze potwierdziła się prawda tak dobrze poznana w XX wieku: zdolność intelektualistów do niedostrzegania tego, co mają tuż przed oczami, jest nieograniczona, jeśli to zagraża ich ideowym oraz materialnym interesom”. Potwierdziła się również nieograniczona ufnosć zwących się inteligentami półinteligentów wobec fałszywych proroków; Andrzej Waśko (2007): „Trzeba mieć wyjątkowo słabą zdolność samodzielnego myślenia, żeby dać się na długie lata podbić ideologii tak marnej intelektualnie jak ideologia «Gazety Wyborczej»”. Mało kto wie, że wśród trzech współzałożycieli/współwłaścicieli Agory i „GW” był serdeczny przyjaciel Michnika, reżyser Andrzej Wajda (jedna trzecia udziałów) - symbo-

liczny na rodzimej niwie artystycznej człowiek z farfuru. Lecz zanim przejdę do niego bardziej szczegółowo - muszę skończyć ruszony wyżej problem inteligentów, półinteligentów, ćwierćinteligentów oraz intelektualistów.

Antylewiczowi komentatorzy twierdzą, iż za żenujący poziom „*inteligencji pracującej*” (terminologia PRL - u), która jest głównym elektoratem partii salonowych (UD, UW, KLD, PO), odpowiada fatalna edukacja, zły system szkolny i akademicki III RP. Publicysta Marcin Adamczyk (2008): „*System edukacyjny w Polsce kładzie nacisk na zapamiętywanie i odtwarzanie gotowych, spreparowanych uprzednio formulek, natomiast bardzo niechętnie traktuje samodzielne poszukiwanie danych i wnioskowanie na ich podstawie. Konsekwencją jest społeczeństwo humanistów, którzy powtarzają jak mantrę przygotowane przez innych mądrości, traktując je jak prawdy objawione, na ogół nie dostrzegając w nich żadnych sprzeczności, a nawet całkowitych idiotyzmów*”. Socjolog i filozof Zdzisław Krasnodębski (2008):

- Niepokoi mnie zwłaszcza pokolenie uformowane przez ostatnich dwadzieścia lat. Wyprodukowaliśmy w tym czasie masę ludzi pseudowyszkolonych, niezdolnych do samodzielnego, odważnego i krytycznego myślenia. Na prywatnych uczelniach, które z reguły są produktami środowisk postkomunistycznych, wyuczono ludzi pseudonowoczesności. Te osoby nie są w stanie zrozumieć większych procesów...

„*Te osoby*” nierozumiejące niczego głębszego, myślące płytko, powierzchownie, zyskały sobie w ostatnich latach między Bałtykiem a Tatrami miano „*wykształciuchów*”. Termin ów (ów epitet) został wygenerowany z rosyjskich sformułowań Aleksandra Sołżenicyna („*obrazowanszczina*”), który ubolewał nad faktem, że sowiecka pseudointeligencja zastąpiła inteligencję tradycyjną. Roman Zimand spolszczył to, tworząc termin „*wykształciuchy*”. Znane mi definicje odwołują się do moralności i do IQ. Wedle pisarza Jarosława Marka Rymkiewicza (2007): „*Wykształciuchy to są ci, co wykształcili się zawodowo, ale nie wykształcili się moralnie - są egoistyczni, cyniczni, myślą tylko o własnym interesie. Nie służą Polsce - służą tylko sobie*”. Krócej ujął to filozof Bogusław Wolniewicz, człowiek imponujący celnością lapidarnych definicji (exemplum: „- *Patriotyzm to trzy rzeczy: wspólna mowa, wspólna ziemia, wspólna pamięć*”; „- *Neokolonializm to prasa, banki, cementownie itp. w obcych rękach*”). Według profesora-

ra Wolniewiczza „wysztalciuch” to klasyczny półinteligent - człowiek, którego wykształcenie (dyplom) przekracza jego możliwości intelektualne. Takie „wysztalciuchy” formują większość polskich środowisk politycznych, artystycznych, akademickich, biznesowych i medialnych.

Chociaż terminologia jest nowa, problem „wysztalciuchów” jest stary jak świat. Jadwiga Zamoyska (polska działaczka społeczna i patriotyczna, żona gen. Władysława Zamoyskiego) mówiła o nich (koniec XIX wieku): „*Na co nauka i wykształcenie, jeśli nie towarzyszy temu wychowanie, to jest wyrobienie zdrowego sądu, czujnego sumienia, mężnej woli i hartu duszy?*”. Louis Bromfield (pisarz amerykański, twórca terminu „egghead” - jajogłowy) definiował (1952): „*Ktoś o fałszywych pretensjach intelektualnych, figura powierzchowna, egzaltowana, przesadnie reagująca na każdy problem. Człek arogancki, wyniosły, pełen pychy i pogardy dla zdolniejszych, rozsądniejszych i bardziej doświadczanych od niego. Sposób myślenia mętny, sposób mówienia bełkotliwy, skłonności ku kaznodziejstwu. Tępy zwolennik doktryny socjalistycznej. Ciągłe zaabsorbowanie samym sobą i dzielenie każdego włosa na cztery części, póki nie uschnie mózg*”.

Świat zawsze i wszędzie był pełen wyschniętych mózgów oraz bełkotliwych warg. Szef tygodnika „**Wprost**”, Stanisław Janecki, w swym felietonie przytacza znamieną anegdotę o świetnym brytyjskim historyku kultury, Paulu Johnsonie (2008): „*Rok temu Johnson poszedł na wykład «najwybitniejsze go współczesnego niemieckiego filozofa i socjologa» Jurgena Habermasa. Stał i patrzył na rozanielonych słuchaczy niemieckiego profesora. Po kilkunastu minutach stwierdził, że ni w ząb nie rozumie co ten facet bredzi. Dlaczego nie może mówić normalnym, ludzkim językiem? Dlaczego nie używa elementarnej logiki? I zaczął pytać stojących w pobliżu, czy oni cokolwiek rozumieją. Ci z pewną nieśmiałością stwierdzili, że właściwie też, nic nie rozumieją. Johnson spytał więc, dlaczego tracą czas, dlaczego udają, że są zainteresowani. Dopiero wtedy razem z nim wyszli z sali. Po raz pierwszy w życiu odważyli się na ten krok, choć równie bełkotliwych wykładów wysłuchali dziesiątki*”.

Ja zaś znam dziesiątki podobnych anegdot, obnażających hermetyczny, akademicki bełkot sawantów - vide mój „**Salon**” i „**Salon 2**”, gdzie rzucam takimi historyjkami nie bez satysfakcji złośliwej. Oto jesz-

cze jedna, tyż pikna. Fizyk Richard Feynman (noblista 1965) usłyszał kiedyś:

- Pan nie może być profesorem!

- Dlaczego?

- Bo mogę zrozumieć wszystko co pan mówi. A kiedy słucham innych profesorów, nic nie rozumiem.

To problem uniwersalny - problem hermetycznych branżowych żargonów, które stosują utytułowane „wykształciuchy”. Drugą rzeczą, którą lubią stosować, jest maskowanie własnej ignorancji, co nie zawsze się udaje (roku 2008 wyszło na jaw, iż 40% Amerykanów dysponujących wyższym wykształceniem uważa, że podczas II Wojny Światowej Amerykanie i Niemcy byli koalicjantami walczącymi przeciwko ZSRR). Trzecie ich hobby to neomarksizm (Włodzimierz Klonowski: *„Marksizm, ta «dziewica z odzysku», bynajmniej nie zawdzięcza swej współczesnej reinkarnacji klasie robotniczej, tylko niewiarygodnej głupocie tak zwanej inteligencji”*, 2007). Wreszcie czwarta pasja „wykształciuchów” to błaga, konfabulacja, hipokryzja, fałsz, oszustwo, mitomaństwo - wszystko co zasługuje na epitet, którym szczerzy alkoholowo Józef Oleksy określał swych partyjnych druhów: *„konfabulant schizofreniczny”*. Miano: *„skończony żul”* też brzmiało operowo w ustach premiera Ziutka, ale *„konfabulant schizofreniczny”* jest o tyle trafniejsze, że prawidłowo charakteryzuje skłonności „werystyczne” całej „kopuły” Salonu. Po wersalsku to się zwie: relatywizm, lecz ta akademicka terminologia nie wyklucza zбочenia schizofrenicznego. Mówił już o tym głośny austriacki logik i filozof, Karl Popper: *„Upatruję w relatywizmie swoistą chorobę myśli, czy raczej swoiste schorzenie myślicieli”*.

Terminologii towarzyszy typologia „wykształciuchów”. Ułożył ją dość zgrabnie Paweł Paliwoda (2007): *„Wykształciuch to budulec piramidy ideologicznej, na szczycie której sytuują się quasi - intelektualiści - Wykształciuchy Produccenci - formułujący nakazy ideologicznej karności (political correctness). Niższy szczebel to znaczna część ludzi mediów - Wykształciuchy Kolporterzy - propagujący te idee na skalę masową w uproszczonej i komunikatywnej formie (...) Podstawę piramidy stanowią osoby aspirujące do rangi inteligenta, które hołdując modzie na pogardliwy stosunek wobec katolicyzmu oraz idei konserwatywnych, podnoszą własną samoocenę. To Wyksitalciu -*

*chy Nizinne, słabo zorientowane w sytuacji politycznej i kulturowej, ale tworzące publikę, która płaci za gazety i książki oraz oklaskuje programy telewizyjne, dzięki czemu prestiż i pieniądze stają się lupem wykształciuchów dwóch wyższych poziomów (...) Dwa górne poziomy sprawują funkcję nadzorczą - egzekutorską wobec społeczeństwa. Ustalają kto powinien być ostracyzmowany, a kto lansowany w mediach, na uczelniach czy przy rozdawaniu grantów i prestiżowych nagród literackich”.*

„Wykształciuchy” stanowią 95% masy Salonu, którego „czapa” i elita składa się z intelektualnej arystokracji. Jej heroldowie bez żenady głoszą, że są śmietaną - arystokracją myśli i ducha. Gdy Małgorzata Subotić pisała (2007) tekst o profesorze socjologii, członku gminy żydowskiej, Pawle Śpiewaku, usłyszała od niego:

- Jestem biologicznym inteligentem.

Od jego kolegi usłyszała zaś:

- On się czuje intelektualną arystokracją.

Ci intelektualni arystokraci chętniej nawet niż „*inteligentami*” zwą sami siebie „*intelektualistami*” ewentualnie „*humanistami*” (ile razy to słyszę, tyle razy przypomina mi się zdanie rosyjskiego poety, Osipa Mandelsztama, na temat systemu bolszewickiego: „- *Jesteśmy w łapach humanistów*”). Co trzeba zrobić, żeby zostać „*intelektualistą*” vel „*humanistą*”? Są różne drogi (administracyjne, koteryjne czyli salonowe, twórcze etc). Mister i. T. Gross, przykładowo, machnął książkę o Żydobójczych skłonnościach Polaków, za co jego kumpel „*Adaś*”, jako król Salonu, pasował Grossa na geniusza, ergo: wstawił do Panteonu Słowian, pisząc (2002): „*Swą książką Gross wpisuje się w długi szereg najświetniejszych polskich intelektualistów, począwszy od Mickiewicza i Słowackiego, a kończąc na Gombrowiczu i Miłoszu*”. No pewnie, tylko z nazwiskami coś nie tak. Tymi XIX - wiecznymi. Bo że Gombrowicz i Miłosz „*fajdali*” (terminologia marszałka Piłsudskiego) na Polskę i Polaków, dość często - to wiadomo. Ale żeby robili to Mickiewicz i Słowacki - nie wiadomo. Jednak guru Salonu dlatego jest guru, że posiada wiedzę głębszą, tajemną, zatem trzeba ufać na słowo skarbnicy mądrości z „**GW**”.

Swego rodzaju elitą elity wśród rodzimych „*humanistów*” są artyści i tzw. „*wielcy twórcy*”, a prymusem wśród tych ostatnich jest już ponad pół wieku Andrzej Wajda. Człowiek hołubiony przez każdą czer-

woną i każdą różową władzę. Wieczny farciarz, choć ostatnio (2008) spotkała go duża przykrość, bo nachlapał na niego kolega, reżyser i literat Andrzej Żuławski (swym „wywiadem - rzeką”), zarzucając miałość twórczą i piskorzowatość - kelnerskość - czołobitność wobec wszelkich nurtów reżimu peerelowskiego, zezwalającą płynąć, niczym niezatapialny korek, z prądem rzeki, ciągle jako szpica. Oto fragment wywiadu:

- Często spotygam na Zachodzie - wśród ludzi, których cenię, których prace oraz eseje o filmach i o kinematografii, czy w ogóle o życiu intelektualnym, czytam - osoby, które mówią, że talent Wajdy jest talentem politycznym bardziej niż artystycznym, dlatego że w każdej sytuacji, na każdym wirażu, zakręcie miękkim czy twardym naszych politycznych losów, on był zawsze na tej samej pozycji. Numer jeden. Potrafił zawsze powiedzieć coś na granicy tego dopuszczalnego, ale żeby wilk był syty i owca cała. I to jest talent, który można podziwiać, który może zniesmaczyć lub który może wydawać się smaczny, ale on taki talent ma i on się nigdy nie omsknął z powodów politycznych, jeśli już, to z innych.

Fakt, że frontman kulturowy Andrzej Wajda pływał w PRL - u jak złota rybka w akwarium, lecz było to naturalne dla wielu ówczesnych artystów i twórców pływanie w mecenacie kulturowym państwa. O tym małżeństwie twórczości i administracji (biurokracji - każdej, również autorytarnej czy totalitarnej) Andrzej Waśko twierdzi (2007), że jest to kooperacja dla inteligencji quasi - genetyczna, przyrodzona: *„Tradycja inteligencji jest w znacznej mierze tradycją urzędniczą. Prawnicy i humaniści - a także inni absolwenci szkół wyższych - z natury rzeczy szukają państwowych posad. Artyści marzą o mecenacie państwowym, który pozwala im uniezależnić się od publiczności. Stąd tak rozumiana inteligencja wywiera stały nacisk na rozbudowę organów państwa (...) Z «etosem inteligenckim» idzie w parze - niestety - etatyzacja życia”*.

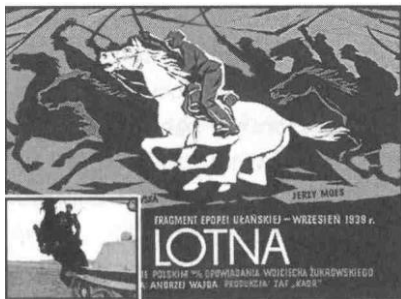
U Andrzeja Wajdy „*etatyzacja życia*” wiązała się od samego początku z komuniacją życiorysu. Był już za młodu czerwonym aktywistą, a na starość próbuje to wymazywać, wyrzucać poza swoje curriculum vitae, bo w III RP czerwonoactwo trochę brzydko pachnie. Kolejne wydania leksykonu „**Kto jest kim w Polsce**” (gdzie, według wydawców, biogramy są oparte na ankietach personalnych) nie informo-

wały choćby słowem o przynależności reżysera do PPR i PZPR. Zapomniał, biedak, to wieloletnie członkostwo. Nie można tam również przeczytać, że dostał Order Budowniczych Polski Ludowej. A przecież dumnie go niegdyś nosił. Czy takie wycieranie sobie zyciorysu gumką to już kłamstwo, czy tylko amnezja? Dziwna amnezja, bo zapamiętał swe losy wcześniejsze, np. że podczas okupacji, w Radomiu, wstąpił do AK. Anna M. Sekretarska i Maciej Marosz (2007): *„Skontaktowaliśmy się z szefem radomskiego oddziału Armii Krajowej, Leonem Etwertem, który dysponuje odpowiednią dokumentacją historyczną. Etwert wyjaśnił, że nie widnieje w niej nazwisko Wajdy”*.

Tymczasem na symbolicznym grobie ojca Andrzeja Wajdy widnieje informacja, że ten ojciec - Jakub Wajda - został rozstrzelany w Katyniu. Reżyser wielokrotnie mówił o tym dziennikarzom polskim i zagranicznym („ - *Mój ojciec zginął w Katyniu*”), rzecz stała się nader głośna, komentowana szeroko a propos filmu „**Katyn**”. Było to mijanie się z prawdą, raczej haniebne, zważywszy, że chodzi o poległych. W Katyniu zginął kapitan Karol Wajda, niemający nic wspólnego - prócz identycznego nazwiska - z rodziną reżysera Wajdy. O czym reżyser zawsze świetnie wiedział. Piotr Włodarski (2001): *„Po co Pan Andrzej głosił nieprawdę? Żeby czuć się lepszym? Po co szargał dla swej pychy kolejną świętość Polaków? (...) Po co trwa przy swej mistyfikacji? Przy rozpowszechnianiu nieprawdy?...”*. Summa summarum: wyszło głupio, było dużo złośliwych szeptów po kątach, ale nikt nie przezwał reżysera „*schizofrenicznym konfabulantem*”.

Zawarte w powyższym cytacie sformułowanie: *„... szargał dla swej pychy kolejną świętość Polaków”* tyczyło kinematografii - pełnego antypolskiej symboliki i antypolskich treści dorobku reżysera. Patriotów, złorzeczących: *„Wajda fajda”*, do furii doprowadzał niejeden „obraz” priwiślińskiego „*mistrza*”, choćby głośny „**Kanał**”, gdzie Powstanie Warszawskie zostało utaplane w gównach ściekowych (Wajda: *„Zarzuty słyszałem od reakcyjnie nastawionych ludzi w kraju, któ-*





rzy z *Powstania Warszawskiego* zrobili *świętość*”, 1958), lub *„Lotna*”, gdzie polscy żołnierze rąbią jak idioci niemieckie czołgi szablami (Wajda: „- *Czy to wyjdzie mądrze, czy głupio, nie miało dla mnie żadnego znaczenia*”, 1986). Albo też filmy gloryfikujące komunizm. Andrzej Żuławski (2008): - Wajda zrobił własne filmy dlatego, że był asystentem

Aleksandra Forda przy najbardziej obrzydliwych filmach typu *„Piątka z ulicy Barskiej*”. Ford go kochał i osobiście poręczył za niego. A jaki pierwszy film zrobił Wajda? *„Pokolenie*”, na podstawie Bohdana Czeszki, o wielkich, wspaniałych komunistach w proletariacie polskim.

Swymi raportami dla władz partyjnych czołowi propagandziści reżimu nieustannie chwalili Andrzeja Wajdę za to, iż umiejętnie przemycyca na ekran rzeczy pacyfikujące antykomunizm społeczeństwa. Wniosek: jest niezbędny, niezastąpiony! Pezetpeerowski nadzorca ZLP, Jerzy Putrament, zwał go wirtuozem *„rozładowywania kompleksów antyradzieckich*”, i dodawał: *„Wajda wydaje mi się najbliższym Marksizmowi twórcą filmowym*”. Pezetpeerowski komisarz kulturowy, Tadeusz Konwicki, bił brawo za *„robienie filmów z pozycji komunistycznych*”. Pezetpeerowski gwiazdor mediów, Krzysztof Teodor Toeplitz, chwalił za *„rewizjonizm w stosunku do tradycji ułańskiej*” (czyli patriotycznej). Wydział Pracy Ideologiczno - Wychowawczej KC PZPR unosił się nad faktem, że *„Andrzej Wajda znowu opowiedział się klasowo*”, 1975). Et cetera, et cetera - po więcej smacznych cytatów odsyłam Czytelników do pracy Piotra Włodarskiego *„Pan Andrzej - kłamca, mitoman, czy konformista? Rzecz o towarzyszu Andrzeju Wajdzie*” (2001).

*„Towarzysz Andrzej Wajda*” nigdy za PRL - u nie przestał mówić językiem *„towarzyszy*”. Trzy przykłady chronologiczne. Etap pierwszy (lata 1948 - 1955) - Andrzej Wajda, podobnie jak wówczas Kapuściński, Mrozek, Lem, Wisłocka e tutti quanti, bredzi po komsomolsku (*„Film winien być demaskowaniem kultury burżuazyjnej*”; *„Pokazać kretynów snobizujących się na Amerykę*”, itp.). Etap środkowy (1975 rok) - Andrzej Wajda udziela wywiadu Jerzemu Urbanowi, któ-



ry pyta czy oczekiwania społeczeństwa względem dobrobytu są przez partię zaspokajane:

- Oczywiście, że tak. Z pewnością tak. Inwestycje muszą dać rezultaty. Nie mam żadnych wątpliwości, że znajdziemy się w gospodarczej czołówce (...) Ostatnio miałem okazję rozmawiać z Gierkiem (...) Obecne kierownictwo jest zacięte w poczuciu swoistej misji, ma emanujące poczucie służebności. Ja reprezentuję te cechy, to jest mi bliskie (...) Artyści byłiby bardziej pożyteczni, gdyby odbierali fale polityczne, i gdyby przetwarzali je na mądre dzieła sztuki.

Etap finałowy (1987 - 1988). Andrzej Wajda peroruje „*po linii partyjnej*” raz za razem:

- Koleżanki i koledzy, pamiętacie jak przed laty powoływałem się na Włodzimierza Ilicza Lenina, którego definicję stanu rewolucyjnego przytoczyłem na jednej z narad. Powiem skromnie, że moje przepowiednie okazały się prorocze. Tym razem powołałem się na Karola Marksa (...) Polskie filmy stały się dzisiaj pierwszym, a może jedynym sojusznikiem nowego kina radzieckiego, i to właśnie napawa mnie głębokim optymizmem (...) Koleżanki i koledzy, pamiętajcie, że naszym sojusznikiem jest dziś nie byle kto, tylko kino radzieckie (...) Przyjaźń polsko - radziecka, którą wysoko cenimy, nie będzie się mogła dalej rozwijać tak efektywnie, jeśli będzie realizowana tylko na oficjalnej płaszczyźnie.

Cudzoziemcy (ci inteligentniejsi) rozszyfrowali całą tę „*płaszczyznę*” bardzo szybko. W 1959 „*Neue Zürcher Zeitung*” pisała, że dobrze jest wnikliwie obserwować dzieła reżysera Wajdy: „*Pozwala to przejrzeć na oczy tym, którzy uparcie wierzą we wschodnioeuropejską liberalizację. Tacy artyści jak Andrzej Wajda - a jest to bezsprzecznie zdolny artysta - są świadomymi lub półświadomymi emisariuszami zręcznego systemu Chruszczowa. Są wysyłani na Zachód jako pułapka dla głupców. Partia prowadzi ich na smyczy, którą czasami się wydłuża, a gdy to ich rozzuchwala - są gwizdem przywoływani do nogi, ergo do porządku. Ci młodzi ludzie, właśnie dzięki giętkości i pozornej wolności artystycznej, są dużo bardziej niebezpiecznymi agentami czerwonego systemu niż byli toporni i nudni bardziej komisarza Żdanowa. Aby się o tym przekonać - starczy obejrzeć film Wajdy. Bo trzeba ich poznać, żeby móc się przeciwstawiać. Dla dobra Zachodu*”.

W III RP „bezsprzecznie zdolny artysta” Wajda (któremu Oscara za „calokształt” wręczała, i było to rzeczą znaną, najgłośniejsza lewaczka Hollywoodu - „Hanoi Jane”), robił coraz gorsze filmy. Jeden po drugim - knoty. Udało mu się nawet sknocić narodową świętość - „opus magnum” Mickiewicza (katastrofalnie sknocił również „opus magnum” Fredry, „opus magnum” Żeromskiego, „opus magnum” Conrada, itd.). Ktoś taki jak ja - wielbiciel „**Popiołu i diamentu**” (uważam ten film za największe polskie arcydzieło filmowe), „**Wesela**” i jeszcze dwóch - trzech rzeczy Wajdy - niechętnie przywołuje statystyki, bo przecież nie chodzi o ilość. Statystyki są bezlitosne dla „mistrza”: będąc pupilem wszystkich reżimów, mógł (i tylko on w Polsce) nakręcić kilkadziesiąt filmów, z czego ponad 90% to szmira niewarta jednej złotówki. Chłam. Andrzej Żuławski twierdzi, że nieliczne dobre filmy Wajdy zawdzięczają swój poziom asystantom (wiadomo, że najlepszą scenę „**Popiołu i diamentu**” - tę z płonącymi kieliszkami - wymyślił i namówił do niej Wajdę Janusz Morgenstern):

- Tuż przed końcem „**Popiołów**” Wajda wezwał całą grupę robiącą film - Lipmana, Kostenkę, asystantów, dekoratorów - i powiedział, że on właściwie rozłożył ten film i trzeba się ratować. Mamy tam dwa tygodnie zdjęć i co zrobić, żeby to było lepsze? I mówił to ze łzami w oczach. Na czym się omsknął? Na sobie, pewnie dlatego, że Beata Tyszkiewicz mu bez przerwy kładła do uszu, że jak mogą jego filmy reżyserować i pomagać, i pisać, i w ogóle robić jacyś tam gówniarze, kiedy on jest wielki Andrzej Wajda i on to ma wszystko robić sam. I on zaczął robić film sam, pierwszy raz w życiu (...) I okazało się to po prostu złe.



Prwiśliński Salon nigdy nie dopuści, by taka krytyczna opinia - że cokolwiek Wajdy jest kiepskie, i że samodzielnie nie umiał on zrobić niczego dobrego - została upubliczniona wśród ludu. Nie po to mistrz był pierwszym właścicielem - sponsorem Agory i „**GW**”, żeby dać go teraz wdeptać w gw. Masy mają wiedzieć, iż Andrzej Wajda geniuszem jest! I chluba narodu! I będziemy bronić jego mitu wielkiego artysty, wielkie-

go człowieka, wielkiego Polaka - niczym niepodległości Salonu! Paniatno?!... Comprenez?!... Is it clear?!... No!...

Czasami tylko jakiś „oszołom” zakłóci farfuruowy blogostan beknieniem czy „puszczeniem wiatru” na „mistrza” Andrzeja Wajdę, jak choćby ten pijacek - cyklofrenik Herbert, który tuż przed swoim zgonem bełkotał, m.in. wyszydzając symbolikę wajdowskich „Popiołów” (1998):

- Istnieje taki Wajda... U Wajdy wszystko jest zamazane. Tam jest śnieżycyca, idzie jakiś króliczek, zbliża się... A kto jest tym króliczkiem? Pan Olbrychski. I pan Olbrychski wraca piechotą z Moskwy, no i podpira się szablą. Każdy oficer, każdy ułan zabiłby się tą szablą, a nie podpierał się nią, nie traktował jako laski. To jest przecież ta dystynkcja przedmiotów... I on idzie przed siebie. Dlaczego? Bo po drugiej stronie jest k a m e r a i on na nią idzie... Wszystko to bzdury.

Zdarza się też, że „Europejczyk” Wajda obrywa jako „autorytet moralny” na usługach michnikowszczyzny ergo Salonu - jako sygnatariusz postępowych apeli, różowych petycji, listów otwartych, jedynie słusznych protestów etc. Rzadko - nie częściej niż raz przez ca -



ły rok. Tegoroczny kłaps dostał właśnie (wrzesień 2008) za prowałęsiackie zwalczanie IPN - u, od krytyka filmowego Krzysztofa Kłopotowskiego: „Wolność słowa jest w Polsce tłumiona w popularnej kulturze i w badaniach historii najnowszej. Brutalny atak na Cenc-

*kiewiczza i Gontarczyka za książkę o Wałęsie miał na celu zastraszenie wszystkich śmiałków poszukujących prawdy o «Solidarności» (...) Podczas tej afery wymknęło się Andrzejowi Wajdzie, że chce zrobić film o Lechu Wałęsie jako postaci tragicznej. Tylko jakim cudem pan Andrzej pokazałby tragiczny wybór Wałęsy, skoro wykluczył przesłankę takiego wyboru, biorąc udział w nagonce na autorów IPN?”. Cóż, „pan Andrzej” brał już udział w rozmaitych salonowych nagonkach na „oszołomów”, więc jedna mniej czy więcej nie robi mu specjalnej różnicy, a tym bardziej twórczego dyskomfortu.*

Tyle o człowieku z farfuru, tak za III RP ustosunkowanym, i tak traktowanym jako żywy pomnik, że bez kłopotu, pewnie samym swym nimbem, sparaliżował cały aparat państwa (policję, prokuraturę etc), gdy na podłodze domu jego córki znaleziono trupa z nożem w brzuchu, a nie było tam nikogo trzeciego. Szybki werdykt: samobójstwo; córeczki nic ośmielono się nawet przesłuchiwać, choćby a propos zagadki: czemu wokół „samobójcy” wszystko zostało starannie wymyte, nim córeczka wezwała policjantów?...

6

## Mit świątobliwego grzybka



„Obłuda” w dziele Cesare Ripy „Ikonologia” (drzeworyt, 1603)

Dzieje ludzkości to m.in. dzieje wpływowych demagogów, pseudoświątobliwych manipulatorów, fałszywych proroków, świętoszkowatych łotrów, którzy zaczadzają tłumy słodkawym szatańskim dialektem. Celnie ich określił wybitny poeta XIX wieku, Władysław Ludwik Anczyca, w wierszu „**Modli się pod figurą, a diabła ma za skórą**” (1864):

*„Hipokryzja ich sztandar zjadliwy,  
Sprawy czarta - pod twarzą anioła.  
Każdy środek jest dla nich godziwy,  
Jeśli tylko osiągnąć cel zdoła.*

*Czy głoszeniem swych zasług ogromnych  
Mądrą własną nikczemność zasłania;  
Czy, pomimo swych zasad niezłomnych,  
Powierzony sierocy grosz strwania;*

*Czy socjalnym frazesem ćmi ludzi,  
Czy fanatyzm rozżarzyć zamierza -  
W prawym sercu wstręt, wżgardę obudzi,  
Bo choć kornie się w piersi uderza:  
Modli się pod figurą,  
A diabła ma za skórą”.*

„*Powierzony sierocy grosz strwania*” to w przypadku Tadeusza Rydzyskiego sprzeniewierzenie gigantycznych pieniędzy, które wpłacili słuchacze Radia Maryja na rzecz upadającej stoczni - do stoczni nie dotarł ani jeden grosik, miliony zniknęły wewnątrz jakiejś czarnej (nomen omen) dziury. Wyjaśnienia Rydzyskiego były tu mętne - dla wielu cyniczne vel skandaliczne. Co bardzo cieszyło (i cieszy) ateistów oraz agnostyków; piosenkarz Maciej Maleńczuk (2008):

- Lubię Rydzyskiego, bo on niszczy bezrefleksyjną wiarę. Widząc jego cynizm, ludzie przestają wierzyć.

Ojczyzny Rydzyski jest niby cudowny klej - tylko on potrafił skleić Salon i rozumnych kontrsalonowców w zwartą drużynę, co prawda doraźną, wąskotematyczną, okazjonalną, ale jednak - w drużynę antyrydzyskowców. Trudno być bowiem myślącym katolikiem i nie ubolewać, że pewni notoryczni nosiciele wizerunku NMPanny (w klapie lub w logo) bluźnią, wycierając Nią sobie gębę (tu Rydzyski i Wałęsa stanowią parę bliźniaków).

Rosyjskie korzenie antenowo - przekaźnikowe radiostacji Rydzyskiego od dawna budziły niepokój patriotów. Jego różnie wyrażana prorosyjskość także. Ostatnio dotycząca Gruzji; Piotr Lisiewicz (2008): „*Wraz z agresją Rosji na Gruzję odżyły przeróżne koszmarkowate postacie, niezwykle poważane w środowisku Radia Maryja, które w tonie rzeczowej analizy, podparte niewątpliwą erudycją, zaczęły wydawać z siebie propagandowy belkot wspierający kagiebowską propagandę Putina*”.

Wywołane piórem Lisiewicza „*przeróżne koszmarkowate postacie*” związane z toruńską rozgłośnią - od lat budzą grozę patriotów. „*Ekspertami*”, „*autorytetami*”, „*przyjaciółmi*” Rydzyskiego mądrzącymi się na

jego falach są bowiem często byli konfidenti bezpieki, do których ojczym Tadeusz Rydzyk ma chorobliwe (quasi - lubieżne) upodobanie. Kilkumiesięczna radiomaryjna kampania obrony TW „Greya” (arcybiskup Wielgus) wstrząsnęła całym krajem. Michał Krzymowski pisał wtedy we „**Wprost**” (2007):

*„Jak ujawnia jeden z bliskich współpracowników premiera, po krótkim okresie pewnej fascynacji Jarosław Kaczyński ma ostatnio o ojcu Rydzyku jak najgorsze zdanie. Co ciekawe, gwoździem do trumny toruńskiego redemptorysty nie były nawet taśmy Rydzyka, lecz, sprawa oskarżonego o agenturalną przeszłość abp. Wielgusu, którego Radio Maryja maniakalnie broni.*

*- Premier nabrał przekonania, że toruńska rozgłośnia to w istocie ośrodek kościelnego frontu obrony dawnych agentów. Tym bar -*

Michael Pacher, „Diabeł trzymający mszał biskupowi”



*dziej że z IPN dochodzą nieformalne glosy, że wokół o. Rydzyka kręci się więcej współpracowników dawnej SB - ujawnia jeden z bliskich ludzi szefa rządu”.*

„Kościelny front obrony dawnych agentów SB” to kolejny polski cud - tym razem cud wewnątrzkościelny: skleił we wspólnej formacji broniącej kapusiów główne (często zupełnie przeciwstawne ideowo) nurty przywiślańskiego Kościoła. Od Życińskiego i Dziwisza, przez Gocłowskiego i Glempa, po Czajkowskiego i Rydzyka - wielelni frontmeni Ecclesii rodzimej zwalczają lustratorów, chroniąc delatorów. Ilu tych denuncjantów było? Niezależnie kto ma tu statystyczną słuszość (jedni twierdzą, że współpracowało z SB 10% księży i kościelnych hierarchów, drudzy, że 15%, zaś trzeci wyśmiewają każdą liczbę poniżej 20%) - konfidentów SB noszących sutanny było zbyt dużo, aby Kościół polski mógł mieć spokojne sumienie. Brak spokojnego sumienia hierarchia maskuje bezczelnością (cenzurowaniem, kneblowaniem, kłamaniem, zamiataniem spraw pod parafialny dywan, nękaniami/karami duchownych żądających ujawnienia faktów i skali problemu). Kościół polski nie zdał egzaminu prawdy, a faryzejada toruńska jest tylko fragmentem tego ogólnokrajowego faryzeizmu u stóp krzyża.



Mit/kult T. Rydzyka wśród populacji „moherowej” słabnie, lecz wciąż jest silny i zatrąwa duszę RP. Można publicystycznie, pamfletowo wskazywać jego fałszywość, można przywoływać/rozwijać porzekadło „diabeł wdział ornat i ogonem na mszę dzwoni” - lecz nie chce mi się dłużej grzebać piórem w toruńskim grajdołku, zwłaszcza że Anczyc już 144 lata temu powiedział o Rydzyku wszystko co trzeba:

*„Kłęką z traskiem na środku świątyni,  
W głos się modli, przewraca oczyma,  
A wciąż słowom Jezusa wbrew czyni,  
Bo miłości bliźniego w nim nie ma:  
Modli się pod figurą,  
A diabła ma za skórą”.*



7

## Mit kolistego mebla



„Kłamstwo” w dziele Cesare Ripy „Ikonomia” (drzeworyt, 1603)

Historia zna dwie mitologie okrągłego stołu: arturiańską i solidarnościową. Mit rycerzy wczesnośredniowiecznych i mit szalbirzy końca drugiego tysiąclecia po Chrystusie. Mit piękny i mit brudny.

Według mitologii upowszechnionej globalnie: komunizm, który runął najpierw w Polsce - runął dzięki Okrągłemu Stołowi, przy którym komuniści dogadali się z antykomunistyczną opozycją i przekazali jej pełnię władzy, czyniąc to, rzecz jasna, dla demokracji, a więc dla dobra narodu. Według przeciwników tej tezy: stolarzami, co wyprodukowali okrągły mebel 1989, byli kagiebiści, ludzie Łubianki i Kremla. Teza ta (którą lansowałem od 1990 roku wieloma publikacjami) ma du-

żą, systematycznie wzrastającą liczbę wyznawców. Wszystko zdaje się wskazywać, że mit patriotycznego Okrągłego Stołu to bajka propagandowa dla mas tumanionych przez michnikowszczyznę, ergo przez Salon. Tadeusz Detko (lipiec 2008):

*„Obrońcy współczesnych mitologii zdają się niemal jawnie twierdzić, że prawda historyczna jest szkodliwa. Ale dlaczego z prawdą im tak bardzo nie po drodze? Moim zdaniem chodzi o historyczną ocenę tzw. okrągłego stołu. Istnieją w tej materii dwie wzajemnie się wykluczające i całkowicie przeciwstawne interpretacje. Według kanonicznej i do dziś obowiązującej wersji, okrągły stół był triumfem sił rozsądku nad siłami ciemności. Oto po latach zmagania konstruktywna opozycja i umiarkowani komuniści zasiedli do rozmów. Wspólnie wyeliminowali z gry podziemnych radykałów i partyjny beton. Dzięki wspólnym ustaleniom przejęcie władzy odbyło się powoli i pokojowo (...) Według interpretacji drugiej, okrągły stół był aktem narodowej zdrady, dlatego że generałowie negocjowali nawet jeśli nie ze swoją własną, ciągle czynną agenturą, to z ludźmi, na których mieli teczki i haki. A może z jednymi i z drugimi (...) Im więcej faktów świadczących o współpracy z SB prominentnych postaci ówczesnej opozycji wychodzi dzisiaj na światło dzienne, tym bardziej prawdopodobna staje się ta druga możliwość. To dlatego ujawniane dokumenty są dla obrońców porozumień z komunistami tak bardzo niebezpieczne (...) I właśnie dlatego trudna prawda o trudnych czasach ma zostać zastąpiona przez mity i legendy o Rycerzach Okrągłego Stołu”.*

Inni napomykają też o rycerzach moskiewskiej Łubianki. Piotr Skórzyński (marzec 2007):

*„W Europie Środkowej wszystkie narodowe służby bezpieczeństwa były aż do 1990 r. podległe XI Zarządowi Głównemu KGB. To pod jego nadzorem resorty bezpieczeństwa przygotowywały się wszędzie do transformacji: w Polsce warto zwrócić uwagę na bliskie kontakty L. Millera i A. Kwaśniewskiego z W. Ałganowem przynajmniej od 1987 r. I oczywiście na tajemniczą wizytę Michnika w Moskwie w lipcu 1989 r. Sam bohater nie ma ochoty na wyjaśnienia, możemy więc tylko wnioskować na podstawie późniejszych wydarzeń, że Michnik obiecał utrzymanie pozycji nomenklatury i agentury sowieckiej”.*

Zasłużony działacz „Solidarności”, Krzysztof Wyszowski, pisze bez wahań (maj 2008):

*„Jaruzelski z Kiszczakiem nie realizowali własnego planu demokratyzacji PRL, lecz tylko, jako sowieccy agenci, wykonywali dyspozycje narzucone przez Kreml. Gdyby nie zrealizowali operacji Okrągły Stół, zostaliby po prostu usunięci przez KGB czy GRU, a ten sowiecki plan przeprowadziłby jakiś inny pezetpeerowski «reformator»».*

Powie ktoś: to „spiskowa teoria dziejów”, gdzie są dowody? Dowody miał w rękę znany rosyjski dysydent, Władimir Bukowski. Ten kilkakrotnie więziony przez sowiecki reżim pisarz i publicysta został wydalony z ZSRR ( 1976), a gdy Sowiety padły - wrócił do ojczyzny, żeby lustrować sowiecką dokumentację tajną. Mało kto dzisiaj pamięta, że za Jelcyna Rosjanie otwarli na moment (1992 - 1993) swoje tajne archiwa - otwarli dla historyków. Kilku badaczy fenomenalnie wykorzystało ów krótki czas - ów cud archiwowy. Bywało, iż przy zastosowaniu damskich majtek. Jak Anthony Beevor, który w dziele „**Stalingrad**” ujawnił dokumenty mocno kompromitujące Sowietów. Ilekroć wychodził z Centralnego Archiwum Ministerstwa Obrony Rosji, musiał dawać kagiebiom do wglądu wszystkie notatki, zaś torebkę jego tłumaczki przetrząsano równie skrupulatnie co teczkę historyka. Ale nie wsadzano łap w damską bieliznę, gdzie tłumaczka chowała drugie, ważne notatki! Później czekałszy oprzytomnieli, szlaban znowu opadł i rosyjskie archiwa zostały ponownie zaryglowane (są niedostępne do dziś). Lecz Bukowski zdążył przejrzeć dużo i wylapać co trzeba. Konkretnie: zeskanować. Zeskanował tysiące rządowych i ka -



giebowskiach dokumentów. Te dotyczące Polski mówiły jasno, że polski Okrągły Stół zorganizowali generał Kiszczak i jego ludzie (polska SB) na rozkaz Kremla. Celem było zachowanie wpływu komunistów w Polsce wyzbywającej się komunizmu. Całą operacją sterował KGB, zaś głównego podwykonawcę komandirów stanowiły wtedy i później (za pierwszych lat „transformacji”) kręgi KOR - UD - UW. Bukowski pisze o tym *expressis verbis* (zbiór jego publicystyki, „**Partyzant prawdy**”, właśnie się ukazał - 2008). Piszą o tym również eksperci Zachodu, m.in. amerykański sowietolog Michael Waller.

Dwóch innych rosyjskich dysydentów trafnie przepowiedziało taki obrót sprawy. Pułkownik KGB, Anatolij Golicyn, który uciekł do Anglii, wydał w 1984 roku książkę pełną „*proroctw*” wciąż zdumiewających rzesze historyków. Główne „*proroctwo*” mówiło, że wkrótce KGB wypromuje sowieckiego genseka nowego rodzaju, „*reformatora*”, i razem z tym swoim protegowanym wymanewruje betonowych partyjnych dinozaurów, zmierzając ku kontrolowanej liberalizacji systemu, tudzież ku daleko posuniętej autonomizacji państw satelickich (tzw. „*bratnich krajów*” vel „*demoludów*”). Jako autora pierwocin tego planu Golicyn wskazał absolwenta literatury i filozofii (naturalnie: filozofii marksistowskiej), Alieksandra Szeliepina, który będąc wodzem KGB, uwalił Chruszczowa, a później zginął w wypadku samochodowym, bo Breżniew nie chciał słyszeć o żadnej liberalizacji reżimu. Można jednak wskazać, że już wcześniej Beria miał tego typu ciągoty „liberalne” (bo widział samobójczą skostniałość reżimu Rad), zaś Andropow również przejawiał chętkę zrobienia czegoś reformatorskiego z systemem, którego stagnacja i degrengolada charakteryzowały się chronicznością. I Beria, i Andropow byli mordercami, jednak myślącymi - wiedzieli, że bez radykalnej reformy Sowiety czeka makabryczny krach. Oraz że tylko KGB - GRU może wykonać misję ratowniczą - przejście z komunizmu do kapitalizmu. Andriej Sacharow (rosyjski fizyk i czołowy dysydent) przewidywał to samo: że tylko kagiebiści - lepiej wykształceni od partyjnych aparatczyków, lepiej odcytani, autopsyjnie znający Zachód - mogą podjąć się wielkiej „*reformy od środka*”, demontażu systemu sowieckiego. Demontażu wedle recepty Lampedusy. „*Zmienić wszystko, by nie zmieniło się nic*”.

Golicyn - człowiek zorientowany, wiedzący „*co w trawie piszczy*” (kagiebista, było nie było) - miał słuszność. Parę miesięcy po ukaza-

niu się jego „proroczej” książki pierwszym sekretarzem KC KPZR został protegowany Andropowa, Michaił Gorbaczow, który już jako student - komsomolec pracował dla KGB. Wkrótce wystartowały „pieriestrojka”, „glasnost”, etc. - reformatorski cyrk ruszył. Tymczasem nad Wisłą panowała czarna Jaruzelska noc - represje. Ale głównie wobec niekumatej części „podziemia”, bo pragmatyczna część (Kuroń) już się dogadywała z esbecją, a niektórzy (Michnik) bezpośrednio z Rosjanami\*. Strajk w stoczni gdańskiej (1988) niczego tu nie zepsuł, bo organizowała go „II Solidarność”, bardzo wobec komuny spolegliwa, wbrew „I Solidarności” (tej sprzed „stanu wojennego”), gdzie prawdziwi patrioci - antykomuniści (Gwiazdowie, Walentynowicz, Morawiecki, Wyszowski itp.) mieli dużo do powiedzenia, nie byli jeszcze wymanewrowani przez „Bolków”. Przy tym Wałęsę i jego ludzi wsparli wysłani do Gdańska przez MSW intelektualiści („eksperci”), m.in. Mazowiecki i Geremek. Jadwiga Staniszkis (grudzień 2007): „- Ci sami ludzie, którzy w latach 70. przyjmowali od Gierka order, szpanowali na pótkomunistycznych i komunistycznych salonach, znaleźli się w stoczni i zamienili w podmioty moralne”. Cyrk tragikomicznie prężniał, zmierzając dziarsko ku mistyfikacji Okrągłego Stołu.

Lokalny (tubylczy) architekt Okrągłego Stołu, podwykonawca GRU i KGB, generał Czesław Kiszczak, miał prosty przepis na sukces. Był to klucz doboru uczestników dziejowej narady: żadnej „ekstremy”, możliwie dużo konfidentów SB. Nie bez zasłon dymnych i trików rozrywkowych (początkowe retoryczne wykluczenie Kuronia i Michnika, żeby „autorytety”, „lud” i „Solidarność” wymusiły ich uczestnictwo), lecz wszyscy rozumieli, iż są to grepsy robione trochę dla śmichu (w końcu cyrk jak to cyrk, ma swoje prawa, wśród których kłownada jest rzeczą niezbędną), a bardziej chyba dla lepszego uwiarygodnienia czołowych KOR - owców i „komandosów”. Natomiast prawdziwa (twarda i niezłomna) opozycja była wykluczona, nie miała prawa awansować do roli uczestników megadialogu. Zresztą sama tego nie chciała, widząc, że szykuje się „historyczne” porozumienie SB z kundelkami SB („agenturą”) i gronem „użytecznych idiotów”, czyli politycznych frajerów. Zaproszenia nie dostał adwersarz Wałęsy, oporny wobec SB tuz „I Solidarności”, Andrzej Gwiazda. Nie dostał również

---

\* - Patrz W. Łysiak, „Salon - Rzeczpospolita kłamców”, str. 121 - 130.

szeft KPN, Leszek Moczulski, który miał przeszłość konhdencną, okupioną później latami walki z komuną i latami więzienia (tę waleczną kartę przekreśli w 1992 roku antyilustracyjnym współudziałem przy obaleniu rządu Jana Olszewskiego przez Wałęsę, Pawlaka, Tuska i resztę antypatriotycznej psiarni). Mętą rolę Moczulskiego przy kleceniu trupy Okrągłego Stołu tak wspomina Andrzej Gwiazda (marzec 2008):

*„Doszła do nas plotka, że toczą się jakieś rozmowy, które nazwano «drugą Magdalenką». Celem miało być doprowadzenie do Okrągłego Stołu środowisk niepodległościowych. Nasz informator nie wiedział czy była to inicjatywa Kiszczaka, czy Moczulskiego, przywódcy KPN. Podobno za złamanie oporu opozycji niepodległościowej Moczulski miał otrzymać zaproszenie, z czego oczywiście nie wynika, że ktokolwiek jeszcze z tych kręgów zostałby do Okrągłego Stołu dopuszczony. Z tego co wiemy, Moczulski zaprosił ugrupowania deklarujące niepodległość na spotkanie, ale przedstawiciele SW odmówili dyskusji nad przystąpieniem do obrad Okrągłego Stołu i wyszli. Jeśli był jakiś plan, to się nie powiódł. Przy Okrągłym Stole nie było ani Moczulskiego, ani przedstawicieli SW, LDP «Niepodległość» i PPN”.*

Czołową wtedy rolę wroga SB grała już od dawna SW („Solidarność Walcząca”). Jej niezłomnego przywódcę, Kornela Morawieckiego, kiedy esbecja go aresztowała, chciano sądzić z paragrafów przewidujących nawet karę śmierci! Notabene: Amnesty International odmówiła wystąpienia w obronie Morawieckiego! Czemu? Artur Adamski, korzystający z opracowania Jerzego Pietraszko (listopad 2007):

*„Amnesty International postąpiła tak za radą liderów późniejszej «konstruktywnej opozycji», w antykomunistach i niepodległościowcach widzących nie sprzymierzeńców, lecz konkurentów. Rywali, których - korzystając z nadarżającej się sposobności - należy wyeliminować, gdyż to ich organizacja dysponowała większością podziemnej radiofonii, powołała do życia ponad sto tytułów konspiracyjnej prasy, dominowała w strukturach Solidarności Gdyni, Wielkopolski, Dolnego i Górnego Śląska. Nie układała się z władzami i drukowała wolną prasę w kilku językach kilku krajów obozu”.*

Dla „konstruktywnej opozycji” - wulgo: dla „II Solidarności” i dla KOR - u - śmiertelnym wrogiem nie był esbek czy aparatczyk pezetpeerowski, tylko bezkompromisowi patrioci typu Morawieckiego, Wyszkwoskiego, Walentynowicz i małżeństwa Gwiazdów. Takich tępił

żarliwie - tępli do spółki z represyjnymi organami Kiszczaka - jako „nacjonalistów”, „ekstremistów”, „reakcjonistów”, „terrorystów” i „oszołomów”. Wytwarzała się więc naturalna wspólnota interesów esbecki i późniejszej udecji, o czym Krzysztof Wyszowski tak pisze (kwiecień 2008):

*„Sojusz z solidarnościowymi «rewizjonistami» [Michnik, Kuroń, Geremek et consortes] dawał komunistom wiele korzyści. Wspólne wyznawanie «demokratycznego socjalizmu» umożliwiało obronę nomenklatury po upadku komunizmu. Konieczność wspólnej obrony przed polskim patriotyzmem umożliwiała uruchomienie propagandy «walki z nacjonalizmem» (...) Kościół wystawił do obrad «okrągłego stołu» ludzi tak spolegliwych wobec reżimu jak ksiądz Alojzy Orszulik i arcybiskupi Bronisław Dąbrowski i Tadeusz Gocłowski (...) Przedstawiciele Kościoła wykorzystali postać Jana Pawła II, który rzekomo miał być uczciwie informowany o celach i przebiegu «okrągłego stołu», do osłonięcia własnej niegodnej postawy (...) Przy «okrągłym stole» «Solidarność» reprezentowały różne grupy. Najważniejszą stanowili byli i aktualni agenci SB. Drugą grupą, rewizjonistycznych obrońców systemu utworzonego dzięki rewolucji bolszewickiej, kierowali Kuroń z Michnikiem. Najliczniejsi, jak zawsze, byli «pożyteczni idioci» w rodzaju Bujaka, Frasiuniuka czy Lisa. Czwarta grupa, naiwniacy w rodzaju Ryszarda Bugaja czy Alojzego Pietrzyka, pełniła rolę ozdobnych paprotek”.*

Okrągły Stół był tedy „spektaklem propagandowym” (Gwiazda), „oszustwem” (Wyszowski), „mistyfikacją” (Łysiak) - nowomownie mówiąc: „przekrętem”, który zamydlił oczy dużej części społeczeństwa i skutkował wkrótce „najgorszym z możliwych wariantów rozwoju sytuacji” (również Andrzej Gwiazda, 2008). W zdekomunizowanej rzekomo Polsce nomenklaturowi komuniści panoszyli się bowiem od góry (rząd) do dołu (samorządy, media, struktury gospodarcze, itp.). Szefem MSW został esbecki oberżandarm, Czesiu Kiszczak, a prezydentem państwa drugi czerwony generał, „ślepowron” Wojtuś Jaruzelski (gdy po pewnym czasie chciał złożyć dymisję - „nasz premier”, Tadzio Mazowiecki, błagał „ich prezydenta”, by tego nie robił, to jest, by dalej władzuchną dzierżył!). Jeszcze w 1990 roku przez wiele miesięcy funkcjonowała czerwona cenzura represyjna (osławiony urząd na ulicy Mysiej; ostatnią ciachaną peerelowskimi nożyczka-

mi książką była moja powieść „Dobry”, 1990), a działacze „Solidarności Walczącej” (exemplum Jadwiga Chmielowska) ścigano listami gończymi za walkę z komuną prosowiecką - sie!!! Tak jest - mijały miesiące rządów kuroniowców - michnikowców - geremkowców (przy walnym udziale „postkomunistów”), a represyjny PRL był wciąż żywy. WSI (Wojskowe Służby Informacyjne) przetrwały w dobrym zdrowiu jeszcze 16 lat! Gdy do władzy doszedł, wyrokiem elektoratu, antyesbecki rząd Olszewskiego, renegaci ukatrupili go natychmiast (głośna „noc długich teczek”, 1992). Andrzej Gwiazda słusznie konkluduje (luty 2008): „*Nastały czasy schizofrenii, w której żyjemy do dzisiaj*”. To prawda.

Prawdą jest również fakt, iż ci, którzy zgotowali ojczyźnie tę schizofrenię, cieszą się u milionów ludzi niezasłużoną chwałą. Wytworzyli bowiem mitologię, która ich otacza - są jak pączki kąpiące się w maśle fałszywego mitu. Artur Adamski (listopad 2007): „*«Ludzie kompromisu», którzy doszli do władzy w r. 1989, znakomicie potrafili zadbać o kształt swojej legendy. Współpraca z ratującym swą skórę reżimem zapewniła im dominującą pozycję w mediach. Wyzyskali ją do maksimum. Sobie przypisali główne zasługi w walce z tyranią. Konsekwentnie przemilczeli własną, często bardzo znaczącą, rolę w budowaniu komunizmu. Swych przyjaciół, funkcjonariuszy PZPR - owskiego aparatu, wykreowali na «uczciwych, bezstronnych fachowców». Do miana «moralnych autorytetów» podnieśli także najpodlejsze ubeckie szumowiny, których życie wypełniało donosicielstwo i łamanie życia prawdziwym bohaterom*”.

Czemu takie bezczelne mitotwórstwo się udaje? Czy tylko dzięki łatwowierności mas podatnych na hucpę propagandową? Nie tylko - decydującą rolę, jak na każdej wojnie, gra liczba armat. Ile prawica ma mediów? Setki tysięcy ludzi czytały, słuchały, oglądały filar Okrągłego Stołu, Bronisława Geremka, jako świętobliwego męża stanu, patriarchę ojczyzny (broda proroków, legenda profesorów itp.), któremu egzekwie bluźnierczo odprawiano w kościele katolickim - a ilu ludzi bierze do ręki „niszowy” periodyk („**Najwyższy Czas!**”), w którym Marian Miszański pisał wkrótce po pogrzebie „*drogiego Bronisława*” (2008):

„*Osoby publiczne nie podlegają sentencji, żeby o zmarłych mówić tylko dobrze (...)* Kiedy umarł bandyta, złodziej, oszust i kłamca Icek Rozenbaum, nikt nie chciał wygłosić mowy pogrzebowej, bo klams-



*two nad grobem jest kłamstwem szczególnie obrzydliwym. Ale znalazł się pewien sprytny Żyd, który podjął się tej trudnej roli, i na pogrzebie powiedział:*

*- Wszyscy znaliśmy Icka Rozenbauma... Lecz tylko ci z nas, którzy znają jego synów, wiedzą, jaki to byt porządny człowiek...*

*Wszyscy znaliśmy Bronisława Geremka, ale tylko ci, którzy znają jego pogrobowców, nadgrobnych zadymiarzy, wiedzą jaki to był «wybitny Polak»... (...) Jako dyrektor paryskiego Domu Polskiego musiał mieć Geremek niezłe rekomendacje komunistycznych służb. O właśnie: służby a Geremek. To bardzo ciekawy temat. Warto sprawdzić co tam jest w teczkach, w «zbiorze zastrzeżonym» IPN”.*

Mało kto czyta tego rodzaju treści, media są bowiem w większości lewackie, różowe, salonowe (ciągle wskazywany jest przez prawicowych dziennikarzy i komentatorów esbecki rodowód Polsatu i TVN; ta druga telewizja powszechnie zyskała zasłużone miano Tusk Vision Network), a przez całe lata 90 - e i przez pierwsze lata XXI wieku „**Gazeta Wyborcza**” stanowiła bezkonkurencyjną tubę mitotwórczą w służbie Zła. Wystarczyło. Właśnie dlatego, kiedy kończyłem pisać „**Salon**” (2004), rzuciłem frazę, iż Michnik to „człowiek, co skrzywdził mój kraj jak nikt inny po 1989 roku” (notabene, kilka lat później pewien publicysta, niejaki J. K., swoim zwyczajem zaczął przedstawiać tę konstatację jako myśl własną - drukował ją co tydzień, całymi miesiącami, vulgo: każdego tygodnia dumnie replikował finałowy passus swych wypocin, w brzmieniu: „*Uważam, że Adam Michnik najbardziej zaszkodził powrotowi normalnej Polski*”). Czy winna jest też prawicowa strona barykady, przez swą słabość i brak właściwej energii podczas boju? Tak przynajmniej uważa mieszkający w Ameryce polski historyk, Marek J. Chodakiewicz (to ten, który swą książką udowodnił kłamliwość kontrpolskich tez J. T. Grossa). Akapit spod jego pióra świetnie pasuje do rozważań o mitologii mebla zbudowanego przez KGB gwoli pacyfikowania i tresowania Polaków (styczeń 2008):

*„Lewacy bardzo często potrafią wygrać sprawy dla siebie, pisząc i fałszując historię. Tworzy się legendę liberalnego antykomunizmu, który w chwilach grozy był zupełnie śladowy. Jest to wina konserwatystów, którzy przez lenistwo czy fałszywą skromność nie potrafią sami przekazać przyszłym pokoleniom prawdy. Stąd w Polsce na przykład wydaje się ludowi, że komunę obalił Michnik z Kuroniem”.*

Lokomotywa tych fałszywych mitów, którą Salon karmi paliwem lewackich kłamstw, pędzi triumfalnie przez Polskę i cały glob, zostawiając prawdę historyczną daleko za plecami, w wyszydzanym bajorze „*spiskowej teorii dziejów*”. Mnożą się szkoły im. Jacka Kuronia, laury międzynarodalne dla Adama Michnika, splendory europejskie dla pogrobowców Bronisława Geremka, honoris causy akademickie dla Nikodema W. Wszystko tak ładnie stoi sobie na głowie. Trwa (w mediach, w podręcznikach, w monografiach) hagiografowanie błogosławionej „*transformacji 1989 roku*”, kwitnie kult heroicznego Okrągłego Stołu, zwycięska „II Solidarność” puszy się kosztem „Solidarności Walczącej” i rozwalonej „I Solidarności”. Wciórności! - chce się rzec eufemistycznie. Wciórności, panie dzieju, kurka wodna wyrodna! !

Największy poeta ostatnich kilku dekad, Zbigniew Herbert, powiedział to tuż przed swą śmiercią (1998) - nie eufemistycznie, tylko dosadnie - udzielając wywiadu Krzysztofowi Karaskowi:

- Ja bym chciał to sprowadzić na ziemię: polską, zroszoną łzami naszych braci i siostr, i powiedzieć, że jedną z najbardziej mnie męczących spraw jest niejasność. Całkowita niejasność sytuacji. Jaka jest tego geneza? Otóż geneza to jest Okrągły Stół (...) Panowie, którzy zawierali to porozumienie - to był KOR, intelektualiści, prawda? - popełnili błąd kainowy. Nie waham się powiedzieć, bracia i siostry, to był błąd kainowy (...) Tego ustroju nie uważam za Trzecią Rzeczpospolitą, a za kontynuację PRL z ludzką twarzą. I to o to KOR - owcom chodziło. Żeby tu był PRL z ludzką twarzą, a oni byli na wierzchu (...) Z tego zaniedbania, z nierozliczenia, z Okrągłego Stołu, który narzucił pewien system - oczywiście, system podły - bierze się całe zło (...) Została pogięta podmiotowość tego narodu. To znaczy: naród dostał w pysk, napluto na niego, na wszystkie jego marzenia.

## 8

Mit ekumeniz-  
mu religijnego

„Bałwochwalstwo” w dziele Cesare Ripy „Ikonomia” (drzeworyt, 1603)

Dzisiejszy (niestety ewidentny) kryzys Kościoła Rzymskiego vel katolicyzmu ma różne przyczyny zewnętrzne i wewnętrzne. Wśród zewnętrznych dominuje leseferyczna „*political correctness*” i hedonistyczny libertynizm, które dzięki lewackim mediom upowszechniają się na całym globie, kształtując rozwiąże wzorce zachowań, relatywistyczną niesprawiedliwość i luzacką mentalność społeczeństw ery internetu. Pośród wewnętrznych (wewnątrzkościelnych) przyczyn - palma pierwszeństwa w procesie destrukcyjnym należy się bez wątpienia Soborowi Watykańskiemu II (1962 - 1965). Miał być cudownym lekarstwem na wszelkie bolączki; okazał się trucizną. Jego główna tenden-



Papież Benedykt VI (Joseph Ratzinger)

cja - modernizacja Kościoła - została zrealizowana bardzo szeroko, obejmując nawet zmiany liturgiczne i modlitewne, ale właśnie te unowocześnienia kokietujące współczesny ludyczny świat bywają coraz częściej wskazywane jako ciosy samobójcze, które wymierzył sobie Kościół. Obecny papież, Benedykt XVI, robi dużo dla „cofnięcia czasu”, jednak nie wszystkie fatalne reformy II Soboru można zneutralizować.

Jako zasadniczy grzech Vaticanum Secundum wskazać trzeba szalony e k u m e n i z m rozpętany przez Sobór i ozłocony globalną mitologią przez ateistyczny Salon, który tu akurat całkowicie sprzymierzył się z kościelnymi reformatorami, wiedząc, iż praktyka ekumeniczna - łączenie się bądź bratanie różnych religii, współpraca między nimi, zacieranie różnic metodą daleko idących kompromisów - to najprostsza droga do osłabienia, ograniczenia, wreszcie obalenia religii katolickiej. Rozpowszechniono mit ekumenizmu jako magicznej różdżki sojuszu międzykultowego, który może się stać fundamentem pokoju wszechświatowego. Kiedy znikną bariery między Kościołami - łatwiej będzie zasypać rowy między cywilizacjami, kulturami, blokami, narodami, plemionami, ergo: wyeliminujemy ksenofobię, rasizm, nacjonalizm i szowinizm! Lucyfer, któremu chodziło o eliminację krzyża, a przede wszystkim katolicyzmu (bo wyznania protestanckie już się spedaliły, sfeminizowały, całkowicie spsiały) - zacierał ręce, gwizdząc melodię ekumeniczną.

Termin „ekumenizm” jest późny. Polskie encyklopedie i słowniki (również kościelne) nie używały go przed połową XX wieku. Dawały tylko termin: „ekumeniczny”, w znaczeniu: powszechny (brało się to ze starogreckiego terminu „oikumene” - tak mieszkańcy Hellady nazywali „świat zaludniony” przez ludy cywilizowane, wrogie barbarzyństwu). Kompendia drugiej połowy XX wieku zawierają już termin „**Ekumenizm**” („*Współpraca między różnymi wyznaniem, jednocześnie-*

nie chrześcijan”), i hasło „**Ruch ekumeniczny**” („*Nurt chrześcijański propagujący porozumienie oraz współpracę między Kościołami, przywrócenie jedności wszystkich chrześcijan*”). Jak widać - zrazu za ekumenizm uważano kolaborację wyłącznie chrześcijańską, protestancko - katolicko - prawosławną. Dopiero pontyfikat Jana Pawła II sprawił, iż encyklopedyczne hasło „**Ekumenizm**” rozszerzono o kultury niemające nic wspólnego z chrześcijaństwem. Cytuję „**Małą Encyklopedię PWN**” (1995): „*Celami ruchu ekumenicznego, prócz jedności chrześcijan, są: osiągnięcie porozumienia z niechrześcijańskimi wspólnotami religijnymi, prowadzenie aktywnej działalności na rzecz pokoju w świecie, rozbrojenia i zgody między wszystkimi narodami i społeczeństwami*”.

Ruch ekumeniczny został zainicjowany sto lat temu przez teologów protestanckich. Powstawały kolejne międzynarodowe stowarzyszenia ruchu - Life and Work (Życie i Dzieło), Faith and Order (Wiara i Ustrój), Tymczasowa Ekumeniczna Rada Kościołów - aż wreszcie na konferencji w Amsterdamie (1948) powołano Światową Radę Kościołów (siedzibą jest Genewa), która skupia dzisiaj ponad 300 Kościołów i ma raczej brzydką przeszłość z okresu „*zimnowojennego*”, kiedy była (wzorem Światowej Rady Pokoju) całkowicie zinfiltrowana przez StaSi, KGB itp. Watykan od początku kontestował ruch ekumeniczny, wiedząc, iż jego głównym (choć skrywanym) celem jest destabilizacja i dewastacja katolicyzmu. Papieże Leon XIII (encyklika „**Humanum genus**”), Pius X, Benedykt XV, Pius XI (encyklika „**Mortalium animos**”) oraz inni twardo wzbraniali sojuszków, porozumień i jakiegokolwiek paktowania z konkurencją, głosząc, że równoprawne traktowanie rozmaitych wyznań i kultów służy umniejszaniu religii katolickiej. Sobór Watykański II dokonał pod tym względem radykalnych zmian. Co prawda Kościół Rzymski nie przyłączył się do Światowej Rady Kościołów, lecz nawiązał z nią ścisłą współpracę mocą dekretu ekumenicznego „**Unitatis redintegratio**” (1964). Pontyfikaty Jana XXIII i Pawła VI były już ekumenizujące, a pontyfikat Jana Pawła II stał się ultraekumeniczny, biorąc forsowny ekumenizm jako swe godło na sztandar Watykanu.

Vaticanum Secundum przez cały czas obrad budził gwałtowne sprzeciwy wśród wielu hierarchów i średnich oraz niższych duchownych. Legendarny stygmatyk, Ojciec Pio, był tak przerażony i rozgoryczony

preparowaną „*odnową Kościoła*”, że krzyknął w twarz delegatowi papieża, kardynałowi Bucciemu:

- Na miłość Boską, możliwie szybko ten sobór zakończcie!

Protesty powodowała głównie radykalna reforma liturgiczna; eliminująca tradycyjną mszę łacińską, stanowiącą świętość Kościoła od wieków. Nowy, „*postępowy*” ryt mszalny („*Novus Ordo Missae*”) miał jako czołowych autorów niedużą grupę hierarchów intelektualistów (był wśród nich Polak Karol Wojtyła), zaś sternikami całej modernistycznej frakcji Soboru zostały trzy wpływowe „*szare eminencje*”: kardynał Agostino Bea (jezuita, szef soborowego sekretariatu), amerykański jezuita John Murray i arcybiskup Annibale Bugnini (później ujawniono papiery bezspornie dowodzące, że wszyscy ci trzej hierarchowie byli sabotażystami: Bugnini okazał się utajnionym wolnomularzem wysokiego stopnia; Bea - agentem żydowskiej loży masońskiej B'nai B'rith; Murray - kryptokomunistą, którego już papież Pius XII karał za szerzenie lewackich poglądów). Mimo silnej propagandy i nacisków ze strony „*postępowych*” księży Kościoła - większość biskupów odrzuciła w tajnym głosowaniu nowy ryt mszalny. Jednak wierchuszka Soboru - wpływowi kardynałowie - przeforsowała daleko idącą modernizację (właściwie eliminację) liturgii tradycyjnej. Joseph Ratzinger (dzisiejszy papież), gdy został kardynałem, dał publiczne ujście swemu gniewowi, mówiąc:

- Zakazanie tradycyjnego mszału, który wypracowały stulecia począwszy od sakramentarzy Kościoła starożytnego, czyni w liturgii wyłom, którego następstwa mogą być tylko tragiczne (...) Wspólnota, która raptownie zakazuje czegoś, co dotąd stanowiło dla niej największą świętość, i która żal za tą świętością piętnuje jako rzecz niestosowną - budzi brak zaufania, no bo jak można jej teraz wierzyć? Czy jutro nie zakaze tego, co dziś nakazała? (...) Czemu tolerujemy awanturnicze fantazmy, a nie tolerujemy odwiecznej liturgii świętej?

Te „*awanturnicze fantazmy*” to były także rozrywkowe „*uatrakcyjnienia mszy świętej*” (gitary, płasy, rockowe śpiewy, żarciki na ambonie i przy ołtarzu, pełny młodzieżowy „*luz*”, et cetera), które wsku -

Posiedzenie Soboru Watykańskiego II; przewodniczący Papież Paweł VI; białym kółkiem zaznaczony Karol Wojtyła
---



tek ekspansji „*posoborowej odnowy Kościoła*” wdarły się do katolickich świątyń całego globu. Tradycjoniści (między innymi Ojciec Pio) uważali je za bluźnierstwa infantyilizujące i wodewilujące Kościół, czyniące ze świątyni wesołe miasteczko, i wbrew posoborowemu Watykanowi okazywali wierność mszy dawnego typu - „*mszy trydenckiej*”. W Polsce kardynał Stefan Wyszyński gromił Kościół posoborowy, zwąc go (1974) „*Kościółem, którego «Credo» staje się elastyczne, a moralność relatywistyczna*”, „*Kościółem na papierze, a bez Tablic Dziesięciorga Przykazań*”, „*Kościółem, który zamyka oczy na widok grzechu, a za wadę ma bycie tradycyjnym, nienowoczesnym*”. Ów „*prymas tysiąclecia*” miał szczęście - nie doczekał salezjańskich pielgrzymek do Częstochowy, ryczących wedle luzackiej manieri uprawnionej przez Vaticanum Secundum: „- *Pokochajmy Jezusa - on czuje bluesa!*”. Wyszyński zemdlałby lub strzelałby, słysząc tę religijność typu „*moderne*”.

Problem „*Novus Ordo Missae*” miał wszakże i drugie - ważniejsze - dno. Co przenikliwsi ludzie Kościoła szybko się zorientowali, iż nowy ryt mszalny (sprotestantyzowany, „*otwarty*” itp.) służy planowanej przez reformatorski Sobór ofensywie ekumenicznej. Francuski arcybiskup, protrydencki dysydent Marcel Lefebvre, pisał (1974): „*Wszystkie te zmiany mają tylko jeden motyw - chory, nonsensowny ekumenizm. Ekumenizm, który nie przyciągnie do katolicyzmu ani jednego protestanta, lecz spowoduje, że swoją wiarę utraci mnóstwo katolików*”. Megaekumenicznej kampanii Jana Pawła II towarzyszyło mnożenie się podobnych zarzutów. Filipiński biskup Salvador Lazo napisał do Wojtyły (1998): „*Tradycyjną mszę świętą wyeliminowano, bo utrudniała praktykowanie ekumenizmu - utrudniała przez swe katolickie dogmaty zloszczące protestantów. Mason Bugnini i sześciu jego pomagierów, pastorów protestanckich, fabrykowali nowy ryt dbając, by modlitwy zostały oczyszczone ze wszystkiego co drażni protestantów, a wzbogacone o elementy heretyckie!*”.

Naturalną kwestią sporną - gdy „*progresiści*” soborowi kokietowali protestantów - musiała być kwestia Najświętszej Maryi Panny, protestantyzm bowiem nie uznaje kultu Maryjnego, jest to zasadnicza różnica wyznaniowa między protestantyzmem a katolicyzmem. Podczas Soboru dochodziło tutaj do kłótni tak gwałtownych, że emigracyjny polski książę Kościoła, arcybiskup Józef Gawlina, doznał śmiertelnego



ataku serca w trakcie pewnej sesji (1964), broniąc Maryjnych dogmatów. Komunistyczne służby specjalne, które przez cały Sobór robiły co mogły, by stymulować wewnętrzne rozdźwięki Watykanu, przyłożyły rękę i do tej Maryjnej bitwy, metodą „*prowokacji operacyjnej*”. Polska bezpieka, wykorzystując swą agenturę kościelną, sfabrykowała (1963) rzekomy memoriał polskiego kleru („**Do Ojców Soboru. Memorial o niektórych aspektach kultu maryjnego w Polsce**”). Celem było skompromitowanie kardynała Wyszyńskiego. Sławomir Cenckiewicz analizował niedawno ów dokument (książka „**Oczami bezpieki**”, 2006, rozdział „*Wypisy źródłowe z materiałów Służby Bezpieczeństwa o Vaticanum II*”), delikatnie napomykając przy okazji - i tylko napomykając - o „*posoborowej «chorobie zakaźnej»*”, Kościoła, o „*nierzadko oplakanych skutkach reform*”, i o strachu, co paraliżuje historyków tudzież publicystów, którzy „*udają, że problem w ogóle nie istnieje*”, byle tylko nie dostać łatki „*przeciwnika naszego papieża - Polaka*”.

Dla rodaków był to więc temat tabu (Cenckiewicz też się nie odważył), natomiast dla cudzoziemskich krytyków wojtyłowego ekumenizmu nie. Zwłaszcza dla tzw. „*lefebrystów*” (członków i sympatyków Kapłańskiego Bractwa Świętego Piusa X) - dla nich pierwszoplanowym „*chłopcem do bicia*” stał się Jan Paweł II, który, niestety, zasłużył na to. Wszczął bowiem ofensywę ekumeniczną łamiącą bariery nie tylko tradycjonalizmu, lecz i dobrego smaku. Publicznie całował „**Koran**” i przeproszał muzułmanów za wyprawy krzyżowe (podjęte dla odzyskania Grobu Chrystusa). Protestantów przeproszał za kontrreformację (całując, niby petent, dłoni zwierzchnika Kościoła Anglikańskiego, homofila Rowana Williamsa). Szamanów przeproszał za kolonializm (jakby nie widząc, że dekolonizacja przyniosła Afryce totalną pandemię). Żydów przeproszał za antysemityzm („**Jerusalem Post**”, z ironią: „*Wojtyła to najlepszy papież, jakiego kiedykolwiek mieli Żydzi*”, 2005). Itd., itp. - przeproszał wszystkich za wszystko, uprawiając (wedle krytyków) „*ekumenizmproszalny*”. Ratzinger sprzeciwiał się temu, czasami głośno. Prawdziwa furia ogarnęła go, gdy JP II fraternizował się w Asyżu (1986) z przedstawicielami 47 kultów, równoprawnie traktując katolicyzm, protestantyzm, buddyzm, muzułmanizm, animizm, szintoizm, szamanizm tudzież rozmaite murzyńskie bądź indiańskie zabobony, co już było czarną (nomen omen) gro-



Joseph Ratzinger i Karol Wojtyła

teską. Doszło wówczas do gwałtownej kłótni między bossem (eksaktorem Wojtyłą) a podwładnym (teologiem Ratzingerem), nie pierwszej zresztą, i nie ostatniej. Po śmierci Jana Pawła II następcą, Benedykt XVI, rytualnie kadzi kochanemu przez masy „*santosubicie*”, a ich konflikty o dogmaty, o rytę, o ekumenizm itp. zostały wyciszone (cenzuralnie wymazane) wbrew faktom. Joseph Ratzinger niewątpliwie Karola Wojtyłę kochał i kocha, lecz to była i jest klasyczna niemiecka „*Hassliebe*”.

Obrońcy „*ekumenicznych szaleństw Karola Wojtyły*” byli, są i będą dwojako rodzaju. Część tradycjonalistów kościelnych broni go tłumacząc, że udział Jana Pawła II w pseudoekumenicznych obrzędach takich jak „*namaszczenie*” krowim łajnem, szamańskie okadzania, kacykowe zaklęcia, podziwianie tańców półgołych egzotycznych tancerek, dary (fetysze, amulety itp.) wręczane przez bezbiustonoszowe tubylki, „*modły*” szczepowe i wszelkie „*tropikalne hece paraliturgiczne*” - to sprawka watykańskiego ceremoniarza - celebranta (Mistrza Pontyfikalnych Celebracji Liturgicznych), arcybiskupa Piero Mariniego (ucznia masona Bugniniego), który nachalnie pchał Wojtyłę ku tym ekscesom. Z kolei Salony światowe, chociaż krytykowały „*konserwatyzm Jana Pawła II*” (bo zabronił prezerwatyw i pedalskich małżeństw) - były brawo „*ekumenicznej ofensywie polskiego papieża*”. Więcej - ułatwiały ją i motywowały ze wszech sił, m.in. tworząc i rozgłaszając mitologię ekumenizmu jako panaceum na wszystkie bolączki tego świata. Ökumenismus über alles!

„*Ekumeniczne szaleństwa Wojtyły*” (afrykańskie melodie i azjatyckie tańce w Bazylice Św. Piotra, międzywyznaniowe kongresy, mityngi oraz inne projekty) ściągały na głowę JP II mnóstwo rozgoryczenia ze strony tradycjonalistów. Biskup Lazo pisał do Watykanu (1998): „*Ojczy Świąty. Czy powinniśmy respektować fałszywe religie? Przecież Jezus Chrystus założył tylko jeden Kościół - Świąty Rzymski Katolicki i Apostolski Kościół. Nie powiedział: respektujcie wszystkie religie (...)* Praktykowany dziś ekumenizm stoi diametralnie w sprzecz-

*ności z tradycyjną katolicką doktryną i praktyką. Daje jedynej autentycznej religii, ustanowionej przez Pana Naszego, tę samą rangę co wszelkim religiom fałszywym, a więc czyni to, czego od stuleci zakazywali papieże”.*

Cały ekumeniczny cyrk JP II runął latem 2000 roku, dzięki otwartemu buntowi prefekta watykańskiej Kongregacji Nauki Wiary, kardynała Josepha Ratzingera, który wykorzystując chwilową nieobecność proekumenicznego skrzydła kurii watykańskiej (kardynałowie rozjechali się na króciutkie ferie), ogłosił - bez porozumienia z kimkolwiek, nawet ze zwierzchnikiem (Wojtyłą) - watykańską deklarację „**Dominus Iesus**”. Deklaracja mówiła twardo, iż Chrystus to jedyny prawdziwy Bóg (obok Boga Ojca w Trójcy Świętej), a katolicyzm to jedyna prawdziwa religia, koniec, kropka! Basta z „szalonym ekumenizmem”, finito! Watykan doznał szoku (lecz musiał to przelknąć, chociaż kilku kardynałów - Kasper, Cassidy i członkowie Papieskiej Rady ds. Dialogu Międzyreligijnego - - klęło aż się mury trzęsły), świat doznał szoku (dziennikarze nazwali inicjatywę Ratzingera „*zamachem stanu*”) i Salon doznał szoku (ripostą było wzmocnienie propagandy na rzecz ekumenizmu, czyli podsycanie ekumenicznej mitologii). Marek Lehnert (2005): „*Zdaniem wielu komentatorów deklaracja Ratzingera przekreślała dotychczasowe wysiłki papieża w sferze dialogu z innymi wyznaniem (...); w powszechnym odczuciu był to ze strony kardynała sabotaż*”.

Kiedy kilka lat później Giovanni Paolo II zmarł - nowy papież bezzwłocznie wyeliminował ukochaną ekumeniczną instytucję swego poprzednika. Nie chcąc jej formalnie likwidować (byłoby to źle odebrane przez wielbicieli Wojtyły) - zmarginalizował ją do szczytu. Rüdiger Suchsland (2006): „*Benedykt XVI praktycznie zniósł ustanowioną przez Jana Pawła II Papieską Radę ds. Dialogu Międzyreligijnego, włączając ją do Papieskiej Rady Kultury, gdzie całkowicie straciła na znaczeniu*”. Ratzinger nie ukrywa czemu to zrobił. Zrobił to, bo od lat uważa „*dialog międzyreligijny*” à la Wojtyła za coś bardzo dla katolicyzmu szkodliwego - za błąd posoborowych elit Watykanu. Krzysztof Gulbinowicz (2005): „*Narzucona przez laicką Europę formuła «dialogu» prowadzi do tego, że «rozmawiając» chrześcijanie prędzej czy później muszą wyrzec się Boga. Z tego choćby względu, że druga strona nie uznaje Chrystusa (...) Prosta, acz najtrudniejsza*

*zasadą dialogu, jest potrzeba ustąpienia, odstąpienia od części własnych racji i uznania racji drugiej strony. I doprawdy boję się nawet myśleć, w czym chrześcijaństwo miałyby ustąpić i z czego zrezygnować (...) Jak więc wyobrazić sobie dialog z żydami, gdy ci uważają, że Ewangelia jest najbardziej antysemitką księgą w dziejach świata (...), bardziej antysemitką niż «Mein Kampf»? Gdzie tu miejsce na dialog? Owszem, jest miejsce, ale na złudzenia o dialogu”.*

Co nie znaczy, że Ratzinger jako papież unika dialogu z hierarchią innych wyznań. Tylko że jego dialog to dialog zupełnie innego rodzaju - nie teatralno - ekumeniczny, lecz dyplomatyczny - strategiczny. Celem jest mobilizacja różnych wyznań przeciw destrukcyjnej (kontr)kulturze świeckiej dzisiejszych czasów, przeciw kontrreligijnej agresji libertynizmu zwałącego się „oświeconym liberalizmem”, przeciwko sekularyzmowi degenerującemu świat. Phillip Blond i Adrian Pabst (2006): *„Benedykt XVI pragnie porozumieć się z innymi światowymi religiami, głównie monoteistycznymi, gwoli przeciwstawienia się brutalnej supremacji popkultury Zachodu, która wymusza niewiarę i promuje rozpasany konsumpcjonizm”.*

Współczesna dekadencja Zachodu i kryzys Kościoła Rzymskiego miały częściowo wspólne źródła (lewacka rewolta lat 60 - ych; patrz rozdział/mit o „pokoleniu '68”, str. 183), a w przypadku Kościoła tradycjonałści jako głównego winnego wskazują Vaticanum Secundum i jego czołowego rycerza, Karola Wojtyłę, zarzucając mu zbytnią spolegliwość wobec religii wrogich katolicyzmowi, zbytnią autopromocję estradową wyludyczniającą kontakty z rzeszami wiernych (pielgrzymkowe megaimprezy Wojtyły ni trochę nie wstrzymały światowego spadku powołań i spadku liczby katolików), zbytnie hołubienie myślicieli świeckich, zbyt częste gromadne spraszanie przezeń ateistycznych ideologów na watykańskie sympozja i kongresy, etc. Sobór Watykański II ma coraz mniej obrońców, zwłaszcza odkąd papieżem został jego konsekwentny krytyk. Już z dawnych pism Ratzingera (lata 70 - e) można garściami czerpać cytaty pełne krytycznych uwag pod adresem Soboru i jego niszczącej dla katolicyzmu roli; „*pancerny kardynał*” przezwiał nawet ów reformistyczny Sobór „*anty - Syllabusem*” („**Syllabus Errorum**” to potępiający, dokonany przez Piusa IX wykaz tez i działań kontrkatolickich). Paul Elie (2006): *„Jan Paweł II uważał posoborowe lata za błogosławieństwo, gdy Ratzinger za czas rozpaczy”.*

Wszystkie obecne działania Benedykta XVI są racjonalnymi próbami odwrócenia dekadentckiego trendu, który zainicjował Sobór Watykański II, i uratowania Kościoła tudzież Europy laicyzującej się samobójczo. Tomasz P. Terlikowski (2008): *„Zdaniem papieża, Europa znajduje się w głębokim kryzysie, który może skończyć się jej śmiercią. Odrzucenie transcendencji, religii, tradycji oraz moralności, kult techniki i «czystego» jednostkowego rozumu prowadzi Europę, według Benedykta XVI, na manowce (...) Aby chrześcijaństwo, a konkretnie katolicyzm, mogło rzeczywiście zrealizować stawiane przez papieża zadanie, też musi się poddać swoistej kontrreformacji. Pusty często dialogizm, przekonanie o potrzebie inkulturacji i ekumenizmu, które nierzadko oznaczają tylko porzucanie własnych łacińskich korzeni, a takie preferowanie współczesnych, często ateistycznych myślicieli - powinny zostać zastąpione nauką św. Augustyna, Ojców Kościoła, św. Tomasza i wielkich mistrzów średniowiecznej teologii. Do jej zgłębiania niezbędna jest łacina. I dlatego Benedykt XVI przywraca, a dokładniej czyni równouprawnioną «starą» mszę trydencką. Wszystko to ma służyć jednoznacznemu przypomnieniu, że łacińska tradycja nie tylko leży u podstaw Europy, ale kształtuje też tożsamość Kościoła katolickiego”*.

„Cofanie czasu” przez Josepha Ratzingera budzi euforię kapłanów rozgoryczonych dzisiejszym stanem Rzymskiego Kościoła, a równocześnie napotyka opór ze strony duchownych, którzy ulegli wpływom modernizmu oraz Salonu (stanowią dziś lewactwo katolickie). Reaktywowanie „rytu trydenckiego” pokazało jak liczni są księża i wierni, którzy pragną mszy łacińskiej, zarazem jednak ujawniło „soborowość” modernistów przeciwnych ortodoksom - „łacinnikom” (Episkopat Polski - wbrew klarownej decyzji papieża Benedykta XVI - zafundował polskimi „łacinnikom” serię wymogów biurokratyczno - formalnych, utrudniających praktykowanie tradycyjnego rytu; tresura, którą przeszło wielu rodzimych kapłanów wysługujących się esbekom, nie poszła, jak widać, na marne). Ze wszystkich zakątków świata dochodzą smutne głosy (raporty, relacje, zestawienia, statystyki) o kurczeniu się katolicyzmu (liczby wiernych, świątyni, zakonów i powołań) wskutek nadmiernej liberalizacji, którą wprowadził Sobór Watykański II, i wskutek ekumenicznej pasji Watykanu dwóch ostatnich dekad stulecia XX. Charakterystyczna skarga - oto co mówi John Vennari,

naczelny redaktor pisma dla amerykańskich katolików „**Catholic Family News**” (2007):

- W mojej rodzinnej Filadelfii był żeński zakon pod wezwaniem świętego Józefa. To było prężnie działające zgromadzenie bogobożnych sióstr. Trzymały się ściśle reguł zakonnych i cieszyły szacunkiem wiernych. Lecz po Soborze Watykańskim II zakon przeszedł rewolucję unowocześniającą. Krój habitów zrobił się bardziej swobodny, a później habity zostały w ogóle zrucone. Siostrami owładnęła rozrywkowa telewizja, a na zewnątrz parały się demonstrowaniem dla ochrony wielorybów. W końcu stwierdziły ekumenicznie, że mają szczególny pociąg do buddyzmu, który jest religią fascynującą...

Puenty nie muszę formułować; zrobił to za mnie Aleksander Majewski (2007): *„Spójrzmy na sytuację współczesnego Kościoła, w którym modernistyczne ruchy nieustannie starają się zaprzeczyć Jego naturze - temu, że jest Jedyny - ponad Prawdę stawiając «ekumenizm», «dialog» i «consensus», zaprzeczając Społecznemu Panowaniu Chrystusa poprzez rezygnację z prymatu Kościoła rzymskokatolickiego. Mam jednak nadzieję, że w przyszłości potomni nie będą musieli snuć historycznych dywagacji pt. «Czy kryzys w Kościele posoborowym był nieodwracalny?»”*.

9

## Mit Radia Wolna Europa



„Perswazja” w dziele Cesare Ripy „Ikonologia” (drzeworyt, 1603)

Mit Rozgłośni Polskiej RWE (tzw. sekcji polskiej RWE) można sprowadzić do dwóch wyrazów: tuba prawdy. Polacy, odcięci przez nieomal pół stulecia - pół wieku totalitaryzmu komunistycznego - od prawdy drukowanej na Zachodzie, prawdę absorbowali dzięki eterowi. Czyli dzięki zagłuszonym przez komunę rozgłośniom: BBC, Głos Ameryki, Radio France i zwłaszcza monachijskie Radio Wolna Europa. Ta ostatnia rozgłośnia była najpopularniejsza, między innymi dlatego, że pracowali tam sami Polacy. Polacy emigranci - głównie ci, co nie chcieli wracać do kraju kiedy wygasła II Wojna Światowa, bo kraj zrobił się czerwony, oraz uciekinierzy, którzy nie kochali PRL - u. Z bie-



Uciekinier z PRL - u, funkcjonariusz bezpieki,  
płk Józef Światło (Izaak Fleischfarb)  
relacjonuje przed mikrofonem RWE

giem lat wojenni weterani wymierali, uciekinierzy zaś mnożyli się, formując bez reszty obsadę RWE. Peerelowskie MSW korzystało z tego notorycznie, plasując w **RWE** swoich agentów (dużo ciekawszych aniżeli osławiony Andrzej Czechowicz, którego

gromko ujawniono i tromtadracko „sprzedano” publiczności, dla hecy) lub posyłając do **RWE** „patriotów - informatorów”. Archiwista i dokumentalista RWE, Adam Rosenbusch, tak o tym mówił Henrykowi Piecuchowi, autorowi pracy „**Służby specjalne atakują**” (1996):

- Pewni ludzie odwiedzający w Monachium RWE na pewno byli współpracownikami bezpieki. Takich facetów trudno od razu rozszyfrować. Dostarczali nam masę materiałów, których nie można było zweryfikować od razu. Dopiero później okazało się, że były też fałszywki (...) Bezpieka posyłała do Monachium całe góry makulatury. Zweryfikowanie wszystkich materiałów nie było możliwe (...) Wszyscy wiedzieli, że w RWE działają także agenci bezpieki. Niektórzy agenci byli rozszyfrowani, odwrócen i wykorzystywani do przekazania informacji, a raczej dezinformacji, drugiej stronie. Dziś jednak, gdy widzę ile i jakie materiały znalazły się w rękach bezpieki, chociażby te zgromadzone przez funkcjonariuszy Służby Wywiadu i Kontrwywiadu, wiem, że oprócz tych rozszyfrowanych musiało w RWE działać jesz -



Budynki monachijskich rozgłośni Radia Wolna Europa



cze kilku innych sprytnych facetów, bardzo operatywnych i bardzo bezczelnych. Tylko bardzo bezczelny agent mógł się bowiem poważić na zdobycie takich materiałów, jakie na przykład widziałem u pana.

Widział u Piecucha „*Archiwum generała Pożogi*” (Władysława Pożogi, szefa Służby Wywiadu i Kontrwywiadu MSW). Według znajdujących się tam papierów - największą agenturę miały w Radiu Wolna Europa polskie MSW, rosyjskie KGB i niemiecka StaSi, lecz pojedynczych agentów uplasowały również służby specjalne Węgier, Rumunii, Bułgarii i Czechosłowacji. Mający świetne kontakty z MSW Krzysztof Dubiński i Iwona Jurczenko opublikowali (1994) książkę pt. „**Być szpiegiem**”, gdzie jest dużo wypowiedzi pracowników służb peerelowskich, m.in. o „*penetrowaniu emigracji, Wolnej Europy, paryskiej «Kultury» czy emigracyjnych biur «Solidarności»*”. Truizmami są tam zdania typu:

- Emigracja „*solidarnościowa*” była dla nas prawdziwym skarbem.

Truizmami, albowiem każda duża emigracja jest skarbem dla tajnych służb okupanta, czego klasyczny przykład to legendarna popowstaniowa Wielka Emigracja na Zachodzie Europy (1831). Rafał Gerber (1973): „*Ośrodki polityczne emigracji polskiej można było penetrować tylko przy pomocy Polaków (...) Stąd starania kierownictwa carskiej policji politycznej o zwerbowanie korespondentów, agentów, wreszcie prowokatorów wśród Polaków na Zachodzie. Wykorzystywano przy tym biedę emigrantów, skłócenie wewnętrzne oraz wzajemne zawiści. Spis agentów i prowokatorów carskich objąć musiałby wiele nazwisk (...) Carskiej policji politycznej udało się skorumpować pokaźną liczbę emigrantów polskich (...) Rozdarcie wewnętrzne emigracji polskiej ułatwiało sytuację tym sprzedawczykom*”. Zdemaskowano niewielu: Antoniego Kuberskiego, Franciszka Szostakowskiego, Konstantego Kumplikiewicza, Teofila Pietraszewskiego, Henryka Michałowskiego, Ludwika Wiercińskiego i paru innych. Po Insurekcji Styczniowej sytuacja wśród emigracji była identyczna jak po Insurekcji Listopadowej: dużo zdrajców (w tym głośny Julian Aleksander Bałaszewicz vel Albert Potocki), niewielu zdemaskowanych. Między rokiem 1945 a 1989 analogicznie.

Że sławne (dziś osławione) Biuro Brukselskie „Solidarności” Jerzego Milewskiego pracowało bardziej na użytek SB niż „Solidarności” - to już właściwie „*tajemnica poliszynela*”, wszyscy ten wstyd-

liwy sekret znają. Tymczasem wstydliwych sekretów RWE się nie rusza - przeciwnie, umacnia się mitologię rozgłośni jako jednej z kuźni prawdy, które wywalczyły Polskę wolną, zdesowietyzowaną. Spowiadający się Piecuchowi archiwista Rosenbusch twierdzi (1996), że mógłby dużo powiedzieć, ale nie powie, bo „to bardzo delikatne sprawy, wymagające czasu”, „jeszcze nie czas mówić o szczegółach”, itp. Czas mija, przychodzi rok 2008, i Tomasz Mianowicz, wzmiankując w „**Rzeczypospolitej**” en passant problemy RWE, również się uchyla: „*Wątku RWE nie poruszam tutaj celowo...*”. Zacytować warto większy fragment owego dziwnego uchylania się przed mówieniem prawdy - według Mianowicza „szokującej” prawdy:

*„Wątku RWE nie poruszam tutaj celowo, jest on bowiem zbyt skomplikowany, a przede wszystkim wiele rzeczywistych aspektów działalności Wolnej Europy mogłoby bez szczegółowych wyjaśnień, przytoczenia źródeł i ich interpretacji - wydać się czytelnikom niewiarygodne czy wręcz szokujące. Odnotowuję z pewnym niepokojem fakt, że pomimo ułatwienia dostępu do materiałów archiwalnych (ale nie amerykańskich!) w polskiej publicystyce powstaje coś w rodzaju «drugiej legendy RWE». Przyczyniają się do tego nierzetelni dziennikarze, wydaje się jednak, że główny problem to brak intelektualnej odwagi i kolektywny, bezkrytyczny sposób myślenia i utrwalanie przyjętego a priori obrazu. Utrudnia to badania historyczne, a w wymiarze politycznym prowadzi do błędnych i często brzemiennych w skutki diagnoz, na co najnowsza historia Polski dostarcza aż nadto dowodów”.*

Fakt - dostarcza. Roi się w niej od „świętych krów” (na czele z Giedroycem po lewej i z JP II po prawej), których nie wolno palcem tknąć - wolno tylko praktykować „kolektywny, bezkrytyczny sposób myślenia i utrwalanie przyjętego a priori obrazu”. Raz wyprodukowana przez Salon mitologia RWE należy do tych nienaruszalności. Tak bywa z mitami od niepamiętnych czasów - czasów jaskini i Antyku. Póki nie przyjdzie jeden, drugi i trzeci desperat, dla których celtyckie hasło „*Prawda przeciw światu!*” jest ważniejsze, wedle reguły „*magis amica veritas*”. Taki jeden, drugi czy trzeci brutal burzy klimat błogostanu „*ludzi świątłych*”, denerwuje salonowych humanistów, wytrąca heroldów abolicji i rycerzy postępu z równowagi grawitacyjnej.

Penetracja agenturalna - choćby i duża - może być sobie faktem historycznym znaczącym, ale nie dezawuuującym. I nie odbiera kon-

spiratorom triumfu. Przed puczem bolszewików (zwanym bezczelnie „*Rewolucją Październikową*”) partia bolszewicka była do tego stopnia spenetrowana przez carską tajną policję, Ochronę, że jak stwierdził później kumpel Lenina, towarzysz Jakow Swierdłłow, wertując archiwa Ochrony - w jego liczącej pięć osób komórce bojowej tylko on nie był szpiclem (na pewno?...), cała reszta pracowała dla Ochrony konfidencko. A jednak bolszewicy wygrali i zdobyli władzę. Trochę to przypomina „*polskie drogi*”. „Solidarność” była perforowana agenturą esbecką niczym drewniany krzyż przydrożny, na który uwzięły się korniki, ale to jej nie przeszkodziło, bo prócz konfidentów miała też legion „*walczaków*”. W przypadku RWE chodzi więc nie tyle o liczebność esbeckiej agentury, ile o niuansy ideologiczne antyreżimowej propagandy, vulgo: o profile antykomunizmu. Są to zresztą naczynia połączone, gdyż na profil wpływ miała agentura. Dla prawdziwych patriotów salonowy antykomunizm typu KOR - owskiego, wynikający ze strategii lewicowych gangów w walce o państwowy ster i żłób, jest czymś zupełnie innym niż bezwzględny antykomunizm niepodległościowy. Kuroniowi wystarczała „*finlandyzacja*” PRL - u, a Gwiazda i Morawiecki chcieli suwerenności bezprzymiotnikowej i bezwarunkowej (bezlimitowej). Oto różnica. Ksiądz Czajkowski i ksiądz Popiełuszko mieli zupełnie inne wizje niepodległego kraju. Przyjrzyjmy się więc pobieżnie antykomunizmowi Radia Wolna Europa. Bez głębokiej analizy; rzucę niżej tylko kilka kamieni, kilka znaków zapytania i kilka wątpliwości, które uderzają w heroiczną mitologię RWE.

Pierwszym dyrektorem Rozgłośni Polskiej RWE był (1952 - 1976) Jan Nowak (Zdzisław Jeziorański), pupil michnikowszczyzny, w latach 90 - ych kreowany przez „*Gazetę Wyborczą*” na polskiego Bayarda. „*GW*” lansowała wtedy uporczywie kilku salonowych herosów (Szczypiorskiego, Geremka, Giedroyca etc.), kanonizując m.in. RWE i paryską „*Kulturę*”, a równocześnie diagnozowała cyklofrenię bezobjawo-

Jan Nowak - Jeziorański



wą u Zbigniewa Herberta (wielkiego poety, któremu za niewłaściwe poglądy Salon skradł Nagrodę Nobla) i ciągle opluwała Józefa Mackiewicza (znakomitego pisarza, będącego wcieleniem czystego antykomunizmu) jako „*faszystę*”, „*nacjonalistę*” itp. Można powiedzieć, iż kontynuowała propagandowo dawną linię (czytaj: dawną wrogość) Nowaka - Jeziorańskiego, ten bowiem, będąc szefem monachijskiej rozgłośni, formalnie przecież antykomunistycznej, zwalczał Mackiewicza ze wszelkich sił!

Dzisiejsza nienawiść Salonu do Józefa Mackiewicza (której towarzyszy brak krajowych wydań książek wielkiego pisarza, wskutek obstrukcyjnej postawy właścicielki praw autorskich, Niny Karsow - Szechter, powinowatej - cóż za niespodziewany zbieg okoliczności! - Adama Michnika de domo Szechtera) ma głębokie salonowe korzenie, brodę gombrowiczowską. Już bowiem wielbiący lubieżnych parobczaków autor „**Ferdydurke**”, będący ikoną Salonu, łątał Mackiewicza za antykomunizm, dając łajanemu szydercze miano „*Hetmana*” : „*Hetman żyje jedną ideą - walki z komunizmem - i nic innego go nie obchodzi (...)* *Czas pohamować nieco naszego, coraz bardziej szalejącego Savonarolę. Uwaga, moiści panowie! Pod przewodem takiego Hetmana zawędrujecie do Ciemnogrodu*”. Jasnogród (Salon) wypełnia tę gombrowiczowską dyrektywę („*pohamować*”) do dziś. A wtedy wypełniał ją głównie mister Nowak. Tomasz Mianowicz (2008): „*Jan Nowak był jednym z głównych organizatorów ataków na Józefa Mackiewicza i jednoznacznie określał ich cel - uniemożliwienie pisarzowi publikacji w prasie emigracyjnej*”. Czemu pan „*kurier AK*” robił takie brzydkie rzeczy? No właśnie - o t o j e s t p y t a n i e , pan Szekspir się kłania.

Szekspir się tu kłania zresztą nie tylko przez hamletowskie „*that is the question*”, lecz i przez fragmenty życiorysów obu bohaterów konfliktu. Może bowiem nie wystarczyć, gdyby ktoś chciał tłumaczyć zapiekłą wrogość Jeziorańskiego wobec Mackiewicza epizodem wileńskim tegoż (krótka, dwumiesięczna współpraca z okupacyjnym „**Gońcem**”, wymierzona w Sowieć), gdyż Nowak - Jeziorański podczas okupacji pracował u Niemców, i później, krytykowany za to, wygrał proces sądowy „*o zniesławienie*”, perswadując, że to była przykrywka konspiracyjna, decyzja władz AK. „*The rest is silence*”, mówiąc znowu „**Hamletem**”.

Tą tyczącą Nowaka - Jeziorańskiego hamletowską „ciszę” próbowano łamać od lat, lecz Salon hołdujący go za dawne wysługi (m.in. za apologetyzowanie Kuronia i Michnika) tępił każdy głos prawdy. Może najświeższa książka Grzegorza Eberhardta („**Pisarz dla dorosłych - opowieść o Józefie Mackiewiczu**”, 2008) zezwoli prawdzie przebić się do szerszych kręgów. Zmitologizowany Nowak - Jeziorański okazuje się w świetle faktów figurą parszywieńką - oszustem, cwaniakiem, przekupnikiem (próbował dolarami tudzież faworami skłonić pułkownika Iranka - Osmeckiego, by ten, jako były szef wywiadu AK, wystawił fałszywe świadectwo, że to Nowak zdobył bezcenne informacje o pociskach V - 2 i o Peenemünde!). Przez całe lata łągał (świadectwo wielu osób), że nigdy nie pracował dla hitlerowców, ale nie mógł zełgać w sądzie, pod przysięgą, więc pierwszy raz przyznał wówczas, iż to robił - z rozkazu AK. Jednak już po rozprawie dowiedziono mu, że znowu kręci. Do konspiracji akowskiej przystąpił bowiem w czerwcu 1941 roku, a dla Szkopów pracował już od 1940, prawie cały rok wcześniej! Gdzie pracował? W bardzo wstydlwym miejscu, wzięwszy i tamte, i dzisiejsze kryteria: był nadkomisarzem w Kommissarische Verwaltung Sichergestellten Grundstuecke (Komisaryczny Zarząd Zabezpieczonych Nieruchomości), czyli w hitlerowskiej specjalnej instytucji do grabieży mienia prześladowanych Żydów.

Nowakiem - Jeziorańskim, gdy szefował sekcji polskiej Radio Free Europe, gardziło wielu Polaków z emigracji, również tych najpiękniejszych, jak choćby wielki poeta, Marian Hemar. A.D. 1971 opublikował on wymierzony w Nowaka artykuł „**Zamknij pan okno!**”, perswadując mu rymami :

*„Chciałbym jeszcze podkreślić - bo różne jęłopy  
Mogłyby źle zrozumieć co jest moim planem -  
Że ja nie atakuję Radia Wolnej Europy,  
Wręcz przeciwnie, jak umiem, bronię go przed panem”.*

Józef Mackiewicz też gardził polską sekcją RWE, ale nie dlatego, że kierował nią jego osobisty wróg i oszczerca, lecz dlatego, że udawała antykomunizm (Nowak zabronił m.in. używania terminu „*reżim*” wobec władzy peerelowskiej!). Zarzuty były formułowane expressis verbis. Publikował, iż rozgłośnia „*jest żarliwym przeciwnikiem antykomunizmu, skutecznym instrumentem, który zwalcza zwalczanie ustro -*

ju w Polsce komunistycznej (...), a tym samym jest przeciwstawna dążeniom niepodległościowym” (1969). Wierzono mu, i dzisiaj też trzeba mu wierzyć, gdyż Józef Mackiewicz całym swym życiem udowodnił, że stanowi wzór patriotyzmu - „*nec plus ultra*”. Nie kochali go tylko ci, których uwierała jego ekstremalna pogarda wobec Kacapów i jego niezłomna walka przeciwko komunizmowi oraz wszelkim lewacom, również kryptolewacom. Nowaka zaś nie lubiano na emigracji z rozmaitych przyczyn, wśród których sympatie polityczne były tylko fragmentem puzzla. Żona Mackiewicza, literatka i publicystka Barbara Toporska, pisała w 1977 roku - wkrótce po dymisji Jeziorańskiego - że „wszyscy nie przestają się radować z odejścia Nowaka”, bo „Nowak jest zniechęcony, zachowuje się jak mały kacyc murzyński i cham”. Trudno się dziwić, że „Adaś” zobaczył w nim bratnią duszę.

Gdy mowa o stosunku Rozgłośni Polskiej RWE wobec Józefa Mackiewicza, warto wspomnieć - jako inny ciekawy casus - relację między rozgłośnią a Leopoldem Tyrmandem. Lub jeszcze szerzej: trójkąt Tyrmand - RWE - paryska „**Kultura**” Jerzego Giedroyc. Tyrmand współpracował z oboma tymi centrami, i w każdym przypadku współpraca źle się skończyła, gdyż jego teksty były zbyt... antykomunistyczne dla RWE i „**Kultury**”. I tu, i tam, zrazu pacyfikowano je salonową polemiką (Juliusz Mieroszewski paplał, że mimo błędów Stalina „*socjalizm jest wspaniałą ideą*”, więc teksty Tyrmanda nie świadczą „o małości socjalizmu, tylko o braku perspektywy autora”), później natomiast cenzurą oraz podziękowaniem za współpracę. Giedroyc był przynajmniej szczerzy i wyjaśnił Tyrmandowi „*co jest grane*”, pisząc doń: „*Krwawym wysiłkiem zrobiłem z «Kultury» pismo lewicowe i to mi na każdym kroku pomaga. Byłoby nieścisle stwierdzenie, że zrobiłem to wyłącznie ze względów taktycznych. Moja osobista ewolucja poszła w tym kierunku również*”. List ten polecam wszystkim durniom, którzy się zżymają, gdy ktoś (Łysiak nie raz) nazywa Giedroyc lewakiem. Michnikowi nie muszą polecać, gdyż on właśnie za tę lewicowość (salonowość) kochał giedroycowe Matsons - Laffitte, i za to samo (za eliminowanie zbyt twardych antykomunistów) wielbił Nowaka - Jeziorańskiego.

Następcą Nowaka został Zygmunt Michałowski (1976 - 1982), którego jako szefa RWE wspominam sympatycznie, bo podczas jego ka -

dencji Wolna Europa nagłośniła oficjalny dyplomatyczny protest Kremla przeciwko mojej książce (jedynej takiej w PRL - u) i zakaz druku, który dostałem od Wydziału Kultury KC PZPR. Ciemną plamą RWE tamtego okresu jest wszakże fakt, iż zaczęła realizować coś, co się później nasiliło i co jest generalnie (długofalowo) główną ciemną plamą rozgłośni - gangrenę hagiografowania różowego nurtu opozycji nadwiślańskiej (KOR - u) kosztem wszelkich nurtów „białogwardyjskich”. Te były dyskryminowane wprost bezwstydnie. Piotr Skórzyński (2006):

*„Trzeba powiedzieć jasno, że w 1988 roku ugodowcy opozycyjni nie wygraliby tak łatwo, gdyby środowiska im przeciwnie nie były od początku lekceważone i pomijane przez RWE i BBC. Ani Rewolucyjna Unia Chryścijan Andrzeja Czumy, ani Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, ani żaden inny twardy opozycyjny nurt, nie miały choćby jednej dziesiątej czasu antenowego poświęcanego najpierw rewizjonistom, a potem KOR - owi (KOR nie ucieszył się z powstania sojuszniczej grupy w 1977 roku; przeciwnie: oskarżył takich ludzi jak Romaszewski czy Kelus o «rozbijanie działalności opozycyjnej»”).*

Gdy w Polsce junta wojskowa wprowadziła „*stan wojenny*”, w Monachium Michałowskiego zastąpił „*conradysta*” Zdzisław Najder (były agent SB - TW „*Zapalniczka*”), i zrobiło się jeszcze gorzej. Najder oznajmił personelowi RWE, że rozgłośnia winna się skupić na sprawach związkowych, solidarnościowych, walcząc o przywrócenie legalności Związku, bo tym problemem bardzo się interesuje cały świat, natomiast problem niepodległości Polski nie interesuje świata, dlatego tej kwestii nie trzeba poruszać wcale. Okazało się, co prawda, że ów problem bardzo interesuje czołowego przywódcę wolnego świata - prezydenta



Dwóch agentów SB: Zdzisław Najder (szef RWE) i Józef Szaniawski (gorliwa donosiciel) - opublikowane przez Henryka Piecucha w „**Służby specjalne atakują**” zdjęcie ze zbiorów Szaniawskiego

Ronalda Reagana. Jednak RWE nie nagłaśniało tego, wołało nagłaśniać „**Krytykę**” Jana Kofmana i Adama Michnika, gdzie już w pierwszym numerze stało jak byk, iż głównym wrogiem „*polskiej opozycji demokratycznej*” jest „*polski totalitarny nacjonalizm*” (sic!). Plus, oczywiście, sarmacki wrodzony antysemityzm, konik michnikowców.

I tak się działo przez całą kadencję Najdera (1982 - 1987): pisma niepodległościowe rodzimych opozycjonistów nie miały wstępu do RWE - na sztandarach rozgłośni figurował KOR. Vulgo: pupilem RWE była ta formacja, na którą dziś się powołuje jako na swój wzór „*nowoczesna lewica*”, mutacja bolszewickiej komuny skupiona wokół „**Krytyki Politycznej**”. Jej szef, Sławomir Sierakowski, mówi jasno (2008):

- My się identyfikujemy z tradycją KOR i PPS Jana Józefa Lipskiego.

Czerwony harcerz (Kuroń) i czerwonawy mason (Lipski; notabene ulubiona figura polityczna pań Kaczyńskich), do spółki z pezetpeerowskim profesorem („*drogi Bronisław*”) i lewackim redaktorem („*kochany Adaś*”) - stanowili kwartet pieścuchów RWE. Ówczesny słuchacz rozgłośni był faszzerowany kłamliwą (kuronioowo - michnikowską w sosie geremkowskim) propagandą „*dysydencką*”; mowy nie było, żeby ktokolwiek - choćby jakiś gość zaproszony do mikrofonu - rzucił „*różowym*” w twarz to, co Rush Limbaugh (słynny amerykański komentator radiowy proveniencji konserwatywnej) rzucał już wtedy salonowcom (że są „*zgnilizną*”), lub by ktoś podtrzymał na duchu polskie prawicowe nurty opozycyjne słowami a la Limbaugh:

- Jesteście wyżsi moralnie od tych socjalistycznych faszystów, pełnych hipokryzycznej pseudowrażliwości!

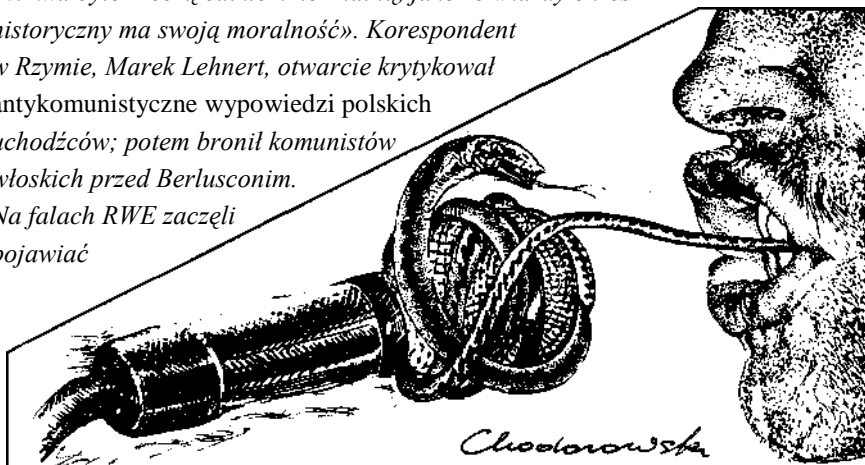
Wyżsi moralnie byli w ówczesnej rozgłośni RWE zwolennicy „*postępu*” i „*dialogu*”. Coraz częściej emitowano programy, które za kadencji Nowaka bądź Michałowskiego byłyby nie do pomyślenia: o niebezpieczeństwie „*klerykalizacji społeczeństwa*”, o polskich wadach narodowych, o radzieckim pacyfizmie (w ramach promocji „*pacyfizmu*” chwalono kagieboidalną Światową Radę Pokoju i hołdowano genseka Gorbaczowa jako „*gołąbka pokoju*”, przywódcę dużo lepszego od Reagana), o „*amerykańskim militarystyce*”, o „*dyktatorach*” takich jak Salazar czy Franco, i o awanturkach takich jak Sołżenicyn i Bukowski, którzy „*niczym furia atakują ruch pokojowy na Zachodzie*”. Paweł Machcewicz i Andrzej Paczkowski (historycy z IPN - u) pisząc



biografię, głównie konfidencką Najdera („**Rzeczpospolita** 2005, tekst pt. „**Tajny agent**”), napomknęli, iż blisko połowy lat 90 - ych media wydrukowały „*kilka głosów jego dawnych podwładnych z RWE, którzy jednoznacznie sugerowali, że w czasie dyrektorowania w Monachium Najder wypełniał zadania zlecane mu przez SB*”.

Ostatnim za PRL - u szefem polskiej sekcji RWE został Marek Łatyński (1987 - 1989), dawny stalinowski propagandysta Polskiego Radia (głównym autorem tekstów był tam wówczas idol Michnika, Andrzej Szczypiorski, TW „*Mirek*”). Gdy tylko objął stanowisko - komuniści (co za cudowny przypadek!) przestali zagłuszać RWE nawet śladowo. I zaczęły się dziać cuda jeszcze większe aniżeli wcześniej, co jest zrozumiałe, bo zbliżał się już okrągłostołowy przełom w Polsce wedle kagiebowskiego scenariusza. Piotr Skórzyński (2006):

*„Na głównych komentatorów awansowali panowie Szymanderski i Surdykowski. Ten pierwszy oświadczał, że istnieje potrzeba «politycznego rozbrojenia Europy» (?!?). Ten drugi, jeszcze wczoraj działacz ZLP z ramienia PZPR, teraz zapewniał oniemiałych słuchaczy, że «Polacy w zdecydowanej większości nie są wrogami systemu, jaki obowiązuje w PRL». Zaczęło się długie podejście do «historycznego kompromisu». Już w 1987 roku zaczęli się pojawiać w audycjach Wolnej Europy byli lektorzy KC, a także dawni autorzy jedynie słusznych podręczników, którzy zdumionym słuchaczom tłumaczyli, że popieranie Bieruta było rzeczą całkiem normalną, jako że «każdy okres historyczny ma swoją moralność». Korespondent w Rzymie, Marek Lehnert, otwarcie krytykował antykomunistyczne wypowiedzi polskich uchodźców; potem bronił komunistów włoskich przed Berlusconiem. Na falach RWE zaczęli pojawiać*



się ledwie wczorajsi lektorzy PZPR w rodzaju W. Lamentowicza. Były as propagandy PRL, Jacek Kalabiński [późniejszy korespondent „Gazety Wyborczej”], wskazywał na słabości polityki ekonomicznej Ronalda Reagana (w czasie największej prosperity gospodarki USA!) i przedstawiał lewaka Jessie Jacksona jako «wyrzuciela nowej, młodej Ameryki»,,

„Historię piszą zwycięzcy” - jest to stara prawda. Nowa, młoda Polska (III RP) została opanowana w 1989 - 1990 roku, za przyzwoleniem SB i WSI (czyli za przyzwoleniem KGB i GRU), przez różowy Salon, co zezwoliło michnikowcom - geremkowcom bez kłopotu upowszechniać każdą mitologię, jaka im była wygodna. Mitem szlachetnej (dzielnej, prawdomównej, obiektywnej) RWE spłacali rozgłośni polityczny dług. A rozgłośnia dalej kierowała się dewizą „*ręka rękę myje*” i gorliwie promowała Salon, występując przeciw „*prawicowej reakcji*”. Gdy koalicja łotrów obaliła lustratorski rząd Jana Olszewskiego (1992) - RWE chwaliło koalicjantów. Krzysztof Raszyński (2008): „*Wtedy to zyskała wyjaśnienie zagadka ugodowej polityki rozgłośni Wolna Europa w kluczowych latach 1988 - 1992. W 1994 r. jej ostatni dyrektor, Piotr Mroczyk, oznajmił: «Jeżeli w Polsce ma zapanować państwo prawa, to byli beneficjenci reżimu komunistycznego nie mogą być rozliczani»*,,. Słowo (radiowe) ciałem się stało - nie zostali rozliczeni, i nic nie wskazuje, że będą rozliczeni kiedykolwiek. Może przez Historię, ale to odległa perspektywa.

Pytanie finałowe: dlaczego Jankesi (w końcu przecież patroni i sponsorzy RWE) tolerowali to, co rozgłośnia wyczyniała w latach 80 - ych i 90 - ych? Odpowiedź: dla gry politycznej - dla swoich politycznych szachów. Wielki lider „Solidarności”, Andrzej Gwiazda, ujawnił właśnie (2008) konfidencjonalną wypowiedź dygnitarza amerykańskiego z pierwszej połowy lat 90 - ych:

- W Polsce jest kilku ludzi, którzy wiedzą o co chodzi i biorą pieniądze, kupa pętaków, którym daje się milion i jest OK, i reszta, która chciałaby dobrze, ale kompletnie nic nie rozumie.

Coś się od tamtej pory zmieniło?...

10

## Mit pt. Jaka piękna kaczastrofa!



„Duet” w dziele Cesare Ripy „Ikonomia” (drzeworyt, 1603)

Wyborcza klęska PiS - u (czyli przegrana braci Kaczyńskich w roku 2007) obrosła już pokrętną mitologią. Była to dla prawicy, dla konserwatystów, dla anty Salonu - ewidentna katastrofa, chociaż niektórzy zawiedzeni próbowali twierdzić, że trzeba było oddać władzę, gdyż później czekałaby PiS nie przegrana, tylko monstrualna klęska (Maciej Łętowski: *„Po dwóch latach rządzenia PiS, oddając władzę, uratowało się przed katastrofą”*, 2007). Jednak dzisiejsze sondaże mówią wciąż o katastrofie PiS - u. Uprzednio (2005) „Czterej pazerni i bies” (pazerni na żłób - Tusk, Palikot, Komorowski, Schetyna oraz Rokita) przegrali o włos. Dwa lata później, już bez Rokity, zwyciężyli wyraźnie,

tak dużą liczbą głosów (ergo: liczbą mandatów), że internetowy gang salonowców mógł rzeć ze śmiechu i rozpowszechniać niezbyt wersalskie hasło: „*POszło w PiSdu!*”.

A gdy już POszło - zaczął się rytualny taniec na ciele półtrupa. Triumfujący Salon łał przegranych czym popadnie; rząd PO - PSL zupełnie nie interesował się rządzeniem - parał się wyłącznie (całymi miesiącami!) oskarżaniem i ściganiem PiS - owców. Wprzęgnięto do tego proceduru rozliczne gwiazdy („*celebrities*”), nawet głośnych sportowców. Zbigniew Boniek (2008):

- Obserwując PiS - zorientowałem się, że ci ludzie chcą z Polski zrobić jeden wielki areszt śledczy. Żaden kraj, w którym w każdej chwili można zostać zdjętym z ulicy, nie ma szans na normalny rozwój.

Słowem: totalitaryzm pełną gębą, ściślej: pełną pałą. Bronisław Wildstein (2008): „*Establishmentowi III RP udało się zbudować wyobrażenie Polski pod rządami PiS jako państwa policyjnego, a walkę z korupcją i patologiami III RP przedstawić jako zamach na prawa człowieka i wolności obywatelskie*”. Ta kłamliwa wizja, wszczepiona ćwierćinteligentom przed wyborami (co ułatwiło triumf Platformie), była po wyborach reklamowana równie głośno (co windowało sondażowe wyniki Platformy, a dołowało wyniki PiS - u). Prosalonowi satyrycy parodiowali hołdujące Jarosława Kaczyńskiego zdanie pisarza Jarosława Marka Rymkiewicza o Polsce jako śpiącym żubrze, którego Kaczyński „*ugryzł w dupę*”, by przebudzić (powyborcze szyderstwo brzmiało: „*To żubr ugryzł w dupę Kaczora*”). Do gnojenia pokonanych zaangażowano też komunę i endecję, by karcąca nawałnica tryskała ze wszystkich stron. Prof. Kazimierz Kik, członek SLD (2008):

- Kaczyński uwierzył, że jest wielkim strategiem i wodzem. Dziś wraca do swojej pierwotnej formuły - zmarginalizowanego, sfrustrowanego, zde gustowanego lidera niszowej organizacji prawicowej.

Neoendek - monarchista, Adam Wielomski, wskazując, iż partia PiS przez dwa lata swych rządów nie zajmowała się niczym prócz lustracji (ani gospodarką, ani reprivatyzacją, ani sensowną polityką zagraniczną, ani ustawodawstwem - niczym!), konkluduje (2008): „*Mieli dwa lata (które na własne życzenie stracili), większość w Izbach i Prezydenta. Można było zrobić wszystko, i wszystko było możliwe, poza wskrzeszeniem zmarłych! Ale żywi umieli tylko ujadać*”. Kon-

kluzja bardzo nieuczciwa - ni słowa o sukcesach (jak choćby rozpadzenie GRU - owskich WSI, czy odsalonowanie polityki zagranicznej, którą wcześniej tzw. „*korporacja Geremka*” w MSZ prowadziła na kolanach, z przymilnymi uśmiechami), i ni słowa o tym, że gabinet tudzież sejmową „*większość*” współtworzyły dwie partyjki bez ustanku działające dywersyjnie przeciw Kaczorom, co powodowało okresowy (czasami bardzo długi) pat administracyjno - decyzyjny uniemożliwiający „*większości*” rządzenie.

Salonowa propaganda stworzyła własny obraz salonowego triumfu, wedle banalnego prawa „*Historię piszą zwycięzcy*”. Mit ten mówi: Tusk & Co. zwyciężyli, bo są mądrzy, szlachetni, przystojni, dobroczynni, i ponieważ bóg demokracji tak chciał. Cała ta mitologia - jak każda propaganda - jest bzdurą, czego dowodzę niżej, wyłuszczając powody PiS - owskiej klęski. Tych powodów, dla których IV RP Kaczyńskich przegrała, było dużo. Błędy Kaczorów są tu szalenie istotne, lecz zadecydowały nie tylko ich własne grzechy oraz bezsensowne posunięcia ich sztabu. Oto swoisty dekalog pięknej kaczastrofy:

#### 1. Koalicja z LPR - em i z Samoobroną

PiS nie dostało od elektoratu takiej liczby głosów, by móc rządzić samodzielnie. Platforma Obywatelska wykorzystała to, uchylając się od koalicji, ergo: z rozmysłem pchając PiS w ramiona nacjonalawanturników i wiejskich szumowin. Przy takich koalicjantach całe dwa lata utrzymywania kontrsalonowego gabinetu było bardzo długą kadencją, a klęska była nieuchronna. Jednocześnie wybryki faszystowskie („*Sieg heil!*” - patrz felieton „**Sturm und Drang**”, str. 285) i seksualne współkoalicjantów - ich patriotyzm śmierdzący swastyką (Młodzież Wszechpolska) oraz ich grubiaństwo cuchnące chlewem (Samoobrona) - zniechęcały ludzi przyzwoitych do tego rządu, czyli także do PiS - u. Nawet ludzie dość długo ufający Romanowi Giertychowi (LPR), chwalcący jego dobre inicjatywy szkolne (rzeczywiście dobre - reaktywacja elementarnej dyscypliny, etc), załamali się kiedy ten chciał zrobić czerwonego Janusza Kaczmarka premierem.

Tak więc pewna grupa wyborców obrzydziła sobie PiS wedle porzekadła „*Kto z kim przestaje, takim się staje*”, a inną grupę zezłościło niedotrzymanie obietnic przez PiS, bo wcześniej (nim powstała trefna koalicja) Jarosław Kaczyński zapewniał: „*Będę na pierw-*

szej linii walki z Samoobroną!”, „- Nie będzie koalicji z Samoobroną!”, „- My w otwieraniu Samoobronie drogi do władzy uczestniczyć nie będziemy!”. Jak widać - polityk nigdy nie powinien mówić: nigdy! Dlaczego Kaczyński swoje obietnice złamał? Czeskie „**Lidove Noviny**” (2007): „Miał nadzieję, iż zdoła ucywilizować koalicyjantów, wychować ich. Co mu się nie powiodło. To jego ugrupowanie stało się mniej cywilizowane”.

## 2. Medialna siła Salonu

Że większość polskich mediów jest od lat różowa i czerwona, i że realizuje strategię michnikowszczyzny - pisałem parokrotnie („Salon”, „Salon 2” i inne moje książki publicystyczne), nie będę się więc teraz rozpisywał na ów temat. Rząd, który ma przeciwko sobie prawie wszystkie krajowe media (w tym wszystkie telewizje prywatne), każdego dnia wściekle kłuszące gabinet i niepróbujące zachować choćby pozorów bezstronności czy obiektywizmu - musi szybko runąć. Dwa lata walki z tą permanentną nawałą ogniową, z tym nieustannym „*Finis Poloniae!*” straszącym społeczeństwo (sugerującym społeczeństwu, że PiS - owska Polska to istny „Titanic”, Armagedon, kacze pandemonium) - trzeba traktować jako bohaterstwo PiS - owskie. Przez 24 miesiące prowadzili „*mission impossible*” w skrajnie niesprzyjających warunkach parlamentarnych i medialnych, co budzi szacunek (rząd Jana Olszewskiego wytrzymał tylko pół roku takiego piekła). Zostało to zauważone i docenione również wśród Polonii. Wojciech K. Borkowski (Chicago, 2007): „*Na klęskę wyborczą PiS - u zapracowały media działające jako «czwarta władza». W Polsce naruszono dobre obyczaje i proporcje między zwolennikami a medialnymi przeciwnikami rządu PiS (...) To media wykreowały wirtualny obraz katastrofy i niezadowolenia społecznego. To media, będące własnością kapitału unijnego, sterowały emocjami opinii publicznej. To media stworzyły koterie towarzyskie utrwalające obraz klęski, której w rzeczywistości nie było*”.

Jedni mówią tu o „kapitale unijnym”, drudzy o kapitale niemieckim (prawie wszystkie główne gazety polskie są własnością Niemców), trzeci o kapitale esbeckim. Stanisław Michalkiewicz (2007): „*Ile warta była nieustająca przychylność, a właściwie klaka, jaką na rzecz Platformy Obywatelskiej uprawiały powiązane z razwiedką, a nawet wię-*

cej (podejrzewam, że zostały utworzone z funduszy czarnej kasy razwidki) - telewizje TVN i Polsat?”. Dariusz Kos (2007): „Z raportu Komisji Weryfikacyjnej WSI wynika, że dwie największe prywatne telewizje zostały założone przez wojskowe specsłużby”. Ale i sympatyzująca pono z PiS - em TVP odegrała swoją rolę antyPiS - owską, zadając tej partii klasyczny „coup de grace” („cios miłosierdzia”, czyli dobiecie rannego) już po finiszu kampanii wyborczej. W sobotę przedwyborczą („dzień ciszy”, kiedy nie wolno agitować) TVP emitowała neutralne rzekomo hasło: „**Idź na wybory - zmień Polskę**”. Elektorat zmienił więc Polskę - zdymisjonował PiS, promując Salon.

### 3. Zawężony elektorat

Winą PiS - u było przedwyborcze zawężenie sobie elektoratu. Zawężenie wielostronne. Bazowa niedoróbka to fakt, że PiS w swej kampanii wyborczej zbyt kokietało ludzi już do siebie przekonanych (prawicowców, antysalonowców, konserwatystów, tradycjonalistów, którzy i tak głosowaliby „na Kaczyńskiego”), zaniehbując wyborców, których dopiero trzeba było przekonać. Partia Kaczorów zaniehbowała młodzież, zaniehbowała inteligencję, zaniehbowała duże miasta, zaniehbowała klasę średnią i biznesmenów. Postawienie na wieś i na małe miasteczka okazało się strzałem chybnym, bo tym razem prowincja miała kiejską frekwencję wyborczą, gdy duże miasta rekordową. Słowem: elektorat wielkomięjski (inteligenci i biznesowi) dominował, zaś chłopski i małomiasteczkowy ustępował.

Według analityków - programowe utracenie przez PiS elektoratu inteligentkiego wpisywało się w ogólną kontrinteligentką filozofię braci Kaczyńskich. Andrzej Waśko (2007): „Kierownicze gremia PiS - u z góry założyły, że w środowisku inteligencji, zwłaszcza humanistycznej, nie mają partnerów do współpracy. Wydaje się, że rezygnacja z próby nawiązania takiej współpracy była pomyłką rządu Jarosława Kaczyńskiego”. Bokiem wyszedł PiS - owcom także termin „wykształciuchy”, którym wicepremier Ludwik Dorn potraktował półinteligentów, lecz inteligenci wzięli to do siebie równie mocno, co inne grupy wzięły inne epitety Dorna (lekarze - „w kamasze”, fotoreporterzy - „ścierwojady”, etc).

Przedsiębiorców i bankowców wystraszyły natomiast spoty wyborcze PiS - u („- Mordo ty moja!”), bo wzięto je za groźbę wobec

prób mnożenia majątku, lub wobec chęci awansu społecznego dzięki pieniądзом. Ze strony Kaczyńskich było to wabienie elektoratu ubogiego (Dorn: „- Mobilizowanie «biednych» przeciw «bogaczom» stanowiło potężny błąd, który kosztował nas jakiś milion głosów”, 2007). Premier Kaczyński twierdził, że chodzi mu o „zwyčajnych ludzi”. Publicyści lewicowego pisma „Angora” tak wykpiłi ten żargon (2007): „Kaczyński w szale schlebiana moherom oświadczył, iż jest po stronie zwyčajnych ludzi, że salonem się brzydzi i nigdy do niego nie trafi. Szkoda tylko, że ten najlepszy z premierów nie zdefiniował kto zacz człowiek zwyčajny. Czyżby to był człek, który nie ma prawa jazdy, nie ma konta, nie ma oszczędności, chociaż zarabia od wielu lat co najmniej 15 tys. zł miesięcznie, nie ma domu, nie ma żony, nie ma dzieci i od 58 lat siedzi na garnuszku mamusi ? To jest zwyčajny człowiek? Nie! To jest zwyčajna niedorajda i nieudacznik, który słusznie nie pcha się na salony, bo tam spotykają się ludzie myślący, kreatywni, odnoszący sukcesy”.



Wytknięte w tym cytacie „schlebiana moherom” oznaczało schlebianie słuchaczom Radia Maryja. Bracia Kaczyńscy, wbrew swym lustracyjnym ciągotom, zignorowali fakt, że ksiądz Rydzyk wspiera różnych esbeckich kapusiów (Wielgus e tutti quanti), także zatrudnia ich lub reklamuje (Szaniawski e tutti quanti). Przymknęli - „dla dobra sprawy” -

ucho i oko. Stali się tym samym zakładnikami Tadeusza Rydzyka, który dał im swój elektorat religijny jako elektorat polityczny (wyborczy). Jarosław Flis (2007): „Radio Maryja stało się kluczowym kontrapunktem w tej kampanii wyborczej. Z jednej strony bardzo pomogło PiS, lecz w ostatecznym rachunku dużo bardziej zaszkodziło”. Wrogowie toruńskiej rozgłośni apelowali do elektoratu internetowo: „Nie rydzycuj!”.

Z internetu korzystała wyborczo głównie młodzież. Masowo zwoływano się SMS - ami przeciwko PiS - owi - tak masowo, że prawicowi publicyści (Stanisław Michalkiewicz, Zdzisław Kościelak) wyrazili opinię, iż spontaniczność nie miała tu miejsca, była to planowana akcja Salonu. PiS odpuściło sobie agitowanie młodzieży, więc młodzież od-



puściła sobie PiS wyborczo, głosując na Platformę (również młodzież emigracyjna). I ta właśnie młodzież (wielu pierwszy raz poszło do urn) przegłosowała tym razem starych. Rozwścieczony Piotr Lisiewicz zgromił ją na lamach „**Gazety Polskiej**” (2007), cytując piosenkę grupy Dezerter „**Polska złota młodzież**”:

*„Łatwa muzyka i debilne słowa,  
Oto polska młodzież zwarta i gotowa.  
Listy przebojów, fascynacja kiczem,  
Oto polska młodzież, która jest niczym.  
Polska złota młodzież, kłótliva i słaba.  
Polska złota młodzież, krzykliwa i głupawa.  
Wódka, kurewki, dyskoteka, szkoła,  
Oto polska młodzież, spokojna i wesola.  
Brudna i śmierdząca, albo czysta i schludna,  
Wielka żywa masa, tępa i obłudna.  
Myśląca bezpiecznie, bo tak wytresowana,  
Polska złota młodzież wykończy się sama”.*

#### 4. Krótka lawka

Gdy minął rok rządów PiS - u i coraz oczywistsze były jego zaniechania tudzież błędy - opublikowałem w „**Gazecie Polskiej**” (październik 2006) felieton pt. „**Władza zjada**” (przedrukuję go na końcu książki, str. 282). Jednak już pół roku wcześniej machnąłem tam felieton pt. „**Krótką lawką**”, mówiąc jasno, że wiele spraw idzie źle przez brak rezerw - przez niedostatki kadrowe PiS - u. Partii tej brakowało rozumnych ludzi do obsady stanowisk nie tylko prowincjonalnych czy administracyjnych, lecz także rządowych, ministerialnych. Stąd zatrudnieniowa „*łapanka*” (dwa lata później powtórzyła to Platforma), przynosząca nierzadko efekty kompromitujące, bo wbrew deagenturyzacyjnemu antykomunizmowi Bliźniaków - angażowano do władzy ludzi z czerwoną lub esbecką przeszłością, exemplum Jasiński, Kornatowski, Kaczmarek i Zyta Gilowska, którą premier Kaczyński hołubił zawzięcie mimo jej esbeckiego ubabrania. Stara metoda kadrowa „*to sukinsyn, ale nasz sukinsyn*” - nie podobała się wielu wyborcom. Ci zde gustowani dziwili się również, gdy trzy dni przed wyborami (październik 2007) redaktor naczelny „**Gazety Polskiej**”, To-

masz Sakiewicz, ogłosił, że „PiS i LiD łączą wspólne interesy” (sic!). Te doraźne wspólne interesy PiS - u z geremkowcami i komuchami źle się przełożyły na urny wyborcze - źle i dla LiD - u, i dla PiS - u.

Kiepska polityka personalna PiS - u obejmowała również zwykłe sekciarstwo (preferowanie tzw. „zakonu PC”). Każdy baron partyjny miał „znajomych królka”, i tą sitwą obsadzano każde stanowisko. Jak mierni byli to ludzie, pokazały rozmaite skandale indolencyjne i lapsusowe, exemplum wpadka stołecznych struktur partii ze zbieraniem podpisów dla Jana Olszewskiego mającego kandydować do Senatu, czy wywieszanie, już po przegranych wyborach, PiS - owskich billboardów z napisem: „POLSKA NA DOBREJ DRODZE” (sic!).

## 5. Kulawa ekonomia

Podczas kampanii przed wyborami 2005 roku PiS obiecywało 3 miliony mieszkań, setki kilometrów autostrad, uzdrowienie gospodarki, reprivatyzację, głębokie reformy, radykalne obniżenie podatków itp. Nic z tego nie zostało zrealizowane, fiskalizm zaś brutalnie wzrósł (PIT, CIT, VAT, akcyza, plus prawie 500 różnego rodzaju danin publicznych). Miast obniżyć bariery dla przedsiębiorców, flirtowano prowymuszowo ze związkami zawodowymi. Nie dokończono reformy emerytalnej, nie ograniczono megamonopoli (Poczta Polska, TP SA) i długu publicznego, nie zniesiono barier hamujących rozwój budownictwa, zwiększano wydatki publiczne, itp., itd.

Równocześnie cały czas trąbiono o sukcesie gospodarczym, dowodząc tego cyferkami statystyk. Damian Leszczyński (2007): „PiS dowodziło ludziom danymi statystycznymi, że teraz dopiero wszystkim żyje się wspaniale. A ludzie nie patrzą na średnie statystyczne, tylko na to jak żyje im się naprawdę”. Rzeczywistość skrzeczała - wskutek szalejącej nędzy aż 2 miliony rodaków uciekły z Polski „za chlebem” podczas rządów PiS (prezydent Ekwadoru, Rafael Correa: „Każda wielka emigracja, będąca narodową tragedią, to rezultat złej polityki gospodarczej”). Prasa drukowała listy zarobkowych emigrantów, jak ten Łukasza Reszki (2007): „Prezydent RP, a także jego brat, chwała się malejącym bezrobociem, poprawą bytu Polaków... Ludzie! Bezrobocie spadło, bo MY wyjechaliśmy! Teraz musicie ściągać Chińczyków, żeby budowali w Polsce!”. Specjalistyczne sondaże przedwyborcze dla PiS - u, mówiące o bardzo krytycznym stosunku społeczeń-

stwa do realizowanej polityki ekonomicznej, zostały przez partię zlekceważone. Emigranci zarobkowi głosowali wbrew Kaczorom, mszcząc się za to, że bieda wyrzuciła tylu ludzi poza kraj.

## 6. Centralizm - etatyzm - biurokratyzm

Cytowany wyżej Łukasz Reszko pisał z Irlandii również o innych problemach (2007): *„Irlandczycy nie utrudniają sobie życia, w przeciwieństwie do obowiązujących w Polsce systemów. Tutaj, przykładowo, kupując samochód nie spisuje się żadnej umowy, a jedynie płaci właścicielowi, który daje ci kluczyki i auto jest twoje (...) Nie ma zbędnej biurokracji. Nie musisz starać się o nowe tablice za każdym razem kiedy kupujesz auto, zmieniasz adres itp.”*. Poruszony tu problem dotyka kluczowej obietnicy przedwyborczej PiS - u w roku 2005. Kaczyńscy obiecywali wtedy społeczeństwu „tanie państwo”. To potanie państwa miało być zrealizowane dzięki radykalnemu ograniczeniu zbędnej administracji i biurokracji. Tymczasem koalicja PiS - Samoobrona - LPR monstrualnie rozděła administrację - biurokrację, co fachowcy zwą „*etatyzacją*”, i co było ogromnym podrożeniem państwa. Przy czym zwiększone (i to jak!) koszty maszyny państwowej nie szły w parze ze zwiększeniem jej wydajności - państwo (służba zdrowia, nauka, szkolnictwo itp.) funkcjonowało dychawicznie. Dariusz Rosiak pisał przed wyborami 2007: *„Aparat państwowy razi nieudolnością, w bajki o «tanim państwie» nikt już nie wierzy (...) Kaczyńscy kontynuowali zapoczątkowane przez poprzedników dzieło niedopuszczenia do budowy bezpartyjnego korpusu służby publicznej”*.

Bliźniacy mają alibi dubeltowe: obciążenie złymi koalicjantami i niepokonywalny opór materii w postaci lobby urzędniczego (notabene, nie dali rady złamać żadnych feudalno - bandyckich struktur korporacyjnych, czyli monopolistycznych „*grup interesów*”: prawniczej, sądowej, taksówkowej, akademickiej, naukowej, ordynatorskiej, komorniczej etc). Przez to Polska jest wciąż krajem, gdzie łapówka oraz „*interpretacja*” (uznaniowość) znaczą więcej niż litera prawa.

## 7. Lekceważenie Dekalogu

Marszałek Marek Jurek zrezygnował z członkostwa w PiS - ie i z sejmowego stanowiska, bo nie chciał akceptować mordowania poczętych istot. Wielu katolickich wyborców zrezygnowało z głosowania na PiS

dla tego samego powodu. Prezes Stowarzyszenia Kultury Chrześcijańskiej, Sławomir Olejniczak (2007): „Dwa lata, które mijają od ostatniej kampanii wyborczej do Sejmu, pokazują coraz bardziej obłudę wielu polityków PiS, którzy instrumentalnie potraktowali katolickich wyborców, wyłącznie dla zdobycia władzy, nie spełniając nic ze swoich przedwyborczych obietnic (...) Z przedwyborczych deklaracji PiS zatytułowanych **«Katolicka Polska w chrześcijańskiej Europie»** nic nie zrealizowano (...) Wystarczy wspomnieć postawę liderów PiS wobec konstytucyjnej ochrony prawa do życia od poczęcia, gdzie właśnie wskutek ich politycznych matactw taki zapis nie znalazł się w konstytucji”.

Lekceważeniem Dekalogu jest również kłamliwość, mimo iż wśród Dziesięciorga Przykazań brak zakazu posługiwania się kłamstwem (jest tylko zakaz szkalowania „bliźniego swego”). Bracia Kaczyńscy, gdy nie rządzą, głośno potępiają hiperakcyzę na benzynę, ale gdy PiS dorwał się do rządów - akcyza benzynowa wzrosła mocno. Rozziew słów i czynów nie idzie w parze z Dekalogiem i z estradowym moralizowaniem. Elektorat to widzi. Szczęściem dla Kaczorów jest fakt, iż platformersi jeszcze bardziej lżą.

#### **8. Bessa prezydencka**

Do klęski PiS - u A.D. 2007 mocno się też przyczyniły niskie notowania prezydenta Lecha Kaczyńskiego (55 - 75% społeczeństwa źle ocenia tę prezydenturę). Salon ma używanie mogąc cytować idoli mas, gwiazdorów kopiających pana prezydenta; exemplum bramkarz Artur Boruc (2008):

- Jeśli tacy ludzie mają jeździć na mecze, wolę grać przy pustych trybunach.

Tymczasem Lech Kaczyński nie jest bardzo złym prezydentem, chociaż błędy popełnia („nobody's perfect”), bo tylko nierób nie robi błędów. Ma wpadki tak w polityce wewnętrznej, jak i zagranicznej (nie dopilnował wpisania „mechanizmu Joaniny” do unijnego traktatu, czym bezzwłocznie przekreślił własny sukces; łotewską panią prezydent strofującą pouczał jakie winna mieć Łotwa stosunki i granice z Litwą!; etc). Jednak nie błędy są przyczyną katastrofy sondażowej prezydenta, tylko jego tragiczna (ściślej: tragikomiczna) niemedialność (ściślej: nietelegeniczność). Andrzej Falski (2008): „Misiowaty

*i belkotliwy Lech K.*”. Każde wystąpienie telewizyjne prezydenta, z recytatorsko - deklamatorskim mruczandem, z seplenieniem przez panicznie kureczowe wargi, z łapkami Gucia - Pucia trzymanymi przed sobą w manierze prymuski szkolnej - zwała miliony widzów pod stół wskutek śmiechu. Bazowo jest to takie a nie inne genetyczne ustrojstwo, taka a nie inna konstrukcja psychofizyczna, biologia, ale częściowo też idiotyczne doradztwo spinsztabu prezydenckiego. Jednak czy lepsze doradztwo zmieniłoby sytuację radykalnie? Sylwester Chruszcz (2008): *„Lech Kaczyński to mission impossible każdego spin doktora”*.

Misiowatość i belkotliwość rozśmieszają zwykłą gawiedź, a elitę rozśmieszają język, ergo retoryka, leksyka, gramatyka - po ludzku mówiąc: zła polszczyzna lokatora pałacu. Już nawet nie chodzi o to, że notorycznie - komicznie przekręca nazwiska cudzoziemców (gdy ich bez sensu dekoruje lub gdy im bez sensu nadaje polskie obywatelstwo - te bezsensowności to osobny problem!). Chodzi o piruety gramatyczne polszczyzny Bliźniaków. Z cudzoziemszczyzną jest u nich lepiej, bez wpadek, bo Bliźniacy nie znają żadnych języków obcych, podobnie jak Wałęsa. W dzisiejszych czasach brak już takich prezydentów i premierów, nawet na Czarnym Lądzie, nasi są więc unikatem. Muzyk Maciej Maleńczuk (2008):

- Wstyd mi za Lecha Kaczyńskiego. Jedzie za granicę i siedzi jak kolek ze słuchawką w uchu, bo nie zna słowa w żadnym języku.

Sławistka z Uniwersytetu Rice (Houston, Teksas), Ewa M. Thompson (2008): *„Fakt, że obecne polskie elity doszły do władzy - by tak rzec - w dzinsach i wiatrówkach, stojąc na przystankach tramwajowych lub jedząc hamburgery w barze szybkiej obsługi, tłumaczy w dużym stopniu fatalny brak dobrych manier (nie mówiąc już o dyplomatycznej oglądzie) prominentów polskiej centroprawicy. Ich wpadki retoryczne są o wiele częstsze niż na lewicy wychowującej dzieci z myślą o stanowiskach, na które zostaną powołane w przyszłości. Powiedział mi to na początku lat 90. premier Jan Olszewski, i jego słowa są w dalszym ciągu aktualne. Istnieją oczywiście chwalebne wy-*



*jątki. Ale ogólnie rzecz biorąc, w Polsce głównie lewica ma doświadczenie na forum publicznym. Prawica nie umie argumentować, nie ma dostępu do międzynarodowych środków przekazu, nie mówi swobodnie językami innymi niż polski, i ma niewiele koneksji”.*

Swobodne mówienie językiem polskim nie oznacza mówienia poprawnego. Blizniacy często kaleczą polszczyznę, a to odpycha od nich inteligencki elektorat; grzeszy tu szczególnie Jarosław Kaczyński. Fatalnie zaczynał („ - *Idzie Czwarta Rzeczypospolita!*” - po wyborach 2005) i brzydsko kończył („ - *Nie daliśmy radę*” - pierwsze słowa po wyborach 2007). Próby korygowania jego fatalnej polszczyzny (próbowałem to czynić dwoma felietonami) budzą tylko złość adresata. Nic dziwnego, że jego wyborcze hasło billboardowe „*Zasady zobowiązują*” zostało przez internautów przedrzeźnione manierą jego artykulacji: „*Zasady zobowiązujom*”. Taka zła polszczyzna (obok kiepskiej erudycji) jest, niestety, przywarą licznych baronów PiS - u, by wymienić Zbigniewa Ziobrę („ - ... *panu Donaldu Tusku*”) czy Przemysława Gosiewskiego („*filipinki*”, zamienione później na równie idiotyczne „*filipki*”).

## **9. Debata frustrata**

Przedwyborcza debata telewizyjna między Donaldem Tuskiem a Jarosławem Kaczyńskim zadała PiS - owi ciężki cios, gdyż była kaczym Waterloo, klęską wodza PiS - u. Przyznali to wszyscy komentatorzy, również sympatycy tej partii. Piotr Semka (2007): „*Debata Kaczyński - Tusk była punktem zwrotnym kampanii. Premier, ostro atakując PO, wskrzesił swój najgorszy wizerunek - neurotycznego kłótnika*”. Marek Migalski (2007): „*Największą wpadką całej kampanii wyborczej Prawa i Sprawiedliwości była nieoczekiwana porażka Jarosława Kaczyńskiego w debacie z Donaldem Tuskiem. Wpłynęła demobilizująco na sztabowców i działaczy PiS, oraz, co ważniejsze, odbiła się na poglądach wyborców tej partii. Zobaczyli oni bowiem swojego charyzmatycznego przywódcę jak jest bezlitośnie obijany (...) To musiał być prawdziwy szok dla tej części elektoratu*”. Eryk Mistewicz (2008): „*Podczas telewizyjnej debaty runął mit potężnego szeryfa Jarosława Kaczyńskiego*”. Małgorzata Subotić (2007): „*Punktem przelomowym walki o dusze wyborców była debata Tusk - Kaczyński. Prezes PiS poszedł na nią kompletnie nieprzygotowany*”.

Premier Kaczyński nie tylko dlatego wystąpił kompletnie nieprzygotowany, że zlekceważył Donalda Tuska, ale również dlatego, że sztabowcy PiS - u popełnili głupi błąd: dzień wcześniej ściągnęli swego wodza na prowincjonalny wiec w Ciężkowicach, gdzie się zmęczył i do tego przeziębził! Jeszcze gorszy błąd zrobili przyjmując propozycję szefa TVP, Andrzeja Urbańskiego, by „zawodnikom” towarzyszyła publiczność, sympatycy polityków. Publiczność Kaczyńskiego zachowywała się kulturalnie (cicho); publiczność Tuska ryczała, skandowała, niewybrednie wyszydzała premiera, co denerwowało go tak bardzo, iż epitet dany mu przez wrogów - „*frustrat*” - miał żywą ilustrację (Mistewicz: „*Zadecydowało wprowadzenie z równowagi premiera przez osoby usadowione za nim, profesjonalnie do tego przygotowane*”). Zadecydowały również dwa drobne, lecz feralne dla Kaczyńskiego przedmioty: okulary (na początku) i pistolecik (blisko końca). Adam Łaszyn (2007):

- Na samym początku debaty Kaczyński miał kłopot z otwarciem etui do okularów. Tu już padały pytania, a on męczył się z tym pudełeczkiem. Nie mógł otworzyć, a potrzebował okularów, żeby skorzystać z niewielkiej teczki, w której miał swoje materiały. Był kompletnie rozbity przez to mocowanie się. W ciągu pierwszych minut ludzie wyrabiają sobie zdanie o występujących, potem już trudno to zmienić. Te pierwsze minuty pokazały, że Jarosław Kaczyński nie jest tytanem, lecz starszym człowiekiem, który nie potrafi sobie poradzić z etui do okularów.

Schyłkowe minuty ukazały wszakże inną (dziecinną) sylwetkę premiera. Tusk wypomnił Kaczyńskiemu, że kiedyś ten wyjął w windzie mały pistolet i straszył nim Tuska na żarty. Kaczyński zaprzeczył, ale cała Polska rozumiała, że kłamie, Tusk nie mógł czegoś takiego wymyślić (zresztą aferka ta była upubliczniona już 15 lat wcześniej, A.D. 1992). Wielu mężczyzn przed telewizorami pomyślało sobie: jakim gówniarzem trzeba być, żeby popisywać się (wymachiwać i grozić w windzie) prawdziwym pistoletem dla szpanu? Dużej liczbie tych mężczyzn odechciało się głosować na Kaczora.

#### **10. Baby, ach te baby!**

Wreszcie - „*last but not least*” - kobiety. Wpływ damskiego elektoratu jest przemożny - wybierają przystojniejszych, szczuplejszych,

wyższych, uważając anatomię (zewnętrzność) za główną predyspozycję polityczną. I nie zawsze glosują na kobiety. Exemplum Nelly (Nelli) Rokita. Zdumiewający babus. Trzeba było dopiero upublicznić Nelly Rokitę, żeby ludzie zobaczyli, iż Jan Maria Rokita to idiota. Premier Kaczyński postanowił zrobić tę damę wyborczym żeńskim logo PiS - u, co nie było koncepcją najlepszą. Profesor Jadwiga Staniszkis (2007): „*PiS straciło głosy nie tylko młodych, ale i kobiet - przede wszystkim popełniając kolosalny błąd lansowania pani Nelly Rokity, osoby o rozbuchanych ambicjach, lecz niewielkim potencjale (...) Kobiety zareagowały na Nelly Rokitę alergicznie*”.

Problemem wyborczym PiS - u stały się również dwie panie Kaczyńskie - matka Bliźniaków i małżonka prezydenta Kaczyńskiego. Specjalista od kształtowania wizerunku, Piotr Tymochowicz (2007):

- Większość polityków dla doraźnych korzyści sprzedaby własną matkę. Gdy małżonkę pewnego bardzo ważnego polityka obrzucono błotem, skończyło się to udawaniem, że nic się nie stało.

Tymochowicz przypomniał tu, że boss Radia Maryja skłął panią prezydentowa („- *Ty czarownico!*”, itp.), a Kaczyńscy udawali, że to nie ślina, ino deszcz - zignorowali obelgę, gdyż wojna z Rydzykiem odebrałaby PiS - owi „*toruński elektorat*”. Prezydentowa Maria Kaczyńska nie spodobała się rozmaitym szeregom elektoratu, które źle znoszą lewackość tudzież feminizm. Sekret jej poglądów zdradził Jan Rokita w wywiadzie dla „**Rzeczypospolitej**” (2007):

- Jest tajemnicą poliszynela, że pani prezydentowa ma poglądy feministyczne i bardzo mocno lewicowe. Te poglądy nie były szerzej znane opinii publicznej. Ja wiedziałem od bardzo wielu lat, że jest typową feministką.

Dlatego michnikowszczyzna kocha panią prezydentowa, choć nie kocha pana prezydenta. „**Gazeta Wyborcza**” chwaliła ją piórem Marcina Wojciechowskiego (2008): „*Ma bardzo rozsądne, znacznie bardziej liberalne od męża poglądy*”. Salon uwielbia również - za to samo, za „*liberalne poglądy*” - matkę premiera i prezydenta, Jadwigę Kaczyńską, autorkę biografii wolnomularza Lipskiego, wieloletnią pracownicę Instytutu Badań Literackich (IBL) Polskiej Akademii Nauk, która to placówka zawsze stanowiła redutę Salonu, wedle antysalonowców: czerwono - różową jacejkę wewnątrz polskiej kultury. Świadomość tego faktu zniechęciła niektórych pravicowców do PiS - u.



Negatywną dla PiS - u rolę odegrały też dwie kobiety uwikłane prokuratorsko: Barbara Blida i Beata Sawicka. Blida popełniła samobójstwo, kiedy mundurowi przyszliz ją aresztować za związki z „*mafia węglową*”. Tę śmierć wrogowie PiS - u (platformersi i komuchy) wykorzystali cynicznie przeciw Bliźniakom, chociaż raczej zdają się mieć tutaj ludzie twierdzący, iż akt samobójczy był aktem przyznania się do winy (Janusz Korwin - Mikke: *„Samo to, że pani Barbara Blida chwyciła pistolet i się zastrzeliła, jest dowodem dostatecznym! Kobiety w ogóle rzadko popełniają samobójstwa z takich powodów - więc tu musiały być naprawdę bardzo poważne*”, 2007). Strzał Blidy, nagłośniony w kampanii wyborczej, przyniósł PiS - owi pewne szkody, jednak były one drobne wobec szkód, które inna kobieta wlepiła Kaczorom za pomocą płaczu rzewnego. Sawicka.

Beata Sawicka (członkini Rady Krajowej PO, pracująca w trzech sejmowych komisjach) została sfilmowana przez Centralne Biuro Antykorupcyjne jak bierze solidną łapówkę i jak żąda jeszcze większej „*doli*” („- *Kurwa mać, tyle mam układów!...*”, itd.). Platformersi, widząc, że to aresztowanie może przynieść Tusкови wyborczy kłopot, „*odwinęli*” konferencją prasową, podczas której łapownicza, ekstatycznie szlochając i mdlejąc, przysięgała, że niecny prowokator, agent CBA, erotycznie ją uwiódł, i błagała braci Kaczyńskich, by jej „*nie zabijali*” (sic!). Żeński elektorat miał wilgotne ślepka oglądając relację telewizyjną i wściekł się na Kaczorów. Zdzisław Krasnodębski (2007): *„Gdy Platforma zręcznie zagrała na sentymentach i nastrojach, wysyłając przed kamery telewizyjne płaczącą i błagającą o litość posłankę Beatę Sawicką, ofiarę rzekomego uwodziciela z CBA, wzmocniła negatywne nastawienie części polskiego społeczeństwa wobec PiS”*. Janusz Czapiński (2007): *„Trzeba przyznać, że był to mocny obrazek, który ukazał PiS jako partię bezwzględną, cyniczną, która jest w stanie niszczyć ludzi, w dodatku za pomocą tajnej policji, której Polacy, bardzo dobrze pamiętający PRL, po prostu nie akceptują”*.

Tak więc łzawa telenowela wyborcza, TV - martyrologia urządzona przez PO nie dla wulgarnej kryminalistki, będącej platformianą łapownicą, tylko dla platformianej szansy elekcyjnej - odniosła duży skutek. Mimo że była jawną hecą. Szybko się bowiem okazało, że platformiani dziennikarze TVN (realizatorzy hecy), wiedzieli, iż Sawicka łkając zemdleje przed kamerami, dlatego pod Sejmem czekała przy-

gotowana do spektaklu karetka pogotowia. „**Rzeczpospolita**” (2007): „*Było to wyreżyserowane przedstawienie - wygadał się dziennikarz TVN, Andrzej Morozowski*”. Przedstawienie miało tak drobiazgowy scenariusz, że kiedy szlochająca posłanka była już gotowa zemdleć, zdążyła jeszcze palnąć coś własnego:

- A teraz proszę pozwolić mi powiedzieć coś od siebie.

Pikne. Gabinet „*kaczystowski*” zmiotło łzawe tsunami zdeprawowanego babusa.

Sumując: zbyt wielu byłych sympatyków PiS - u zostało w domu, miast pójść do urn - zbyt wielu, aby PiS mogło znowu zwyciężyć. PiS - owcy przegrali „*na własne życzenie*”. Salonowa mitologia pięknej PO nie miała tu znaczenia, Platforma bowiem - postuwecki wykwit michnikowszczyzny - nie jest piękną królową (odczarowaną ekszabą). Mitologizowana przez Salon tak, jak propaganda PRL - u uwznioślała PZPR - jest zwykłym partyjnym obrzydlistwem, kropka. Fachowe zmobilizowanie wielu wrogów PiS - u plus elekcyjna absencja wielu rozzarowanych zwolenników PiS - u - zadecydowały.

11

## Mit nieważności donosicielstwa



„Rozgrzeszenie” w dziele Cesare Ripy „Ikonomia” (drzeworyt, 1603)

Czy można unieważnić donosicielstwo? Usprawiedliwić czymkolwiek denuncjowanie kolegów, familiantów i ludzi mniej lub bardziej znajomych? Bronisław Wildstein (2007): „*We wszystkich kulturach donosicielstwo traktowane jest jako czyn ohydny*”. Błąd, panie Wildstein - nie we wszystkich. W kulturze priwiślińskiego Salonu „*czynem ohydny*” jest ujawnienie donosiela, a konsekwencją tej diagnozy jest traktowanie zdemaskowanego jako męczennika.

„Męczennikami” to oni wszyscy byli już za PRL - u, bo esbecja od lat 60 - ych rutynowo „*legendowała*” swoich konfidentów, ergo: uwiarygodniała represjami cenzuralnymi i innymi (tak jak w latach 80 - ych

internowaniami i więzieniami, według tradycyjnej recepty StaSi oraz KGB). Exemplum popularny pisarz dla młodzieży, Aleksander Minkowski (TW „Zalewski”), którego rodzinie odmawiano paszportów, a jemu samemu rekwirovano na granicy bezdebitowe książki, dzięki czemu mógł grać środowiskowo męczennika i dalej sypać setki osób, notabene bardzo intymnie (rasa, seks plus inne pikantności towarzyszące politycznościom). Wróćmy wszakże do wątku aktualnego - wątku lustrowania i nieważności donosicielstwa.

Od momentu demaskacji polski kapuś gra dzisiaj rolę ofiary zwyrodnialców (lustratorów), którym „*polowanie na czarownice*” daje sadystyczną przyjemność. Mitologia martyrologizująca i wybielająca konfidentów SB - zwłaszcza tych z kręgu kultury (twórczej i akademickiej) oraz z kręgu kruchty - stała się agresywną doktryną polskiego Salonu, kolejnym mechanizmem anty lustracyjnym, zmierzającym do zahamowania deubekizacji i do zamknięcia (lub przynajmniej spacyfikowania) Instytutu Pamięci Narodowej (IPN - u).

Szerokim kręgiem społeczeństwa polskiego michnikowszczyzna wmawiała od lat (głównie piórami byłych agentów SB, jak Maleszka, Bortnowska, Szczypiorski, Czajkowski e tutti quanti), że lustrowanie jest krzywdzeniem, a lustracja to trąba powietrzna katująca Rzeczpospolitą. Tymczasem - wbrew powszechnemu osądowi - rodzima lustracja ma mizerny zasięg i nie wyławia najważniejszych esbeckich konfidentów. Z kilku przyczyn. Raz, że „*poprawki*” prezydenta Lecha Kaczyńskiego bardzo zaszkodziły ustawie lustracyjnej, a Trybunał Konstytucyjny lustrację zakwestionował. Dwa, że sądy polskie notorycznie oczyszczają delatorów, nawet wówczas, gdy dowody (rękopisy raportów, pokwitowania etc.) są bezsporne (exemplum casus Mariana Jurczyka, TW „*Świętego*”). Trzy, że zeznający przed trybunałami oficerowie SB podjęli ochoczo grę Salonu i jednogłośnie przyznają, że fałszowali dokumenty (zarówno sędziowie, jak i „*świadkowie*” wiedzą, że to nieprawda, i że grają role w farsie, ale taka jest koncepcja scenariuszowa tych przedstawień; „**Wprost**”: „*Działa układ: ofiary nie rozliczają swoich katów, a ci nie kompromitują swoich agentów*”, 2007). Cztery, że istnieje tzw. „*zbiór zastrzeżony IPN*”, gdzie są dane osobowe najbardziej wpływowej agentury MSW, której dekonspirowanie blokują dziwaczne (salonowe) paragrafy ustawy o powołaniu IPN i wewnętrzne przepisy lustratorskiej instytucji. Wreszcie piąte: nie wolno

dekonspirować żadnych esbeckich TW, którzy kontynuują działalność jako tajni agenci „służb” III RP. Efekt wszystkich tych pięciu „okoliczności przyrody” jest klarowny - Jan Piński (2008): „*W Polsce większość tajnych współpracowników służb PRL, czynnych obecnie w mediach, biznesie czy polityce, pozostała niezdemaskowana*”; Bronisław Wildstein (2008): „*Można się tylko zastanawiać, jakie konsekwencje dla niepodległej Polski ma fakt, że tych ludzi nigdy nie rozliczono. Wielu z nich robi dziś wielkie kariery*”. Dziejopis Kazimierz Władysław Wójcicki pisał już prawie dwa stulecia temu o takich blaskomiotnych karierach („**Szpieg w orderze**”):

*„Co to za losów zbieg,  
W orderze chodzi szpieg,  
Choć nieraz dostał w pysk,  
Bo taki szpiegów zysk.  
Ten co ci order dał,  
Każe ci biegać w cwał,  
Od tegoś cały zsechł,  
Bodajeś prędko zdechł”.*

Dla dzisiejszego czytelnika (zwłaszcza młodego) terminologia tych rymów może być myląca, bo słowo „szpieg” oznacza dzisiaj coś innego - - pracownika wywiadu, który szpieguje przeciwników. Lecz w XIX stuleciu terminem „szpieg” piętnowano donosicieli okupanta, konfidentów zaborcy, renegackich kapusiów - „szpieg” oznaczał to samo, co dzisiaj TW („*tajny współpracownik SB*”). Wśród polskich „szpiegów” minionych epok nie brakowało prozaików (Kaczkowski), poetów (Odyniec), antykwariuszy (Bałaszewicz vel Potocki) i publicystów (Brzozowski), zaś generalna różnica między dawnymi czasy a współczesnością polega na tym, że dawniej każdego zdemaskowanego konfidenta wyrzucano z kulturalnego towarzystwa ja-

„Szpieg” w dziele Cesare Ripy  
„Ikonomia” (drzeworyt, 1603)



ko zdrajcę, czyli szczególnie groźnego przestępcę, i było to wyklęcie dożywotnie, co dzisiaj nie ma miejsca - dzisiaj postępowy Salon hołubi kapusiów, przytula i współczuje im jako ofiarom reakcyjnej, bestialskiej nagonki. Wedle tej doktryny - delatorstwo przestało być ciężkim grzechem i skrajną nikczemnością, awansowało do grona lekkich grzeszków, które trzeba wybaczać, kwitując istotę rzeczy wzruszeniem ramionami. Czyż papież Jan Paweł II nie nakazał wybaczać każdemu? - pyta ateistyczny Salon, i patrzy lustratorom w oczy z wyższością quasi - watykańską, ledwie powstrzymując szyderczy śmiech. Fakt, nie da się ukryć, że JP II kazał wsiem wsio wybaczać, był apostołem miłosierdzia totalnego i, niestety, bezwarunkowego, gdy tymczasem pierwszy lepszy ortodoks katolicki, choć pamięta Pismo Święte („*Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią*”) - pamięta też naukę świętego Tomasza z Akwinu („*Nie może być miłosierdzia bez sprawiedliwości*”) i stawia twardy warunek: niech winowajca okaże skruchę, wtedy będzie mu można wybaczyć!

Skruchę? Mea culpa? Po co? - i bez skruchy każdy konfident SB należący do lepszego towarzystwa (salonowego lub kościelnego) zostaje „wybaczony”, wybielony, wychuchany, więc nosi dumnie swe laury, order i koronę cierniową męczennika. Nikt (prócz „*łowców czarownic*” i „*faszystów*”) nie wypomina mu świniowatej przeszłości - cnotą jest salonowa amnezja cechująca „*ludzi świątłych*”, identycznie jak dawniej ludzi z klasą cechowała kurtuazja, artystów finezja, zaś odszczepieńców herezja. Tę amnezję salonowców można zresztą dostrzec we wszystkim co mówią i piszą o peerelowskiej przeszłości swojej i cudzej - robią to uprawiając charakterystyczną selektywność. Potrafią smażyć całe kolumny o chwale Jarosława Iwaszkiewicza, nie zająknąwszy się nawet o jego serwilizmie wobec reżimu. Stawiają wielostronicowe pomniki Miłoszowi, udając, że nie znają jego antypolskich (antypatriotycznych, anty akowskich, antychrześcijańskich etc.) wynurzeń. Pieją tasiemcowe dytyramby o Jerzym Giedroycu, milcząc na temat roli homoseksualizmu w działalności lewicującego ata-



mana Maisons - Laffitte. Hagiografują Leszka Kołakowskiego jako genialnego filozofa, wycierając gumką pamięci całe dekady chamskiego komunizmu tego idola. Notabene - Kołakowski ułatwia robotę swym apologetom, na starość bowiem zaczął skłaniać się ku... konserwatyzmowi (tak, tak! - od marksizmu do konserwatyizmu identyczny krok jak, parafrazując Napoleona: od śmieszności do wzniosłości) i ku duchowości parareligijnej, quasi - metafizycznej, bliskiej Bogu, co jest typowe dla wielu lotrów szukających alibi przed śmiercią i potrafiących swą szczwaną metamorfozę biegle tłumaczyć językiem humanisty - iluzjonisty. To już większy szacunek budzi we mnie Stanisław Lem - im starszy, tym bardziej robił się lewacki, antykościelny, kosmopolityczny, chwalał SLD i Kwaśniewskiego, jakby przed śmiercią pragnął rzucić tym salonowym radykalizmem wyzwanie Panu Bogu.

Obecny michnikowski Salon rzuca wyzwanie tępiciełom bohaterów romansu IPN - krytykom ubecji, esbecji i kooperacji. Dziś już wiadomo, że sporo dzieł (od prozy „**Popiół i diament**” Jerzego Andrzejewskiego, do filmu „**Uprowadzenie Agaty**” Marka Piwowskiego) powstało z inspiracji tudzież na zamówienie bezpieki. Bohdan Urbankowski wydał całą antologię („**Czerwona msza**”, kilkaset stron) samej poezji sponsorowanej przez UB i SB. Wielkie nazwiska - „*wielcy twórcy*” i „*autorytety moralne*”. Jak tu się gniewać na „*mistrzów*”? Czy można postponować „*autorytety*” oraz „*wielkich twórców*”? Nie można, nie wypada, nie wolno! Dlaczego? Bo to jest „*niszczenie ludzi*”, jak zawyrokowała „**Gazeta Wyborcza**” piórem Lesława Maleszki (TW „*Ketman*”), który, co prawda, zniszczył wcześniej wielu ludzi (Stanisława Pyjasa i in.), lecz guru Salonu, mocarny „*Adaś*”, przygarnął go do swej redakcji, i mimo ujawnienia (zdemaskowania) trzymał latami na etacie, by ekskonfident mógł redagować czołową gazetę Salonu i publicznie piętnować lustratorskie „*niszczenie ludzi*”, albowiem nie ma to jak profesjonalizm, vulgo: jak fachowiec zajmujący się swoją branżą. Joanna Lichocka, wzmiankując kpiąco „*miłosierdzie Adama Michnika*” tudzież serio filozofię „**Gazety Wyborczej**” („*ile kłamstwa, hipokryzji, obłudy*”), celnie ujęła stanowisko Salonu (2008): „*Zwerbowani agenci to ofiary złamane przez o p r a w c ó w , a t o , że współpracowali, nie ma znaczenia*”.

Trauma Salonu zaczęła się na dobre u schyłku wieku XX. Okazało się bowiem, że strategiczne zadanie „*palaczy*” (funkcjonariuszy

niszczących archiwa MSW) nie zostało wykonane bezbłędnie, mimo wysiłków heroicznych. Ruszyła lawina ujawnień, i zaczęły się walić wyzłocone propagandą ołtarzyki Salonu. Błyszczące osoby kruszyły się niczym chromowany gips: od „wielkiego pisarza”, pupila „Wyborczej”, Andrzeja Szczypińskiego, do „wielkiego wrocławskiego animatora kultury”, Wojciecha hrabiego Dzieduszyckiego. Co chwilę media dawały wykrzyknik: ten „mistrz” był TW, i ten również, i tamten, mamma mia! - legion! Pierwszą reakcją Salonu stały się zbiorowe „listy protestacyjne” przeciwko lustracji, czyli przeciw „niszczeniu ludzi” i „polowaniom na czarownice” (Andrzej Krauze świetnie sparodiował tę manię zbiorowych protestów - vide grafika). Drugą reakcją - upublicznienie wściekłych lub łzawych zaprzeczeń ze strony konfidentów (exemplum Małgorzata Niezabitowska, TW „Nowak”, i jej apel „Prawdy jak chleba!”, bądź coś w tym rodzaju). Trzeba było wszakże czegoś generalnie mocniejszego: strategii abolicyjno - oczyszczającej, doktryny, która dezawuowałaby ujawnienie i krytykowanie kapusia metodą kwestionowania wagi zarzutu i finalizowania sprawy miłością, znaczy miłosierdziem współczującym ofierze psychopatów (lustratorów). Że esbecy byli właściwie fajnymi ludźmi, to już wpo -





iała publice kinematografia („Psy” Pasikowskiego, „Życie na podsłuchu” von Donnersmarcka, itp.). Teraz należało wpoić analogiczny sofizmat à propos konfidentów. Uruchomiono więc mitologię nieważności donosicielstwa dla stosunków międzyludzkich. Przykłady niżej:

Znany aktor, Maciej Damięcki. Prasa ujawnia (2007), że był agentem Służby Bezpieczeństwa - TW „Bliźniakiem”. Latami donosił na kolegów. W obronie „Bliźniaka” występuje głośno inny lubiany komediant, Daniel Olbrychski, mąż znany ze swej rozumności i skromności („ - *Nauczyłem się obcych języków w łóżku, kiedy brałem w ramiona kobiety różnych nacji. To świetny sposób. Obejmujesz Japonkę - trochę uczysz się japońskiego; leżysz u boku Abisynki - poznajesz abisyński; kochasz Rosjanek - doskonalisz znajomość rosyjskiego. Miałem w ten sposób do czynienia z około czterdziestoma językami. Gdybym zebrał wszystkie dzieci z tych związków, byłaby kolorowa, całkiem pokaźna gromadka*” - wywiad dla gazety „Nowoje Izwestia”, 2007). Salon wystawia eksKmicica do boju i nasz czterdziestojęzyczny Olbrychski (któremu towarzyszy Damięcki z kochającą żoną) mówi kamerom TV, że nic a nic nie przestał lubić swego drogiego przyjaciela „Bliźniaka” („ - *To, co robił Maciej, zasługuje najwyżej na porządne wytarganie za ucho*”), współczuje mu, piętnując „*okrutny i niemoralny osąd nad Maciejem*”, pyta: „- *Czy w Polsce nie ma w tej chwili poważniejszych zadań niż szkalowanie ludzi?*”, wreszcie rozprawia się pryncypialnie z „*całą tą lustracją*”:

- Ta nagonka przypomina mi czasy PRL - u. To, co nie udało się komunie, Sowietaom, czyli rozbicie Kościoła, skłócenie środowisk, napuszczenie Polaków na Polaków, w sposób haniebny robi się dzisiaj.

Później będzie się chwalił:

- Zauważyłem tuż po programie, jeszcze w półmroku, jak obecni w studiu młodzi ludzie bili brawo na stojąco. To nic innego jak wyrażenie buntu przeciwko temu skłócaniu oraz przeciwko takim metodom lustracji.

Ale poza studium „młodzi ludzie” nie bili mu braw, tylko rozszarpali w internecie („*patentowany kabotyn*”, „*obrzydlive*”, „*kompletne skurwienie*”, „*szczyt hipokryzji*”, „*gładkie, wyćwiczone aktorsko do perfekcji kłamstwa*”, „*michnikowa histeria antylustracyjna*” itp.), zaś nieco starsi ludzie, również znani publicyści, przyłożyli mocno, exemplum Krzysztof Gottesman (2007): „*To, co mówi Olbrychski, jest nie*

*tylko głupie, ale i szkodliwe. Zbrodnie bezpieki, łamanie przez nią ludzi, ale i pospolite donosicielstwo nie były nieszkodliwą zabawą, w której wszyscy coś udawali*". No, niby tak, lecz przecież aktorstwo polega właśnie na udawaniu - estradowi komedianci zawsze udają kogoś innego: Kmiciców, Robin Hoodów, Makbetów, Hamletów, Konradów etc. Stąd TW „*Bliźniak*” może dalej spokojnie udawać w towarzystwie przyzwoitego człowieka; inni także, jak choćby popularny telenowelowy Tomasz Dedek (TW „*Papkin*”), gwiazdor wielu seriali, swego czasu również - nomen omen - „**M jak miłość**”.

Weźmy inny przykład: Michał Ronikier (TW „*Zygmunt*”), filar legendarnej krakowskiej Piwnicy pod Baranami. Media ujawniają (2008), że był konfidentem, latami donosił na kolegów - a ci koledzy biegną do „**GW**” i mikrofonów, i chóralnie krzyczą: furda!, nic nas to nie obchodzi, nie mamy mu za złe, kochamy Michała, biedny Michał! Czy Tadzio Sznuke - też biedny i kochany, ofiara „*nagonki lustracyjnej*”. Pseudo: TW „*Arat*”. Ujawniony (2007) - dalej bryluje jako gwiazdor TV i Salonu. „- *Kochamy cię, Tadzium!*”.

Kochamy również Michałka Boniego (TW „*Znak*”). Na przykład za to, że w latach 90 - ych zwalczał piórem lustrację tak samo dzielnie jak Lesław Maleszka (choć nie w „**GW**”, tylko w „**Życiu Warszawy**”), pisząc, iż lustratorzy są jakobinami/bolszewikami, wnukami Robespierre'a oraz Dzierżyńskiego, i że Polskę lustrowaną czeka krwawa wojna domowa, apokalipsa, horrendum! Gdy to samo „**Życie Warszawy**” wytknęło Jackowi Kuroniowi kontakty z SB, Boni - ciekawostka ornitologiczna typowa - grzmiał przeciwko „*donosicielom*”: „*Donosiciele, którzy szukają tanich usprawiedliwień dla swego tchórzostwa, niech zamilkną!*”. On swoje bohaterstwo podziemne realizował donosami (m.in. wyspał kilka tajnych drukarni). Ujawnionego bronili sami święci (Bujak, Janas, Wujec itp.), przysięgając, że jest niewinny, bez skazy, kryształ! Zrobił im wszakże psikus - późno, bo późno, i z musu, bo z musu, ale wyznał swój grzech. Po czym zatrudnił go rządowo premier Tusk, odfaszycowujący Rzeczpospolitą delegat Salonu. „- *Drogi Michałku, znowu jesteśmy razem!*”.

Kochamy także Jędrusia Drawicza świętej pamięci (TW „*Kowalski*”), szefa TVP u „*naszego premiera*”, Tadzia Mazowieckiego. Zostaje ujawniony jako esbecki agent, a kiedy telewizja po latach przypomina to ujawnienie - delegatka Salonu, Olga Lipińska, publicznie zło-

rzeczy (2008), że naszego kochanego Jędrusia „znieważono i opluto”. Potem precyzuje doktrynę (mitologię) nieważności denuncjatorstwa:

- Nie uwierzę, nawet gdy mi pokażą jego podpis na jakichś brudnych esbeckich papierach! (...) Nie obchodzi mnie to, i namawiam wszystkich porządnych ludzi do wyśmiania głupich oskarżeń.

Pewnie, że tak - głupie oskarżenia nie powinny obchodzić nikogo. A już zwłaszcza gdy tyczą czołowych figur Salonu i kultowych postaci z kręgu świecznikowego towarzystwa. Przecież nie będziemy autora zgrywnej, superkultowej produkcji „**Rejs**”, Marka P., mniej wielbić tylko dlatego, że był delatorem organów (TW „*Krosi*”). Owszem, zdarzają się aspekty wkurzające (Krzysztof Skiba: „*Świadomość, że tak ważny film jak «Rejs» mógł zrobić ktoś współpracujący z SB, jest dla wielu wysoce wkurwiająca*”, 2007), ale nie musimy przejmować się złośliwcami, jakimiś Gontarczykami, którzy dociekliwie węszą (historyk Piotr Gontarczyk udowodnił za pomocą dokumentów, że Piwowski bagatelizując, ukomiczniając, ublażnowiając swą współpracę z SB - zwyczajnie kłamie). Nasze autorytety są wyższej próby niż „*gnojki z IPN - u*” (terminologia „**Gazety Wyborczej**”). Dwóch było pod ręką i dali bezzwłoczny odpór, to znaczy werdykt na korzyść Marcuszka. Violetta Ozminkowski (2007): „*Przyjaciele reżysera - Stanisław Tym i Janusz Głowacki, z którymi się spotkałam zanim jeszcze poprosiłam Piwowskiego o rozmowę - powiedzieli mi, że nawet jeśli na nich donosił, nie mają mu za złe, bo do lustracji mają stosunek, jak się wyrazili, «wymiotny»*”.

Dokładnie to samo - wymiotność wobec lustracji i nieważność kapownictwa - zadeklarowali przyjaciele Agnieszki Osieckiej, damy kultowej w stopniu większym chyba jeszcze niż „*Piwek*”, którego wszyscy tak bardzo kochamy. Agnieszka miała i pochodzenie lubiane przez Salon (jej matka była komunistką, aktywną członkinią PZPR - u), i prowadzenie nader liberalne ergo postępowe, i pisała nie tylko genialne teksty do piosenek, lecz i wypracowania dla Służby Bezpieczeństwa (w których piętnowała reakcyjną emigrację paryską i londyńską jako znanych jej osobie „*idiotów*”), a zdarzyło się jej również kokietować pisemnie samego Mietka Moczara (ujawniła tę epistolografię Joanna Siedlecka niedawnymi czasy) i romansować z kolejnym Mietkiem funkcjonującym na szczycie Komitetu Centralnego, Rakowskim. Później już kręciła pupą prawidłowo (salonowo), głaskając m.in. Ada-

ma Michnika („*Ty posiadasz jasność etyczną*”, itp.), lecz to proesbeckie w c z e ś n i e j służy dziś „*oszołomom*” do wytykania Agnisi palcami. Tymczasem ona miała przecież bogobojny cel - wszystko to robiła gwoli uzyskania paszportu, czyli z tego samego powodu co autor „**Rejsu**”. Ludzie „*niszczący ludzi*” uważają, rzecz prosta, iż to były ohydne umizgi do SB, kompromitujące Osiecką, ale czegoż można się spodziewać po czarnej sotni, n'est ce pas?

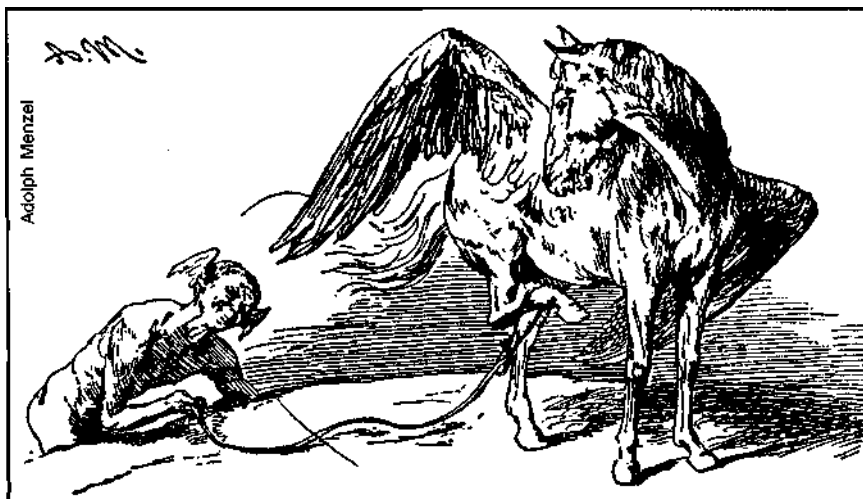
Mitologia n i e w i n n o ś c i wynikającej z n i e w a ż n o ś c i wszelkich form kolaboracji znalazła sobie „*think - tanki*” ideologiczne w kilku salonowych środowiskach (w artystycznym, akademickim, aktorskim) i w Kościele. Hierarchia kościelna, dyrygowana przez kardynała Dziwisza, nienawidzi (za lustratorstwo stosowane) księdza Tadeusza Isakowicza - Zaleskiego, i ze wszech sił zamiata pod diecezjalny dywan proesbeckie grzechy książąt, baronów i ciurów Ecclesii priwiślańskiej (TW „*Adam*”, TW „*Hejnał*”, TW „*Filozof*” itd.). Ma tu silne wsparcie ze strony świeckiego Salonu, czego przykładem niedawnym casus księdza Michała Czajkowskiego (wpływowego wykładowcy Akademii Teologii Katolickiej, gwiazdora medialnego, dyżurnego pogromcy antysemityzmu rodaków), którego ciemnogród zdemaskował jako denuncjatora pracującego dla SB (TW „*Jankowski*”). Oto Adam Michnik i Jan Turnau wezwali (2008) na łamach „**GW**”, by w 50 - ą rocznicę święceń kapłańskich zwrócić Czajkowskiemu społeczny szacunek.

Tak jest - trzeba zwrócić społeczny szacunek wszystkim uprawiającym denuncjację dla SB; salonowe prawo nieważności donosicielstwa służyć będzie jako podstawa formalna tego abolicjonizmu. I już służy - oto na KUL - u (Katolicki Uniwersytet Lubelski) w kwietniu 2008 (półtora roku po zdemaskowaniu) wręczono arcybiskupowi Wielgusowi (TW „*Grey*”) laury naukowe za „*olbrzymi autorytet moralny*” (sic!), za uczenie wszystkich „*jak kochać ojczyznę*” (sic!), i za „*wierność prawdzie splecioną z oddechem chrześcijańskiego humanizmu*” (sic!). KUL wyhodował i zatrudnia sporo sawantów, którzy oddychając chrześcijańskim humanizmem, mieli w SB drugi płatny etat (przykładem prof. Jerzy Kłoczowski, TW „*Historyk*”, historyk), podobnie jak Uniwersytet Warszawski (przykładem prof. Andrzej Garlicki, TW „*Docent*”, historyk) czy Uniwersytet Jagielloński (przykładem dr Jarosław Reszczyński, TW „*Mietek*”, prawnik). Wszystkich tych uczonych mężów, tych profesorów, doktorów i magistrów

wpajających młodzieży „wierność prawdzie” - Salon kocha miłością bezwarunkową, deklarując tę miłość publicznie, gdziekolwiek napotka mikrofony i kamery.

Wśród uczonych mężów - jeśli już mowa o nich - za najwybitniejszego uchodzi „następca Kopernika”, astronom Aleksander Wolszczan, TW „Lange”, dubeltowo kontynuujący tradycję rodzinną, gdyż tatuś też był profesorem i też był kapusiem (TW „Oliwa”). Profesor Wolszczan - podobnie jak wszyscy ujawnieni TW - sprzedaje mediom mantrę pt. „nikomu nie szkodziłem”. I trzeba mu wierzyć, bo czyż regularne donoszenie na własnego brata, albo na kolegów sawantów, albo na robotników wracających do kraju (TW „Lange” informował Służbę Bezpieczeństwa jakim sposobem i gdzie przemycają zarobione dewizy) - to krzywdzenie kogoś? Nie bądźmy drobiazgowi, chrząnić przeszłość, patrzmy w gwiazdzistą przyszłość kosmosu! Miłujemy Olka jako chlubę współczesnej astronomii.

Nikogo wszakże nie miłujemy bardziej niż literatów, oni bowiem piórami krzepią nasze serca. Pytanie: czy dużo więcej (czy niewiele więcej) niż połowa rodzimych pisarzy działających za PRL - u pracowała dla SB? - jest pytaniem retorycznym, póki nie zostaną odtajnione wszystkie archiwalia „służb”. Spośród tych głośnych można wymienić jako TW: Stanisława Cata - Mackiewicza, Olgierda Terleckiego, Kazimierza Koźniewskiego, Wacława Sadkowskiego, Andrzeja Szczy -



piorskiego, Macieja Słomczyńskiego, Ryszarda Kapuścińskiego, Andrzeja Kuśniewicza, Andrzeja Brychta, Jana Marię Gisgesa, Tadeusza Strumffa, Henryka Worcella, Eugeniusza Kabatca, Krzysztofa Teodora Toeplitza, Jerzego Lovella, Jerzego Wittlina, Aleksandra Minkowskiego, Henryka Gaworskiego, Tadeusza Borowskiego - chyba starczy? Niektórzy spośród nich byli „kultowi” par excellence. Maciej Słomczyński (TW „Włodek” - „*Wyrażając dobrowolnie zgodę na współpracę z Urzędem Bezpieczeństwa, meldunki swoje podpisywał będąc pseudonimem Włodek*”) to legendarny tłumacz salonowego pisma świętego („*Ullissesa*” Joyce'a), a dla wielbicieli kryminałów Joe Alex. Kuśniewicz (TW „*Andrzej*”), nosiciel orderów państwowych tudzież wieńców laurowych Pen Clubu (gdzie towarzyszył mu Sadkowski TW „*Olcha*” plus inni penklubowi konfidenci, legion) - był przez ćwierć wieku pupilem krytyki literackiej, a donosy produkował częste, drobiazgowo i pikantne (o pederastii Iwaskiewicza czy Andrzejewskiego, tudzież o zbrodniach innych kolegów), zazwyczaj też bardzo antysemickie (gdzie tylko mógł trafił Żydów i obsmarowywał ich dla bezpieczeństwa).

Nad wszystkich tych towarzyszy wyrasta dziś piedestał kolejnego faworyta Michnika i michnikowszczyzny, „*króla reportażu*”, Ryszarda Kapuścińskiego (TW „*Poeta*”, TW „*Vera Cruz*” - „*Chciałbym całym sobą, jako członek partii, służyć nieśmiertelnej idei Stalina, to moje najświętsze pragnienie*”). Został deifikowany przez Salon jako szczególnie pokrzywdzona ofiara lustratorów. Bo cóż z tego, że brał solidne pieniądze (są pokwitowania) za denuncjowanie różnych typków (o pewnej Polce w Meksyku: „*Jest brzydka, w Angoli utrzymywała kontakty seksualne z Murzynami*”), jeśli równocześnie pisywał takie ładne, takie humanistyczne, takie postępowe książki! Ten sam „*Newsweek*”, który upublicznił (2007) esbecką i kagiebowską kolaborację Kapuś [nomen omenjcińskiego - zbesztany przez Salon, urządził dwa i pół miesiąca później „*dyskusję*” na temat „*mistrza*”, podczas której delegat Salonu, Ernest Skalski (też zdemaskowany konfident „*służb*”), mógł pryncypialnie bronić bezgrzeszności idola wielu czytelników - półinteligentów. Tylko anty salonowe „*oszołomy*” szczerkają (exemplum wydawca Waław Holewiński: „*Należy bezwzględnie ujawniać brudne karty z dziejów naszej literatury współczesnej, upubliczniać niechlubne, haniebne czyny Kuśniewiczów, Drawiczów, Szczy-*

*piorskich, Kapuścińskich*”, 2007), ale kto ich słucha, niech se piszcza. Trafnie bowiem były minister z ramienia UD, obecny redaktor „**Tygodnika Powszechnego**”, Krzysztof Kozłowski, odwrócił kierunek zarzutów: to nie Lesław Maleszka (TW „*Ketman*”, TW „*Return*”) był donosicielem - to lustratorzy, którzy upublicznili jego kolaborację, wykonali „*podły donos*”. Otóż właśnie, zuch Kozłowski, tak trzymać, drużaj!

Mit nieważności donosicielstwa i odwrócenie kierunku zarzutów dotyczących donosicielstwa (donosicielem staje się demaskator, lustrator, natomiast konfident SB staje się ofiarą donosu) prowadzi do eliminacji zdrady z listy nikczemności, podłości i grzechów. Bronisław Wildstein (2008): „*Świat, w którym zakwestionowano zdradę, jest światem, w którym zakwestionowana jest moralność. Zdrada jest rewersem moralności, złamaniem jej podstawowych zasad. Jeśli nie jesteśmy w stanie tego potępić, to jak możemy wyznaczać zasady i trzymać się ich?*”. Mister Wildstein, przestańcie chrzanić! - zasady to tutaj wyznacza Salon, paniatno?...

Przed nami spora jeszcze martyrologiczna chwała ofiar „*donosicieli*” z IPN - u i z niepoprawnych politycznie mediów, albowiem Trybunał Konstytucyjny ciągle nie zezwala ujawnić listy 300 agentów SB, którzy pełnią dziś ważne role w świecie kultury, polityki i gospodarki - lecz przecież kiedyś te nazwiska zostaną ujawnione. „*Autorytety*” są więc wśród nas, chwilowo półanonimowe, bez szyldu TW. I coraz mniej boją się ujawnienia, gdyż wiedzą, że błogosławiony salonowy mit o nieważności kolaboracji i o chwalebnym męczeństwie kolaborantów nabiera rozpędu orlego. Jeszcze trochę, a donosicielstwo zostanie przez Salon zaliczone - jak niegdyś przez KGB na obszarze ZSRR - do kanonu cnót. Wbrew kontresbeckiej dyrektywie Zbigniewa Herberta: „*I nie przebaczaj!*”. Oraz wbrew prośbie Pawła Zarzecznego (felieton „**Wałęsa kapusiem był**”, 2008): „*Ja cichutko w imieniu milczącej większości rodaków proszę: nie róbcie z donosicielstwa cnoty, a ze słabości - usprawiedliwienia. Można żyć nie będąc szują. To trudniejsze. Ale możliwe. I jeżeli chcemy żyć w porządniejszym świecie - kapusiom nie wybaczejmy*”.

12

## Mit niemiecko-polskiego partnerstwa



„Konflikt” w dziele Cesare Ripy „Ikonologia” (drzeworyt, 1603)

Mit ten, silnie lansowany przez rodzime kręgi „postępowe” - przez salonowych dyplomatów, urzędników, lobbystów, publicystów i wszelakich wysoko postawionych renegatów, których dzisiejsze „służby” niemieckie odziedziczyły po enerdowskiej StaSi - nie ma nic wspólnego z prawdą. Tak jak nie ma nic wspólnego z prawdą dzisiejszy piarowy wizerunek filantropijnych Niemiec, robiących dobrze całej Europie, a już swoim sąsiadom w szczególności. Według tego „spotu”: Niemcy demokratyczne, unijne, cywilizowane, przesympatyczne, dalekie od faszyzmu, nazizmu, hitleryzmu, prusactwa tudzież innych egzotycznych wynaturzeń obcych niemieckiej kulturze, tradycji i mental-



ności (mentalności humanistów, pacyfistów etc.) - muszą nolens volens znosić barbarzyńską krnąbrność Polaków. Gdyby dało się (jak za Fryderyka Wielkiego i spółki) wytrzeć z mapy napis „*Polen*”, przenosząc polską suwerenność znowu do niebytu (vide rozbiory) - zapanowałby błogosławiony spokój w całej Europie...

Spokój już był, przez kilkanaście lat od chwili upadku komunizmu. Co prawda nie ten „*błogosławiony*” (wymarzony cel Rosjan i Niemców, których prawdziwe partnerstwo, antypolskie, pieczętowane jest rurą bałtycką), lecz przynajmniej dyplomatyczno - traktatowy. Zepsuli go dwaj awanturnicy polscy - „*Katchinsky Zwillingsbruders*” - wywracając do góry nogami politykę zagraniczną RP, m.in. „*politykę białej flagi wobec Berlina*”. Wcześniej nasza polityka była właśnie białoflagowa, czyli uległa, ugrzeczniiona, momentami upokarzająca nas, żebracza wprost. Wcześniej i później, czyli dzisiaj, gdy rządzi koalicja Tusków - Schetynów - Pawlaków. Zaczęło się od fatalnej polityki pierwszego szefa MSZ - u III RP, salonowca Krzysztofa Skubiszewskiego (1989 - 1993), a kontynuowali taką politykę jego czerwoni i różowi następcy (kilku, podobnie jak Skubiszewski czy Olechowski, było konfidentami „*szużb*”), działający wedle „*doktryny*” pupila Niemców, Władysława Bartoszewskiego (ministra spraw zagranicznych w postkomunistycznym rządzie Józefa Oleksego), który tłumaczył, że Polska musi być wobec sąsiadów przymilna jak brzydka panna (sic!).

Bracia Kaczyńscy zamęcili tę stęchlą wodę polsko - niemieckich relacji twardym egzekwowaniem polskiej racji stanu. Co wywołało furię Berlina i jego polskich kundli („*lobby proniemieckie*”), sowiecie opłacanych niemieckimi nagrodami, grantami, stypendiami, urlopowymi „*sympozjami*” i „*konferencjami*”, tudzież zwykłą judaszową gotówką. Na Szczycie Brukselskim (2007) doszło wręcz do eksplozji, podgrzewanej przez niemieckie media, ziejące wobec Polski resentymem rozmiaru XXXL. Anielska kanclerzy na, Frau Merkelowa, ta miła pani, starsza, a dziewczęca wprost „*gemütlichkeit*”, zaproponowała - gdy delegaci polscy opuścili salę obrad chwilowo - by wykluczyć Polskę ze Szczytu. Vulgo: „*raus!*” - wyrzucić won. Do ekspulsji Kaczorów wszakże nie doszło. Sprzeciw Litwinów, których wsparli Czesi i Portugalczycy, utracił ten humanitarny projekt, lansowany przez słodką Madchen, kartograficzną sąsiadkę Polski. Ale mleko (skażone bakteriami pseudodobrosąsiedztwa) mocno się wtedy rozlało...

Nie twierdzą, że Kaczyńscy prowadzili wobec Berlina politykę bezbłądną. Były bowiem w ostatnim ćwierćwieczu dwa momenty słabości Niemiec, które należało wykorzystać dla polskich interesów, jednak zaprzepaszczone oba, drugi podczas rządów partii PiS. Pierwszym takim momentem były starania Niemców o zjednoczenie, gdy walił się komunizm - Niemcy łatwo wtedy zgodziliby się na polskie żądania dotyczące kwestii prawnych i majątkowych (roszczeniowych). Ale rządząca wówczas Polską michnikowszczyzna - geremkowszczyzna (UD) zaniechała polskiej racji stanu. Drugim dobrym momentem (choć już dużo słabszym niż pierwszy) była klęska eurokonstytucji dzięki francuskim i holenderskim referendum. Berlin tak bardzo wtedy chciał ratować ten poroniony dokument, że gotów był ustąpić w stosunkach bilateralnych, lecz Kaczyńscy nie wykorzystali sposobnego momentu - nie przycisnęli odpowiednio.

Mimo tego zagapienia się - cała polityka PiS - u wobec Niemiec jest piętnowana przez Salon jako zbyt twarda, chwilami bandycka, słowem: jako fuszerka dyplomatyczna i grubiaństwo wobec naszych zachodnich sąsiadów. Ale to bzdura, co przekonująco tłumaczy (2008) niesalonowi fachowcy od polsko - germańskich stosunków, politolodzy Mariusz Muszyński i Krzysztof Rak: *„Koalicja PO - PSL nie zostawiła suchej nitki na polityce zagranicznej swoich poprzedników (...) Diagnoza, że polska polityka zagraniczna lat 2005 - 2007 zeszła na manowce, jest fałszywa. Mimo potknięć, trudno odmówić dyplomacji tamtego okresu inicjatywy i konsekwencji (...) Wtedy znikł z naszych ust uniżony uśmiech petenta cierpliwie pukającego do drzwi. Wcześniej to nam narzucano reguły gry, a teraz zaczęliśmy je współkształtować (...) Zmiana ta musiała znaleźć swą naturalną manifestację w stosunkach z Berlinem. Tu konsekwencją suwerennej polityki zagranicznej Polski był konflikt interesów z Niemcami”*.

Profesorowie Rak i Muszyński porównali również dyplomację wobec Niemców w wykonaniu PiS - u i w wykonaniu PO, ganiąc bezproduktywną (i gorzej: rozzuchwalającą Berlin) uśmiechologię Platformy. Konkluzja: *„Polityka uśmiechu to polityka na niby - prowadzi tylko do utwardzania stanowiska Berlina”*. Cytuję kolejny fragment analitycznego tekstu: *„Dzisiejszy scenariusz relacji dwustronnych pisze Berlin, który nie ma zamiaru hamować swoich egoistycznych apetytów i nawet tego nie ukrywa, a Warszawa praktykuje dyplomację obli-*

czoną na spektakl medialny. Wszystko zgodnie z doktryną, którą ponad dziesięć lat temu zdefiniował obecny sekretarz stanu w kancelarii premiera, Władysław Bartoszewski. Określił on Polskę jako brzydką i biedną pannę na wydaniu, która - jeśli chce znaleźć męża - powinna być sympatyczna i uśmiechnięta, a nie nabzdyczona. Zresztą tą zasadą kierował się stojąc, i to dwukrotnie, na czele polskiej polityki zagranicznej, nie odnotowując w niej żadnych sukcesów poza osobistymi (granty i nagrody). Ta Unia jest dziś promowana przez sprawnie działające nad Wisłą proniemieckie lobby. Zdominowało ono dialog dwustronny i czyni wszystko, aby w dyskursie nie mówić o realnych interesach (...) Skąd w tym dwustronnym dialogu mają być polskie sukcesy, kiedy nasza dyplomacja oddaje Niemcom pole i inicjatywę, zajmując się tylko propagandą sukcesu? W polityce takie zachowanie to przejaw słabości, nie dziwny się więc, że Berlin utwardza swoje stanowisko”.

O wspomnianym „proniemieckim lobby” szepcze się (wśród patriotów, w kręgach IPN - u), że niektóre ze znaczących jego figur były już za PRL - u „prowadzone” przez StaSi, i że są „prowadzone” dalej, teraz przez „służby” Bundesrepublik Deutschland. Wojciech Kalwat (2008): „W Polskiej historii zdrajcy i jurgieltnicy często unikali zasłużonej kary”. Michał Pluta (2008): „W Polsce nigdy nie karano dostatecznie zdrajców. Gdyby po 1989 r. wszyscy komuniści zostali srodze ukarani, gdyby spadło trochę łbów, gdyby więzienia zapełniły się dygnitarzami PZPR, oficerami SB - to może teraz trochę osób bałoby się wysługiwać Niemcom”. Niemcom i koryfeuszom rodzimego Salonu kultywującym mitologię dobrosąsiedzkiego partnerstwa. Krystyna Grzybowska (2008): „Jak popatrzeć i posłuchać licznych polskich polityków - między Polską a Republiką Federalną Niemiec panują zgoda i harmonia, taka emanacja traktatu o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy (...) Niemcy nie lubią Polaków, ale to najmniejsze zmartwienie. Nie warto też przejmować się tym, że traktują nas jak ludzi gorszej rasy. Problemem jest sposób, w jaki traktują naszych polityków. Oni ich lekceważą (...) Jesteśmy łatwym kąskiem do przeżucia i wypłucia. Bez godności”. Redaktor Grzybowska wie co mówi - mieszka w Niemczech.

Mit o niemiecko - polskim partnerstwie w unijnej, demokratycznej, humanistycznej Europie jest ze strony Salonu propagandowym łgars-



twem dlatego, że fundament terminu (i zjawiska) „partnerstwo” to równoprawność stron. Tymczasem w stosunkach niemiecko - polskich równoprawność jakoś nie ma miejsca - nawet w stosunkach naukowych (Polska dostała w Polsko - Niemieckiej Fundacji Nauki nie tylko mniej miejsc aniżeli Bundesrepublika, lecz mniej nawet niż niemiecki kraj związkowy, Brandenburgia!) - cóż więc mówić o stosunkach politycznych. Panuje tu duża asymetria, czego drastycznym przykładem problem mniejszości narodowych w obu krajach. Polscy Niemcy mają u nas wszelkie prawa oraz przywileje wyborcze, kulturowe i językowe, gdy liczna Polonia niemiecka nie ma tam praw żadnych (nie wolno jej wystawiać kandydatów do Bundestagu) - ba, nie jest nawet uznawana za „mniejszość narodową”, czyli za podmiot prawa międzynarodowego! Niemieckie sądy wzbraniają dzieciom z polsko - niemieckich małżeństw mówić po polsku, a niemieckie firmy, także działające w Polsce (exemplum Arvato Service) dyskryminują pracowników używających polskiego języka, co już nawet nie jest rytualnym szwabskim draristwem, to coś więcej, imponujący germański tupet, bo żeby na terenie Polski zakazywać personelowi polskiemu używania języka ojczystego, trzeba bezczelności klasy „Sieg heil!”. Lecz salonowy minister spraw zagranicznych, Radosław Sikorski, i jego mentor - protektor - patron, figurant Berlina i Tel Awihu, Władysław Bartoszewski, udają, że nie dostrzegają tego wielopłaszczyznowego łamania przez Niemców praw człowieka, międzynarodowych aktów prawnych (których sygnatariuszem są Niemcy) i nawet konstytucji niemieckiej.

Katastrofalnie wyglądają też stosunki polsko - niemieckie jeśli idzie o drażliwą między tymi narodami „politykę historyczną”. Znowu niemiecka korespondentka polskiej prasy, Krystyna Grzybowska (2008): „Nasz zachodni sąsiad wykorzystuje bezdenną głupotę polskich elit i uprawia własną politykę historyczną, śmiejąc się w kulak z naiwności Polaków”. I jeszcze „Wprost” (2008): „Totalną klęską w polityce Polski wobec Niemiec jest dialog historyczny (...) To świadoma praca Niemiec nad redefinicją przeszłości - nowa taktyka, w którą dajemy się wmanewrować. Punktem wyjścia obecnej polityki histo -

rycnej Berlina jest zmiana podejścia do II Wojny Światowej. Miejsce tabu zajęła akceptacja. Przecież konflikty zbrojne były, są i będą elementem relacji międzynarodowych”. Vulgo: regularne napady Niemiec na całą Europę, germańska militarna agresywność i ludobójczość, to normalny „element relacji międzynarodowych”, których najbardziej poszkodowanymi ofiarami są - któżby inny - Niemcy, biedni niemieccy obywatele dotknięci wojną i wrednością sąsiadów.



Szwabska buta polityczno - historyczna ma wiele twarzy, od nazewnictwa zaczynając (nie dość, że łakomie adorują Danzig jako swoją własność, chwilowo pod okupacją Polaków, to jeszcze wybudowaną przez Polaków w dwudziestoleciu międzywojennym Gdynię zwą Gdingen, żeby i ona czuła się częścią dziedzictwa germańskiego). Nie próbują nawet zachowywać pozorów - „Der Spiegel” ogłasza (2008) kalendarium trwających prawie pół wieku zmagania Europy Środkowej z komunizmem, całkowicie usuwając wkład polski (ani słowa o partyzantce antykomunistycznej, o Poznaniu 1956, o Trójmieście 1970, o Radomiu 1976, i nawet o „Solidarności” lat 1980 - 1989 - nul!). Trudne do uwierzenia, ale to fakt - Polacy nie maczali palców w antykomunistycznym oporze. A przeciw hitlerowcom walczył głównie naród niemiecki („niemiecki konthitlerowski ruch oporu”), mający pułkownika Stauffenberga jako Wilhelma Tella alias Robin Hooda. Przypomina się „Kara Mustafa, wielki wódz Krzyżaków”.

Kiedy kilka lat temu Niemcy i Polacy - salonowcy urządzali tromtadrackie fety na cześć Stauffenberga - grzmiałem piórem, że to nędzna komedia fałszująca historię wojenną, i przypominałem, że Stauffenberg był jawnym antysemitą, uważającym Żydów za nie ludzi, a Polaków za podludzi. Fakty te wszakże zupełnie nie przeszkadzają „lobby proniemieckiemu”, które działa w Polsce - pułkownik Stauffenberg dalej robi u nas za świętego rycerza. Najnowsze dytyramby (a propos „Oratorium dla pokoju - Stauffenberg”) wygłosił czempion tego lobby, publicysta „Polityki” tudzież innych lewackich organów, Adam

Krzemiński, co zdenerwowało znanego publicystę - patriotę, Macieja Rybińskiego (2008): „*No więc czas stoi w miejscu, na szczęście Adam Krzemiński się posuwa. I chciałby też posunąć innych, także historyków z IPN i generalnie wszystkich, którzy nie chcą uznać niemieckiej polityki zagranicznej za część polskiej racji stanu*”.

Niestety - polska racja stanu w wykonaniu Salonu rządzącego ma brzydkie zawirowania, jak chociażby to, że gdy była rocznica obrony Poczty Polskiej w Gdańsku (bohaterstwo i męczeństwo naszych pocztowców rozstrzelanych przez Niemców), lokalna władza PO - wska się nie Pofatygowała, gdyż akurat składała hołdy Gunterowi Grassowi, ochotnikowi Waffen - SS. Rodzimi neoendecy mają zresztą pretensje i do PiS - u, bo Lech Kaczyński pośmiertnie odznaczył Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski kapitana Wilma Hosenfelda, członka NSDAP i Wehrmachtu, jednak się mylą, człowiek ten bowiem był pięknym człowiekiem, niemieckim wyjątkiem, przez cały czas okupacji pomagał ofiarom hitleryzmu, również Żydom (mimo to - co jest dziwne - izraelski Instytut Yad Vashem odmówił przyznania Hosenfeldowi tytułu Sprawiedliwy wśród Narodów Świata!).

Żeby było dowcipniej: Polska tępi ruchy neohitlerowskie ogniem i mieczem, gdy władze niemieckie takie ruchy tolerują (neonazistowskie partie zasiadają w parlamentach niektórych landów!). Szef neonazistowskiej NPD, Udo Voigt, legalnie nawołuje do odebrania Polsce dużych terytoriów (Pomorza, Mazur i Ziemi Zachodnich). Prokuratura gdańska wszczęła nawet w tej sprawie śledztwo, lecz szybko je umorzyła, dla obopólnego dobra „*dobrosąsiedzkich stosunków*”. Tymczasem prokuratura niemiecka nie wszczęła śledztwa, kiedy „**Die Tageszeitung**” oznajmił, że Jarosław Kaczyński i jego matka „*żyją ze sobą*”, chociaż taka dwuznaczność (meldunkowa) w stosunku do premiera Anglii czy Francji, a już bez wątplenia Rosji, byłaby tam pewnie represjonowana. Ale „*Polaczków*” („*kartofle*” i innych) można gnoić, w ramach partnerstwa, rzecz prosta.

W ramach tegoż partnerstwa władze obu krajów majstrują - dla uporządkowania kwestii historycznych dzielących partnerów - wspólny podręcznik historii. Ergo: dzieci obu państw będą heroiczną przeszłość wkuwać z tego samego druku. Powstaje on w mękach niewymownych, jest bowiem u samej kolebki obarczony grzechem politycznie poprawnego kabotyństwa. Nie da się tego dubeltowego balsamu

na frustracje i bliźny narodowe zrobić bez ubliżania elementarnej przyzwoitości, bez kaleczenia prawdy historycznej i bez dezawuowania zdrowego rozsądku, gdyż istotą takiej łamigłówki muszą być nieustanne wzajemne kompromisy - kompromisy z materią realiów, z dziejową rzeczywistością. Plus taniec wśród sztyletów - wśród nieograniczonych liczbowo wariantów „interpretacji” historiozoficznej. Czy pod Grunwaldem był remis? Czy Holocaust urządzili kosmici? Czy polska rodzina Bismarckiewiczów wszczęła Kulturkampf? Czy pakt Ribbentrop - Mołotow sygnowano w Belwederze gwoli podniesienia stopy życiowej wieśniaków nad Wisłą? Czy „Polak, Niemiec - dwa bratanki” będzie dotyczyło Zygryda i Norwida?...

Przepytyjąc (2008) brytyjskiego historyka - polonistę, Normana Daviesa, Mirosław Spychalski rzekł:

- Kiedyś jeden z moich kolegów pisał pracę „**Podręczniki historii jako fikcja literacka**”. Miała ona głębszy sens niż sądziłem.

Słyszając to, Davies uśmiechnął się i mruknął:

- Sądzę, że nawet głębszy niż dziś panu wydaje...

Taka jest istotnie prawda (którą traktuję szerzej w rozdziale o micie Historii - nauczycielki, str. 169), lecz tyczy ona zwykłych (jednoplemiennych) podręczników. Wspólny sarmacko - szwabski podręcznik historii będzie czymś dużo gorszym aniżeli fikcja literacka - będzie paskudną hybrydą, dyzgustującą każdego. Wspólny podręcznik kojotów i królików musiałby ciążyć ku trawożerności pierwszych i mięsożerności drugich, verstehen Sie? Ten podręcznikowy płód z całą pewnością będzie dzieckiem mongoidalnym, krugerandy przeciw pestkom melona!

Głównym dzisiaj punktem zapalnym mitycznego partnerstwa jest „*kwestia wypędzeń*”, a ściślej: kwestia niemieckich roszczeń terytorialnych, własnościowych i finansowych wobec Polaków. Ciągłe podgrzewana przez niemieckie organizacje vendettowe (Powiernictwo Pruskie, ziomkostwa etc), jak również przez media i popkulturę niemiecką (vide film telewizyjny „**Die Flucht**”). Problem ten poruszyłem swego czasu felietonem „**Pieśń wypędzonych**” (odsylałem do Aneksu felietonowego, str. 310), teraz więc chcę tylko przypomnieć karygodne błędy polskiej dyplomacji salonowej (różowej i czerwonej) sprzed lat. Chodzi zwłaszcza o traktatowy grzech pierworodny z 1991 roku. Premier Jan Krzysztof Bielecki (pupil Salonu) i kanclerz Helmut Kohl

podpisali wówczas „*Traktat o dobrym sąsiedztwie*”, zawierający passus pisemny ministra Genschera (niemiecki MSZ) - passus niezakwestionowany przez ministra Skubiszewskiego (!) - iż sprawy majątkowo - roszczeniowe zostają wyłączone i będą uregulowane w czasie przyszłym. Wtedy właśnie był niepowtarzalny moment słabości Niemców - można było od nich uzyskać wszystko, m.in. ich traktatową (parafowaną, sygnowaną, pieczętowaną) rezygnację z wszelkich roszczeń. Ale nasza zgniła, salonowa dyplomacja (udecja) zlekceważyła wówczas tę kwestię newralgiczną dla wzajemnych stosunków, przyklepując (po ramieniu) słowne obietnki cacanki pt. uregulujemy w przyszłości. Kiedyś.

To „*kiedyś*” trwa do dzisiaj. „**Wprost**” (2008): „*Prowadzona w III RP polityka białej flagi wobec Berlina stworzyła wielki problem (...) Karygodne zaniechanie, którego w swej politycznej naiwności dokonali Skubiszewski, Geremek, Rosati, Bartoszewski i Cimoszewicz*”. Nie upierałbym się, że zawiniła tu tylko „*polityczna naiwność*”. Ale efekty są, jakie są, bez względu na przyczynę (głupota czy niecnota): w ustawodawstwie Bundesrepubliki polska powojenna nacjonalizacja mienia niemieckiego wciąż jest określona jako sprzeczna z prawem międzynarodowym. Polska, która wskutek niemieckiej agresji i niemieckiej okupacji utraciła 6 milionów obywateli i 60% majątku narodowego - winna dziś zapłacić 20 miliardów euro odszkodowania Niemcom, których polskimi rękami wysiedlił Stalin, mający do tego bazę prawną w traktatach „*wielkiej trójki*”, czyli USA, Rosji i Anglii (Poczdam plus Jałta).

Nasi kochani partnerzy, m.in. serdeczna koleżanka Donalda Tuska, kanclerzyca Angela Merkel (lecz i prezydent Kohler, premierzy landów: Hesji, Bawarii etc.) - formalnie wyrzekają się roszczeń, jednak praktycznie inaczej to się przedstawia, ciągle bowiem uczestniczą w imprezach Związku Wypędzonych, podgrzewając ich nadzieje retoryką odwetową. Dlatego podgrzane Szkopy kierują sprawy roszczeniowe do sądów. Panikę wśród Polaków wzbudził „*proeuropejski*” werdykt polskiego sądu, zwracający Niemce posiadłość (dotychczasowi mieszkańcy, Polacy, na bruk!). Prezeska Powiernictwa Polskiego, senator Dorota Arciszewska - Mielewczyk (2008):

- To, co zdarzyło się we wsi Narty na Mazurach, jest absolutnym skandalem, za co odpowiedzialny jest nie tylko istniejący w Polsce po-



rządek prawny, ale i orzecznictwo sądów, które w przeciwieństwie do sądów niemieckich nie kierują się polską racją stanu. Nie tylko wyrzuca się Polaków z ich mieszkań, ale państwo polskie nie zapewnia im lokali zastępczych ani pomocy prawnej, co przecież jest moralnym obowiązkiem każdego praworządnego kraju. Argumentem naszych sądów w sprawie wysiedlenia Polaków z Nart było, że Niemieczy obywatele mieli kiedyś polskie obywatelstwo. Ale tych ludzi z Polską nigdy nic nie łączyło. Ich z Polski nikt nie wyrzucał. Po podpisaniu w 1970 roku, przez Cyrankiewicza i Brandta, polsko - niemieckiego układu - wyjeżdżali na własną prośbę, bo czuli się Niemcami. Mało tego, płacili łapówki, by szybko otrzymać paszport w jedną stronę. Wśród tysięcy Niemców, którzy wyjechali z Polski, nie znam jednego przypadku, żeby zmuszano ich do wyjazdu (...) A jeśli chodzi o tych Niemców, którzy zostali wysiedleni z Polski na mocy decyzji czterech mocarstw po zakończeniu II Wojny Światowej - sądy powołują się na wpisy do ksiąg wieczystych, mimo że takie rozstrzygnięcie jest naruszeniem prawa międzynarodowego, jakim była konferencja poczdamska.

Dwie puenty. Puenta 1: istnieje Fundacja Polsko - Niemieckie Pojednanie. Jej szefa, prof. Mariusza Muszyńskiego, rząd Tuska odwołał ze stanowiska, bo ten chciał zaoszczędzone 6 milionów euro przeznaczyć dla ofiar hitleryzmu, a nie na badania naukowców niemieckich.

Puenta 2: stosunek autentycznego partnerstwa Niemcy - Rosja (minister spraw zagranicznych Rosji, Siergiej Ławrow: „- *To partnerstwo jest głównym budulcem nowej Europy i nikomu nie pozwolimy wbić między nasze narody klina*”, 2008) do wirtualnego partnerstwa Niemcy - Polska (przypominającego traktowanie Roberta Kubicy przez mechaników Herr Heidfelda) ma się tak, jak w dialogu z mojej powieści „**Lider**” (2008), gdzie bohater fabuły, John Serenicki, tłumaczy przyjacielowi, Clintowi Farloonowi:

- Trzy główne polityczne zagrożenia dla Polski łatwo zdefiniować. Pierwszym są Rosjanie z Niemcami. Drugim - Rosja z Bundesrepubliką. Trzecim - Moskwa z Berlinem.

13

## Mit nieistnienia Salonu



„Oszustwo” w dziele Cesare Ripy „Ikonomia” (drzeworyt, 1603)

Francuski poeta Charles Baudelaire (notabene autor „Salonu 1845” i „Salonu 1846”) wyłożył w „Małych poematach prozą” (1868) bardzo mądrą tezę: „Najpiękniejszą sztuczką diabła jest przekonanie nas o swoim nieistnieniu”. Dokładnie to samo robi polski Salon. Że nie istnieje jako paramasoński Układ, będący opiniotwórczym centrum wpływu i monopolem decyzyjnym - przekonują społeczeństwo różni jego delegaci, wyśmiewając krytyków Salonu jako krytyków hipostazy, czyli bytu nieistniejącego. Niech za przykład posłużą dwaj weterani Salonu, Andrzej Rostocki (2007): „Niepotrzebnie Łysiak wszędzie widzi złowrogą działalność salonu. Nie ma takiej demonicznej siły w naszym

świecie”, i Tomasz Jastrun szydzący piórem (2007): „*Tak, to jest ten znienawidzony salon. On nie ma kanap ani foteli - jest w naszych głowach. Tym bardziej niedostępny dla paranoików. Iluż ludzi oszalało z poczucia, że ich tam nie wpuszczono. Nie wiedzą, że salonu nie ma*”. No właśnie - „*Salonu nie ma*”. Tak głosi ten salonowy mit.

Dzięki dwóm monografiom („*Salon - Rzeczpospolita kłamców*” i „*Salon 2 - Alfabet szulerów*”) mam zaszczyt być czołowym „*paranoikiem*” RP. Tudzież wynalazcą logo. Sebastian Duda w „*Newsweeku*” (2008): „*Wyrażenie «salon» Ziemkiewicz i inni publicyści przejęli od Waldemara Łysiaka, który poświęcił salonowi kilka książek (...) Łysiak definiuje salon jako «paramafijny układ władzy opiniotwórczej i socjotechnicznej, praktykowany przez lewicowe i kryptolewicowe elity inteligentkie oraz polityczne, które modernizują świat, pędząc społeczeństwa batem tzw. politycznej poprawności i tolerancji ku libertyńskim horyzontom degenerującego postępu» (...) Zdaniem Łysiaka salon, którego nieformalnym liderem był i jest Michnik, oznaczał największą w III RP grupę wpływu. Radziła sobie ona świetnie, obywatąc się bez żadnych formalnych struktur, a jej polityczną reprezentację stanowiły Unia Demokratyczna i Unia Wolności*”.

Tenże „*Newsweek*”, salonowy prymus medialny (obok „*Gazety Wyborczej*”, „*Polityki*”, Polsatu i TVN - u), chłostał mnie niejednokrotnie za kontrsalonowość. W świątecznym (sylwestrowym) numerze 2006/2007 dano „*Alfabet Newsweeka*”, gdzie ipeenowców, prawicowców i konserwatystów opluwało dobrane grono „*samych swoich*” (Magdalena Środa, Michał Komar, Jerzy Owsiak, Kuba Wojewódzki,



Piotr Bratkowski, Wojciech Kuczok, Marcin Meller etc.) - Łysiaka sflekował wtedy sześciowrotkowym wierszem literat Kazimierz Orłoś (któremu wcześniej solidnie przetrzępałem salonowy zad przy pomocy długopisu). Stała, czołowa bytność na kartach takich rejestrów flekujących adwersarzy Salonu („alfabety” itp.) to moja specjalność. Ostatnio (2008) figurowałem na liście proskrypcyjnej Adama Michnika, którą ten wydrukował w „GW” pt. „Moje typy”, chociaż już nie rymem (jak Orłoś), ino prozą. Proza „GW” piętnująca łysiakową antysalonowość bywa przeegzaltowana, zbyt soczysta, exemplum: „Kubły pomyj produkowanych przez Waldemara Łysiaka i jego szkołkę” (2006), lecz satysfakcjonująca, bo zostać przywódcą „szkołki”, czyli nurtu, to jest coś! „Newsweek” zresztą potwierdził tę diagnozę dającą mi berło, pisząc (2007), że nazwiska czołowych publicystów prawicy (Joanna Lichocka, Piotr Semka, Maciej Rybiński, Zdzisław Krasnodębski et consortes) to „być może tylko pseudonimy Waldemara Łysiaka”.

Od czasu wydania „Salonu” (2004) i „Salonu 2” (2006) reguła „bij mistrza!”, skutkująca zazdrością gwiazdorów wśród prawicowych konkurentów (te przemilczonka, cytatywne wykluczonka, niedostrzeganka i inne małostkowe pyszności!) tudzież kontrłysiakową nawałą artyleryjską Salonu („Rzeczpospolita”: „Niezwykłą aktywność przejawiają ostatnio publicyści, których Waldemar Łysiak nazwał michnikolizami...”, 2007) - przynosiła mi trochę gorzkich uczuć, zbierałem wszakże i oklaski za swe antysalonowe książki, ze strony prawej (mówię o tej części strony prawej, która się nie ściga małostkowo). Krzysztof Ligęza (2006): „Jeden z największych polskich pisarzy i publicystów konserwatywnej proweniencji, Waldemar Łysiak, wielokrotnie przypominał, że «nie można budować świątyń na bagnie, na kupie łajna, na wysypisku śmieci»... Fakt, przypominałem i wytykałem, serio lub chichocząc (Bogusław Dopart: „Cóż robić, termin «salon» brzmi raczej po Łysiakowemu, szyderczo”, 2007). Recenzje z „Salonu” i „Salonu 2” (łączna sprzedaż: prawie 400 tysięcy egzemplarzy) oddały mi sprawiedliwość, nie narzekam więc. Cytuję większy fragment jednej, pisanej przez Artura Adamskiego („Opcja na Prawo”, 2006), a powód jest prosty: ta recenzja mówi ważną rzecz, to mianowicie, iż mimo monopolu medialnego salonowców można się w RP przebić do ludzi (z prawdą) bez żadnych sztucznych promocji, bez typowych dla Salonu, sterowanych „ochów i achów”, bez lukrowanych „spotkań

autorskich”, bez cyrku salonowych komplementów, nagród, dyplomów, dmuchanych laurów i estradowej wazeliny. Tytuł recenzji Adamskiego brzmiał „**Łysiak na odtrutkę**”:

„Waldemara Łysiaka, być może największego z popularyzatorów wiedzy o kulturze, inicjatora narodowych debat, krzewiciela historycznej świadomości Polaków - zaczęto wymazywać ze społecznej świadomości. Dominująca prasa zdawała się poszukiwać najwłaściwszego sposobu zadania «ostatecznego ciosu». Na przemian grzmiały więc wypełnione kalumniami tyrady i zapadała długa, głucha cisza. W latach dziewięćdziesiątych wypowiedzi pisarza, którego publikacje na pniu sprzedawały się w rekordowych nakładach, krążyły w postaci broszurek odbijanych na kserografie (...) Łysiak wzbudzał wrogość i agresję samym upieraniem się przy tradycyjnych wartościach i najbardziej oczywistych etycznych zasadach: prawdzie, patriotyzmie, bezkompromisowym stanowisku wobec zła (...) Trwające latami dążenia do wyeliminowania twórczości Waldemara Łysiaka ze społecznej świadomości - już w latach dziewięćdziesiątych zaczęły się rozбивać o skalę faktów. Książki autora «**MW**» ukazywały się bez jakiegokolwiek reklamy, a sprzedawały się w nakładach dużo wyższych niż tytuły nagłaśniane ponad wszelką miarę i uhonorowane nagrodą «**Nike**». Okazywało się, że tak jak w przemyśle samochodowym zbędne jest reklamowanie mercedesów - książki Łysiaka świetnie odnajdują drogę do czytelników (...) Waldemar Łysiak zawsze przypominał, że każda budowla wznoszona kosztem odrzucenia zasad moralnych, musi się w końcu zawalić. Niczym Herbertowski Pan Cogito konsekwentnie wskazywał wartości coraz bardziej pomiatane, a dla naszej cywilizacji fundamentalne. Jego twórczość stawiała się prawdziwym antidotum na fałsz rozpanoszony w dominujących mediach. «**Salon 2**» jest czymś w rodzaju księgi - odtrutki. Nawet dla wielu wytrwałych wyznawców idei konserwatywnych ta lektura może być przeżyciem prawdziwie odkrywczym”.

„Ta lektura” spowodowała m.in. ogromne upowszechnienie się terminu „Salon” (niektórzy piszą z małej litery), co automatycznie rozbraja szerzony przez Salon mit o nieistnieniu Salonu. Krzysztof Mazur (2007): „Środowiska, które w ciągu minionych kilkunastu lat trwania III RP próbowały kontrolować publiczną debatę, zostały przez Waldemara Łysiaka określone «salonem», która to etykieta na tyle

*celnie charakteryzuje ową jarmułkową szlachetczynię, że gdyby jej autor pobierał honoraria tytułem praw autorskich za używanie owego terminu w opisanym kontekście, to byłby dzisiaj zamożny jak, nie przymierzając, twórcy «Google»». Helas! - nie pobieram tantiem za powszechne dziś „używanie owego terminu”, więc nie mam szybów naftowych, wysp koralowych i dziewic wybiegowych. Lecz z satysfakcją notuję jak często i jak chętnie używa się owego terminu dezawuującego wzmiankowany mit (nas nie ma, a kuku!) przy rozmaitych okazjach i w rozmaitych kontekstach, znaczy: wobec różnych „okoliczności przyrody” politycznej bądź kulturowej. Tak, kulturowej też (Marcin Wolski: „Gdyby listy lektur obowiązkowych układał Salon - to z nacjonalisty Sienkiewicza ostałyby się ogryzki, a za wymawianie nazwiska Łysiak groziłaby grzywna”, 2007), górą jest wszakże częstotliwość politycznego używania terminu.*

Oto Piotr Skórzyński, pisząc o Michniku („*Kiedy Michnik podpisał cyrograf?*”) i o Salonie, nawiązuje do mojego „**Salonu**” i daje świetny passus a propos genezy dominacji opiniotwórczej KOR - u (2007): „*Podstawą dla zrozumienia historii III Rzeczypospolitej jest zupełnie niedostrzegany przez publicystów i historyków fakt, że pierwsze wolne wybory odbyły się w powojennej Polsce nie w 1991 r., lecz dziesięć lat wcześniej - podczas wyboru delegatów na Zjazd NSZZ «Solidarność» przez 10 milionów członków Związku. Dla formacji «lewicy laikowej» było to doświadczenie, które uformowało ich stosunek do władzy i narodu. Okazało się bowiem, że dla społeczeństwa są elitarną grupką, której słucha się tylko z uprzejmości. Legenda KOR - u została zaszczerpiona wśród zagranicznych korespondentów i pewnej części inteligentów - dla reszty narodu była właśnie tylko legendą. Związek nie zgłosił zapotrzebowania na usługi «lewicowych laików», a nauk doradców wysłuchiwał tylko pod presją Lecha Wałęsy. Wtedy to Michnik i jego komilitoni pojęli, że władzę w Polsce mogą mieć tylko z łaski komunistów. Stąd też zapewne propozycja B. Geremka, której ślad zachował się w archiwach STASI: 2 - XII - 1981 r. przedłożył on zdumionemu St. Cioskowi postulat rozpadzenia «Solidarności», bo «dziewięćdziesiąt procent jej aparatu to nawiedzeni i awanturnicy, nad którymi my, doradcy, nie mamy żadnej kontroli»,,*

Jeżeli już padło nazwisko Bronisława Geremka, świecznikowej figury Salonu - trzeba przypomnieć, że o walce Salonu z lustracją czę-

sto pisano przez ostatni rok w kontekście międzynarodowego skandalu, gdzie eurodeputowany Geremek grał dubeltową rolę: autora i aktora. Najkrócej mówiąc: bezczelnie i spektakularnie (forum UE) złamał prawo. Odmówił bowiem złożenia obowiązkowej deklaracji lustracyjnej, twierdząc, że byłoby to dlań „upokarzające”, bo przeszłość „to jego prywatna sprawa”. Przyłożono mu więc cytatami z książki „**Konfidenci są wśród nas**” (1992), której autor, pracownik UOP, Michał Grocki (Tomasz Tywonek), na podstawie akt MSW wyłożył sporo śmierdzących rzeczy o tajemniczym „G.”. Edward Leszczyński spłodził cały artykuł pt. „**Pan G.**” (2007), odgrzewając i komentując fragmenty książki Grockiego:

*„Niezwykle zagadkowa by ta sprawa związana z G., w której co kilka lat dokonywano zestawienia jego biografii. W każdym z tych «życiorysów» zawsze pomijano okres lat 60., czas bytności G. w Paryżu. Trudno sobie wyobrazić, by ktoś w tamtych czasach, wyjeżdżając na istotną «placówkę», nie był współpracownikiem SB (...) Prowadzący sprawę oficerowie traktowali G. jako jedną z czołowych postaci opozycji, człowieka odpowiedzialnego za wiele decyzji Lecha Wałęsy. Zbierali mnóstwo informacji na temat jego «antysocjalistycznej» działalności. Nie powodowało to jednak żadnych konkretnych skutków. Dla innego człowieka oznaczałoby to proces i więzienie.*

*W dokumentacji archiwum można znaleźć też sygnały o tym, że oficerowie są przekonani, że ich praca jest atropą i przykryciem dla innych działań prowadzonych ponad nimi, w centrali. W archiwum zaskakującą informacją było stwierdzenie o utrzymywaniu przez G. tajnych kontaktów z niemiecką Frakcją Czerwonej Armii (RAF). O agenturalną działalność posądzali G. nawet jego przyjaciele z opozycji. W aktach zachował się stenogram podsłuchanej rozmowy telefonicznej między «profesorem F.» a «S.», w której jeden i drugi sugerują istnienie niejawnych powiązań G. z SB i jego współpracę z sowieckimi służbami specjalnymi. Pikanterii rozmowie dodaje fakt, że obydwaj jej uczestnicy byli tajnymi współpracownikami SB, przy czym żaden z nich nie wiedział o współpracy drugiego”.*

W moim „**Salonie**”, gdzie jest cały rozdział poświęcony Geremkowi, znaleźć można więcej „ciekawostek” na temat „drogiego Bronisława”, który bał się lustracji jak „Adaś” święconej wody, i który pozycję tuza zachowywał latami dzięki masońskiej sile Salonu (Geremek

był masonem wysokiego stopnia w Wielkim Wschodzie Francji, czyli w loży arcylewicowej). Salon tępił „*podważanie dogmatu o niepokalanej przeszłości Bronisława Geremka*” (Adam Kadmoński, 2005), zaś obalenie rządów PiS - u przywróciło znaczenie tzw. „*korporacji Geremka*”, czyli postnomenklaturowo - postesbeckiej sitwie salonowej, mającej monopol na sferę dyplomacji RP. Rządy Platformy - co często bywa podkreślane - są recydywą gabinetowej i parlamentarnej władzy Salonu. Michał Krzymowski (2007): „*Salon III RP, który do tej pory kibicował przede wszystkim Bronisławowi Geremkowi i Aleksandrowi Kwaśniewskiemu, postanowił przejąć Donalda Tuska, więc w ostatnich wyborach stał się jego zagorzałym fanem (...) Najlepiej było to widzieć w przed - i powyborczych wydaniach «Gazety Wyborczej» oraz «Polityki», najczulszych sejsmografach salonowej atmosfery (...) «Jak miło pracować w gazecie, która od lat steruje wszystkimi rządami oraz mediami» - pół żartem, pół serio pisał dwa dni po wyborach Witold Gadomski*”.

Tymczasem niektórzy (co bystrzejsi) analitycy zupełnie serio dowodzą, że to sterowanie przez lewacki Salon trwa nie „*od lat*”, tylko od pokoleń. Swoista sztafeta - przekazywanie pałeczki dzieciom, wnukom i kuzynom lub pociotkom krewnych. Prawicowi publicyści wskazują - przykładowo - Wincentego Krasę, komucha z pierwszej linii (sekretarz KC PZPR, członek Rady Państwa, wicepremier), którego wnuk, Piotr Krasko, bryluje jako prezenter TVP 1. Inni wskazują żydowską rodzinę Komarów - tatuś (Wacław) był komunistycznym generałem, militarną gwiazdą Kominternu, szefem KB W (Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego), a syn (Michał) jest świecznikową figurą Salonu „*na odcinku kultury*” (Grzegorz Eberhardt: „... *należy do ścisłego grona decydenckiego w polskim salonie*”, 2008). Kolejni wskazują pułkownika MSW (szefa ważnej jednostki MSW za czasów generała Jaruzelskiego), którego córka jest osławiona salonowa gwiazda TV, Monika Olejnik. Jeszcze inni wskazują oprawcę ze stalinowskiej Informacji, płk. „*Maxa*” Schnepfa (później dygnitarza Towarzystwa Społeczno - Kulturalnego Żydów w Polsce) i ministra Ryszarda Schnepfa (męża prezenterki TVP 1, Doroty Wysockiej - Schnepf), zdymisjonowanego przez PiS, ale reaktywowanego przez PO. Rafał Pazio: „*Minister Schnepf został zdymisjonowany przez premiera Marcinkiewicza, bo pracował nie tylko dla polskiego rządu. Na internetowej stro-*



nie Światowego Kongresu Żydów ukazało się wtedy zdumiewające oświadczenie. Wynikało z niego, że piastujący stanowisko polskiego ministra Ryszard Schnepf pracował na korzyść prywatnej żydowskiej organizacji (...). Z oświadczenia tego wynikało również, że Schnepf miał być gwarantem doprowadzenia do szybkiego uzyskania zgody co do «odszkodowań» ze strony Polski dla Żydów. Nie wiemy jaki jest obecnie skład polskiej grupy negocjującej kwestię zwrotu mienia żydowskiego. Ale przywrócenie Ryszarda Schnepf a na eksponowane stanowisko wiceministra w MSZ jednoznacznie pokazuje, w jakim kierunku te negocjacje mogą podążać” (2008). Niedługo (od grudnia 2008) Ryszard Schnepf będzie perłą wśród ambasadorów (Krzysztof M. Mazur ezopowo kpi: „Jednym z nielicznych, którym prezydent bez zastrzeżeń zaklepał ambasadorską posadę, był Ryszard Schnepf, co do którego można być pewnym, że polskości nie będzie rozumiał nacjonalistycznie”, 2008).

Pseudoherbowa dynastyczność lewackich elit Salonu bywa rzadko wzmiankowana, ale bywa; niżej cztery przykłady.

Profesor Anna Pawełczyńska („**Głowa hydry**”, 2004): „Obecnie wielu potomków «dynastii» KPP - owskiej umocniło się na wyższych szczeblach władzy państwowej oraz weszło w skład górnej warstwy kapitalistów, zawłaszczając szczególnie sektor bankowy, a także środki masowego przekazu. Przedstawiciele tej grupy włączyli się do elity finansowej i elity władzy bezpośrednio z PZPR, dzięki «grubej kresce », bądź też pośrednio, poprzez udział w opozycji rewizjonistycznej, której większość działała również w «Solidarności»”.

Piotr Skórzyński (2006): „W Michniku i jego drużynie nasza nowa szlachta zyskała nie tylko mitologów, którzy dostarczają jej legitymizacji, ale także bezpośrednich obrońców. Myślę choćby o bezwstydnym, wielodniowej kampanii czołowych komentatorów «Gazety» w obronie tajności majątków posłów”.

Józef Darski (2008): „**Wybiórcza**» to szkodliwa, demoralizująca inteligencję sekta, której misją nie jest wydobyć Polaków z ciemnoty, choć tak głoszą jej szefowie, tylko pozbawienie nas tożsamości narodowej celem uniemożliwienia wykreowania przez nas własnej elity, i zapewnienie już wnukom elity stworzonej przez NKWD i Stalina dziedziczenia pozycji rodziców i dziadków. Michnik chce tylko bronić pozycji elity postkominternowskiej i jej zaplecza wywodzącego się z PRL”.

Mocno na ten temat rozpisal się wyborny znawca dynastyczności salonowej, Bohdan Urbankowski (2007): „*Drugie pokolenie UB istnieje, terroryzuje polską pamięć, ma dostęp do wielu trybun - nie wyłączając «Gazety Wyborczej» Adama Michnika i «Nie» Jerzego Urbana. Nie bez powodu Michnik uważa Urbana za kumpla. Nieformalnym ośrodkiem władzy, gdzie decyduje się o kierunkach pokoleniowej ofensywy, wymyśla modne Hasła i Autorytety (po to, by one Z kolei wymyślały następne Hasła i Autorytety), jest elitarny «salon», który ma lewicowy, a nawet jeszcze paskudniejszy rodowód. Główną rolę gra tu Adam Michnik (...) Ów «salon» manipuluje elitami za pomocą najróżniejszych technik: przekupstwa i pochlebstwa, szantażu i apelowania do uczuć wyższych; uzupełnia swój skład przez nawiązywanie stosunków pracowniczych, rodzinnych, towarzyskich, seksualnych i jeszcze atrakcyjniejszych. Jego sprawność porównywalna jest tylko ze sprawnością dawnego UB, co także jest czymś więcej niż metaforą (...).*

*Można dostrzec kielkowanie urzędniczych dynastii, np. dynastii Smolarów. Jej założyciel, Grzegorz Smolar, funkcjonariusz KPP, nawet członek WKP(b), był z polskiego punktu widzenia zdrajcą, do tego ubabranym w antypolską, sowiecką partyzantkę ; po wojnie - publicysta, antyklerykał, redaktor naczelny pisma «Folks Sztyme». Jego żona, Walentyna Najdus (matka Aleksandra i Eugeniusza Smolarów), była ponoć jedną z głównych autorzy Manifestu PKWN (...).*



*Typowym zjawiskiem była hodowla «następców tronów», a w każdym razie stolków. Do elity dzięki «rodzinie» (brzmi to nieco mafijnie...) z biegiem czasu byli włączani «młodzi zdolni» dziennikarze, jak Ernest Skalski czy Konstanty Gebert (syn osławionego «Atamana» - komunistycznego agenta w USA), filmowcy (Agnieszka Holland, Andrzej Titkow), muzycy (Michał Bristiger), literaci (Michał Komar, Aleksander Wirpsza «Szaruga»), Stanisław Barańczak,*

*Tomasz Jastrun), publicyści (Barbara Toruńczyk, Helena Łuczywo, Paweł Śpiewak), czy specjaliści od wszystkiego, np. Aleksander Smolar, obecny szef Fundacji Batorego. Promocję przyszłych autorytetów zaczynano dość wcześnie. 22 lipca 1952 r. do Bieruta podbiegł chłopczyk z kwiatami. Wiadomo, że byle chłopczyk nie ubiegłby nawet trzech kroków. Ale to nie był byle chłopczyk - to był Janek Lityński... (...).*

*Pierwszymi szkołami I pokolenia UB były tylko szkolenia partyjne; dla wybrańców - «seanse nienawiści» w Moskwie. II pokolenie miało już własną szkołę w dosłownym sensie: było nią ateistyczne liceum im. Gottwalda przy Nowowiejskiej, przeznaczone dla dzieci aparaczyków. Wychowankami tej szkoły janczarów byli m. in. Wanda Gruber (Rapaczyński), Karol Modzelewski, Allan Starski, Marek Borowski, a także cały «klub poszukiwaczy sprzeczności»: Helena Łuczywo, Adam Michnik, Seweryn Blumsztajn, Jan Lityński, Jan Gross i inni (...) Uzupełnieniem zajęć szkolnych były prowadzone przez Jacka Kuronia «drużyny walterowskie»; uzupełnieniem pracy drużyn - spotkania powakacyjne uczestników obozów, którzy - podawani z ręki do ręki - wstępowali do ZMP i do PZPR. Te układy także działały: Kuroń lansował Michnika, potem Michnik Kuronia. A potem obydwa kolejnych następców i następczynię. Obowiązywała zasada: o «swoich» tylko dobrze, o obcych wcale albo źle. Od samego początku, gdy tylko PPR otrzymała władzę namiestniczą - można mówić o świadomie produkowanej elicie - więc właśnie o «salonie»”.*

Salonowy związek Michnika i Kuronia obrósł już dwiema legendami: legendą salonową (rzecz prosta hagiograficzną) i legendą kontrsalonową, w której - co ciekawe - terminologia zarzutów powtarza się niby czkawka. Poeta Herbert rzeki o Michniku:

- Michnik jest manipulatorem. To jest człowiek złej woli, kłamca, oszust intelektualny.

A ksiądz Stanisław Małkowski rzekł o Kuroniui:

- Uważałem, iż Jacek Kuroń jest manipulatorem. Była w nim jakaś nieuczciwość.

Trudno się dziwić, szulerska manipulacja bowiem jest istotą działalności Salonu. Starczy spojrzeć na piruety znaczeniowe (terminologiczne, semantyczne, propagandowe itp.) gazety Michnika. Gdy prawicowe media czy ośrodki badają jakiś polityczny problem, zbierają mate-

riały, monitorują etc. - to według „Gazety Wyborczej” jest „szukanie haków”. Tymczasem gdy to samo robi „GW” lub jakieś inne medium salonowe - to jest „dziennikarskie śledztwo”. Teresa Kuczyńska (2006): „*«Gazeta Wyborcza» pod wodzą Michnika uzurpowała sobie funkcję żandarma narodu i sędziego jednocześnie. Zafascynowany swoimi możliwościami - potężna gazeta, układy towarzyskie, przyjaźnie z politykami - utracił Michnik miarę. Zgubiła go pycha. Chcąc być jednocześnie politykiem, dziennikarzem i ewangelizatorem narodu (wedle własnej ewangelii oczywiście), stał się graczem na wszystkich frontach. Dbając wciąż o to, by nie doszło do lustracji i do likwidacji PRL - owskich oraz nowych układów»*”.

„Zgubiła go pycha”! Jeszcze nie do końca, lecz to fakt, że salonowy guru coraz częściej notuje jakieś wpadki, a nawet klęski. Tak wewnętrzne („*afery Rywina*”), jak i zewnętrzne (praski Uniwersytet Karola odrzucił wniosek o przyznanie Michnikowi doktoratu honoris causa, 2007). Niejednokrotnie też rozzuchwalony „*Adaś*” kompromitująco „*przekroczył granice śmieszności*” (Zdzisław Krasnodębski, 2007), wystawiając się na ciosy wrogów (choćby tłumaczeniem, że „*z przyczyn humanitarnych*” całe lata zatrudniał do pisania o lustracji, przyzwoitości, moralności itp. ujawnionego superkonfidenta bezpieki, „*Ketmana*” vel „*Returna*” vel „*Elma*” alias Lesława Maleszkę). Wszelako przekraczanie granic śmieszności (jak również granic wredności, podłości, debilności etc.) nie zawadza dygnitarzom, wyrobnikom i akolitom Salonu, gdy tylko zwęszą zysk towarzyski, piarowy lub gotówkowy. Opisane przez „*Rzeczpospolitą*” (2007): przynależność popularnego aktora, Artura Żmijewskiego, do salonowego kręgu „*Krytyki Politycznej*” (ergo: do bolszewizującego po nowemu lewactwa) i jego udział w „*sabatach michnikowszczyzny*” wraz z takimi ludźmi jak redaktor Żakowski, Kinga Dunin czy Kazimiera Szczuka - może budzić gniew fanów „*komedianta*”, lecz jemu samemu daje to tylko fory w estradowych interesach, bo Salon dużo może. Inny wzmiankowany na łamach „*Rzepy*” przez Agnieszkę Rybak gwiazdor, który „*identyfikuje się z «Krytyką Polityczną»*”, malarz Wilhelm Sasnal, robi fantastyczną karierę „*all over the world*” (dziś najbardziej wzięty polski „*mistrz pędzla*”) nie dlatego, że jest geniuszem (produkuje typowy pic - moderne, gwoli ukontentowania kabotyńskich snobów), tylko dlatego, że Salon zrobił mu megapromocję. A czemu Salon tak dobrze

mu zrobił? Bo Sasnal aktywnie działa jako frontman michnikowszczyzny przeciwko kontrsalonowcom („ - *Rządy PiS - u to syfiasty okres, eskalacja kurestwa!... Pis im mordę liza!*”) i maluje filosemickie, ciężko szkalujące Polaków obrazy według Polakozerczego komiksu „**Maus**” i Polakozerczego filmu Lanzmanna „**Shoah**”. Takie numery koszerny Zachód uwielbia i nagradza sowicie.

Promocyjki „*samych swoich*”, obalające mit pt. „*Salonu nie ma*”, ustępują liczbowo „*szlabanom*” stawianym przez Salon kontrsalonowcom. Klinczowanie, hamowanie, blokowanie, usuwanie, degradowanie, niszczenie ludzi mających światopogląd niezbyt z salonowym tożsamy czy paralelny - dowodzi istnienia Salonu lepiej niż cokolwiek innego. Pewien warszawski przykład starczy za tysiące innych. Konkretnie: pewna kamienica warszawska, przy ulicy Grójeckiej. Mieszkał w tym domu podczas okupacji sławny pisarz, wędrowiec i historyk - antykomunista (m.in. głośny pamflet „**Lenin**”), Antoni F. Ossendowski. Później kamienica była siedzibą warszawskiej filii sowieckiego NKWD (w piwnicy funkcjonowała katownia patriotów), a jeszcze później mieszczące się tam lokale dano rodzinom zasłużonych ubeków. Gdy komunizm runął, patrioci postanowili wykonać tablicę upamiętniającą Ossendowskiego. Inicjatywa się wlokła, lecz wreszcie nabrała realnego kształtu (2006). I wówczas lokatorzy kamienicy gremialnie zaprotestowali przeciwko słowu „*antykomunista*”, którym autorzy tablicy obdarzyli twórcę („*Pisarz, podróżnik, antykomunista*”) - ten wyraz raził przekonania mieszkańców. Bunt okazał się skuteczny - słowo wrogie lokatorom usunięto z tablicy pamiątkowej. Buntem kierowała pracownica zawsze lewacko - salonowego IBL - u (Instytutu Badań Literackich). Pani dr - krystalicznie czysty wykwit Salonu - pokazała kontrsalonowcom „*kto tu rządzi*”, vulgo: iż dalej rządzi Salon.

Rządzi tak skutecznie, że nawet mniemana „*prawica*” / „*konserwa*” podlizuje się mu czasami (doskonale pamiętam sprzed paru lat periodyk Kaczyńskich „**Nowe Państwo**”, niby prawicowy, a bez wazeliny pchający się każdym nieomal numerem w zad Salonu; kiedy spytałem naczelnego redaktora, pana Arciucha, czemu to robi, odparł, iż jest terroryzowany przez grono młodych członków zespołu redakcyjnego). Niektóre dawne tuzy prawicy, widząc „*kto tu rządzi*” mimo wszystko (to jest: mimo że komuna upadła) - zmieniają front, zapisując się na ko-

lanach do Salonu. Exemplum Stefan Niesiołowski, dla którego Michnik był swego czasu „*fanatykiem nienawiści i agresji*”, a Platforma Obywatelska była - wedle Niesiołowskiego - „*elegancko opakowaną recydywą tymińszczyzny*” i bandą „*pogrobowców stalinizmu z KOR*”. A dziś członek PO, dygnitarz PO, wielbiciel PO, pragmatyczny Stefan N., uważa odwrotnie, bo mu się odwróciło ku Tuskowi, czyli ku politycznej reprezentacji Salonu.

Mamy wszakże - póki co - pełną wolność słowa, tedy zdarzają się jeszcze figury publiczne batożące Salon. Exemplum Bronisław Wildstein (2008): „*Salon jest miejscem szczególnym. Fakt, że zamieszkuje go społeczność wybrańców, zasadniczo upraszcza jego funkcjonowanie, w tym m.in. komunikację wewnętrzną (...) Salon jest wzorotwórczy i ma ambicje pedagogiczne. Przez media oddziałuje na cały kraj. Salon wie kto i co winno być przedmiotem chichotu, dowiadują się tego ambitni dziennikarze, a potem usiłują nauczyć całe społeczeństwo (...) Chichot, w którym trudno uświadczyc poczucia humoru, ma zastąpić myślenie*”.

Na koniec coś optymistycznego, wszak trzeba myśleć pozytywnie. Jest płaszczyzna, która serdecznie łączy Salon i anty Salon, PO i PiS, POstępowców i tradycjonalistów, Politycznie POprawnych i niepoprawnych. Ojczyzna? Ciepło, ale to coś innego - polszczyzna. Język ojczysty. Kaleczą go identycznie, bez względu na przynależność partyjną. Zbigniew Chlebowski (PO), Jarosław Kaczyński (PiS), Ryszard Kalisz (SLD) oraz legion ich kolegów z pasją mówią: „*z pasjom*”, jak również: „*z chenciom*” (zamiast: z chęcią), „*ze sobom*”, „*konstytucjom*”, „*dajom*”, „*grajom*”, „*działajom*”, „*pokonujom*”, „*som*”, „*robiom*”, „*wzielem*”, „*gościami*” (miast: gośćmi) et cetera. Wszyscy oni są salonowcami lub kontrsalonowcami bliższymi grze w „*salonowca*” niżli salonom kultury prawdziwej.

14

## Mit Historii nauczycielki



„Historia” w dziele Cesare Ripy „Ikonomia” (drzeworyt, 1603)

„*Historia est magistra vitae*” - „*Historia jest nauczycielką życia*”. Ta łacińska sentencja, pastiszowana przez pokolenia optymistów (u nas historyk Jan Albetrandy i in.) ma tyle wspólnego z prawdą co stare powiedzonko „*Za króla Olbrachta wyginęła szlachta*”. Od dawien dawna głoszę, iż Historia nigdy nikogo niczego nie nauczyła, a dowód to fakt, iż ludzkość z maniakalnym uporem powtarza w każdym stuleciu te same głupie błędy polityczne, ekonomiczne i socjotechniczne, co prowadzi do wielu nieszczęść (rzezie, nędza, głód itp.) reprodukowanych niby czkawka lub szatańskie echo. Mimo takiej „*oczywistej oczywistości*” - współcześni mentorzy (członkowie

Salonu) jak mantrę powtarzają, iż nauczeni przez minione czasy (przez Historię) weszliśmy w okres reperowania ludzkości i globu, ergo: w dobę usuwania wszelkich błędów, a globalizacja, partnerska współpraca, Unia Europejska, ONZ, OECD, OPEC, OJA, ASEAN, UNESCO, FAO, NAFTA, transplantologia, „*polityczna poprawność*”, modyfikowana żywność, totalna wolność jednostki (wolny erotyzm i homoerotyzm, wolna aborcja, etc.) stanowią dowód, że uczeń był pojętny. Za mojej młodości mówiło się kolokwialnie: „*Srały muchy, będzie wiosna, będzie świeża trawka rosła*”.

W ciągu dwóch ostatnich dekad (od upadku komunizmu - 1989) rzezie afrykańskie i bałkańskie, masakry kaukaskie i azjatyckie, wojny bliskowschodnie i dalekowschodnie, rozmaite „*partyzantki*” i terrorystyczne ugrupowania (FARC etc.) - pokazały, że od czasów Jaskini, Iliady, Masady, Barbarii, Wojny Róż, Swastyki i Sierpomłota nic nie uległo naprawie, ludzkie Bestiarium ma się równie dobrze co korupcja i prostytutcja. Równocześnie Historia dalej - jak zawsze - służy manipulatorom do historiograficznego okłamywania społeczeństw (czyli do robienia ludziom „*wody z mózgu*”) i do szulerki propagan -





dowej, którą się dzisiaj elegancko zwie „*polityką historyczną*”. Ten iluzjonizm praktykowany jest na dwóch arenach: wewnętrznej (krajowej) i zewnętrznej (międzynarodowej). Klasycznym przykładem wewnątrz-krajowej żonglerki prawdą jest demonizowanie przez polski Kościół króla Bolesława Śmiałego, rzekomego totalitarysty i sadysty. Trwa to już kilka wieków, ma formę niezmienną (syconą kultem św. Stanisława) i zero pokrycia w faktach historycznych, co nie przeszkadza nikomu prócz maniaków, do których należą (patrz „**Wyspy bezludne**”, rozdział „*Blizna*”). Klasycznym przykładem historiograficznej gry zewnętrznej (polityka międzynarodowa) jest kontrpolskie mitotwórstwo uprawiane przez naszych sąsiadów, głównie przez Rosjan, Niemców, Ukraińców i Litwinów.

Z Niemcami i Rosją sprawa wydaje się oczywista, są to bowiem nasi wrogowie odwieczni, zaborcy, natomiast Litwa i Ukraina długo były kresowymi częściami I Rzeczypospolitej, więc historiograficzne łgarstwa ze strony tych dwóch państw bardziej boją. Jedni i drudzy mają do zatuszowania ludobójcze mordy na tysiącach Polaków. Ukraińcy trochę większe liczbowo, albowiem Rzeź Wołyńska jest szacowana w przedziale 60 - 160 tysięcy ofiar (tę drugą liczbę udokumentował przemyski historyk, dr Zdzisław Konieczny). Ofiar „*rezanych*” z wyrafinowanym sadyzmem, typowym dla Ukraińców (przecinanie piłą ludzi żywych, ścinanie kosą głów ludzi zakopanych, wydłubywanie widłami żywych płodów, wbijanie żywych dzieci na sztachety, mordowanie wbijaniem gwoździ w czaszkę, etc, etc.) tudzież z makabryczną pomysłowością (exemplum „*polskie rękawiczki*”; Stanisław Srokowski: „*Banderowcy nacinali ofiarom koło łokcia skórę, ściągali ją jak z królika, suszyli i robili rękawiczki*”, 2008). Tym rzeźnikom władze państwowe Ukrainy stawiają dziś pomniki, ich nazwiskami honorują ulice i place, sławią ich jako bohaterów podczas rozlicznych ceremonii, uczą o nich młodzież szkolną, etc, a Polska milczy i przymila się, niby kopana w tyłek dziwka, udając, że nie widzi i nie słyszy tego. Bo tak każe „*racja stanu*”.

Kilka lat temu pisałem („**Salon 2**”), że „*podlizywanie się ukraińskim nacjonalistom to erupcja politycznej głupoty ludzi, którzy rządzą RP*”. Pisałem również, że Julia Tymoszenko i Wiktor Juszczenko hołubią postępująco - postbanderowskich bojówkarzy (OUN), a ich sztaby polityczne zieją nienawiścią do Polaków. Pisałem wreszcie, iż

zamiatanie Rzezi Wołynia pod dywan niepamięci zwanej europeizowaniem Ukrainy i kultywowaniem dobrosąsiedzkich stosunków - to kolejna hańba domowa, bo nawet głośny Katyń ustępuje liczbowo (i to grubo) oraz jakościowo (sposób zabijania) holokaustowi Polaków wymordowanych przez Ukraińców. Moje apele były wszakże grochem rzucanym o ścianę. Dopiero druga połowa lipca 2008 (65 - ta rocznica tamtego ludobójstwa) spowodowała przebudzenie mediów, gdy marszałek Sejmu RP (Komorowski) zablokował inicjatywę uchwały parlamentarnej ku czci ofiar, a prezydent RP (Kaczyński), miast patronować memorialnym obchodom zorganizowanym przez rodziny kresowe, patronował Tygodniowi Kultury Ukraińskiej (sic!), który Ukraińcy prowokacyjnie zorganizowali w tych samych dniach! PO i PiS solidarnie wypięły się więc na wołyńskie ludobójstwo, prowadząc „*politykę historyczną*” suteneryzującą rację stanu Rzeczypospolitej.

Autentyczna polska racja stanu, gdyby ją realizowano, wymagałaby czegoś odwrotnego, jednak Salon (prawdziwy „*rozprawdzający*” naszej polityki) zdecydował inaczej. Decyzja zapadła w marcu 2007. Krakowskie księgarnie odmówiły przyjęcia do sprzedaży książek o zbrodniach OUN - UPA (m.in. zbioru relacji „**Dzieci Kresów**”), a 137 mandarynów Salonu (Geremek, Blumsztajn, Holland, Rotfeld, Wujec, Boni, Lityński, Wielowieyski, Mazowiecki, Jastrun, Wajda, Mandalian, Onyszkiewicz, Borowski, Bratkowski, Kułakowski i kompania) zaprotestowało publicznie (list do Rady Warszawy) przeciwko pomnikowi ofiar ludobójstwa na Kresach Wschodnich - polskich ofiar zezwierzęcenia OUN - UPA. Projekt ukazywał drzewo z dziećmi przybitymi do pnia. Niektóre polskie dzieci Wołynia cudem przeżyły. Pani Wanda Piłiszewska miała wtedy 8 lat. Gdy uciekała ze swego płonącego domu, zobaczyła jak koło studni Ukrainiec rozdziera małą dziewczynkę:

- Dziewczynka leżała na ziemi, a on przydepnął jej nóżkę i z całej siły szarpał za drugą, by rozedrzeć dziecko. Gdy to zrobił, wrzucił ciało do studni.

Salon pragnie wrzucić do studni niepamięci tysiące polskich dzieci przybitych żywcem bretnalami lub rozdartych żywcem. Równie amnezycznie traktuje michnikowszczyzna zbrodnie litewskie na Polakach (wymordowanie 30 tysięcy Polaków w Ponarach), chociaż ma tu pewien kłopot, bo w Ponarach litewscy szaulisi, kolaborujący z hitlerowcami, wymordowali przy okazji 70 tysięcy Żydów. Litwini wolą o tym nie

pamiętać i dla swego dobrego antypolskiego samopoczucia łąć, nam wytykając zbiorowe mordy - wileńskie urzędy pocztowe sprzedają koperty z wizerunkami trzech bestii: Hitler, Stalin i Piłsudski obok siebie, jako trio ludobójców. Warszawa udaje, że nie zauważa takich sąsiedzkich łotrstw.

Parszywieńkie (amnezyjne „dobrosąsiedzkie”) stosunki między Polską a sąsiadami - i vice versa - znajdują barwne odzwierciedlenie na niwie kinematograficznej. Jeżeli Historia bywa dzisiaj szkolną belferką - to przede wszystkim uczy lud za pomocą „ruchomych obrazów” i ekranów (płóciennych bądź szklanych). Lenin, Stalin i Goebbels słusznie traktowali kino jako czarodziejską różdżkę propagandy. Pamiętający o tym Putin kazał trzy lata temu nakręcić superprodukcję filmową „Rok 1612”, dowodzącą, że Rosjanie to anioły i herosy, a Polacy to banda dupków i zbirów. Litwini właśnie kręcą podobną superprodukcję „Žalgiris - geležies diena” („Grunwald - dzień żelaza”), by - jak mówi reżyser Raimundas Banionis - „zmienić rozpowszechniony w Polsce pogląd o jedynie symbolicznym udziale Litwinów” (2008). Litwini zmieniają ten pogląd od dawna, i to radykalnie, czego dowodem ekspozycja (m.in. duża makieta) w trockim Muzeum Zamkowym, gdzie Polacy zostali usunięci kompletnie, vulgo: pod Grunwaldem nie było żadnych polskich wojsk, a bitwę wygrali Litwini, przy niewielkim udziale Smoleńszczan (sic!). Ma to tyle wspólne -



Stanisław Wyspiański, „Bitwa pod Grunwaldem”

go z prawdą, ile twierdzenie litewskich propagandy stów, że Jan Matejko był Litwinem - czyli: zero - ale zrozumiejmy biedaków: Litwini muszą kraść dawną polską kulturę i chwałę, gdyż rodzimej mają tyle co kot napłakał.

Wyrzucenie sarmackich hufców z pola boju grunwaldzkiego, litwinizacja Matejki, ukrainizacja przeszłości Lwowa i tysiące innych historiograficznych trików - to dowód, że fałszywa teza, iż Historia jest skuteczną nauczycielką życia, ma siostrę bliźniaczkę: równie fałszywą tezę, iż historiografia uczy autentycznej historii. Gdzie uczy, tam uczy, a gdzie woli kantować - tam sprzedaje szalbierstwo. Na wszystkich kontynentach. Przykład jeden spośród milionów: klasyczny (wręcz emblematyczny) zachodni faryzeusz salonowy, historyk sztuki Simon Schama, tłumacząc widzom (w filmie o Picassie, 2007) genezę powstania słynnej „Guerniki”, mówi (według rytualnej wersji Salonu), iż niemieckie oraz włoskie bombowce zbombardowały baskijskie miasteczko, „*choć nie było tam żadnych obiektów militarnych, żadnych wojskowych celów!*”. Jeśli kilka fabryk broni, koszary wojskowe i garnizon z kilkoma tysiącami żołnierzy (trzy bataliony) to nie są obiekty i cele militarne - wówczas Schama nie zełgał. Taka jest prawdomówność salonowych opiniotwórców.

Prawdę o swojej i cudzej przeszłości fałszuje mnóstwo narodów. Polacy są tu zresztą niezbyt grzeszni - naszym grzechem jest coś innego: lizusostwo historiograficzne „*politycznie poprawne*”. Kinematografia daje świeże przykłady takich praktyk. Jerzy Hoffman w „**Ogniem i mieczem**” bezwstydnie (ahistorycznie i antysienkiewiczowsko) wazelinował, dowartościowując i doszlachetniając Kozaków, zaś Andrzej Wajda pierdnął w „**Katyniu**” figurą szlachetnego Rosjanina, co mu wytknęli nie tylko rodzimi publicyści (exemplum Jerzy Pawlas: „*Kuriozalne eksponowanie dobrego Rosjanina*”, 2007), lecz nawet bliski przyjaciel, znany rosyjski pisarz Wiktor Jerofiejew („*Ten dobry Rosjanin to schemat, ale czy warto w filmie żyć według schematów?*”, 2008). Chodzi o komunistyczny schemat - gdy w PRL - u miał powstać film według napoleońskiej powieści „**Huragan**”, władze partyjne zażądały, by jedną z czołowych figur był „*dobry Rosjanin*”, czyli postać, której nie ma u Gąsiorowskiego.

Najcięższe (i najśluszniesze) działa wytoczył przeciw „**Katyniowi**” Wajdy filmoznawca Krzysztof Kłopotowski, pisząc „*Wajda uległ*”

rosyjskiej hipnozie (...) W «*Katyniu*» nie śmiał zaczerpnąć z polskiej pogardy dla dziczy, która wdarła się do Rzeczypospolitej, czy z obsesji dwóch wrogów. Nie powstały zdjęcia za milion złotych, z lotu ptaka, jak dwie armie, Wschodu i Zachodu, okrążają nas stłoczonych na moście - metafory narodu w pułapce. Takie kadry kształtują świadomość zbiorową. Zamiast tego oglądamy współczucie sowieckiego oficera dla Polki” (2008). Z tymi współczuciami, będącymi pokłosiem tresury peerelowskiej, kojarzą mi się słowa Macieja Rybińskiego o „jakiejsz dziwnej, niepisanej abolicji oraz intelektualnej prostytutce naszych elit”, tudzież o wszystkim, co jest „wylizywane i przerabiane na marksistowską konieczność historyczną” (2007).

„Przerabianie” (fałszowanie) dziejów stanowi primo: główny oręż „polityki historycznej” wielu rządów; secundo: silny instrument manipulatorów salonowych; wreszcie tertio: również objaw głupoty, dyletanctwa czy nieuctwa. Gdy w monografii naukowej o zrzutach lotniczych dla Powstania Warszawskiego (polskie wydanie: 2006) południowoafrykański historyk Neil Orgen głosi, że czołgi niemieckie broniły Warszawiaków przed okrucieństwem Ukraińców - to jest dyletancka ignorancja pseudonaukowca. Gdy ankietowani Rosjanie twierdzą, iż „*Quo vadis*” Henryka Sienkiewicza opowiada o spaleniu przez chrześcijan miasta Rzym - to jest prymitywizm świadomości masowej. Ale gdy we francuskiej „*Encyklopedii Larousse'a*” można przeczytać, że bohaterską obroną Westerplatte dowodził kapitan Franciszek Dąbrowski, a w polskich encyklopediach, że major Henryk Sucharski - to kłamstwo polskich kompendiów jest rezultatem esbeckiej manipulacji, gdyż westerplattezykami przez wiele lat „zarządzała” kadrowa funkcjonariuszka SB, Stanisława Górnikiewicz - Kurowska, i to ona decydowała kto z nich trafi do panteonu sławy, a kto nie otrzyma pośmiertnych laurów.

Tak samo - gdy media całego świata nieustannie bredzą o „*polskich obozach koncentracyjnych*” i o Polakach jako motorniczych Holocaustu - to jest świadoma dezinformacyjna strategia Salonu, wkładająca Polakom czapkę hańby. Równie świadoma co publiczny koncept rodzimych salonowych prawodawców (wrzesień 2008), by zdepenalizować „*publiczne znieważanie Narodu lub Rzeczypospolitej Polskiej*”, przy utrzymaniu wszelkich dotychczasowych kar za „szarganie” Holocaustu. I równie świadoma co relatywizacja zbrodni nazistows-

kich i sowieckich na korzyść tych drugich (jako znikomych, mimo iż liczbowo były dużo większe).

Liczby oraz metody nie grają roli dla Salonu - ważne są ideały. „**The New Times**” (2008): *„Różnica jest taka, że ofiary Hitlera czci się jako męczenników, a o ofiarach Stalina zapomniano, bo były mordowane w imię świetlnych ideałów. Ludzie ginęli masowo i pod swastyką, i pod czerwoną gwiazdą, jednak tylko swastyka jest zakazana, a czerwona gwiazda - nie”*. Unia Europejska wprowadziła (2007) kary za negowanie zbrodni ludobójstwa, lecz prawo to nie objęło komunizmu. Redaktorzy „**Rzeczypospolitej**” dali artykułowi na ten temat tytuł: **„Zbrodnie komunizmu można negować”** (2008). Ze zbrodni komunizmu można też żartować; Norman Davies (2008):

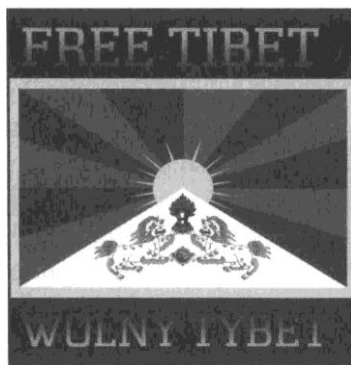
- Pamiętam ważnego sowietologa, który cytując Stalina mówił wesoło, że *„nie da się zrobić omletu bez rozbicia jajek”*. Gdyby to samo powiedział o Hitlerze, wytoczono by mu sprawę sądową.

Ów relatywizm ma wiele dziwacznych aspektów, choćby taki, że polskie prawo nie uznaje dokumentów władzy okupacyjnej hitlerowskiej (nie są uwzględniane przy roszczeniach, dowodzeniach, odtwarzaniu akt personalnych itp.), natomiast sowieckie papiery okupacyjne, tudzież carskie, są respektowane bezproblemowo.

Salon priwiśliński kugluje historię wielu krajów, szczególnie chętnie egzotycznych, bo tropikalne kłamstwa daje się publice łatwiej wcisnąć. Cała sprzedawana nad Wisłą historia castrowskiej Kuby (od szczegółów *„rewolucji kubańskiej”*, przez amerykańską interwencję w Zatoce Świń, po idealizowaną figurę oprawcy zwanego „*Che*”) - to lipa, stek bujdy i mitów. Wyłącznie głupota amerykańskich „*liberałów*” (lewaków), dowodzonych przez Kennedy'ego, pozwoliła Castro triumfować. Nie tylko zresztą nasz Salon krzewi procastrowskie bzdury, lecz cały lewicowy Salon globu, a zniesienie sankcji wobec Kuby (2008) przez Unię Europejską (mimo iż kubańskie kazamaty są pełne więźniów politycznych) jedynie przyklepało ów historiograficzny balach.

Różne tego typu mitologie użytkowe (Irak, Kosowo, Czeczenia etc.) sprzedaje się publiczności bez żenady, bez cienia wstydu, zazwyczaj z intencją polityczną służącą rozgrywaniu bieżących interesów. Pupil Salonu, sławny reżyser Steven Spielberg, wycofuje swoje poparcie dla pekińskiej olimpiady, by zaprotestować przeciwko gnębieniu Tybetu. Protybetańska międzynarodówka szaleje z radości, klaszcze, wiwatu-

je, demonstruje (antychińsko) i bełkoce, że Chiny skasowały kilkusetletnią suwerenność buddyjskiego kraju. Tymczasem ów kraj był integralną częścią Chin już od XIII stulecia, a jego autonomia sprowadzała się do teokratycznego despotyzmu w wykonaniu mnichów buddyjskich bezlitośnie gnębiących ludność. „Der Spiegel” (2008):



„Współcześni historycy doskonale wiedzą, że Tybet nigdy nie był rajsłą krainą, o której stale mówi dalajlama. Dla ogromnej większości Tybetańczyków było to raczej piekło na Ziemi. Rządząca elita mnichów wyzyskiwała ludność dzięki rozgałęzionej sieci klasztorów i zakonnych twierdz. Aż 99% społeczeństwa żyło w poddaństwie, a daniny i podatki, które na tych rabów nakładała warstwa uprzywilejowana, odbierały możliwość godnej egzystencji wieśniakom. Jak pisze amerykański historyk i politolog Michael Parenti w świetnie udokumentowanej pracy pt. «**Mit Tybetu: przyjazny feudalizm**» - ci pańszczyźniani chłopci byli zwyczajnie niewolnikami, pracującymi darmowo dla feudała lub klasztoru, niemogącymi się nawet żenić bez zgody zwierzchności, muszącymi płacić podatek od małżeństwa, od narodzin każdego dziecka, od uwięzienia i uwolnienia, od każdego święta religijnego i każdego zgonu w rodzinie - od wszystkiego. Nawet od bezrobocia, gdy nie mogli znaleźć pracy! Wielu małych chłopców siłą zagarniano do klasztorów, gdzie byli wykorzystywani seksualnie i kształceni jako mnisi, a dwory feudalne zwyczajowo łowiły co ładniejsze dziewczynki w wiadomym celu. Hierarchię społeczną tej straszliwej teokracji cementowały rygory buddyjskie - uciskanej ludności wpajano, że niedola jest pokutą karmiczną za złe uczynki w poprzednim życiu. Ucieczki i wszelkie nieposłuszeństwo karano sadystycznie (amputacjami, wrywaniem języka, wylupywaniem oczu), ale nigdy zabijaniem, gdyż religia buddyjska nie zezwalała odbierać życia. Gdy więc chciano kogoś utrupić - maltretowano go i półżywego zostawiano nocą na mrozie, «oddając Bogu»”.

Dzisiejsza mitologia Tybetu, któremu rzekomo ukradziono rzekomo świetlaną niepodległość, wywodzi się z XIX - wiecznej romantycznej

fascynacji zachodnich kręgów ezoterycznych (Mme Blawatska e tutti quanti), dla których idealizacja Tybetu jako rajskiej krainy, swoistej Shangri - La - była działalnością stricte mitotwórczą. Podobnie dzisiaj fascynacje lewackie Salonu owocują mitologizowaniem prezydenta Chile, Salvadora Allende, jako szlachetnego rycerza, i demonizowaniem jego następcy, generała Augusto Pinocheta, jako okrutnego zbrodniarza - wbrew ewidentnym faktom historycznym. Janusz Szpotański („*Szpoł*”) celnie definiował rymem tę salonową niechęć do faktów (wciaż ten cytat przytaczam, ponieważ go uwielbiam):

*„Fakty teoriom bowiem przeczą,  
A to jest karygodną rzeczą”.*

Fakty chilijskie są takie, że zbrodniarzem (notabene: agentem KGB) był Allende, a Pinochet był zbawcą państwa, które allendowska „*reforma*” komunistyczna zaprowadziła ku brzegom ruiny. Generał dokonał „*puczu*” właściwie demokratycznie, bo na podstawie „*aktu demokratycznej rozpacz*”, jakim była uchwała kongresu z 23 sierpnia 1973 roku. Łukasz Adamski (2006): „*Parlament, widząc próbę zawłaszczenia państwa przez komunistów, odwołał we wrześniu 1973 roku Allende ze stanowiska. Lewicowa propaganda nigdy nie wspomina, że to Trybunał Konstytucyjny wraz z parlamentem oddał w ręce wojska pełnię władzy. Pinochet tak wyjaśniał powody puczu wojskowego: «Na kilka miesięcy przed zamachem stanu nawet życzliwe Allende media krytykowały armię za beczynność (...) Gdybyśmy wtedy nie wkroczyli, Chile przestałoby istnieć jako państwo, a komunistyczna pożoga rozprzestrzeniłaby się na cały kontynent. Rosjanie tylko zacierali ręce. Zapłaciliśmy za to ogromną cenę. Wystarczy, że zginie choćby jeden człowiek, to już cena jest zbyt wysoka»”.*

Ze strony Pinocheta przejęcie władzy było więc aktem heroicznego patriotyzmu. A patriotyzm narodowy to jest „*nacjonalizm*” - coś, czego Salon nienawidzi szczególnie. Polskie pierwociny opluwania patriotyzmu jako szowinistycznej metody kształtowania Historii sięgają galicyjskich „*Stańczyków*” (prowiedeńskich lojalistów), renegata Brzozowskiego i międzywojennych endeków, a kulminują się antypolskimi bredniami Miłosza i salonowymi perorami michnikowszczyzny. Marszałek Piłsudski - symbol niepokalanego rodzimego patriotyzmu - jest do dzisiaj oszczerczo biczowany za tę filopolskość. Płyne czas,



mijają generacje, a wrogowie wciąż wieszają na Komendancie wszelkie możliwe psy. Endecy już przed wojną wytykali mu zdradę ojczyzny i żonę Żydówkę (to drugie też było nieprawdą, lecz wielu rodaków dało się nabrać). Komuniści wytykali mu coś, co sami robili - zamordyzm (w 1980 Ryszard Filipiński zmagistrował film ukazujący Piłsudskiego na kształt Stalina, czyli jako bestialca, który praktykuje nieustanny krwawy terror i dręczenie ludu). Dzisiaj neoendecy kontynuują swój familijny „trynd”, czego przykładem Janusz Korwin - Mikke plotący o Dziadku: „*Bolszewicy zostali zainstalowani w Rosji przez wywiad Sztabu Generalnego armii Cesarstwa Niemieckiego, by rozwalić od środka głównego przeciwnika i mieć swoich agentów u władzy w Moskwie (to samo zresztą dotyczy instalacji Józefa Piłsudskiego w Warszawie)*”. Czy leci z nami psychiatra?

Neoendecy mogliby tutaj ripostować, iż Łysiak zgrzeszył niekonsekwencją broniąc czegoś, co sam krytykuje - kształtowania Historii za pomocą fałszywych mitów. Ergo: Łysiak broni propagandowej sanacyjnej mitologii Marszałka!... Odpowiedź brzmi: nie, panowie, ja bronię wizji polskości lansowanej przez Marszałka tudzież tego rodzaju patriotyzmu - patriotyzmu orężnego (insurekcyjnego, rebelianckiego) - którego on był heroldem, a który od zawsze budzi furię ugodowców, lojalistów, komuchów i eunuchów. Posłuchajcie jak dzisiaj gdacze czerwona Magdalena Środa: „*Mężczyźni biją się i zabijają bez potrzeby lub tylko po to, by mieć jeszcze więcej okazji do bicia i zabijania się, co - nie wiedzieć czemu - nazywa się patriotyzmem, a co urosło w naszej kulturze do najważniejszej rangi*” (2008). Święta racja, pani Madziu, zresztą znana (więc truizm), bo już wcześniej (2007) „**Wyborcze**” pismo święte redaktora Michnika synonimowało patriotyzm z rasizmem (sic!) i solennie deklarowało, że „*patriotyzm nie ma żadnego uzasadnienia moralnego - jest zbędnym reliktem przeszłości, pozostałością po dawno zapomnianych sposobach życia*”.

Jako „*zbędny relikty przeszłości*” patriotyzm vel „*nacjonalizm*” był rugowany przez czerwono - różowy Salon PRL - u i przez różowy Salon III RP, co każe dzisiaj przyzwoitym piórom ubolewać (nad rezultatem) tymi samymi słowami, których ja w mojej publicystyce i eseistyce używam od lat kilkunastu. Exemplum Bronisław Wildstein (2008): „*100 lat temu krytycy naszej tradycji domagali się, aby Polacy wyrzekli się polskości, która ma jakoby stanowić barierę w procesie mo-*

*dernizacji kraju. Tradycja polska ufundowana miała być, zgodnie z jej krytykami, na manii wielkości połączonej w dziwny sposób z martyrologicznym masochizmem. Wszystko to tworzyło podobno pożywkę dla polskiego nacjonalizmu. Tymczasem ostatnie 70 lat historii naszego kraju to konsekwentne niszczenie polskiej tradycji, które powoduje, że Polska dziś to kraj o zerwanej ciągłości”.*

Tę ciągłość jeszcze próbowano u progu III RP przywracać, m.in. reaktywacją rodzimej arystokracji, bo herbowe rody to żywy (genetycznie) przejaw tradycji polskiej. Nakręcono (1992) telewizyjny serial dokumentalny „**Potomkowie wielkich rodów**” - każdy odcinek o jednej rodzinie. Lubomirscy, Tarnowscy, Dzieduszyccy, Czartoryscy, Radziwiłłowie itd. Piękny był choćby odcinek „**Tarnowscy**”. Nobliwie wyglądający nestor rodu, Stanisław hrabia Tarnowski, przez bitą godzinę prawił górnolotnie o patriotyzmie, honorze, szlachetności, przyzwoitości, wrażliwości, kulcie tradycji i wzdargie dla renegatów. Z bezbrzeżną pogardą wyrażał się o - cytuję - „*sukinsynach współpracujących z bolszewikami*”. Serial emitowano („*pokrzepianie serc*”) wielokrotnie; dwa lata temu już chyba jedenasty raz. Lecz niedawno syn hrabiego Stanisława, Andrew Tarnowski, opublikował monografię rodu („**Ostatni mazur**”), ujawniając, że tatuś był zwyrodniałym alkoholikiem, damskim bokserem (jego żony i metresy nosiły ciągle „*lima*” od podbicia oczu) i prawdopodobnie wieloletnim konfidentem peerelowskiej bezpieki, więc już na emigracji oficerowie (generał Kopański i in.) nie chcieli mu podawać ręki. Ja sam kilka lat temu pisałem, że pan hrabia, jako etatowy tłumacz dokumentów politbiura, miał w gmachu KC PZPR gabinet sąsiadujący przez ściankę z gabinetem pułkownika Gduli, zastępcy generała Kiszczaka! Lew salonowy Wrocławia, Wojciech hrabia Dzieduszycki, również okazał się „*kablem*” SB. I Michał hrabia Ronikier, gwiazda Salonu krakowskiego. Arystokracja tedy zawiodła jako modus odgrzewania sentymentów patriotycznych. Lecz tak to już jest ze zbyt wnikliwym sięganiem do życiorysów: pupilek Salonu europejskiego, noblista Gunter Grass, był za młodu członkiem SS, a Iczhak Arafat, szef telawińskiego Instytutu Yad Vashem, czyli też superautorytet etyczny, był funkcjonariuszem równie zbrodniczego NKWD. Historia może nie uczy życia, ale pokory czasami uczy.

Uczy jej dzięki takim jak wzmiankowane demaskacjom gwiazdorów. Coraz częściej. Ostatnie dwie dekady przyniosły lawinę kolaboracyj-

nych kompromitacji salonowych pupilów. M.in. legendarnych „bardów”. Główny śpiewający „bard” czeskiej opozycji antykomunistycznej, Jaromir Nohavica, był płatnym agentem bezpieki. Główny „bard” opozycjonistów z NRD, Sascha Anderson - również. Kapusiami pracującymi dla bezpieki okazali się: „kultowy” węgierski reżyser, Istvan Szabó, i „kultowy” czeski pisarz, Milan Kundera (jeden z zakapowanych przez niego antykomunistów spędził jako więzień kilkanaście lat w kopalni uranu!). Rzeź „kultowych” figur eksosowieckiej Europy, vulgo: Historia boleśnie ucząca pokory salonowców - mitotwórców, którym się przewróciło w „kiepele”.

Szkoda, że nie uczy pokory uczonych ateistów dywagujących o Genesis. Wszystkie bowiem mitologie historiografii (nieustannie klepana brednia, że francuski lekarz Guillotin wynalazł gilotynę, oraz biliony bredni innych) - są drobiazgiem wobec mitów dotyczących Prapoczątku, a więc wobec kreacjonizmu, big - bangu i ewolucjonizmu. Tutaj Historia z pewnością nie jest nauczycielką życia w znaczeniu wiedzy o kolebce życia, chociaż pyszni sawanci twierdzą coś innego, wskazując swoje akademickie teorie. Nie potrafią jednak obronić wielu słabych punktów tych teorii (dlaczego nie znaleziono żadnych „przejściowych form ewolucyjnych”, czyli „pośrednich gatunków?!), a niewygodne pytania kwitują warczeniem na „dewotów - nieuków”, elimi -



nując dyskusję. Rację ma kardynał Schönborn, gdy mówi: „*Jeśli teoria jest naukowa, nie zaś ideologiczna, to można o niej swobodnie dyskutować*”. Lecz teoria kontrkreacjonistyczna stanowi właśnie ideologię, a nie bezdyskusyjną prawdę naukową. Terrorystycznie (rządy Salonu) mianuje ona p r z y p a d e k siłą sprawczą życia i wszechświata, ergo rzeczywistości, z czym niejednemu racjonalście pogodzić się jest równie trudno jak ateistom z fideistyczną ideologią kreacjonizmu. Kilka ważnych pytań a propos rzucił tu (2006) Paul Johnson, mój ulubiony zachodni myśliciel:

*„Cokolwiek ustalą badacze początków wszechświata, zawsze staną przed nieubłaganym pytaniem: dlaczego? (...) Nie widzę problemu w pogodzeniu teorii Wielkiego Wybuchu z pierwszym rozdziałem Księgi Rodzaju. Problem polega według mnie na czymś innym: dlaczego Bóg, który istniał przez całą wieczność, postanawia raptem stworzyć wszechświat ze wszystkimi jego mieszkańcami i dać początek wielkiej kosmodramie, której jesteśmy skromnymi uczestnikami? To samo pytanie (na które nie widzę odpowiedzi) odnosi się do wyjaśnienia alternatywnego, lansowanego przez darwinowskich fundamentalistów - że Wielki Wybuch był dziełem przypadku. Przypadki nie biorą się jednak z niczego. Co się działo wcześniej? Jak wyglądał stan normalny, w którym pojawił się przypadek dający początek wszystkiemu? Nie ma odpowiedzi na te pytania. Wydaje mi się, że teorii wskazującej przypadek jako początek wszechświata grozi więcej trudności niż teorii o boskim stworzeniu. Jeżeli ktoś pyta jak powstał wszechświat i słyszy, że «przez przypadek» - to jest kapitulacja nauki, uniesienie rąk. Stać nas chyba na więcej? (...) I wreszcie pytanie dodatkowe: po co Bóg stworzył wszechświat, dlaczego? Akt ten - tak sądzę - musiał być nieuniknionym następstwem boskiej samowiedzy. Lecz dotykamy tu tajemnic rekordowo głębokich, zatem brak odpowiedzi nie przynosi wstydu. Nie znam odpowiedzi”*

Nikt nie zna, choć tak wielu kłamie, że zna. Historia nie nauczyła ich niczego.

15

## Mit wyzwolénieczego pokolenia '68



„Rewolta” w dziele Cesare Ripy „Ikonologia” (drzeworyt, 1603)

Niemiecka publicystka, Bettina Röhl, córka sławnej terrorystki Ulrike Meinhof (Rote Armee Fraktion), autorka kilku książek o „generacji '68”, rzuciła twardo (2008):

- Nadal panuje ideologia spod znaku '68 (...) Powinniśmy się starać o demitologizację ruchu '68.

Starać się można, jednak osiągnięcie celu będzie tu bardzo trudne, gdyż dzisiejszy lewicowy („postępowy”) Salon świata został stworzony właśnie przez pokolenie młodzieżowego buntu lat 1967 - 1969, dlatego broni „mitologii '68” bez pardonu. Również u nas. Przykład najświeższy: kuratorka wystawy w Zachęcie „Rewolucje 1968” (otwarta

16 września 2008), Maria Brewińska, udzielając wywiadu „**Rzeczypospolitej**” rozczuła się „*nowym, antykonserwatywnym myśleniem*” tamtej generacji buntowników, i precyzuje:

- Młodzi, którzy nie przeżyli wojny, chcieli dokonać przewrotu, aby świat stał się lepszy. Tłumiona latami energia eksplodowała. Rzeczywistość stała się psychodeliczna, miłość i seks przestały być obwarowane zakazami. To był naprawdę niesamowity okres, wybuch pozytywnych emocji: manifestacje przeciwko wojnie w Wietnamie, bratanie się artystów z ludem, białych z czarnymi, aktywizacja „*zwyczajnych*” obywateli.

No, po prostu, sam miód - zbiorowy Mesjasz - hipis zstąpił na Ziemię i zrobił jej dobrze. Bez tego panowałyby dzisiaj czarna noc wstecznicstwa, jaskinia filistrów, ciemnogród zupełny. Nie żartuję - heroldowie ruchów '68 pieją swoje trele serio. Mit „*generacji '68*” to - najkrócej mówiąc - teza, iż tamto pokolenie swą rewoltą wyzwoliło ludzkość z rozmaitych tradycyjnych (często wielowiekowych) pęt i hamulców, przynosząc wolność wszystkim uciśnionym, kasując dysproporcje, niwelując nierówności, eliminując bariery, podnosząc szlabany, otwierając bramy, znosząc zakazy, wygładzając wertepy, et cetera, et cetera. Słowem: dali światu raj, lub przynajmniej przedsiónek raj, i błogosławioną „*polityczną poprawność*” we wszelkich możliwych aspektach. Pytanie: jeśli tak, to czemu tylu ludzi brzydzi się kondycją i aparycją dzisiejszego świata?

Rewolta '68 miała różne dążenia i oblicza w krajach nią wstrząsanych (Francja, Niemcy, Włochy, Holandia, Hiszpania, Japonia, USA, Brazylia, Argentyna, Jugosławia, Polska, Czechosłowacja itd.), później wszakże jej heroldowie wypracowali wspólną platformę ideowo - reklamową (piarowską) będącą fundamentem mitu, przypisując „*pokoleniu '68*” liberalizację właściwie wszystkiego: rodziny (depatriarchalizacja), kultury (kontrkultura), szkolnictwa (obniżenie wymaganych norm), prawa (radykalne zmniejszenie represyjności), obyczajów (radykalne rozluźnienie), przepisów (usprawnieniowa nowelizacja), etc, w tym także wymuszenie rozwiązań szczegółowych i masowych, dotyczących całych grup, jak depenalizacja homoseksualizmu (od 1969), legalizacja oraz instytucjonalizacja feminizmu, administracyjne uwalenie spuścizny nazistowskiej, itp. Starczy pobieżna analiza tych przypisywanych sobie zasług, by większość przechwałek obalić lub obśmiać

(źródła zmian były w prawie każdym wypadku wcześniejsze), lecz nie to jest istotą problemu pt. „generacja '68” lub „mitologia '68”, tylko bilans zysków i strat homines sapientes. Według Salonu - zyski bezwzględnie tu dominują, świat został prawidłowo zmodernizowany i dohumanizowany. Według kontrsalonowców - świat został przez „pokolenie '68” zgangrenowany.

Gdy zerkamy ku źródłom, czyli cofamy się pamięcią o 40 lat - widać generalną różnicę między buntem młodzieży Wschodu i Zachodu. I tu (Polska, Czechosłowacja), i tam (Francja, USA, Niemcy) bunt młodych był wymierzony przeciwko porządkowi społeczno - politycznemu, przeciwko dyktaturze. Lecz tu - przeciwko dyktaturze komunistycznych kacyków, prokremlowskich despotów. Natomiast tam - przeciwko dyktaturze konserwatywnych rodziców i siwiejących autorytetów. Młodzież zachodnią uwierały pęta tradycyjnej („burżuazyjnej”) obyczajowości i kultury, nęciły zaś „postępowe” miazmaty doktryn lewackich (maoizm, trockizm itp.). Młodzież wschodnioeuropejską gnębiły systemowe pęta doktryny komunistycznej, a wabiły uroki „mieszczańskiego” dobrobytu i liberalnego ustroju zachodnich państw. Można tedy rzec, iż nad Wisłą walczono o to, co zwalczano nad Sekwaną - jest to diabelski paradoks 1968 roku. Francuska młodzież, z całą naiwną głupotą żółtdziobów i neofitów, rwała się ku goszystowskim utopiom, które obiecywały alternatywne społeczeństwo według wzorca teoretyków socjalizmu, tymczasem polska młodzież rwała się do coca - coli i do normalnej swobody, czyli do tego, żeby w sklepach był nie tylko ocet, i aby wolność słowa zeszała z łamów konstytucji na ulice - aby zagościła w codziennym życiu.

Przepaść między motywami/celami buntów '68 (wschodnioeuropejskimi i zachodnioeuropejskimi) - to przepaść między dwiema głównymi rzeczywistościami ówczesnego globu: opresyjną i demoliberalną. W latach 60 - ych XX stulecia na Zachodzie nie było żadnych publicznych przyczyn usprawiedliwiających wybuch buntu: demokracja kwitła, panowała wolność słowa, bezrobocie nie istniało. Dobrobyt przewrócił klepki wewnątrz główek nudzącej się luksusowo młodzieży „kapitalistycznych krajów” - młodzieży, którą stać było na wszystko dzięki samemu tylko kieszonkowemu od „starych”. Bettina Röhl (2008):

- Uczestnicy zachodniego ruchu '68 dopiero wchodzili w dorosłe życie, byli wówczas nastolatkami, dwudziestolatkami, dwudziestokil-

kulatkami, i byli pierwszym „pokoleniem kieszonkowego”. Pierwszy raz młodzież zyskała tak duże przywileje i fory materialne, dysponując pieniędzmi od rodziców, dziadków, wujków, i od państwa, bo brała rozmaite stypendia. Pierwszy raz młodzi ludzie mogli masowo wypożyczać bądź kupować mieszkania tudzież samochody, nabywać sprzęt audiowizualny, skutery i motory, podróżować po świecie i wałkonić się z sytym brzuchem. I ta właśnie uprzywilejowana, rozpieszczona generacja dała się porwać absurdalnym lewackim ideologiom, uprawiając głupawy popkomunizm, jak ja to nazywam, mieszając Marksa i Mao z dzinsami i narkotykami, wreszcie praktykując „luksusową rewoltę” przeciwko swym dobroczyńcom - darczyńcom, czyli rodzicom, dla fatamorgan rozwalających całą kulturowo - obyczajową bazę Zachodu.

Zrewoltowana zachodnia młodzież nie miała wątpliwości, iż kapitalizm, patriarchalizm i cała tradycyjna „nadbudowa” cywilizacji zachodniej są krępującym przeżytkiem i skandaliczną przeszkodą dla postępu, którą usunąć to obowiązek każdego mądrego człowieka. Pewność co do tego panowała po obu stronach Atlantyku. I po obu stronach tegoż oceanu kulturowe, obyczajowe plus instytucjonalne skutki rewolty były podobne. Północnoamerykańska hipisowska „choroba Ery Wodnika” uległa wprawdzie szybszej kompromitacji dzięki zbiorowemu mordowi w wykonaniu bandy „dzieci kwiatów” Charlesa Mansona (rzeź u Polańskiego) i dzięki samobójczym narkotykowym „złotym strzałom” rockowych gwiazd (Jimi Hendrix, Janis Joplin, Jim Morrison), lecz efekt długofalowy ukazuje codziennie Hollywood (bezpruderyjny seks na ekranach) i przemysłowa kariera narkotyków.





Żeby efekt był analogiczny - start do celu musiał być identyczny. I był - zerwano się w USA pod sztandarami antykapitalizmu, antykonsumpcjonizmu, antyfamilizmu, antyklerykalizmu, antypurytanizmu, z godłem stuprocentowej WOLNOŚCI jako absolutem. I ze współczuciem dla tych, którzy rewolucji nie pragną. W książce „**Umysł zamknięty**” (1987) Allan Bloom pisze: „*Studenci amerykańscy tamtych czasów pragnęli być przywódcami rewolucji współczucia. Pogardzali amerykańską klasą średnią, tą stanowiącą większość rzeszą prostaków, która nie chciała ani przywództwa, ani współczucia buntującej się studenterii*”. Fakt - „wynałazki” buntowników nie zyskiwały powszechnych braw. Zamiast rodzinnego lub własnego domu - młodzieżowa „komuna” zamiast małżeństwa - „sztafeta”; zamiast służby wojskowej - pacyfizm; zamiast elementarnej choćby autodyscypliny - „*poszerzenie świadomości*”. Dawne sartrowskie hasło „*Zakazuje się zakazywać!*” robiło w hipisowskich Stanach nie mniejszą furorę niż w Europie lewicowych kontestatorów. Musiały minąć całe lata, by okazało się, że „*wolna miłość*” to rozwiążłość, „*make love not war*” to quasi - prostytutacyjność, a „*poszerzenie świadomości*” to ciężkie narkotykowe uzależnienie milionów szczeniaków i gołowąsów.

Ruch hipisowski zrobił karierę globalną, rozplenił się na wszystkich kontynentach prócz Antarktydy. I wszędzie - po arkadyjskim („*dzieciokwiatnym*”) okresie wlotu - finałem było bolesne „*bum!*”. Wszędzie kończyło się zgnilizną. Robert Tekieli (2008): „*Przestałem być hipisem, kiedy w Krakowie w latach osiemdziesiątych zobaczyłem co się dzieje w hipisowskim squacie. W opuszczonym budynku byli chłopcy, były dziewczyny. Była wolna miłość, narkotyki, wszystko. Ale któregoś dnia przyszli menele. Chłopcy, w imię pacyfizmu, nie bronili dziewczyn. Były regularnie gwałcone. Sub kultura*”. Wedle starej reguły przetrwania („*co cię nie zabije, to cię wzmocni*”) - subkultura hipisów utwardziła skórę niejednemu.

Dojrzałość - rozumna refleksja - kazała też niejednemu zdumieć się, że był takim idiotą. Ekshipis, dziś wybitny prawicowy publicysta amerykański, Patrick J. O'Rourke (autor świetnych książek dla konserwatystów), przeszedł optymalną ewolucję „*from fool to sage*”. Damian Leszczyński (2008): „*Wspominając swoją hipisowską i kontrkulturową młodość, O'Rourke pisze jak wesoło bawił się w rewolucję, w walkę z imperializmem i nierównością, dopóki nie zrozumiał*

*jednej prostej rzeczy - a mianowicie, że jego nieprzezwyciężona wrogość wobec kapitalizmu wynikała z wrogości wobec jakiegokolwiek wysiłku, wobec pracy*". Wcześniej czy później - by nie zdechnąć z głodu - trzeba było pójść do pracy. Mnóstwo tych, którzy nie wykorkowali od „koksu”, ścięło włosy i zaczęło się co rano meldować z teczką w biurze. Jednak lokal, do którego wracali, był już inny niż bogobojny dom rodziców. Socjolog Anthony Giddens (2008):

*„Dziś odczuwamy z całą mocą siłę tej transformacji i wciąż nie umiemy do końca sobie z nią poradzić. Zaliczają się do niej zmiany w obrazie rodziny, zmniejszenie roli małżeństwa, nacisk położony na jakość relacji międzyludzkich (m.in. seksu), masowe zasilenie rynku pracy przez kobiety, niższy przyrost demograficzny i epoka wychuchanych dzieci (...) Wiele spośród jednostkowych i zbiorowych eksperymentów hipisów przyniosło skutki oplakane. Seksualne wynaturzenia przybrały nazwę wolnej miłości. Narkotyki okazały się drogą do zniewoleń (uzależnień), a nie do wyzwolenia ducha (...) Co więcej, uczestnicy tego ruchu zakwestionowali kilka rzeczy, bez których nie może się obyć żadne przyzwoite społeczeństwo. Byli anty biurokratyczni, ale pewien stopień biurokratycznej koordynacji jest niezbędny w złożonym społecznym organizmie, państwo nie może bez biurokracji funkcjonować. Tak jak żadne społeczeństwo nie może działać kierując się tylko tym, do czego ma prawo”*.

*„Pewien stopień biurokratycznej koordynacji”* - czyli reżim, także demokratyczny, żandarmeryjnie realizujący przepisy, które obowiązują daną społeczność. Niemiecki historyk Gótz Aly (członek „pokolenia '68”) mówi to samo co Giddens (2008):

- Naszym celem był inny model społeczny, więc zakwestionowaliśmy państwowy monopol siły, a przecież wiadomo, że jeśli ten monopol zostanie nadwerężony, to państwo nie może funkcjonować.

Niefunkcjonowanie państwa, unicestwienie państwa, zawsze było celem anarchistów, którzy mają brodę co najmniej sto lat dłuższą niż „generacja '68”. Zatem to nie buntownicy roku 1968 wymyślili osłabianie państwowych struktur. I tak jest ze wszystkim co przypisuje sobie tamta generacja. To nie oni wymyślili ekologię (prekursorami byli tu rolnicy bawarscy). To nie oni wymyślili feminizm (wcześniej były rozmaite emancypantki, sufrażystki itp.). To nie oni wymyślili „wolną miłość” (powszechna rozwiązłość panowała już w europejskich „sza-

lonych latach 20 - ych”, zaś całkowicie uwalniająca seks pigułka antykoncepcyjna została wynaleziona przed 1968). To nie oni zdekomponowali/zdewastowali rodzinę tradycyjną, tylko totalne uprzemysłowienie świata, które wyciągnęło kobiety z domu do pracy fabrycznej i biurowej. To nie oni wymyślili depenalizację homoseksualizmu (we Francji zadekretował to już cesarz Napoleon Wielki). To nie oni osłabili chrześcijaństwo (tę robotę zaczęła masoneria XVIII wieku i kontynuowała lewica francuska, głównie wolnomularska, przez cały XIX wiek; ksiądz Bernard Podvin, rektor Uniwersytetu Katolickiego w Lille: „- *Gdy korzystając z Maja '68 francuska lewica chciała dobić Kościół, reakcją wielu katolików była ucieczka w tradycjonalizm trydencki, który pono daje więcej bezpieczeństwa*”, 2008). Et cetera, et cetera. Buntownicy '68 nie wymyślili literalnie niczego. Jednak czy prawdą jest, że nie osiągnęli niczego? Götz Aly:

- Moje pokolenie, zwane „pokoleniem '68”, nie osiągnęło nic. Zupełnie nic.

To nieprawda. „Generacja '68” osiągnęła dużo, wyrzuciła świat do góry (rozkraczonymi) nogami. Aly zresztą poprawił się szybko:

- Nie zdziałaliśmy praktycznie nic dobrego.

O właśnie: nie „*nic*”, tylko „*nic dobrego*”. Istotnie bowiem - chociaż osiągnęli dużo, czy osiągnęli coś dobrego? „**Rzeczpospolita**” zadała (2008) bardzo słuszne pytanie: „*Czy jesteśmy od roku 1968 bardziej wolni, i czy na pewno jest to powód do radości?*”. Ani do radości, ani do dumy. Pewna liberalizacja obyczajów była na Zachodzie nieuchronna wskutek ciągłego wzrostu dobrobytu, jednak wszystko, czego „pokolenie '68” nie wymyśliło, tylko rozpropagowało ekspansywnie - budzi duży krytycyzm. Czy degrengolada tradycyjnego małżeństwa i tradycyjnej rodziny („*wolność od rodziny*”), praktyczne unicestwienie tych struktur gwoili ekshibicyjnego uwolnienia seksualności - to jest coś, czym winniśmy się cieszyć? Winniśmy bić brawa daniu fizycznemu wymiarowi człowieka przewagi nad duchem? Mamy się kłaniać bożkom groteskowego kultu wiecznej młodości? Trzeba szanować dzisiejsze bezrygorowe szkolnictwo, które skutkuje globalnym zaniżeniem inteligentności i erudycyjności? Relatywizowanie (miast wpajanie) kanonu wiedzy i kanonu estetyki to właściwa droga? Autodestrukcja jest lepsza niż autorytaryzm? Korynkie libido winno górować nad intymnością? Śmieciowa kontrkultura nad kulturą? Każda

głupawa reforma dla reformy - nad tradycją? Awangardowe nygusostwo nad kindersztubą? Trudno sobie dziś wyobrazić, że kiedyś para bez ślubu nie mogła wynająć pokoju hotelowego, lecz równie trudno sobie wyobrazić, że kiedyś uczeń nieumiejący liczyć i czytać nie mógł dostać świadectwa ukończenia szkoły.

W grę wchodzi również niezwykle ważny aspekt ekonomiczny, zatem rodzi się jeszcze jedno pytanie: czy powinniśmy się cieszyć, że Zachód coraz bardziej zmierza ku roli patałacha gospodarczego? Mariusz Adamczyk zebrał (2008) rozliczne tabele wynikowe dotyczące PKB pięciu cywilizacji (Chiny, Indie, Islam, Japonia i Zachód), konkludując: *„Wielkim przegranym drugiej połowy XX wieku okazuje się Zachód (...) Udział Zachodu w całkowitym światowym PKB spadł do 53% w roku 2005. Dla cywilizacji, która przez tysiąclecie rozwijała się najszybciej ze wszystkich, musi to być szczególnie szokujące (...) Coś zepsuło się dopiero na przełomie lat 60. i 70. Od tamtej pory szybkość rozwoju zaczęła systematycznie spadać i spada do dnia dzisiejszego. Na początku XXI w. Zachód, który jeszcze zaledwie 40 lat wcześniej przodował na świecie, wlecze się w ogonie peletonu. W poszukiwaniu przyczyn hamowania musimy więc szukać wydarzeń, które pod koniec lat 60. ogarnęły cały Zachód i odcisnęły swoje negatywne piętno w kolejnych dekadach. Jak wiadomo - takie zjawisko rzeczywiście miało miejsce”*. Po czym wskazał to zjawisko - rewoltę '68, a konkretnie jej ekonomiczne następstwa: *„Cywilizacja chrześcijańska przetrwała bez szkody wiele wstrząsów i kryzysów. Nie zaszkodziła jej reformacja, kontrreformacja, oświecenie, liberalizacja i laicyzacja. Nie dała jej rady wielka wojna. Socjalistyczne totalitaryzmy okazały się jedynie przejściowym incydentem bez znaczenia. Zachód został zainfekowany od wewnątrz dopiero przez kontrkulturę, która swoje symboliczne zwycięstwo odniosła w roku 1968 (...) Odczuła to każda sfera życia, również gospodarka”*. Lecz buntownicy '68 gwizdzą na ekonomiczne wskaźniki - wołają fetować swe triumfy „estradowego” rodzaju.

„Pokolenie '68” wygrało dubeltowo: ćwierć wieku po swym buncie miało już gdzieś władzę polityczną (exemplum niemiecka koalicja Zielonych i SPD), a globalnie ma pełną władzę kulturowo - obyczajową, którą sprawuje Salon. Niepotrzebny im nawet marksizm (notabene: nie Marks, lecz goszystowski teoretyk Marcuse był ich pierw-

Cohn - Bendit agitator (u dołu z Weberem)



szym guru ideologicznym) – stworzyli własny „izm”, zwany „*political correctness*”. Wydają mnóstwo książek i piszą mnóstwo artykułów wspierających „mitologię ‘68’”, mnóstwo tekstów sygnowanych nazwiskami, chociaż – ciekawostka – w 1968 uważali to za przestępstwo (hasło „*śmierć autora*”), głosząc, że wszelka twórczość winna być dziełem kolektywu. To maoistowskie hasło przypomniała Virginie Linhart, córka szefa grupy francuskich maoistów ‘68, Roberta Linharta, która w swej książce o „*generacji ‘68’*” ośmieliła się też (2008) wytknąć „*Majowi ‘68’*”, że był stymulowany i kierowany przez Żydów. Dzisiaj wiadomo, że głównie przez agentów KGB, a bezpośrednio (na ulicach i przy mównicach) przez



dzieciaki z bogatych żydowskich familii, szkolone co roku na wakacyjnych obozach lansujących lewacką ideologię. O tym właśnie pisze bezkompromisowa Linhart, i rzuca nazwiska: Geismar, Weber, Levy, Cohn – Bendit i i.

Wzmiankując tekst Virginie Linhart, powołuję się znowu na dziecko buntowników ‘68, i nie jest to przypadek. Panie Linhart i Rohl nie są bowiem wyjątkami – spora grupa dzieciaków tamtej lewackiej młodzieżówki gardzi dzisiaj swymi rodzicami i publicznie tę wzdgardę wyraża. We Francji najgłośniejszym takim krytykiem własnych rodziców jest modny literat Michel Houellebecq (Magdalena is znika: „*Houellebecq zniechęcił wyzwolone pokolenie Maja ‘68 i obarczył je wszystkimi winami za nieszczęścia ludzkości, bo jego rodzice jeszcze po trzydziestce uważali się za dzieci kwiaty i postanowili w imię wolności jednostki oddać swoje dziecko na wychowanie do dziadków*”, 2008), a w Wielkiej Brytanii równie modny pisarz Martin Amis (syn wściekłego lewaka, Kingsleya Amisa), itd. Równocześnie głośne się stały konwersje lewaków „*pokolenia ‘68’*” – z lewicowości na antylewicowość (w USA dramaturg David Mamet, we Francji pisarz Olivier Rolin i fi-

lozof André Glucksmann), tłumaczone przez tych neofitów prawicy faryzeizmem ideologii lewicowej. Większa wszakże grupa „nazwisk” nie zamierza kłać swych ideałów ‘68 – woli je mitologizować.

„Generacja ‘68” wypromowała dużo znanych figur, które ją symbolizują personalnie. Nie jest to może takie proste w USA, bo tam z młodzieżową rewoltą kojarzone są dziś nazwiska przedstawicieli „bitników” („Beat Generation”), czyli pokolenia o włos wcześniejszego, które swym włóczęgowym luzactwem i swą twórczością literacką, swym kontestatorstwem antymieszczańskim i „dragami”, przygotowało eksplozję hipisostwa. John (Jack) Kerouac i Allen Ginsberg. Po nich był tylko Ken Kesey, autor „**Lotu nad kukułczym gniazdem**”, idol hipisowskiego ruchu Merry Pranksters (Weseli Figlarze), który mówił, że jest „za młody na bitnika, za stary na hipisa”. Tymczasem Europa ma gwiazdy wyrosłe bezpośrednio z 1968 roku. W Niemczech Rudi Dutschke i Joschka Fischer (został ministrem w rządzie koalicyjnym kanclerza Gerharda Schrödera), nie mówiąc już o bandyckich asach grupy terrorystycznej Baader – Meinhof. We Francji Niemiec Daniel Cohn – Bendit (nomen omen), dzisiaj wpływowy deputowany parlamentu UE (to on był w Unii głównym obrońcą Bronisława Geremka, gdy ten wywołał skandal międzynarodowy krzycząc, iż polskie faszystowskie władze – rząd is – u – chcą mu odebrać godność, bo żądają podpisania deklaracji lustracyjnej). W Polsce Adam Michnik, serdeczny przyjaciel Cohn – Bendita, guru priwiślańskiego Salonu. Michnika wszyscy rodacy dobrze znają – jednym jest znany jak zły szeląg, drugim jak złoty rubel. Niemieckiego Francuza zna niewielu Polaków, tedy warto go przedstawić.

Wśród przywódców paryskiego „Maja ‘68” Daniel Cohn – Bendit (angielska ksywa: „Czerwony Danny”, francuska: „Czerwony Dany”) wyrósł na figurę numer 1. Został ikoną europejskiej radykalnej lewicy. Tudzież ikoną anarchistów (należał do kilku ugrupowań anarchistycznych). Tudzież ikoną marihuanistów. Tudzież – o czym wie mało kto – ikoną pedofilów. W latach 70 – ych XX wieku pracował w przedszkolu państwowym i tak to wspominał później:

- Mój ciągły flirt z dziećmi szybko przybrał charakter erotyczny. Dzieci rozpiwały mi rozporek, by głaskać...

I tak dalej, i tym podobnie. Wywalono go za „perwersję i lubieżność”. Bettina Röhl (2008):

- Prócz uprawiania pedofilii, spacerował po ulicach z psem o imieniu Kałasznikow (...) W 1968 robił dobre „*koktajle Mołotowa*” i uprawiał rewolucję. Czasami przerywał uliczną manifestację, by odpocząć. Brał wtedy taksówkę i jechał do ulubionego baru, gdzie pił koktajle z tuzami zniechodzonej burżuazji – pracownikami pobliskich kancelarii adwokackich. To była taka fajna rewolucja. Mieszkanie w Paryżu, dom w Toskanii, narty w Szwajcarii, drogie wina i ekskluzywne ubrania. Historia Cohn – Bendita to cała historia tamtej lewicy.

„*Czerwony Dany*”, gwiazdor „*lewicy kawiorowej*” oraz „*pokolenia '68*”, prócz psa Kałasznikowa ukochał równie rasowego Adama Michnika:

- Dla nas, francuskich studentów z generacji '68, Adaś był jednym z nas, człowiekiem lewicy walczącym przeciwko totalitaryzmowi o demokrację. Był tak jak ja intruzem w systemie, który go odrzucił.

„*Przeciwko totalitaryzmowi o demokrację!*” Coś się porobiło z pamięcią „*Czerwonego Daniela*”, jeśli zapomniał o co w istocie walczyli. Walczyli o trockizm – o trockizację demokracji – czyli na rzecz lewackiego totalitaryzmu. Michnik przyzna później (1988), mówiąc o swym druhu francuskim:

- Nie będę ukrywał, że coś mieliśmy wspólnego z trockizmem.

Ano mieli. Lecz wróćmy do świeżych wynurzeń Cohn – Bendita na temat jego druha polskiego:

- Ostatnio martwię się o mego przyjaciela Adama Michnika. Odnoszę wrażenie, że Adam przeżywa swój dramat Historii. Cierpi z powodu cofania się swego kraju ku mrokom. W dzisiejszej Polsce nie ma już chyba miejsca dla wolnego człowieka, dla intelektualisty.

Daniel Cohn – Bendit powiedział to za rządów is – u. Teraz już nie musi się martwić – krótka era mroku minęła, wrócił i rozblysnął pełnym blaskiem czas władzy Salonu, a guru Michnik jest tak powszechnie wielbiony, że chwałą go nawet publicyści kojarzeni z prawicą (według literata Jerzego Pilcha pewna proza literacka Jarosława Marka Rymkiewicza to „*wielka pieśń miłosna o Adamie Michniku*”; Piotr Semka rozczuła się „*chwalebną przeszłością Adama Michnika*”, itp.). Zawsze zresztą był przez kogoś chwalony, pewnie dlatego, że zawsze był pryncypialny (publicysta Krzysztof Mętrak w 1971 roku: „*Adaś pryncypialny, zacierzewiony jak dawniej. Tak wyobrażałem sobie komunistyczne doktrynerstwo żydowskie przedwojennych komunistów*”).

A loża Michnika, też pryncypialna michnikowszczyzna – sfera przebogata (od „GW” i lewackiej doktryny politycznej, do bluźnierczych napisów na koszulkach i klimatów a la lokal „Le Madame”) – dzierży gigantyczną władzę medialną (opiniotwórczą), analogicznie jak wokół całego globu dzierży ją „generacja ‘68”, by wymienić CNN, TVN, BBC i inne „liberalne” telewizje, bądź francuski „Le Monde”, niemiecki „Der Spiegel” czy nowojorski „NYT”. Dzisiaj tamci luksusowi żule są kastą kulturowych decydentów. Wyzwolili świat od godności, a wmawiają, że przywrócili światu godność, i na tym polega tak skutecznie szerzona przez nich mitologia roku 1968.

Spośród głośnych przypadków politycznopoprawnościowego terroru, który sprawuje „generacja ‘68”, warto wymienić casus Ewy Herman, prezenterki telewizyjnej i publicystki (autorki „Das Eva Prinzip”, 2006). Tę Niemkę wywalono z pracy (2007), bo apelowała, by „przywrócić macierzyństwu rangę, którą miało zanim Niemcy pozbyły się takich wartości jak szacunek dla rodziny i pokoleniowa solidarność”. Herman krytkowała również wojujący feminizm jako „fatalny efekt rewolucji obyczajowej ‘68”, pisząc: „Walka o wizerunek kobiety doprowadziła do jednoznacznego zwycięstwa feministek, którym udało się przeforsować nowy wzór kobiety – niezależnej, ale i niekobiecej”. Została za to rozszarpana. Olga Doleśniak (2007): „Wojujący sztab roku 1968 najwidoczniej poczuł się urażony krytyką wymierzoną we wszystkie tzw. Osiągnięcia rewolucji obyczajowej. Herman złamała tabu – bez ogródek przeciwstawiła się dyktatowi antyrodzinnej propagandy feministycznej, z jej głównym hasłem «samorealizacji».

Świeżym „newsem” dotyczącym „pokolenia ‘68” jest afera, która eksplodowała niedawno (sierpień 2008) u Włochów. Stowarzyszenie Ofiar Czerwonych Brygad (134 zabitych, ponad 2 tys. Okaleczonych) zaalarmowało Ministerstwo Kultury, że na festiwalu filmowym w Locarno Italię będzie reprezentował film „Słońce przyszłości”, gloryfikujący zbrodniczą „generację ‘68”. Minister Sandro Bondi kazał sobie wyświetlić to dzieło i ryknął wściekle. Skandalem, szeroko komentowanym przez europejskie media, był fakt, iż lewacki film (reżyser Gianfranco Pannone) otrzymał gigantyczne, choć ciche, dofinansowanie ze strony ministerstwa. Kiedy? Rok wcześniej (2007), za premiera Romano Prodiego (długoletniego agenta KGB), którego rząd pełen był dawnych aktywistów ‘68. O skandal związany ze „Słońcem przyszłości”



Bartłomiej Radziejewski spytał polską tłumaczkę książki Bettiny Röhl „**Zabawa w komunizm**”, Ewę Stefańską, by usłyszeć (2008):

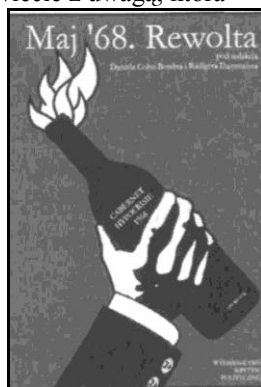
- Dofinansowali film pewnie urzędnicy ministerstwa stanowiący ekspozyturę generacji '68. Ta generacja, z nielicznymi wyjątkami, nigdy nie potępiła lewackiego terroryzmu. Dla nich bandyci z Czerwonych Brygad to bohaterowie, męczennicy, ofiary opresyjnego systemu kapitalistycznego. Nigdy nie porzucili swojej chorej fascynacji ideologią Mao, Lenina czy Marksa (...) Sentymenty do lewackiego terroryzmu pojawiły się wcześniej również w innych krajach, na przykład w Niemczech, i nie była to reakcja spontaniczna. Taka postawa została wypracowana przez lata. Sowieckie służby, posługujące się wywiadem enerdownskim, uczyniły bardzo dużo, by przygotować społeczeństwo do zaakceptowania nawet tak absurdalnych postaw wobec własnego państwa, jakie prezentowała RAF – Frakcja Czerwonej Armii (...) To efekt propagandy głoszonej przez wpływową generację '68. Głos takich osób, jak Joschka Fischer, Daniel Cohn – Bendit czy Gunter Grass, jest słuchany na całym świecie z uwagą, która wielu nie pozwala zastanowić się nad tym, jak wielkie brednie czasami ci ludzie wygadują (...) Wystarczy prześledzić historię pisma „**Konkret**”, na którym wychowała się część obecnych niemieckich elit...

Tu reporter zadał kolejne pytanie:

- Czy i w Polsce są ludzie ciepło mówiący o terrorystach?

Odpowiedź brzmiała:- Pewnie należałoby się pochylić nad poglądami ludzi związanych z „**Krytyką Polityczną**”. Zwykle traktuje się ich jako lewicę z ludzką twarzą, z którą dialog jest dopuszczalny ze względu na brak ich komunistycznej przeszłości. Moim zdaniem niesłusznie.

Moim zdaniem KGB był królem mitotwórców, a jego następczyni, FSB, nie chce być gorsza.



Okładka książki  
Daniela Cohn - Bendita  
i Rüdiger Dammanna  
(Wydawnictwo Krytyki  
Politycznej)

16

## Mit „państwa prawa”



„Niesprawiedliwość” w dziele C. Ripy „Ikonomia” (drzeworyt, 1603)

Mit nieśmiertelny. Mit gigant. Bez względu na ustrój, system, formę rządów (suwerennych, autorytarnych, okupacyjnych, każdych) - jesteśmy zapewniani, iż „*żyjemy w państwie prawa*”. Również wtedy, kiedy jawnie króluje totalitaryzm, czyli ekstremalna forma bezprawia (vide PRL). Urodziłem się podczas okupacji hitlerowskiej, przeżyłem całą pezetpeerokrację, od dwóch dekad żyję w suwerennej III RP - i jakoś nie doczekałem się jeszcze rządów prawa, które mogłyby zadowolić człowieka ceniącego sobie sprawiedliwość. Podobne opinie o III RP wyraża wielu ludzi. Nad antysalonowcami tłumnie manifestującymi dnia 26 czerwca 2008 przed warszawskim Sądem Okręgowym

widniały transparenty: „*Polska to kraj, gdzie wyroki są towarem!*”.

Marian Miszański (2008): „*«Demokratyczne państwo prawa» jest fikcją od góry do dołu*”. *Takie opinie można przytaczać garściami, gdyż „jaki jest koń, każdy widzi”*.

Czy w ogóle istnieje kraj, gdzie wyroki nie są towarem? Nie istnieje, nigdy nie istniał i nigdy nie będzie istniał, gdyż wyroki sądowe - jak wszelki produkt człowieka - podlegają prawu podaży i popytu. Francuskie przysłowie mówi: „*Kupić da się wszystko*”. Fakt, to tylko kwestia ceny (aczkolwiek bywają wyjątki potwierdzające regułę: ja, na przykład, za żadną cholere nie sprzedałbym kilkunastu posiadanych przeze mnie starych bibelotów, materialnych i duchowych). Cena, zresztą, nie musi być mierzona banknotami, bywają ceny głębsze (Jankesi uwolnili sądowo ewidentnego dubeltowego mordercę, czarnego piłkarza Simpsona, pacyfikując tym chamskim aktem niesprawiedliwości murzyńskie przedmieścia grożące uliczną rewoltą, słowem: coś za coś, wysoki koszt ośmieszenia „*praworządności*” za spokój publiczny, bo koszty zniszczenia kilku miast byłyby tragiczne). Wiadomo też, iż „*praworządność*” jest prostytutką wszędzie tam, gdzie ludzie zamożni, sławni i wpływowi otrzymują dużo łagodniejsze wyroki (Paris Hilton) niż szary obywatel, którego nie stać na kupienie sobie superadwokata i sympatii trybunału. W ilu krajach globu „*równość wszystkich obywateli wobec prawa*” jest regułą kanoniczną, nienaruszalną, świętą? W niewielu, mniemam, bądź w żadnym. Lecz że „*bliższa koszula ciału*” - obchodzi mnie głównie RP.

Irlandzki medyk króla Jana III Sobieskiego, Bernard O'Connor, napisał (wiek XVII): „*In Polonia lex est rex*” - „*W Polsce królem jest prawo*”. Bardzo to miło ze strony Irlandczyka, ale kłaniał się on idei, nie zaś rzeczywistości, ta bowiem wyglądała w Rzeczypospolitej Obojga Narodów rozmaicie, gdy chodzi o sprawiedliwość. Problem antynomii: „*ius*” - „*lex*”. Sprawiedliwość („*ius*”, „*justitia*”) nie bywa mechanicznym rezultatem prawa („*lex*”). Od 1990 roku powtarzam niby katarynka, iż „*w Polsce jest prawo, ale nie ma sprawiedliwości*”. Inny malkontent, Piotr Skórzyński, przełożył to na frazę własną (2008): „*«P a ń s t w o p r a w a » okazało się wyzute ze sprawiedliwości*”. Czyli z „*cnoty kardynalnej*”, bo chrześcijaństwo mianowało kardynalnymi tzw. „*cztery cnoty Platona*” (roztropność, sprawiedliwość, wstrzemięźliwość, dzielność). Według niektórych: właśnie s p r a w i e d l i w o ś ć



jest główną „*cnotą kardynalną*” (gdyż Chrystus w Kazaniu na Górze dwukrotnie błogosławił tych, którzy „*łakną sprawiedliwości*”), tak jak główną „*cnotą teologiczną*” jest miłosierdzie. Według zaś ludzi mądrych: „*Justitia est fundamentum regnorum*” vel „*justitia civitatis fundamentum*”, co oznacza, że bez sprawiedliwości państwo nie może funkcjonować prawidłowo i być uznane za twór cywilizowany, a społeczeństwo bez sprawiedliwości gnije i niedomaga. Rzecznik Praw Obywatelskich, dr Janusz Kochanowski (twórca fundacji Ius et Lex), pisał niedawno (2008): „*Między sprawiedliwością a prawem istnieje zawsze większe lub mniejsze napięcie. Jeśli jednak*

*rezygnujemy z tej pierwszej, rychło się okazuje, że oddaliśmy się również od prawa (...)* Parafrazując świętego Pawła, który z triady *cnot boskich* za najważniejszą uważał *miłość*, pozwolę sobie uznać *sprawiedliwość* za pierwszą spośród *cnot społecznych*. *Sprawiedliwość, która jest ostatecznym celem i wartością prawa. I jako taka jest podobnie jak piękno, dobro i prawda wartością absolutną, której nie trzeba wyprowadzać z żadnej wyższej wartości. Bliskie mi jest przekonanie Kanta, że jeśli przepada sprawiedliwość, to życie ludzkie na Ziemi nie ma żadnej wartości. Sprawiedliwość, której pragnienie wypływa z poczucia ludzkiej godności. Według polskiej konstytucji - przyrodzona i niezbywalna godność człowieka jest właśnie źródłem wolności i praw człowieka i obywatela*”.

Według konstytucji sowieckiej (stalinowskiej) również - gwarantowała ona wolność jednostki i prawa człowieka bezwarunkowo. Lecz rozżew pomiędzy Konstytucją a Łubianką był dużo szerszy aniżeli bezkres tundry syberyjskiej. Gdybym twierdził, że tak samo jest w III RP - byłbym niespełna rozumu. Nazwę wszakże człowiekiem nierozumnym lub nieuczciwym każdego, kto chce głosić, iż III RP stanowi pozytywny przykład „*państwa prawa*”. „*Praworządność*” królująca między Tatrami a Bałtykiem to mit. Źródłem i usprawiedliwieniem takiej opinii jest wiele codziennych zjawisk, politycznych aspektów, sądo -

wych werdyktów. Przedstawię tę niezbyt miłą rzeczywistość w czterech tematycznych blokach:

### 1. Chory układ decydencki

Dwa lata temu Waldemar Żyszkiewicz opublikował w „**Tygodniku Solidarność**” artykuł o Michale Falzmannie, młodym pracowniku Najwyższej Izby Kontroli, który wykrył, iż wskutek „afery FOZZ” Polska utraciła dziesiątki miliardów dolarów. Wykrył i od razu umarł na zawał serca, chociaż był zdrowy jak rydz. Żyszkiewicz (2006):

*„Ten jego dziwny zawał serca, w 38 roku życia... I trudny do wytłumaczenia wypadek drogowy, w którym zginął prezes NIK, Walerian Pańko, w przeddzień swego wystąpienia sejmowego w sprawie FOZZ. I śmierć dwóch policjantów dokonujących pierwszych po katastrofie oględzin samochodu wiozącego prezesa Pańkę i jego najbliższego współpracownika. I napaść na Marcina Dybowskiego, wydawcę książki «**Via Bank i FOZZ**», w okolicach Białegostoku. Ciągąca się od 13 lat z oskarżenia prywatnego sprawa przeciwko jej autorom (Miroslawowi Dakowskiemu i Jerzemu Przystawie) umożliwiła - decyzją sądu o tzw. zabezpieczeniu powództwa - praktyczną eliminację książki i drastycznych zarzutów Falzmana z obiegu publicznego (...) Trudno też zrozumieć dlaczego przez lata grupka tych samych osób, kierujących na przemian Ministerstwem Finansów, bankiem centralnym (NBP) i Bankiem Handlowym, na mocy powielaczowego prawa i w poczuciu pełnej bezkarności, razem z gromadą finansowej żulii z całego świata dokonuje - jak pisał Falzmann - «metodycznego rabunku finansów Polski»,»*

Dzisiaj chyba łatwiej to zrozumieć. „**Wprost**” poinformowało swoich czytelników (2007), że „już w latach 80. milicjanci i funkcjonariusze SB zakładali zorganizowane grupy przestępcze”, i że „to właśnie na zrębach tych grup wyrosła mafia”. Mafia dużo rozleglejsza aniżeli gang pruszkowski czy wołomiński. Czworokąt: gangsterzy - biznesmeni - policjanci - politycy, lub może trójkąt, zważywszy, iż w Polsce często trudno odróżnić szwindlarza od biznesmena albo polityka. Większość biznesu III RP rozkręcali zdemobilizowani funkcjonariusze „służb”, a większość polityków to kanciarze, bo partyjne slalomy i piruety demoralizują. Gdy kolejne afery korupcyjne baronów Platformy Obywatelskiej sprawiły, że panikujący Tusk zaczął wywalać ze

swej partii i łapowników, i kapowników (tych, którzy wskazali łapownictwo) - usunięty członek PO, Jakub Świdorski, oznajmił publicznie, iż sopocka struktura Platformy to „organizacja niemalże przestępcza”. Tymczasem prawda jest taka, że właściwie każda partia polityczna to organizacja przestępcza, z natury rzeczy. Dlatego całkowicie bezkolizyjnie łączą się nad Wisłą ścieżki polityki i biznesu, również gangsterskiego.

Czy w Polsce nie ma uczciwych biznesmenów? Ależ są, każda reguła - co już tłumaczyłem - musi posiadać wyjątki. Tych uczciwych się niszczy (exemplum szef „Optimusa”, Roman Kluska, którego uwięziono całkowicie bezprawnie, pod fałszywymi zarzutami, a u jego zastępcy, Dariusza Dąbskiego, spowodowano wylew mózgowy, próbując go zmusić, by fałszywie świadczył przeciwko Klusce), bądź „reedukuje”, siłą lub gangsterską perswazją sprowadzając na drogę nie - praworządną. Gdzie taki dręczony przez Układ biznesmen szuka ratunku? Naiwni szukają pomocy w komisariatach lub w tzw. agencjach ochrony, które od agencji towarzyskich różnią jedynie trzy rzeczy: mundury, rodzaj praktykowanego bezwstydu i zezwolenia na broń palną. Łukasz Adamski (2007): „Większość biznesmenów opłaca różne agencje ochrony, które są w większości powiązane ze światem przestępczym [m.in. z włamywaczami, dzięki którym wymuszają korzystanie ze swych usług]. Po co więc płacimy podatki na policję? Po to, by wlepiła nam mandaty?”.

Sumując: dookoła nas funkcjonuje zamknięty system połączonych rur, które są społeczeństwo: niżej „głina” (często współpracująca z podziemiem kryminalnym) i prywatni ochroniarze (byłe SB, MO, WSI); wyżej politycy i rekiny biznesu. Te wyższe kręgi to Układ decydencki III RP w sferze ekonomicznej (w sferze opiniotwórczej jest nim Salon). Sekowany rodzynek (przedsiębiorca uczciwy), o którym wyżej wspomniałem - Roman Kluska - wyznał dziennikarzom, że już po tym, jak go bezpodstawnie aresztowano i zmuszono do sprzedania firmy za pół ceny, pewien oficer UOP - u rzeki mu konfidencjonalnie:

- Panie prezesie, myśmy obserwowali metodami operacyjnymi jak niszczone pana firmę i pana.

Kluska skomentował to mówiąc o „czapie” Układu:

- Musiałem się wycofać z biznesu na początku roku 2000 (...) Wnioskuje, że już wtedy musiała się rozwijać jakaś organizacja o cha-

rakterze przestępczym, mająca wpływ na wysokich urzędników państwowych (...) Czuję się, jakbym miał do czynienia z zorganizowaną strukturą, która może dopaść i zniszczyć każdego.

Rok temu krezus Aleksander Gudzowaty puścił kropelkę fosforyzującej farby na temat owej loży megamafijnej, zwąc ją „*Superstrukturą*”, i dodając (2007):

- Nazwałem to kiedyś „*Lożą minus pięć*”. Wzięło się to stąd, że o włoskiej mafii mówiło się: Loża P - 2. Stąd skojarzenie. A „*minus pięć*”, bo to - umownie - piąty poziom piekła. Jest to struktura ponadpartyjna i ponadczasowa, stowarzyszenie ludzi, którzy mają wspólny interes, przymykają oczy na szwindle, na przykład dotyczące prywatyzacji, od lat są nietykalni i wzajemnie sobie pomagają. Są „inżynierami” trzeciego podziału dochodu narodowego.

Pan G. nie jest laikiem, tylko wtajemniczonym - ekspertem. Jeśli ktoś taki jak on mówi wam o Układzie - przestańcie głądzić, że wasza ojczyzna to „*państwo prawa*”, kraj praworządny.

## 2. Paramafijny „korporacjonizm”

Byli pracownicy „*szużb*” mundurowych i cywilnych (eksmilicjanci, dawni esbecy, itp.), którzy po 1989 przejęli cały świat polskich kapitałów (banki, fundusze, domy maklerskie, wszelki biznes), są związani swoistą „genetyką” wysługi proreżimowej dla PRL - u. Ich „klanowość” jest ukierunkowana wyłącznie ku interesowi własnej grupy i własnej kieszeni, a nie ku interesom państwa, plusom krajowego budżetu, normom racji stanu, czy dobru publicznemu ergo korzyściom społeczeństwa. Tyczy to jednak również paru innych kręgów - środowisk akademickich, adwokackich, sądowych, komorniczych, notarialnych, lekarskich, taksówkowych etc. Tygodnik „**Angora**” (2008):

*„Wbrew ogólnoeuropejskim tendencjom, wiele zawodów w Polsce zamyka się w szczelne korporacje, które reglamentują dostęp świeżej krwi we własne szeregi. Doprowadza to do powstawania swoistego rodzaju kast rodzinnych, wykluczających konkurencję. Żeby nie być gołosłownym, wystarczy przypomnieć liczbę samorządów zawodowych, których jest już prawie trzydzieści. Rodzinnym biznesem jest w dużym stopniu notariat, adwokatura, komornicy, a także coraz częściej zawód prokuratora czy sędziego. Nasza konstytucja dopuszcza wolność w wyborze zawodu. Cóż z tego, skoro by móc go wykonywać, trzeba*

*wkupić się w łaski izb zawodowych. Krajowa Izba Notarialna zmusiła swoich członków do stosowania maksymalnych stawek. Naczelna Izba Aptekarska zakazała swoim członkom otwierania aptek w sąsiedztwie już istniejących. Te absurdalne praktyki prowadzą donikąd”.*

Przeciwnie - te praktyki nie są absurdalne, tylko „życiowe” (pragmatycznie monopolistyczne, podobnie jak bandycki państwowy monopol Poczty Polskiej), i nie prowadzą donikąd, tylko do sporej „kasy”. A umożliwia je królujące bezprawie, vulgo: brak prawa ograniczającego sitwową cechowość w III RP. Nic nie pomaga, że media coraz częściej ją piętnują; exemplum Jan Piński („**Wprost**”, 2007):

*„Zbyt silne są u nas grupy interesów wpływające na władzę. I to one, a nie partie, decydują o kształcie polityki. Doskonałym przykładem była próba zwiększenia wolności gospodarczej za pomocą pakietu Kluski, która została zwyczajnie unicestwiona przez urzędnicze lobby. Z podobnych powodów, mimo szczerych chęci, nie udało się PiS doprowadzić do likwidacji niczym nieuzasadnionych przywilejów, którymi cieszą się zawody prawnicze (adwokaci, notariusze, radcowie). Dlatego również nie będzie w Polsce prywatyzacji służby zdrowia, bo przeciwne jest jej lobby związane z koncernami farmaceutycznymi i lekarzami, którzy czerpią zyski ze scentralizowanej publicznej kasy. Nie zostaną także wprowadzone bony oświatowe, gdyż związki zawodowe nauczycieli nie chcą, aby nauczyciele konkurowali ze sobą o uczniów. Nie będzie także zmniejszenia liczby pozwoleń i licencji, gdyż blokuje to lobby urzędników, którzy w wyniku takiej operacji straciliby pracę, a przynajmniej możliwość przyjmowania łapówek. Te grupy społeczne wyhodowała nasza klasa polityczna, tworząc sobie klientelę wyborczą: najmłodszych na świecie emerytów, fałszywych rencistów, górników po podstawówce zarabiających więcej niż nauczyciele akademicy, itp.”.*

Dla „państwa prawa” szczególnie niebezpieczna jest sitwową klanowość zawodów związanych z jurysdykcją - sędziów, prokuratorów i adwokatów. Mówi się o nich coraz gorzej, gdyż zachowują się coraz gorzej. Dorazna dyspozycyjność polityczna prokuratur budzi powszechny zgrzyt użebienia. Rzecznik Praw Obywatelskich, Janusz Kochanowski, rzeki o adwokatach niedawno (2008):

- Ubolewam, że samorząd adwokacki nie jest w stanie powściągnąć adwokatów nadużywających swoich uprawnień (...) Żle się dzie-



je w samej korporacji, która nie wymaga przestrzegania zasad przez swych członków (...) Oto świadectwo stanu umysłu i moralności przedstawicieli zawodu, który nazywa się zawodem zaufania publicznego. Jest to zatrzważające.

Bardziej trwoży Polaków inny „zawód zaufania publicznego” - sędziowski. Polscy sędziowie lustracyjni wszystkich szczebli ścigają się z chirurgami plastycznymi przywracającymi skalpelem i nicią błonę dziewiczą „*córom Koryntu*”, ferując wyroki kuriozalne, „*olewające*” cały materiał dowodowy. Równie cudaczne bywa kierowanie rozprawami przez sędziów, których krewni są... zamieszani w sprawę (sic!). Rytualnie prawica bywa gnojona, a lewica (czerwoni i różowi) głaskana przez sędziów. Bronisław Wildstein (2008): „*Jesteśmy świadkami niekończącej się serii skandali, których bohaterami są przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości, bronieni przez swoje korporacje (...) Prawniczka wykładająca na uniwersytecie powiedziała mi, że rozumie sędziów, którzy bronią dodatków emerytalnych dla swoich kolegów, ale nie rozumie dlaczego robią sobie kpiny z prawa*”.

### **3. Złe (głupie lub nikczemne) prawo**

Od złego prawa gorszy jest tylko brak jakiegokolwiek prawa. Co nie zmienia faktu, że złe prawodawstwo przynosi mnóstwo szkód społecznych, a indywidualnie mnóstwo gniewu i bólu. Złe prawo trzeba naprawiać (truizm), i to się robi, lecz często robią to idioci, przez co nowelizacja również szwankuje. Exemplum prawo spadkowe. Było bardzo niesprawiedliwe dla najbliższej rodziny, więc w 2007 roku zniesiono wysoki podatek od spadków dla najbliższych familiantów. Ale załączono klauzulę, o której prawie nikt nie wie: że spadkobierca ma równo miesiąc na zgłoszenie spadku w urządzie skarbowym, ani dnia dłużej. Kto się spóźni choćby o dobę - traci całą ulgę, ergo: musi „*bulić*” krocie za niezajomość przepisów. Statystyki mówią, iż ledwie 10% (!) spadkobierców nie przegapia terminu; reszta traci ulgę i płaci słony haracz.

Bywają gorsze krzywdy. Tysiące ludzi poszły z torbami (część poszła również na barykady watażki Leppera), gdy za finansowych rządów Balcerowicza kazano im spłacać kredyty oprocentowane znieścacka ponownie (odgórnie) kilkaset razy wyżej niż figurowało w umowach zawartych między bankiem a kredytobiorcą!!! Było to terrorystyczne

bezprawie wobec obywateli - bezprawie ze strony państwa gwałcającego uczciwość za pomocą bandyckich przepisów. Stanisław Michalkiewicz (2006): *„Plan Balcerowicza obejmował min. ustawę o uporządkowaniu stosunków kredytowych. Ustawa wprowadzała tzw. zmienną stopę oprocentowania. Jeśli np. bank zawarł z klientem umowę kredytową przewidującą 4 proc. rocznie, to zmienna stopa oprocentowania wprowadzała 40 proc. miesięcznie. Wskutek tego kredytobiorcy, wśród których przeważali zamożni chłopcy oraz rzemieślnicy i drobni przedsiębiorcy, w jednej chwili znaleźli się na skraju bankructwa”*.

Na skraju utraty zmysłów znalazło się wielu obywateli III RP, którym fatalne paragrafy dowaliły *„w majestacie prawa”*. Oto niektóre tylko, budzące grozę, kurioza prawodawstwa polskiego:

◆ Urząd Skarbowy w Legnicy nałożył monstrualną karę (200 tysięcy złotych) na piekarza Waldemara Gronickiego, za to, że ów dobry człowiek, miał wyrzucać niesprzedany chleb do śmietnika - rozdawał go bezdomnym!

◆ Każda instytucja (np. fundacja), która chce u nas podarować wózek inwalidzki sparaliżowanemu dziecku - musi od tego daru zapłacić 40 tysięcy złotych podatku fiskusowi!

◆ W Polsce krewni (nawet dalecy) muszą spłacać zobowiązania niesolidnych dłużników, mimo że nie mieli z zaciągniętą pożyczką (lub kredytem, lub alimentami) nic wspólnego, niczego nie żyrowali, nie sygnowali, etc.!

◆ W Polsce, wróciwszy z urlopu, można znaleźć swoje mieszkanie zajęte przez *„dzikich lokatorów”*, i nie wolno wyrzucić ich bez rozprawy sądowej, na którą się czeka miesiącami lub latami!

◆ W Polsce można aresztować urzędników Ministerstwa Finansów za zwalnianie łapówkodawcy od podatku, ale nie zmienia się prawa, które umożliwia biurokratom takie zwalnianie.

◆ Polskie przepisy nie zabraniają policji oraz innym *„służbom”* dokonywać przed kamerami TV spektakularnych aresztowań, z niszczeniem mieszkań (wyważanie drzwi) i brutalnym rzucaniem aresztowanych *„na glebę”*, chociaż w 99% przypadków starczyłoby normalne (grzeczne) aresztowanie uliczne lub domowe wedle starego stylu, bez ryków i chamskich popisów troglodytów noszących kominiarki. Całe to barbarzyństwo (praktykowane nieustannie i za rządów SLD, i za rządów PiS - u, i za rządów PO) przynosi naszemu krajowi wstyd. Może



Okładka peerelowskiego podręcznika savoir - vivre'u dla MO; obok charakterystyczna ikonografia tego unikatowego dzieła



trzeba wznowić wydaną w 1964 roku przez Komendę Główną Milicji Obywatelskiej pracę „**Uprzejmy milicjant**”, której autorzy (Irena Gumowska i Jan Kapica) już pierwszym zdaniem wstępu oznajmują: „*Na zlecenie Oddziału Szkolenia KGMO podjęliśmy się opracowania czegoś w rodzaju savoir - vivre'u milicyjnego*” (książkę tę wylicytowałem na aukcji antykwariatu „Tom”; twórca katalogu aukcyjnego, mój bibliofilski kumpel Tomasz Marszewski, umieścił pozycję o grzecznej milicji w dziale... „*Nauki przyrodnicze i pszczelarstwo*”!).

Paragrafów złego polskiego prawa jest dużo, casusy można mnożyć, chodzi wszakże nie o wyliczankę, lecz o istotę zagadnienia. Święty Tomasz z Akwinu słusznie pisał, iż prawodawstwem winna wlaść moralność, a „*złe prawo w ogóle nie jest prawem*”. Jest bezprawiem noszącym tożę prawa.

#### 4. Stanie ponad prawem

System „*świętych krów*” stojących ponad prawem i lekceważących prawo to hańba każdego ustroju. III RP jest państwem, które wyhodowało sobie kilka kast (dawne „*szużby*”, dawna nomenklatura, Salon), o których można rzec, iż nie dotyczy ich prawo obowiązujące resztę członków społeczeństwa. Prawu niby wolno zajmować się tymi ludźmi, ale prawo nie powinno tego robić, nie wypada owych ludzi ciągać po komisariatach, prokuraturach i trybunałach, nie należy ich sprawdzać, przesłuchiwać i rozliczać - winni być nietykalni zupełnie. Krzysztof



Mazur (2007): „Kiedy skorumpowana urzędniczka stołecznego Ratusza wskazała na panią Ludwikę Wujec jako beneficjentkę korupcyjnych transakcji, natychmiast na łamach tak pryncypialnej **«Gazety Wyborczej»** ukazał się apel podpisany również przez marszałka Senatu RP, pana Borusewicza, który sprowadza się do postulatu, aby prokuratura nie ośmieszała się sprawdzaniem zasadności zarzutów, gdyż każdy wie, że pani Wujec nie mogła dać się skorumpować”.

Nie mógł dać się skorumpować również minister rządu Jerzego Buzka, baron AWS - u, Emil Wąsacz, który opylił Domy Towarowe Centrum za mniej więcej paczkę szlucgów („*rażąco nisko*”, wedle raportu Najwyższej Izby Kontroli), a grunt pod budynkami (hektary w samym centrum metropolii stołecznej) oddał „*za frajer*”, bezpłatnie (sic!). Próbowano już kilka razy rozliczać tę grandę, ale każdorazowo szybko sprawę umarzano - facet jest teflonowy. Nie sposób też rozliczyć generałów Kiszczaka i Jaruzelskiego, których podwładni strzelali, mordowali, niszczyli (ludzi i dokumenty) całkowicie samowolnie, to jest wbrew woli swych zwierzchników (notabene: owych nieposłusznych podwładnych kary też się nie imają; cały ten cyrk pismo „**Wprost**” nazwało: „**Grubą kreską niesprawiedliwości**”). Rytualnie - taka to już rodzinna tradycja - nie są karani dygnitarze i luminarze, którzy prowadząc samochód rozjechali człowieka bądź grupę osób. Sądy traktują ich ciepło, wyrozumiale, po matczynemu, jakby wedle niedawnej watykańskiej reguły „*caritas maior iustitia*”.

Lekceważenie prawa w III RP jest niemal usankcjonowane wedle innej reguły: „*ryba psuje się od głowy*”. Dygnitarski przykład dał tu europoseł Bronisław Geremek, beczelnie odmawiając spełnienia prawnego obowiązku (deklaracja lustracyjna). Najczęściej jednak lekceważone bywa prawo nie u samej góry, lecz ciut niżej, kosztem maluczkich. Świetny przykład dała „**Gazeta Krakowska**” (2008) opisując bezprawne (i bardzo zyskowne) wykorzystywanie przez firmę „Mlekovita” receptury na serowe nitki, które wynalazł góral z Laskowej. Wynalazek był chroniony patentem, ale właśnie system patentowy jest - paradoksalnie - tragedią wynalazców w priwiślańskiej krainie bezprawia.

Iwona Kamieńska (2008): *„Największy absurd historii sporu o serowe nitki polega na tym, że góral sam przysporzył sobie kłopotów, zastrzegając metodę ich wytwarzania w urzędzie patentowym. Gdyby tajemnicę zachował dla siebie, nikt prawdopodobnie nie wiedziałby jak wyprodukować przekąskę. «- Od kiedy opatentowałem wynalazek, cała procedura stała się ogólnodostępna. Każdy może mieć do niej wgląd i spróbować jak działa» - mówi laskowianin”.*

Każdy może też wygrać w Polsce przetarg urzędowy „z naruszeniem prawa”, jeśli dobrze posmaruje. Formułka „z naruszeniem prawa” jest frazeologiczną królową raportów pokontrolnych 90% przetargów, tak przetargów militarnych (efekt: fatalne uzbrojenie naziemne sarmackiej armii), jak i cywilnych (budowlanych, transportowych, komputerowych, każdych). Każdy polski biznesmen może odwrotnie przebyć legendarną amerykańską drogę „*from rags to riches*” (od łachmanów do bogactwa) - polski fiskus, działając wbrew prawu i elementarnej przyzwoitości, nieuzasadnionymi naliczeniami podatku tudzież grzywnami zaprowadził już niejednego biznesmena od restauracyjnego stolika do pobliskiego śmietnika, skąd eksbogacz zrujnowany przez urząd skarbowy musi wyciągać resztki garmazeryjne. I nikt - żaden biurokrata i żaden urząd - nie ponosi za te finansowe zbrodnie odpowiedzialności. W III RP bowiem bezprawne działania urzędów oraz rynkowych rekinów są zazwyczaj bezkarne (zresztą nie tylko przy fiskusowych przewałach i przy konkursowych przetargach, lecz i przy wielkich kryminalnych przekrętach), bo rodzime prawo bardzo kuleje. Piotr Skórzyński (2008): *„Mętne, dziurawe i pobłażliwe prawo zezwala członkom uwłaszczonej (bezprawnie) nomenklatury i rekinom «szarej strefy» gospodarczej unikać odpowiedzialności”.*

Wszystko to przewidział genialny amerykański ekonomista - noblista, Milton Friedman, gdy zapytano go (lata 90 - e) czy nie zechciałby doradzać władzom Polski wyzwolonej z pęt komunizmu. Odparł, że nie, gdyż jego rady mają sens tylko tam, gdzie działa prawo.

17

## Mit inteligentnego Zachodu



„Błąd” w dziele Cesare Ripy „Ikonomia” (drzeworyt, 1603)

Stworzenie zachodniej cywilizacji, jej dokonania kulturowe, naukowe, przemysłowe i technologiczne, liczba noblistów i w ogóle geniuszów - mówią jasno, że Zachód to bardzo inteligentna bestia. Czy to mit? Tak, mit. Już Norwid go przewidywał/obnażał, pisząc:

*„Na Zachód - kłamstwo wiedzy i błyskotność,  
Formalizm prawdy - wewnętrzna bezistotność, A pycha pych!”.*

Mit ten kruszy się od lat wskutek coraz większego deficytu rozsądku, albowiem rozsądek stanowi (lub raczej powinien) ważną część in-



telektu - ważniejszą od erudycji, biegłości twórczej etc. Prosta zależność: im więcej złej tolerancji, tym mniej siły, a im mniej siły, tym większa podatność na krach. Mówiąc językiem wszystkich bab zatoskanych konduitą wnuków, taki duży, a taki głupi!

W Australii „*szużby*” namierzyły członka Al - Kaidy, terrorystę Josepha „*Dżihad Jacka*” Thomasa. Skazano go za fałszywy paszport i za branie pieniędzy Al - Kaidy. Skazany odwołał się od wyroku, zaś dziennikarzom stacji ABC wyznał, iż był gotów prowadzić działalność terrorystyczną na ziemi australijskiej, lecz mu przeszło. Sąd apelacyjny uniewinnił „*Dżihad Jacka*” (2005). Wówczas Alan Jones (popularny australijski komentator radiowy) eksplodował publicznie gniewem, zwał wyrok hańbą i dodając znamienne słowa:

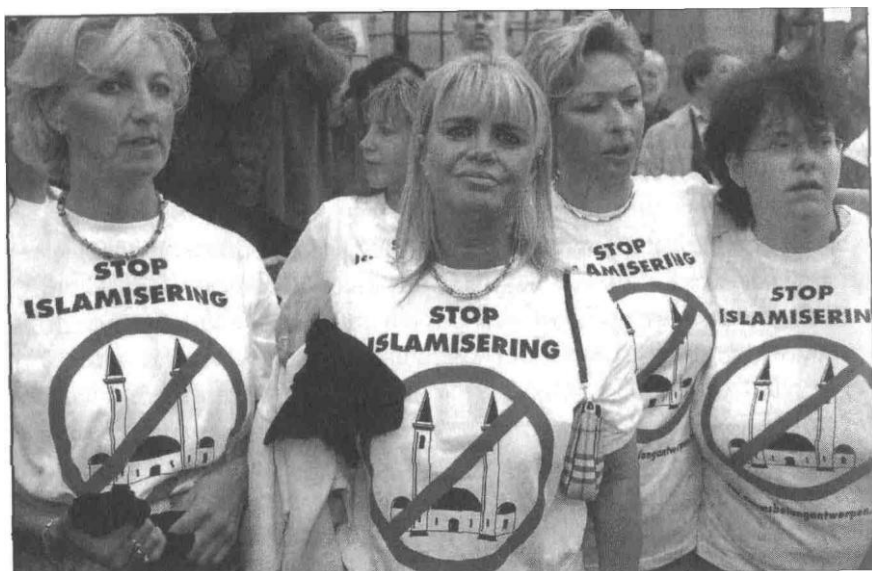
- Tolerancja to nowy narkotyk. Może spowodować dużo więcej ofiar niż heroina, kokaina, amfetamina i każdy inny z narkotyków!

Tak istotnie jest. Wśród zachodnich intelektualistów rośnie grupa sprzeciwiająca się samobójczej tolerancji Zachodu wobec islamu, lecz rośnie zbyt wolno. We Francji firmują ten sprzeciw m.in. trzej znani filozofowie - Bernard - Henri Levy, Alain Finkielkraut i André Glucksmann - ale ich „słabością” jest fakt, że są Żydami, więc można im zarzucać „przyrodzoną” żydowską wrogość wobec muzułmanów. I tak się robi - toleraści (gigantyczna większość wśród opiniotwórczych elit) używają wszelkich argumentów i wszelkiej terminologii, by zakneblo-

wać „islamofobów”. Francuski pisarz Maurice G. Dantec, który zyskał opinię „brutala”, bo ośmielił się nazwać „dzikimi zwierzętami” młodych muzułmańskich sadystów, wybuchnął:

- Kto jest brutalny?! Ten, kto przez lata gwałci młode dziewczyny w piwnicach blokowisk, czy ten, kto zwie to bestialstwem?!...

Równie pryncypialnie tolerańscy potraktowali francuskiego kulturoznawcę i filozofa, Roberta Redekera, gdy opublikował w „Le Figaro” (2006) tekst „**Jak wolny świat winien reagować wobec zagrożenia ze strony islamu**”. Clou artykułu brzmiało: „*Jezus był nauczycielem miłości, Mahomet nauczycielem nienawiści. Chrześcijaństwo odrzuca i delegalizuje przemoc, islam firmuje i promuje przemoc*”. Muzułmanie natychmiast wlepili autorowi tej „oczywistej oczywistości” wyrok śmierci (odtąd Redeker wraz z rodziną ukrywa się), a lewicowcy wlepili mu infamię (Jean - Pierre Elkabach, za pośrednictwem rozgłośni Europa 1, wezwał „islamofoba” Redekera do wyrażenia skruchy). Obrońców znalazł bardzo niewielu. I tak jest ze wszystkimi, którzy piętnują islam. Wszelkie organizacje antyislamskie (jak duńska Organizacja Stop Islamizacji) uchodzą za „faszystowskie”. Wszelkie demonstracje prawicy przeciwko islamizowaniu Europy (jak brukselska manifestacja pod hasłem „*Stop islamisering!*”) są gromione za „kse -





*nofobię*” lub obrzucane kamieniami przez lewicowych bojówkarzy, których wysyła Salon (jak uczestnicy kolońskiego zjazdu partii i organizacji sprzeciwiających się europejskiej ofensywie muzułmaństwa). Każdy polityk żądający tamy dla islamizacji kontynentu - jak Holender Geert Wilders (porównał „**Koran**” do „**Mein Kampf**” Hitlera), albo dzisiejszy burmistrz Londynu, Boris Johnson (próbował przeforsować ustawę eliminującą „**Koran**” z obiegu publicznego), albo Włoch Roberto Calderoli, członek Ligi Północnej (żąda delegalizacji islamu póki muzułmanie nie wyrzekną się doktryny gwałtu i niszczenia kultur oraz religii im zawadzających) - zyskuje miano „*islamobójcy*”, czyli tępego łotra. Mądra jest lewica, pełna wyrozumiałej tolerancji wobec islamu.

Ponieważ ta lewica (plus kryptolewica) ma dużą przewagę, rządzi, nieliczni prawdomówcy sprawiają jej mało kłopotu. Kłopotem są dla niej islamscy renegaci, zwłaszcza lewicowi. Pojawiają się rzadko, ale każdy cios z ich strony to tragedia dla islamu. Jak wpływowy włoski dziennikarz Magdi Allam, wiceszef „**Corriere della Sera**”. Allam niedawno przeszedł z islamu na katolicyzm, i z komunizmu na prawicowość, by swymi książkami („**Dżihad we Włoszech**” etc.) piętnować Zachód jako naiwnego głupca, moralnego ślepcę, który fetyszem tolerancji wyraża ducha kapitulacji przed islamską ofensywą. Przy okazji Allam ostrzegł Zachód, że muzułmańscy szefowie terroryzmu rutynowo stosują (wedle wzoru załganego Proroka) mimikrę, kłamiąc w mediach, iż są wrogami terroru, a islam to „*religia pokoju*”.

Głupiejący forsownie Zachód kupuje te taktyczne kłamstwa, gdyż terrorowi ze strony islamu umie przeciwstawić jedynie własny „*humanistyczny*” terror - terror wszechogarniającej tolerancji, dyscyplinujący prawicowców, konserwatystów, chrześcijan, całe społeczeństwo. Ile w tym echa lub genu po dawnym „*heglowskim ukąszeniu*” komunizmem, które dotknęło masy zachodnich intelektualistów? Komunizm mordował w imię walki z Bogiem, islam morduje w imię Boga, a poza tym oba te totalitaryzmy niewiele się różnią. Ile nam czasu zostało do chwili, kiedy wojowniczy islam będzie miał już arsenał jądrowy solidny wystarczająco? Przy czym dawna doktryna militarna Zachodu, MAD („*mutually assured destruction*” - pewności wzajemnego zniszczenia), wobec islamistów będzie zupełnie nieskuteczna, bo ci marzą o rajy zyskiwanym wskutek śmierci męczeńskiej. A NATO

to eunuch - raczej No Actions, Talk Only, niż North Atlantic Treaty Organization. Będziemy dalej czekać patrząc bezmyślnie jak muzułmańscy terroryści detonują ładunki wybuchowe, burzą wieżowce, dworce i centra handlowe, ucinają głowy zakładnikom i grożą, że wszystkich nas wymordują jeśli nie przyznamy, że „*islam to religia pokoju*”, oraz że „*nie ma Boga prócz Allaha, zaś Mahomet jest jego Prorokiem*”?

Póki islamski terroryzm nie posiada „*jądrówek*” - wywiera presję publiczną (medialną, administracyjną itp.), zdumiewająco skuteczną, lecz oczywistą wskutek gangreny tolerancji, która ogarnęła Zachód. Nowy, wielki witraż zdobiony gotycką katedrą w Kolonii (2007, dzieło Gerharda Richtera) został zdefiguralizowany, „*by nie urażać muzułmanów*”! We Francji wzniesiono przez minionych 30 lat 2 tysiące meczetów (tyle, ile kościołów katolickich przez cały XX wiek!). Oklaskującym ten „*boom inwestycyjny*” tolerastom nie wadzi fakt, iż w Arabii Saudyjskiej jest zakaz budowania chrześcijańskich świątyń (tudzież zakaz praktykowania innych religii niż islam, a podręczniki szkolne każą nienawidzić „*malpy*” i „*świnie*”, czyli żydów i chrześcijan). Zupełnie tolerastom nie doskwiera, że Indonezja karze śmiercią nauczycielki (rokrocznie dwie - trzy), które propagują wiarę chrześcijańską. Ani się skrzywią, kiedy lider Związku Włoskich Muzułmanów, Adel Smith, przeżywa Chrystusa „*trupkiem na drzewie*” i publicznie wyrzuca krucyfiksy za okno. Gdy 20% (700 tysięcy) muzułmanów niemieckich publicznie akceptuje użycie przemocy dla szerzenia swej wiary (sondaż) - toleraści opluwają niemieckiego publicystę Udo Ufkottego, bo ośmielił się publicznie żądać hamowania presji islamu. Po ulicach miast zachodnich łążą toleraści - demonstranci, „*biali przedstawiciele klasy średniej maszerujący z transparentami: «Wszyscy jesteśmy z Hezbollahu!»*” („*Le Nouvel Observateur*”, 2007). Nie przeszkadza im, że szef Hezbollahu, Nasrallah, obiecał zarznąć każdego białego. Pisarz brytyjski Martin Amis: „*Islam jest morderczy, apokaliptyczny, totalitarny. Lecz nasi ludzie przyzwyczaili się myśleć, że nie mają racji, bo są biali*”. Do tego prowadzi „*polityczna poprawność*” tolerastów - do autorasizmu: nie mam racji, bo jestem białasem.

„*Nie mam racji*”, więc rozumiem i akceptuję liczne żądania muzułmanów. Rozumiem ich żądanie, by klub Inter Mediolan zmienił swe piłkarskie godło, bo jest tam herb miasta, czerwony krzyż. Rozumiem

ich głośny gniew na to, że remontowany nowojorski budynek mający kształt sześcianu został owinięty czarną folią, więc przypomina Kaabę w Mekce. Rozumiem ich często demonstrowaną wściekłość na filmy o Kubusiu Puchatku, bo współbohaterem jest tam zwierzę nieczyste, „pig” - świnia. Rozumiem furię duńskich muzułmanów, którzy zobaczyli, że w sklepach sprzedaje się „żydowskie i chrześcijańskie ciastka”. I raduję się, że światła administracja wielu zachodnich miast spełnia żądania muzułmanów. Vulgo: że w Nowym Jorku na wagonach metra umieszczono reklamy propagujące wiarę muzułmańską. I że wiele londyńskich lokali (restauracje, puby itp.) usunęło flagę brytyjską, by nie drażnić krzyżem wyznawców Proroka. I że samorząd Amsterdamu usunął biały krzyż z pomnika ofiar II Wojny Światowej, jako „religijnie nieneutralny”. I że koncern Burger King wyrzucił miliony opakowań do lodów, bo ornamentacyjny esik - floresik przypominał muzułmanom imię Allaha. I że uczniowie szkoły podstawowej w Lyle (Anglia) zostali dla chwały ramadanu przebrani za muzułmanów, mimo iż żaden nie był muzułmaninem. Całkowicie zgadzam się z konkluzją pewnego brytyjskiego raportu na temat przedszkolaków angielskich, którzy nie chcą jeść ostrych muzułmańskich potraw - autorzy raportu stwierdzili, że może to świadczyć o rasizmie dzieci (2008).

Słowo r a s i z m jest (nie mniej aniżeli słowo t o l e r a n c j a) kluczowe dla mitu, który wałkuję akurat. Że rasizm prowadzi do głupoty - to wiem po sobie. Czasami, myśląc choćby o muzułmanach, warczę: dzicz! I chwilę później ten drugi, mądrzejszy Łysiak, który jest we mnie, cedzi szyderczo: tak, masz rację, natomiast Niemcy Schillera, Hitlera i Himmlera to cywilizowani ludzie, a Rosjanie Puszkina, Lenina i Stalina to kulturalni młodocy. Masz rację - to przecież nie islam upublicznił w kulturze masowej wartości tak bezcenne jak odsłonięte, ciężko pracujące genitalia, i to nie on wjechał kamerą postępowo do krocza kobiety, tylko światły Zachód. Dyskretny urok względności barbarzyństwa...

Jednak - wróćmy na ziemię (ubitą) - chrześcijaństwo nie pragnie likwidacji islamu i plemion muzułmańskich, gdy tymczasem islamski totalizm marzy o Holocaulście całego chrześcijaństwa, do ostatniego giaura. Muzułmanie są dziś głównymi rasistami globu, tymczasem lewacki Zachód - taki duży, a taki głupi! - lupą „tolerancji” wyszukuje „rasistów” wśród przedstawicieli cywilizacji zachodniej. Exem-

plum amerykański biolog i genetyk, James Watson (noblista za odkrycie struktury DNA), któremu się wyrwało (2007), że „*inteligencja mieszkańców Afryki nie jest, wbrew temu co zakładaliśmy, taka jak nasza, badania mówią to w jasny sposób*”. Światowa lewica dostała furii, wykłady i publikacje Watsona odwołano - zgnoili go ci sami ludzie, którym nic nie przeszkadza praktyczny antybiały rasizm, który szaleje dziś w RPA, gdzie czarny sąd orzekł niedawno (2008), iż Chińczycy południowoafrykańscy winni być też objęci dyskryminującym białych programem przywilejów dla ludzi kolorowych. 200 tysięcy bezrobotnych w RPA to prawie wyłącznie biali - rządzący czarni nie chcą zatrudniać białego.

O ile głównymi dziś rasistami globu są muzułmanie, o tyle głównymi rasistami globalnego mocarstwa nr 1 są Murzyni. Rzecz jasna - Murzyni temu przeczą. Zwolennik Baracka Obamy, czarny profesor James Hal Cone (autor dzieła „**Black Theology and Black Power**”), którego głównym celem strzelniczym jest „*bialasek*” („*whitey*”) - przyznaje, że czarni nienawidzą białych, ale twierdzi, że nie można tu doszukiwać się rasizmu: „*To mit stworzony przez białych, by wyzbyć się poczucia winy*”. Pewnie. Biali wymyślają też statystyki mówiące bardzo niedobrze o IQ czarnych studentów, lub o przestępczości w USA (ponad 50% morderstw i ponad 60% innych przestępstw to robota Murzynów, którzy stanowią 13% społeczeństwa amerykańskiego), lub o rynku pracy (72% czarnych 20 - latków i 30 - latków „*nie wykazuje zainteresowania pracą jakkolwiek*”). Głośny prawicowy komentator radiowy, Rush Limbaugh, z jadowitą ironią pyta słuchaczy a propos równie głośnego (czarnego) polityka - demagoga o orientacji lewicowej:

- Czy zauważyliście, że wszystkie pamięciowe portrety kryminalistów przypominają Jessie Jacksona?...

„*Poczucie winy*” północnoamerykańskich tolerastów sprawia, że na ekranach kin oraz telewizorów Murzyni urosli do rangi drugiej (obok Żydów) elity intelektualnej i przywódczej USA. Nieomal każdy współczesny film amerykański jest tego dowodem; z braku miejsca rzucam jeden przykład typowy: film „**Włoska robota**” (2003, remake filmu angielskiego z 1969 roku). Siedmiu bandytów (sześciu białych i czarny) kradnie w Wenecji złoto warte 35 milionów dolarów. Potem każdy mówi na co przeznaczy swoją „*działkę*”. Ten na luksusowe samo-

chody, tamten na luksusowe dziwki, trzeci na luksusowy sprzęt hi - fi, itd. Tylko Murzyn chce wydać swój łup na kulturę wyższą - konkretnie: na bibliofilstwo, na „białe kruki”. Ta właśnie typowa inteligencja elitarna każe czarnym biuromcom z Teksasu żądać od astrofizyków, by nie używali terminu „czarne dziury”, od pismaków, by poniechali metafory „czarna owca”, a od cukierników, by nie nazywali „diabelskimi” ciastek z polewą czekoladową (3 x sic!). I wszystko to jest brane serio przez publiczność tudzież przez media, wyśmiewanie takich pretensji byłoby bowiem bardzo niebezpieczne. Jedynie działający „na wariackich papierach” periodyk „Cebula” („The Onion”) zaryzykował pewnego razu, publikując zmyśloną historyjkę o gwieździe porno, Jannici St Foxx, która w momencie orgazmu zwała swego partnera Murzyna „czarnuchem”, a później tłumaczyła się, że „nie jest rasistką, bo w przeszłości różnęli ją Afroamerykanie i w przyszłości też tak będzie”.

W przeszłości było inaczej. Gdyby dzisiaj kręcono „Wielką ucieczkę” Johna Sturgesa (1963) - to brawurowego motocyklistę musiałyby zagrać czarnoskóry Wesley Snipes, a nie Steve McQueen, natomiast Richard Attenborough, grający „mózg” całej operacji, musiałyby wyraźnie zaznaczyć (ze dwa razy), iż jest Żydem (chyba że tę rolę dostałby czarnoskóry Morgan Freeman). Dzisiaj obrywa się w USA epitetem „rasista” za wszystko co zgodne z prawdą, lecz nie ukolorowane - film o reniferach byłby okrzyknięty jako rasistowski, gdyby brakowało w nim murzyńskich Lapończyków. Właśnie taka pechowa siurpryza spotkała Clinta Eastwooda, który wyreżyserował dwa wojenne filmy („Listy z Iwo Jimy” i „Sztandar chwały”) bez Murzynów na pierwszej linii frontu. Murzynów tam istotnie nie było (służyli na tyłach, jako formacje pomocnicze), ale krytycy Eastwooda (czarny reżyser Spike Lee i in.) przewalili go „brudnym rasistą”, dodając, że historyczna prawda jest mniej ważna niż „polityczna poprawność” (2008). Historyk Paweł Wieczorkiewicz tak tę aferę skomentował:

- Wszystkie hollywoodzkie filmy wojenne, w których roi się od czarnych, są po prostu śmieszne.

Ale Zachodu nie razi dziś śmieszność, tylko „niepoprawność”. Nie razi go też to, co jeszcze ciągle, dzięki Bogu, razi Polaka - quasi - rasistowski antypolonizm „fabryki snów”. Znowu jeden typowy przykład: film „Biloxi blues” (1988), wojenny komediodramat reżysera

Mike'a Nicholasa, ukazujący grupę żołnierzy, wśród których tylko dwaj Żydzi to ludzie przyzwoici (inteligent i intelektualista), reszta to głupawa mierzwa, tumany do kwadratu, a najgorszy - straszny typ - jest Polak Wykowski, brutalny osiłek, cham, zboczeniec, sadysta, wiadomo. Polska fascynacja Ameryką jako przyjaznym Polsce mocarstwem rzadko miała pokrycie w faktach i osobach - zwłaszcza w politycznych zdarzeniach i figurach. Prezydenci Wilson (ten dzięki serdecznej przyjaźni z Ignacym Paderewskim) i Reagan (dzięki geniuszowi politycznemu) - to „*potwierdzające regułę wyjątki*”. Piloci majora Cedrika E. Fountleroya i kapitana Meriana C. Coopera - to też wyjątek. Reguła to Jałta prezydenta Roosevelta, który sprzedał sojuszniczą Polskę Stalinowi, na zimno, żartując sobie:

- Jeśli potraktujemy Stalina jak dżentelmena, będzie się musiał zachowywać jak dżentelmen.

Odwolanie (przez głównodowodzącego Eisenhowera) gen. George'a Pattona, który mógł bez większego trudu zająć wschodnią Europę (wiosna 1945) - rzuciło Polskę w łapy kremlowskiego „*dżentelmena*”, a było (według historyka Jerzego Łojka i wszystkich znaków na niebie i ziemi) efektem spenetrowania ówczesnego rządu amerykańskiego mackami NKWD. Tę „*inteligencję*” Zachodu przerabialiśmy już od Monachium '38, i od Września '39, i później za Powstania Warszawskiego '44, i podczas londyńskiej Parady Zwycięstwa '45, i wskutek całusów Breżniewa z przywódcami zachodnimi. Jednak wśród „*ludu*” mit dobrego, mądrego Zachodu nie umierał. Nie umierał też na Zachodzie; tam niezmiennie wierzono we własną szlachetność i roztropność (okresowo z małymi wpadkami, jak Kanał Sueski 1956) - w doskonałość demokracji zachodniej. Pierwszy prawdziwy kubeł zimnej wody wylał zachodnim mądralom na łeb noblista Aleksander Solżenicyn, który ku zdumieniu (a właściwie szokowi) świata zachodniego - wygnany z ZSRR (1974), miał po przybyciu do USA chwalić Zachód, zrugał go bez pardonu. Robili to już wcześniej inni lądujący tam cudzoziemcy (np. Polak Leopold Tyrmand), lecz ich głos nie brzmiał jak dźwięk dzwonu - trzeba było dopiero autora „**Archipelagu Gułag**”, by wszędzie usłyszano. Jerzy A. Rzewuski (2008):

*„Solżenicyn poddał druzgocącej krytyce duchową pustkę, słabość i bezideowość amerykańskiej demokracji. Nie zostawił suchej nitki na nikim, od liberalistów po kapitalistów i po zwykłych konsumentów, nie*

wspominając już o władzach USA, które - jak usłyszeli osłupieni słuchacze - nazbyt pochopnie wycofały się z Wietnamu i rzuciły ten kraj na pastwę komunistów. Zniechęciło to do rosyjskiego noblisty bardzo wielu intelektualistów, którzy ujrzeni w nim niereformowalnego konserwatystę i reakcjonistę (...) Chyba tylko brytyjski «**The Times**» w 1976 r. zbliżył się do prawdy, zauważając w artykule «**Ostrzeżenie i nadzieja**» istotę chrześcijańskiego przesłania emanującego z twórczości pisarza: «*Ostrzeżenie Solżenicyna budzi przerażenie: to jest ostrzeżenie przed tym, że tu, w Wielkiej Brytanii i na Zachodzie, pozwalamy, by uciekały nam przez palce wartości naszej cywilizacji, której zbudowanie zajęło całe tysiąclecie. Cierpimy na ten rodzaj duchowej apatii, której skutkiem jest rozpad duszy. Czy tak jest w istocie, niech każdy to sam, na własny rachunek, rozsądzi. Czy jesteśmy dziś społeczeństwem otwartym na prawdę, czy preferującym komfortowe kłamstwo? Czy jesteśmy społeczeństwem mającym determinację i odwagę, by bronić naszych swobód, czy tylko takim, które woli udawać, że te swobody nie są zagrożone?*».

Aby mieć odwagę bronięcia swojej cywilizacji - trzeba mieć prawdziwą inteligencję. Tymczasem Zachód jej nie posiada. Wymachiwanie maczugą to jeszcze nie mądrość ani dzielność, vide Irak Bushów. Bush senior zwyciężył Husajna, i mógł go dobić, lecz wycofał się jak kretyn (wskutek głupich spekulacji politycznych), czego klany irackie nie zapomniały Amerykanom. Bush junior wlaź na teren Iraku pod fałszywym pretekstem i został tam dla ropy (bo i dla ropy tam przybył), płacąc straszną cenę ludzką i ekonomiczną, a cały czas bredzi o chęci implantowania arabskiemu Bliskiemu Wschodowi systemu demokratycznego. Demokracja wszakże tak pasuje do krajów islamu jak smoking do Andrzeja Leppera i kankan do Waldemara Łysiaka, więc to jest megafiasko. Nawet przyjaciel Bushów, politolog Edward Luttwak, mówi dzisiaj (2008): „*Po błyskawicznym obaleniu reżimu Saddama Husajna nastąpiły lata kosztownej przemocy, zamiast obiecywanej bezzwłocznej demokracji. Mylenie Irakijczyków pod władzą imamów z Duńczykami lub Norwegami pod okupacją niemiecką, gotowymi do przywrócenia demokracji dzięki wyzwoleniu, było niewybaczalnym błędem: przed najazdem na obcy kraj prezydent USA winien był wiedzieć czy ów kraj znajduje się na Bliskim Wschodzie, czy w Skandynawii?*”.

Bush junior ma nad Wisłą zacieklej obrońców (choćby w „**Gazecie Polskiej**”), którzy go tępo bronią już osiem lat, mimo nieustannych jego błędów ekonomicznych i politycznych (strategicznych). Uwalił dolara (detronizując tę walutę jako hegemon), spowodował kryzys amerykańskiej gospodarki (a przez to kryzys światowy), wzmocnił natomiast wszelką mafię amerykańską. Brytyjski publicysta Misha Glenny (autor pracy „**McMafia**”), pisze (2008): „*Bush rozmontował stworzony przez Clintona system, który miał służyć do walki z praniem brudnych pieniędzy, bo ponoć szkodził on konkurencyjności amerykańskich banków. A przecież nic tak nie boli gangstera jak dobranie się do jego pieniędzy. Wskutek polityki Busha mafie zarabiają teraz jeszcze lepiej*”. Paweł Lepkowski (2008): „*Bush ograniczył wydawanie nielegalnym imigrantom praw jazdy i numerów «social security» (...) Skoro 12 milionów ludzi nie może być deportowanych, a jednocześnie nie może płacić podatków ze względu na brak ewidencji w systemie ubezpieczenia społecznego czy niemożność wyrobienia dokumentu tożsamości (stanowe prawo jazdy) - to tworzy się prawdziwie wybuchowe podziemie. Z tej sytuacji najbardziej korzystają organizacje przestępcze*”.

Z polityki zagranicznej Busha najbardziej skorzystały: Rosja (wojna w Iraku tak zwiększyła cenę baryłki ropy, że lawina petrodolarów zezwoliła Putinowi odbudować rosyjską mocarstwową agresywność) i największa europejska organizacja przestępcza, Mafia Albańska, która dostała od USA (przy współudziale zachodniej Europy) całe własne państwo muzułmańskie, Kosowo. David Binder (2007): „*Kosowem wszechwładnie rządzi mafia. Taka jest konkluzja 124 - stronicowego raportu dla Bundeswehry («wylącznie do użytku wewnętrznego»).* *Nastąpiło klasyczne «przechwycenie państwa» przez «społeczność mafijną» dysponującą milionami euro. Politycy kosowscy to zwyczajni kryminaliści, gangsterzy, czego Zachód nie chce dostrzegać. Autorzy raportu, analitycy Mathias Jopp i Sammi Sandawi, pracownicy berlińskiego Instytutu Polityki Europejskiej, którzy nad tym raportem pracowali przez pół roku wraz z 70 ekspertami, wskazują, iż społeczność międzynarodową cechuje «groteskowe negowanie realiów»,».*

Więcej - cechuje ją manipulowanie „realiami” („*faktami medialnymi*”), gwoli dokopania Serbom. Filmy (exemplum „**Nożownik**” Williama Friedkina, 2003) eksponują wyssane z palca antyalbańskie okru-



cięstwo Serbów, w ogóle nie mówiąc o prawdziwym kontrserbskim okrucieństwie albańskich muzułmanów. Międzynarodowy trybunał haski surowo osądza serbskich polityków i oficerów, a uwalnia od winy krwawych albańskich „rzeźników” (jak ludobójca Ramush Haradinaj), gwoli międzynarodowej „politycznejpoprawności”. Nawet aferze gangu Kosowarów (rzekomych partyzantów; należał do nich obecny premier Kosowa, zbrodniarz wojenny Hashim Thaci), którzy porwali kilkuset młodych Serbów, by wycinać im organy dla przeszczepów - ukreślono w Hadze (czyli w Waszyngtonie, Paryżu, Berlinie i Brukseli) łeb! Wszystkie moje najgorsze obawy względem Kosowa (patrz „Stulecie kłamców” i „Salon 2”) sprawdziły się bez wyjątku. Łącznie z główną - że ukradzenie Serbii (przez USA i UE) Kosowa stanie się precedensem dla siłowego suwerenizowania innych terytoriów opanowanych przez narodową „mniejszość jako większość”, zwłaszcza enklaw kaukaskich. Vide Osetia Południowa i Abchazja. Putin rozegrał to bezbłędnie - Zachód może tylko kwiczeć, as always.

Symbolem całej głupoty i całej wredności Zachodu, przeczącej mitowi o inteligencji tegoż Zachodu - jest Ameryka. Taka duża, a taka głupia i taka wredna (gdy Polacy, sojusznicy USA w Iraku i w Afganistanie, pragnęli kupić od Jankesów antyrakiety „Patriot”, ci zażądali 1 miliarda za baterię, chociaż od południowych Koreańczyków biorą jedną czwartą tej sumy!). Jeżeli szefowie czołowych korporacji i firm amerykańskich są hochsztaplerami, którzy notorycznie prowadzą przestępczą „kreatywną księgowość” (Enron i in.), a szefowie największych i najstarszych banków amerykańskich nie wiedzą, iż nie pożyczą się 200 tysięcy dolarów bezrobotnemu, który mieszka na kratce wywiewowej chodnika przy Central Station - to znaczy, że tamta kraina jest strefą bez klamek, czyli stoi głową do dołu i macha debilnymi nogami u sufitu. Hollywood nie zawsze łże. W filmie „**Easy rider**” Jack Nicholson mruknął o Stanach Zjednoczonych:

- Kiedyś to był fajny kraj. Co się, do cholery, z nim porobiło?!

18

## Mit autentyczności demokracji



„Władza” w dziele Cesare Ripy „Ikonomia” (drzeworyt, 1603)

Dla różowych radykałów, którzy od lat są - z własnego nadania i wskutek głupoty mas elekcyjnych - intelektualnymi arbitrami globu : system demokratyczny wcale nie jest ledwo „mniej zły niż inne” (jak twierdził Winston Churchill), przeciwnie, jest doskonałością, świętością, absolutem, prostą drogą ku Arkadii, pod warunkiem, że wyborcy więcej już nie będą wybierać Hitlera. Ten współczesny salonowy mit wykorzystuje zatem mitologię starożytną (Arkadia to mitologiczny raj ziemski, kraina błogostanu i rustykalnych dobrodziejstw, której ludność prowadziła byt idylliczny), wołac nie pamiętać, że demokracją gardził panteon starożytnych mędrców (Arystofanes, Arystoteles, Sokrates, Cynceron, Platon et consortes), a Likurg, demiurg ustroju Sparty, zapytany czemu lekceważy demokrację, odparł:

- Chcesz demokracji? Wprowadź ją najpierw we własnej rodzinie.

Potem znajdowała demokracja wielu adwersarzy wśród głośnych myślicieli, i to po obu stronach barykady, tak na prawicy, jak i na lewicy: konserwatysta Aleksander Hamilton (twórca banku centralnego USA) zwał ją szyderczo „*kalkulacją matematyczną warunkującą kalkulację polityczną*”, zaś francuski lewak Pierre - Joseph Proudhon równie ironicznie „*arystokracją miernoty*”. Dziś jest tak samo. Konserwatysta austriacki Erik von Kuehneft - Leddihn (historyk idei, filozof, politolog) zwał demokrację „*fikcją suwerenności*” i „*opium dla ludu*” (1993), a portugalski lewak, pisarz - noblista Jose Saramago, też nie zostawiał na niej suchej nitki (2006):

- Zachodnie demokracje są tylko polityczną fasadą władzy prawdziwej, ekonomicznej, która kontroluje świat (...) To, co nazywamy demokracją, jest tylko pozorem władzy. Ludzie z gabinetów władzy lekceważą biedaków (...) Demokracjami bezwzględnie sterują władze, które wcale nie są demokratyczne. Czy Międzynarodowy Fundusz Walutowy jest instytucją demokratyczną? Nie. A Światowa Organizacja Handlu? Też nie. A przecież to one decydują o naszych losach. Media również są żywą ilustracją faktu, iż mamy pozór demokracji miast demokracji, stanowią bowiem własność banków i wielkich przedsiębiorstw. Żyjemy w świecie ułudy, panowie. Jeśli chcemy prawdziwej demokracji, to trzeba ją dopiero wymyślić (...) Nasza epoka zezwala dyskutować o wszystkim, prócz jednej rzeczy - ten wyjątek to demokracja. Jest ona takim pewnikiem, że nie podlega dyskusji. Jak w muzeach: „*proszę nie dotykać!*”. A tymczasem należałoby rozpocząć dyskusję, wielką światową debatę o demokracji, nim będzie za późno!

Lewicowiec krytykujący „*demokrację burżuazyjną*” to rzecz normalna, ale lewicowiec obsobaczający demokrację jako taką - to rzecz jeszcze niedawno dziwna. Teraz coraz częstsza. Rozgłos zyskał członek brytyjskiej Labour Party, profesor ekonomii Colin Crouch, wydając książkę „**Postdemokracja**” (2004). Dziennikarze „**Spiegla**”, zaczynając z nim wywiad (2008), nie ukrywali zdziwienia, że lewicowiec psioczy na system demokratyczny („- *Niedostatki demokracji zwykła jej wytykać raczej prawica...*”). Odpowiadając im, Crouch nie tyle psioczył, ile grzebał demokrację:

- Liczbę państw demokratycznych ocenia się dzisiaj na 121, dużo. Ale to postdemokracja, ustrój, gdzie coraz więcej władzy przecho-

dzi w ręce elit ponad instytucjami demokratycznymi (...) Nie twierdzą, że demokracji już w ogóle nie ma. Uważam jednak, że zmierzamy ku systemowi, który ja przezywam postdemokracją. Mam tu na myśli sytuację pełną wprawdzie demokratycznych instytucji, którym jednakowoż brak już mocy politycznej. Zostają same atrapy, puste w środku (...) Tak, istnieje tworzenie rządów wskutek praworządnych wyborów powszechnych, jednak o treściach politycznych nie decyduje już elektorat, tylko spece public relations (...) Dlatego obserwujemy przesunięcie ciężaru władzy ze świata polityki do świata ekonomicznego. Proszę się przyjrzeć koncernom globalnym... (...) Udział społeczeństwa w życiu politycznym ogranicza się do udziału w wyborach. Państwo rezygnuje z interwencji w świat kapitalistycznych gospodarczych struktur, a różne lobby uzyskują maksymalną swobodę działania (...) Być może dla naszego dobrego samopoczucia niezbędne jest podtrzymywanie iluzji o funkcjonującej demokracji.

*„Przesunięcie ciężaru władzy ze świata polityki do świata ekonomicznego”* stanowi dla publiczności (dla mediów, czytelników, widzów) jedynie formułkę analityczną, póki na własne oczy nie ujrzą jak to działa. Choćby w Indiach osiem lat temu, gdy wizytował je prezydent USA, Bill Clinton. Z tamtejszym *„królem biznesmenów”*, Dhirubhaiem Ambaniam, rozmawiał prawie godzinę. Premierowi Indii poświęcił ledwie 10 minut!

Akcentowana przez Kuehnelta - Leddihna, Croucha i Saramago *„iluzja demokracji”* vel *„pozorność demokracji”* dźwięczy i u polskich jej krytyków, vide mój dubeltowy esej, będący rozdziałem *„Stulecia kłamców”* (2000), czy *„Głowa hydry”* (2004) Anny Pawełczyńskiej, gdzie autorka ubolewa nad demokracją III RP: *„Obawiać się można, że w pozorowanej demokracji pogłębia się uruchomiony w latach niewoli proces degradacji społeczeństwa. Trwa i nasila się proces niewolenia świadomości. Pogłębiają warunki przyczyniające się do zaburzeń ludzkiej osobowości oraz zasad współżycia między ludźmi (...) Obecnie stosowana jest przede wszystkim przemoc mentalna. Działa ona wszelkimi dostępnymi środkami. Postuluje ujednociony sposób myślenia i odczuwania. Lansuje styl życia zgodny z tak zwanym modelem politycznej poprawności”*. Salon mówi też o zgodności z *„wartościami europejskimi”*, co napiętnował wybitny brytyjski filozof i politolog, Roger Scruton (2007):

- Ludzie, którzy zdefiniowali te „*europjskie wartości*”, stanowią znikomą mniejszość Europejczyków. W rzeczywistości te wartości nie mają nic wspólnego ze Starym Kontynentem. Gdzie w wielkiej literaturze europejskiej można znaleźć poparcie dla tych kosmopolitycznych wartości? One wykorzeniają ludzi z ich kultury i tradycji. Wykorzeniają ich z Europy. Nie mogą być więc „*europjskie*” (...) Prawicowe poglądy są w Europie na indeksie, a media, które szczycą się tym, że bronią wolności słowa, w istocie przodują w jego ograniczaniu, wykluczając „*niepoprawne*” poglądy z obiegu opinii (...) Większość dziennikarzy na świecie ma poglądy lewicowe, liberalne. Udają, że mają otwarte umysły, ale to tylko poza. Tak naprawdę, jeżeli ktoś nie zgadza się z lewicowymi dogmatami, napotyka skrajną wrogość mediów. Zachód zna to doskonale, ten problem mieli i Margaret Thatcher, i Ronald Reagan. Dopiero po wielu latach dziennikarze przyznali im słusność.

Piętnowana przez Scrutona lewicowość mediów (moim zdaniem: częściej różowa kryptolewicowość) sprawia, że demokracja współczesna jawi się nam - nieomal podświadomie - jako atrybut/objaw lewicowości. Nawet gdy gdzieś zwycięża prawica - rozumiemy, że na krótko, i nawet wtedy musimy znosić (werbalizuję to w imieniu konserwatystów) bezczelną opozycyjną czerwonkę, chętnie przybierającą (gwoli kamuflażu) szlachetne nazewnictwo (exemplum: Lewica i Demokraci; dla prawicowców: Lewizna i Dewianci). Dzięki nim stale aktualny jest wers Juliusza Słowackiego o tym

„.....*jak jest niebezpiecznie  
z demokratami nie być dosyć grzecznie*”.

Jeszcze raz Roger Scruton udzielający wywiadu Piotrowi Zychowiczowi (2007):

- Zawsze, gdy jakieś społeczeństwo wybiera w powszechnym głosowaniu prawicowe władze, ci ludzie krzyczą o zagrożonej demokracji. Bo naród nie głosował „*tak jak trzeba*”. Demokracja lewicy sprowadza się do przekonania, że demokracja jest tylko wtedy dobra, gdy wygrywają „*nasi*”.

Świetnym tego potwierdzeniem są chociażby kalifornijskie przepychanki z „*małżeństwami*” lesbijek i pederastów. Urządzono referendum, w którym społeczeństwo Kalifornii zdecydowaną większością opowie-

działo się przeciwko legalizowaniu związków homoseksualnych. Władze niektórych miast próbowały to obejść, jednak gubernator stanu postawił im twarde weto. Sprawa trafiła do Sądu Najwyższego Kalifornii i ten przyznał zbrodźcom prawo zawierania ślubów, a więc de facto unieważnił wynik demokratycznego głosowania ludności stanu.

Równie dobrym przykładem lekceważenia demokracji przez demokratów były niedawne głosowania w Unii Europejskiej nad jej poronioną konstytucją (odrzucona przez głosujących Francuzów i Holendrów) oraz nad mutacją tego aktu, traktatem lizbońskim (odrzucili go Irlandczycy). We wszystkich trzech przypadkach złożona z arcykapłanów demokracji wierchuszka UE dostała szału, bo „*motloch*” głosował „*nie tak jak trzeba*”. Demokracja okazała się chwilowo (lokalnie) „*be*”, chociaż bazowo (generalnie) jest „*cacy*”. Wokółbrukselskie duże stolice Europy robią więc wszystko, by „*niesłuszne*” wyniki głosowań uznać za nieważne, lipne, mylące, kretyńskie, słowem: nie do przyjęcia. Rzecz prosta: w imię kultu prawdziwej demokracji. Filozof i politolog Zdzisław Krasnodebski (2008): „*To lekceważenie demokracji zaczyna już przypominać farsę i prędzej czy później się zemści. Może, nie daj Bóg, pogrzebać ideę wspólnej Europy*”.

„*Daj Boże, by pogrzebało!*” - odpowiadają uniofoby (zwani przez lewaków „*eurofobami*”, co jest typowym dla Salonu manipulowaniem faktami i semantyką), a jako główną hańbę unijnej demokracji wskazują główną siłę UE, brukselską oligarchię (by nie rzec: mafię) biurokratów. Tu dochodzimy do sedna wszelkich dyskusji na temat współczesnej demokracji (dyskusji tak postulowanych przez „*towarzysza*” Saramago): do problemu centralnej biurokracji jako takiej. Według antydemokratów: nic, nawet fałszerstwa koło urn (A.D. 2008 we francuskim Perpignan złapano członka komisji wyborczej jak upychał w skarpetkach i nogawkach karty z głosami przeciwnymi jego zapatrywaniom), nie neglżuje demokracji bardziej aniżeli niwecząca swobody ludzkie wszechwładza demokratycznie funkcjonujących biurokratów. Marek Magierowski (2008):

„*Angela Merkel, Nicolas Sarkozy i Jose Manuel Barroso, gdyby mogli, zapewne wprowadziliby traktat lizboński w całej Unii za pomocą dekretu. Dopiero takie rozwiązanie byłoby, w ich mniemaniu, prawdziwym świętem demokracji. Sposób, w jaki próbują narzucić Europejczykom tę niby - konstytucję, wskazuje, iż w słowie «demokracja»*

coraz większe znaczenie ma dla nich kratos, podczas gdy demos staje się powoli mało istotnym przedrostkiem. Im mniej mają do powiedzenia zwykli obywatele i im więcej kompetencji jest przekazywanych w ręce anonimowych, nieodpowiadających przed nikim urzędników, tym więcej słyszymy sloganów o tym, jak bardzo Europa się wzmacnia i jak głęboko się demokratyzuje”.

Jeszcze ostrzej przywalił demokratom - uniokratom Stanisław Michalkiewicz (2006): „W Unii Europejskiej pod osłoną retoryki demokratycznej ustrój polityczny ewoluuje w kierunku oligarchii. Oligarchie narodowe metodą kooptacji tworzą biurokratyczny internacjonal, który przygotowuje się do przejęcia władzy nad europejskimi narodami, sprowadzanymi właśnie do poziomu stadnego”.

Najkrócej ujmując: to problem wolności. Demokracja, która antydespotycznie miała być gwarancją wolności społeczeństwa oraz wolności indywiduum - wzięła jednostki i społeczeństwa za mordę systemem opresyjnych zakazów i nakazów produkowanych i egzekwowanych przez biurokrację centralną, co wytworzyło nowy rodzaj tyranii. Tyranii megastrukturalnej, w niektórych przejawach i okolicznościach wprost groteskowo ścisłej/bezwzględnej (jak służbowe ukaranie przez władze angielskiego hrabstwa Devon ratowników, którzy ocalili tonącą dziewczynę łodzią bez technicznych badań, ergo: nieatestowaną; notabene: nie mieli żadnej innej łodzi - sierpień 2008). Ta tyrania biurokracji może mieć lokalnie różne fundamenty, motywacje i cele, jednak efekty są identyczne w każdym zakątku globu - cierpi ludzka wolność (cierpi ponad zdrowe normy dyscyplinujące, niezbędne dla każdego państwa). Wybitny austriacki ekonomista Friedrich von Hayek (autor monografii socjalizmu „**Droga do niewolnictwa**”, 1944) wytknęła pierwocinom III RP budowanie tyranii biurokracji drogą braku uczciwych rozwiązań własnościowych (uwłaszczeniowych i reprywatyzacyjnych), pisząc:

„*Próba stworzenia demokracji bez restytucji fundamentów własnościowych, które zniósł akt nacjonalizacji komunistycznej, musi skoń -*



*czyć się niepowodzeniem. Masowa restytucja zasady własności prywatnej posiada znaczenie nie tylko gospodarcze, ale i kulturowe. Program reprivatyzacji musi być szeroko zakrojoną akcją upodmiotowienia społeczeństwa (...) W systemie bez własności wytwarza się próżnia, do której nieuchronnie wciska się biurokracja państwowa”.*

A tam, gdzie wciska się biurokracja - wciska się i korupcja (z ekonomicznego punktu widzenia: biurokracja równa się korupcja). Profesor Rocco Buttiglione (wicemarszałek włoskiej Izby Deputowanych) mówił o tym podczas warszawskiej konferencji 30 sierpnia 2008:

- Czy można przeczyć, że dziś śmiertelną chorobą demokracji jest najszerzej pojmowana korupcja, oznaczająca nie tylko kupczenie decyzjami politycznymi, lecz i wyzbyte skrupułów korzystanie z władzy publicznej dla osiągnięcia stronniczych celów wbrew wspólnemu dobru?

Biurokracja to tętniące źródło, z którego wypływa ściek wszelakiego rodzaju korupcji (politycznej, ekonomicznej, kulturowej). Inaczej mówiąc: nie istnieje proceder łapowniczy bez biurokratycznego absolutyzmu. Co za tym idzie: nie ma takiej walki z korupcją, która by nie dostała batów od Salonu (mocną salonową frakcję stanowi lobby urzędnicze), gdy zwalczający łapownictwo są obcy. Przerobiła to boleśnie partia PiS, a Bronisław Wildstein następująco to skomentował (2007):

*„Rozrost korupcji III RP był związany z oligarchizacją życia w Polsce i wynikał z istnienia grup uprzywilejowanych, którzy cieszyli się szczególną pozycją w państwie. Zwalczanie korupcji stanowiło więc również przywracanie demokracji. Walka z korupcją przedstawiona została przez najbardziej wpływowe media i ośrodki opiniotwórcze jako zamach na demokrację i terror ze strony PiS”.*

Wildstein nie podniósł w swym tekście jednego: że PiS oberwało na własne życzenie. Nie można bowiem prowadzić sensownej walki przeciwko korupcji bez likwidacji głównego źródła korupcji, czyli rozwiniętej chorobliwie biurokracji! PiS - owcy rozdęli ją karygodnie, a dzisiaj PO i PSL kontynuują ten kierunek - jest to cały czas mozolne biurokratyzowanie III RP do wymiarów bandyckiego imperium. Stąd gazety mają o czym pisać. Niżej cztery „kawalki” z różnych pism (żaden cytat nie pochodzi z rubryki satyrycznej, chociaż wszystkie są tragikomiczne tout court):

**„Najwyższy Czas!”** (2007): *„Huta imienia Sendzimira (dawniej imienia Lenina) miała remontować wielki piec. Okazało się, że re-*



mont «musi» kosztować 1 miliard 200 milionów złotych. Za te pieniądze można by było postawić dwa nowe piece. Ale na szczęście hutę sprywatyzowano, kupił ją Hindus, pan Lakshmi Narayan Mittal, i okazało się, że remont generalny pieca można zrobić za 400 milionów. Jakies cwaniaki chciały połknąć 800 milionów złotych!”.

**„Gazeta Polska”** (2008): „3 grudnia 2003. Poznańskie media zostają poinformowane, że około godziny 17 do Starego Browaru Kulczyków wejdzie milionowy gość. Jak zapowiedziano - może nim być każdy. Na powitanie wychodzi sama Grażyna Kulczyk z bukietem kwiatów. Milionowym gościem okazuje się elegancka pani w futrze. Mediom nie chce się przedstawić, w końcu podaje imię Alina i mówi, że jest w sklepie po raz pierwszy. Okazuje się być... Aliną Kornasiewicz, za rządów Buzka wiceminister skarbu, która negocjowała sprzedaż Kulczykowi 35 proc. akcji TPSA. « - To naprawdę był przypadek» - przekonuje Grażyna Kulczyk”.

**„Rzeczpospolita”** (2008): „W 2005 roku media ujawniły, że Piotr Nurowski (prezes PKOl, spiritus movens powstania Polsatu, dawniej spec od propagandy w PZPR) wraz z grupą znajomych, m.in. Dariuszem Rosatim i Elżbietą Chojną - Duch (obecną wiceminister finansów), kupił od SGGW 90 ha ziemi w niezwykle atrakcyjnym miejscu w podwarszawskim Konstancinie. Warto około 500 milionów złotych grunty, tzw. łąki oborskie, zostały sprzedane Nurowskiemu, Rosatiemu i spółce za ledwie... 7 milionów plus VAT”.

**„Angora”** (2008): „Spółkę dostarczającą prąd mieszkańcom Warszawy w przestępczy sposób sprzedano niemieckiemu potentatowi energetycznemu za jedną trzecią jej wartości. Oszustwem nie zainteresowała się ani policja, ani prokuratura, ani ABW, ani CBA (Centralne Biuro Antykorupcyjne)”.

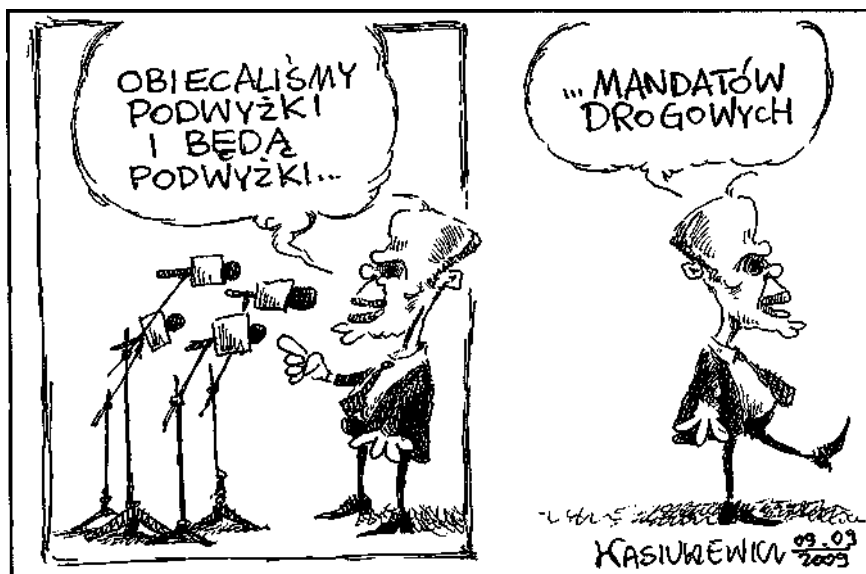
Parafrazując mistrza Wyspiańskiego: to jest polska demokracja właśnie! Wcale nie gorsza od brukselskiej (megakorupcja w centrali UE to istny horror - patrz następny rozdział/mit) czy globalnej. Nawet „wybrani” robią straszne rzeczy - przykładem zdemaskowane przez prokuraturę izraelską malwersacje wokół Marszu Żywych, albo niemieckie rekompensaty dla niedoszłych ofiar Holocaustu i dla rodzin ofiar Holocaustu. Olgierd Domino (2008):

„Niemcy rozważają wniesienie pozwu przeciwko żydowskiej organizacji nadzorującej przyznawanie odszkodowań ofiarom Holocaustu.

Mają dość robienia ich w konia. Pieniądze, zamiast być wypłacane poszkodowanym, zostają na kontach Żydowskiej Konferencji Roszczeniowej (...) W Izraelu krytyka wobec Konferencji sięgnęła szczytów pod koniec maja. Organizację przedstawiono w mediach jako złodziejską zgraję wydrwigroszów. Minister ds. emerytów, Rafi Eitan, nie zawahał się przed określeniem jej mianem «gangu»...

Wynikałoby z powyższych casusów, że demokracja jest pepiniarą złodziejstwa i nieprawdy. Cóż - to fakt. Same reguły gry w demokracji zakładają regulaminowe stosowanie kłamstwa jako wabika dla elektoratu, prawdą bowiem można skusić tylko ludzi inteligentnych, a tłum łaknie błyskotek, obietnic - cacanek, demagogicznego cyrku. Nie można uciec przed tymi żelaznymi wymogami, o czym przekonał się nawet harcerzyk - dyktator (demokratyczny) Donald Tusk, wkrótce po wygraniu parlamentarnych wyborów, czyli po odsunięciu PiS - u od zła. 6 października 2007 krzyczał do tłumu w Poznaniu:

- Zauważyłem też fenomen. Drogi są coraz gorsze, a na ulicach pojawiły się fotoradary! Polacy mają być kontrolowani w każdym miejscu ! Utrudnić ludziom życie do maksimum, a na końcu skontrolować ich wszystkich bez wyjątku! To jest filozofia PiS. Tylko facet, który nie ma prawa jazdy, może wydawać pieniądze na fotoradary, a nie na drogi!



W lipcu 2008 posłowie PO, czyli ludzie premiera Tuska, który nie wybudował jeszcze żadnej drogi (tylko obiecuje) - wnieśli do Sejmu projekt specjalnej ustawy, dziesięciokrotnie (!!!) zwiększającej liczbę fotoradarów. To jest demokracja właśnie. A termin „*kłamstwo elekcyjne*” vel „*kłamstwo demokratyczne*” winien być wprowadzony do oficjalnego języka politycznego już nawet nie jako „*culpa levis*” (lekki grzech), tylko jako oksymoron cnotliwy, przynoszący politykom również chlubę, a nie wyłącznie zwycięski laur. Kłamstwa Wałęsy wykreowały go na półboga.



Jednak „bezgrzeszne” „*kłamstwa elekcyjne*” nie zawsze rozstrzygają rezultat wyborów, gdyż są stosowane przez wszystkie walczące strony po równo, dlatego rezultat bywa czasami kreowany siłą innych demokratycznych mechanizmów. Na przykład bomb lub seksbomb, dzięki którym klasyczne „*wahadło wyborcze*” przechyla się gwałtownie tuż przed dniem urn. Tak było w Hiszpanii, gdy islam wysadził madrycki pociąg i nastraszeni obywatele odwrócili się od prawicowego rządu Aznara ku lewicowej partii, którą wołała Al - Kaida. Tak też było w Polsce 2007, gdy PO urządziła dla kamer łzawy spektakl ze szlochającą platformianą łapówkarą jako uwiedzioną heroiną, ofiarą erotomaństwa przystojnego agenta i bestialstwa kaczystowskiego gestapo. Trik się udał. Ale samo sobie winne było PiS: chcąc zatrzeć blamaż premiera Kaczyńskiego w debatowym starciu z Tuskiem, PiS upubliczniło korupcyjną chlicę i butę posłanki PO, sądząc, że to będzie dla Platformy cios śmiertelny. Tymczasem rykoszet ugodził śmiertelnie partię Kaczorów.

Wracając jeszcze do wybuchu madryckiego: dawno już zauważono, iż terroryzm kwitnie w demokracji, a usycha w totalizmie, gdyż bandyci boją się reżimów autokratycznych, które nie lubią konkurencji. Demokracja nie służy zwalczaniu terroryzmu - jest za bardzo pełna humanitaryzmu i chaosu. Igor Jefimow (2008): *„Dlatego popychanie takich krajów jak Egipt, Pakistan, Irak, Syria, Jordania czy Arabia Saudyjska w stronę demokracji, to bezkonkurencyjny sposób na triumfalne odrodzenie terroryzmu islamskiego”*.

A jaki jest sposób na eliminację lub przynajmniej neutralizację kobiecych kaprysów elektoratu, czyli „wyborczego wahadła”? Coś, co Jacek Bartyzel nazwał (2006) „centrowym bagnem”. Do tego grajdoła środkowego może się przypisać każda z głównych rywalizujących sił, między którymi różnice są tylko pozorne, szyldowe, dla zamydlenia elektoratowi oczu. We Francji przez kilka dekad rządziły na przemian centrowa „lewica” i centrowa „prawica”, lecz różnice między socjalistą Mitterrandem a kryptolewicowym „prawowcem” Chirakiem były żadne, więc cały ten wodewil był równie uczciwy jak wioska demokracja, kiedy we Włoszech przez pół wieku rządziła Cosa Nostra trzymająca na sznureczkach kukielki partyjne. Coś analogicznego mamy w „specdemokracji” ((© W. Łysiak) III RP. Najgorszą spuścizną PRL - u stała się dla Polski nawet nie „uwłaszczona” nomenklatura, nie ośmiorniczo - gruowska sieć WSI, nie „genetyczna” aferalność wielu decydentów - lecz dwa twarde centrolewicowe elektoraty. Elektorat postkomunistyczny i elektorat postkorowski. Czerwoni i różowi - kiszczakiada i michnikiada. Sojusz dżumy z cholera. Dzięki nim od 20 lat niewiele się zmienia: rządzi to samo „centrum”!: Układ plus Salon. Zdzisław Krasnodębski (2007):

*„Nie przypadkiem polityka Polski była kształtowana po 1989 roku ciągle przez tę samą grupę osób - niezależnie od wyników wyborów - która z całkowitą dla siebie oczywistością opanowała owe liczne instytucje rozczłonkowanej i unieszkodliwionej Rzeczypospolitej. Dlatego właśnie zagrożeniem o wiele bardziej realnym niż nieoliberalna demokracja była i jest w Polsce liberalna, konstytucyjna niby - demokracja. W takiej liberalnej niby - demokracji wybory sprowadzają się do samego aktu głosowania - a i tak politykę gospodarczą trzeba prowadzić jak Leszek Balcerowicz, zagraniczną jak Bronisław Geremek, prawną jak Andrzej Zoll, kulturową i historyczną*

jak Adam Michnik. *W takiej liberalnej niby - demokracji wyborcy nie tyle wybierają konkurujące ze sobą elity, ile zawsze tylko jedną elitę i jedną politykę, a jeśli nawet wybiorą kogoś innego, to i tak nie ma to najmniejszego znaczenia*".

Fakt. Może byłoby inaczej, gdyby władze i elektoraty składały się z samych ludzi porządných i rozsądnych, ale nie wynaleziono jeszcze na świecie takiej demokracji, która zapewniłaby ów dubeltowy luksus. Demokracja, wskutek samej swej istoty, jest terrorem głupców, i to w każdej dziedzinie życia, literatury nie wyłączając. Francuski pisarz, Richard Millet, słusznie mówi (2007):

- Demokracja jest bardzo szkodliwa dla wszelkiej twórczości, także literatury, bo zezwala każdemu uprawiać wszystko. Pisarzem może być dzisiaj każdy idiota, właśnie przez to, że mamy demokrację. Stąd książki nie mają już żadnej wartości. Seryjnie lub amatorsko produkowany chłam zwany jest literaturą, i to nie gwoli żartu. Króluje głupota totalna.

Terror owej „totalnej głupoty” widać wszędzie - tak u góry, jak i u dołu drabiny elekcyjnej. „Górze” celnie określił świetny izraelski publicysta, polski Żyd, Kataw Zar (2006):

*„Wymyślając postać Nikodema Dyzmy, polski pisarz Dołęga - Mostowicz, udostępniony światu dzięki plagiatowi Lewinkopfa - Kosińskiego «Wystarczy być» - okazał się utalentowanym wizjonerem. Wypychanie prostaków na czołowe stanowiska państwowe, zgodnie z receptą Mostowicza, stało się metodą praktykowaną w różnych miejscach naszego globu. O ile jednak w ramach fikcji literackiej Mostowicza elity rządzące były zafascynowane prostakiem, przez co padły ofiarą mistyfikacji, tak w konkretnej rzeczywistości politycznej XXI wieku elity nauczyły się cynicznie wykorzystywać prostactwo garnące się do władzy*”.

Święte słowa - Polska Wałęsów i Lepperów jest tego klarownym przykładem.

Lecz by „elity rządzące”, salonowcy, szturmowcy, prostacy, Dyzmy itp. mogli publicznie tańczyć kankana politycznego - muszą ich wybrać „doły” (te same „doły”, które w ogólnonarodowym rankingu 2007 wskazały Dodę jako polski wokal wszech czasów). Tu demokracja nie popuści - „voxpopuli” kreuje emblematyczną władzę, i tylko on. Trzeba więc dbać o masy elektoratu. Robi się to różnie. Borys

Jelcyn, na przykład, tuż przed dniem elekcji upił cały elektorat darmową wódką i zagrychą, co w kraju, gdzie panuje „*demokracja alkoholowa*”, bo ludzie „*przepijają wszystko prócz telewizorów*” (Gierman Stierligow, 2007) było posunięciem trafnym. Z kolei - właśnie telewizor daje możliwości perswazyjne rywalizującym partiom i kandydatom. Trzeba dzięki ekranom trafić do umysłu obywatela. Biorąc przy tym pod uwagę średnie parametry tego umysłu. Spec od wizerunku, Piotr Tymochowicz (2005):

- Ludzie w swej masie są dość debilowaci. Żeby nimi kierować, trzeba dokładnie zrozumieć psychikę debila.

Bezblędnie tę psychikę rozumieją fachowcy medialni układający programy TV dla ludzi o określonym poziomie kultury, którego przejawem jest głównie perlisty rechet. Stąd tzw. „*wskazniki oglądalności*” jasno mówią politykom, do jakiego trzeba trafić elektoratu. Niezbyt wyrobionego i reagującego czasami irracjonalnie, choć częściej przewidywalnie, a kojarzącego realia z tą samą precyzją co „*alkoholowy elektorat*” neocarów. Exemplum sondażowe wyniki badania jakości programów TV. Zapytano ludzi: która stacja pokazuje najlepsze dobranocki dla dzieci? Odpowiedź respondentów, stacja TVN. Mimo że TVN żadnych dobranoczek nie pokazuje i nigdy nie pokazywała. Zupełnie jak ów tyczący czytelnictwa na wsi sondaż, który właśnie przeprowadzono wśród rolników. Wykazał, że wieśniacy czytają głównie pismo „**Gromada - Rolnik Polski**”. Pismo to nie ukazuje się już od kilkunastu lat, zatem respondenci czytają pewnie bez ustanku numery archiwalne, przechowywane „*con amore*” wewnątrz chałup i stodół. Ci sami bystrzy ludzie - miłośnicy dobranoczek TVN i czytelnicy dawnych numerów gazet - wybierają polityków do tego, żeby rządzili ludźmi. I to jest demokracja - zabawa, którą uprawiamy, bo inne gry są jeszcze gorsze.

19

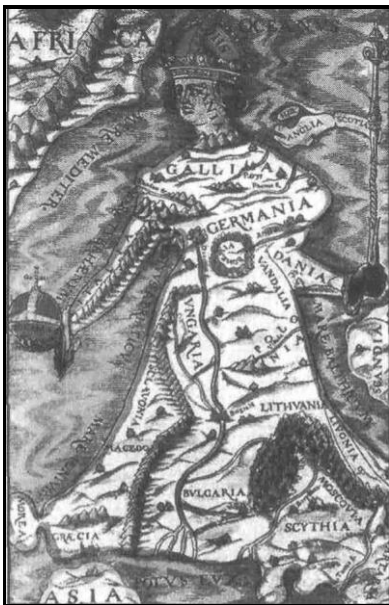
## Mit silnej Europy



„Obronność” w dziele Cesare Ripy „Ikonomia” (drzeworyt, 1603)

Europejski Salon nieustannie trąbi o radykalnym wzmocnieniu potęgi Starego Kontynentu dzięki zawiązaniu i funkcjonowaniu Unii Europejskiej. Amerykański historyk i politolog, Walter Laqueur (autor pracy „**The Last Days of Europe**”, 2007), słysząc surmy owego mitu, prycha ze zniecierpliwieniem:

*„Za tymi demonstracjami europejskiej radości i optymizmu nie stoi żaden silny fundament, gdyż od lat 70 - ych Europa bardzo niewiele osiągnęła - nie dokonała znaczącego postępu. Książki mówiące, że XXI wiek należy do zjednoczonej Europy jako nowego supermocarstwa, są po prostu śmieszne. Europa ma przed sobą przyszłość, lecz*



„Europa” z dzieła  
Sebastiana Münstera  
„Kosmografia” (1544)

bardzo skromną, nawet jeśli rozwiąże swe dzisiejsze problemy. Jej wpływ na sprawy światowe kurczy się szybko. Nie dorównuje Ameryce, zostaje w tyle za Chinami oraz za innymi potęgami (...) Ci, którzy uważają, że ten kontynent ma jeszcze przed sobą przyszłość jako supermocarstwo dysponujące siłą materialną i moralną, i że cała reszta świata będzie czuć dla niego podziw tudzież naśladować europejskie rozwiązania - żyją w krainie marzeń”.

Czy to aby nie zazdrosna jankeska złośliwość? Niestety, nie; trzeźwi europejscy komentatorzy polityczni, jak Brytyjczyk Roger Boyes, mówią to samo bez ogródek. „New Statesman” (2007): „Europa jest słabiutka, a jej instytucje paraliżuje rozrost biurokracji”. Mamy więc już pierwszą diagnozę: rak biurokracji. Przyczyn słabości Europy można podać dużo więcej, i niżej

to zrobić, lecz jeśli padł już termin „biurokracja” - zacznijmy od tego właśnie problemu. Vulgo: od problemu Unii Europejskiej, której „czapa” (brukselska sitwa urzędnicza) sprawuje autorytarne rządy nad prawie całym kontynentem. Unia miała stworzyć wspólną „Europę ojczyzn”, czyli federację suwerennych państw, tymczasem szybko się przemienia w kołchoz ze scentralizowanym systemem władzy. Bezbłędnie to przewidziała premier Anglii, Margaret Thatcher, dlatego dwie dekady temu (1988) w Brugii robiła co mogła, by zapobiec przemianie Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej w scentralizowane unijne superpaństwo. Nie udało się „Żelaznej Damie” zahamować tego procesu, gdyż siła europejskiego lewactwa była zbyt duża. I wciąż pozostaje duża, Europa pełna jest bowiem Zapaterów i kryptozapaterów, nawet prezydent Sarkozy, przy całej swej deklarowanej „centroprawicowości”, ma odruchy lewackie par excel -



lence (jak ustanowienie 22 października „dniem Môqueta”, komunisty rozstrzelanego przez hitlerowców).

Ograniczanie suwerenności krajów unijnych przez biurokrację brukselską byłoby działaniem eunucha, gdyby Bruksela nie miała bata dyscyplinującego. Są nim pieniądze: dotacje, fundusze pomocowe, subwencje, kary, grzywny etc. Wielkie - roczny budżet UE to 160 miliardów euro! Winny być te miliardy motorem siły kontynentu, ale nie mogą, ze względu na chaos i przestępczość panujące w brukselskich finansach. **„Die Weltwoche”** (2007):

*„Trzynasty z rzędu rok Europejski Trybunał Obrachunkowy odmawia zatwierdzenia budżetu Unii Europejskiej. Ponownie czytamy znaną już listę zażaleń: wielokrotne księgowanie, sfingowane rachunki, rozbieżności między subwencjami rolniczymi a tym co widać na zdjęciach satelitarnych, kryminalne układy między urzędami a oszustami w niektórych krajach. Raz jeszcze kontrolerzy ETO meldują, iż nie da się rzetelnie zaszeregować 90 procent wspólnotowego budżetu. I ponownie ich raport skwitowany zostanie kolektywnym wzruszeniem ramionami.*

*Dawniej te euromachinacje doprowadzały nas do szału. Blisko połowy lat 90 - ych coroczny raport budżetowy zawsze stanowił prawdziwie sensacyjny materiał, przede wszystkim w Anglii i Skandynawii. Lecz z biegiem lat, powoli, doszło do tego, że korupcję postrzegamy jako naturalny bieg rzeczy w Brukseli, brukselską normalność. Choć to trochę dziwne, bo przecież prywatna firma, która działałaby tak jak UE, dawno trafiłaby za kratki. Dlaczego więc Brukselę traktujemy inaczej?”*

Gdyby wszystkie afery korupcyjne Brukseli zostały sądownie ukarane, to Bruksela nie wyszłaby z więzienia w tym tysiącleciu. Lecz sądy należą do hegemonu (do biurokracji unijnej), trudno więc, by go karały. Jeden jedyny „wyjątek potwierdzający regułę” (choć też nie sądowy i nie więzienny) to afera, wskutek której zdymisjonowano (1999) całe kierownictwo Komisji Europejskiej. A przecież sekwencja afer korupcyjnych w Brukseli lat 90 - ych była bezbrzeżna - był to serial typu „never - ending story”. Jeszcze raz **„Die Weltwoche”** (2007):

*„Jak państwo sądzą, ilu odpowiedzialnych za tamte czyny zostało do dzisiaj ukaranych w związku z tamtymi skandalami? Stu? Pięćdziesięciu? Dwudziestu? Otóż ani jeden! Nikogo nie sądzono, niko-*

*go nawet nie zwolniono, żadnego urzędas. Dwóch, co prawda, przeniesiono, lecz nie dlatego, że dopuścili się oszustw, tylko dlatego, że sami kilka wykryli”.*

Mimo iż wykrywanie oszustw wewnątrz centrali UE jest sportem ekstremalnym - nie ma miesiąca bez jakiegos brukselskiego korupcyjnego skandalu. **„Der Spiegel”** (2007): *„Każdego dnia brukselscy oszuści pozbawiają UE jednego miliona euro!”*. Tylko w roku 2006 państwa członkowskie zgłosiły 12 092 *„nieprawidłowości”*, na sumę 1 miliarda 155 milionów euro. Krystyna Grzybowska (2007): *„Komisja Europejska broni się przed zarzutem jakoby w Brukseli panował szczególnie korupcjogenny klimat, ale można się z tego tłumaczenia tylko śmiać (...) Aktualnie toczy się 400 postępowań przeciwko podejrzanym o korupcję unijnym urzędnikom, z tego 70 dotyczy pracowników centrali brukselskiej”*. Minęło półtora roku (wrzesień 2008) i jakoś nie słychać, by którekolwiek postępowanie zakończyło się trybunałem oraz wyrokiem skazującym.

Co jest tu ważne dla unijnych społeczeństw? W końcu kradzież ledwie 2 miliardów z budżetu 160 - miliardowego to pestka. Tak, ale konsekwencją tolerowania różnych oszustw centrali jest tolerancja dla lekceważenia praw i rygorów UE przez jej mocarstwowych *„starych członków”* (Francja, Niemcy, Włochy), ergo: brak dyscypliny ekonomicznej fundatorów UE i niesprawiedliwość wobec tzw. *„nowych członków”*. Ci *„starzy”* żądają od *„nowych”* ścisłego przestrzegania wymogów i norm, sami natomiast robią co chcą (dowodem jest bezkarne przekraczanie przez Francję i Niemcy progu deficytowego ograniczanego Paktem Stabilizacyjnym, dofinansowywanie upadających firm i banków ze środków publicznych, monstrualne subsydiowanie włoskiego i francuskiego rolnictwa, chamski protekcjonizm, formalnie zakazany, itp.). Gospodarki tych *„ojców - założycieli”* są, według licznych światowych ekspertów, kolosami na glinianych nogach. Dane dotyczące roku 2006 były pierwszym sygnałem alarmowym wewnątrz Unii: Francja - 29,2 miliarda euro deficytu w handlu zagranicznym, Hiszpania - 83,3 miliarda, Anglia - 126 miliardów. Fachowcy tłumaczą te brzydkie wskaźniki cenami surowców, zbyt niskim kursem dolara i zwłaszcza głupią polityką ekonomiczną Europy, która zmierza ku zostaniu ekonomicznym karłem. Klóci się to z mitem silnej Europy lansowanym przez Salon.

Brak dyscypliny ekonomicznej w UE to niejedyny brak dyscyplinary Starego Kontynentu. Nie może pozostać silną struktura imperialna, której brak dyscypliny moralnej (czego dowiodły krachy wszystkich imperiów; na moralnym upadku Rzymu starożytnego zbudował swe kariery akademickie nieprzebrany legion uczonych). Główną przyczyną pogłębiającej się słabości moralnej Europy jest odchodzenie od Dekalogu i w ogóle od chrześcijaństwa (sekularyzacja, laicyzacja, ateizacja), zaś symbolem tego - wykluczenie Boga oraz tradycji religijnej z konstytucji UE. Tylko pozornie niegroźne, ledwie formalne; w istocie tak ważne, iż nawet co mądrzejsi ateści podnoszą krzyk sprzeciwu. Marek Magierowski zapytał włoskiego filozofa i polityka, Marcello Pere (2007):

- Panie senatorze, deklaruje pan publicznie, że jest osobą niewierzącą. Jak to możliwe, by człowiek niewierzący tak bardzo angażował się w obronę wartości chrześcijańskich Europy?

Pera wyjaśnił mu:

- Nie trzeba wierzyć w Boga, by bronić wartości chrześcijańskich, które są uniwersalne. To chrześcijaństwo dało Europie i całemu światu równość, godność człowieka, szacunek dla życia (...) Odniesienie do Boga nie znalazło się w preambule unijnego traktatu konstytucyjnego, gdyż sferę języka opanowała w Europie lewica, której sprzyja większość mediów oraz intelektualistów (...) Odchodząc od naszych tradycji i budując nową religię państwową, laickość, która stała się przewodnią ideologią Europy - pchamy Europę w objęcia islamu. Tak działa polityczna poprawność: przez cenzurę, przez gubienie korzeni, przez wymazywanie pewnych wartości z pamięci wspólnej.

Rzecz rzadka: mądry ateista. Salon uważa odwrotnie: iż głupcy to wierzący. I Salon dowodzi tego naukowo. Międzynarodowy periodyk „**Intelligence**” opublikował właśnie (2008) wyniki badań prowadzonych w 137 krajach przez grono profesorów (m.in. Brytyjczyk Richard Lynn z University of Ulster, oraz Duńczyk Helmuth Nyborg, spec od badania intelektu), według których istnieje ścisła zależność pomiędzy inteligencją a religijnością: wzrost inteligencji zmniejsza religijność, i odwrotnie. Przeczy tej konkluzji liczba wierzących noblistów, i liczba uczonych (astrofizyków, biologów i in.), którzy w wieku dojrzałym zaczynają skłaniać się ku Bogu. Te liczby są tak dla lewicy szokujące, że Salon kwestionuje ich realność. I w efekcie Salon

dostaje bolesne nauczki. Wybitny niemiecki filozof, prof. Robert Spaemann, został zapytany przez dziennikarzy (2006):

- Jak taki inteligentny człowiek jak pan może wierzyć w Boga?!

Odparł z uśmiechem:

- Mnie raczej dziwi, gdy ktoś inteligentny nie wierzy w Boga.

I przywołał swego sławnego kolegę, Gómeza Dávilę, według którego katastrofa grozi wówczas, kiedy ludzie poczynają uznawać diabła za fikcję, oznacza to bowiem rozkwit leseferyzmu. Wszyściutko wolno! W Europie już prawie wszystko, jesteśmy blisko ściany. Ściany płaczu.

Blisko ściany śmiechu robi się wówczas, kiedy komuś ważnemu odbije. Jak polskiemu eksprymasowi, kardynałowi Józefowi Glempowi, który stwierdził (2008), że „*dziś Maryi brak jedynie tytułu patronki Unii Europejskiej*”. Tej Unii Europejskiej, której brak jedynie Matki Chrystusa jako świętej patronki, bo wszystko inne (trend sekularyzacyjny, przemysł aborcyjny, pedalskie małżeństwa, królującą pornografią itp.) już posiada. NMPanna patronująca temu wszystkiemu byłaby „cool”! Wróćmy wszakże z wyżyn śmichu - chichu ku nizinom twardego gruntu:

Laicyzacja Europy odbywa się różnorodnymi metodami, wśród których coraz częstszy jest antychrześcijański terror. Polski bramkarz (piłkarz Celtiku Glasgow), Artur Boruc, dostał zakaz publicznego noszenia symboli religijnych i robienia modlitewnego znaku krzyża przed meczem (2006). Papieża Benedykta XVI nie wpuszczono z wykładem na rzymski uniwersytet La Sapienza (2008). Z brytyjskich uniwersytetów eksmitowano studenckie korporacje chrześcijańskie (2006) - rzecznik jednej z nich nazwał to słusznie „*aktem brutalnej nietolerancji, praktykowanej w imię politycznej poprawności*”. Tysiące analogicznych przykładów. Równocześnie antykościelna (głównie antykatolicka) propaganda rozszalała się na lamach mediów i na światowych ekranach („**Kod da Vinci**”, „**Elżbieta - Złoty Wiek**”, itp.). Wiceprzewodniczący Rady Episkopatu ds. Rodziny, biskup Stanisław Stefanek, kasandruje komentując działalność Parlamentu Europejskiego:

- Kościół prawdopodobnie doczeka się zakazu publicznego funkcjonowania .

Brakowi ducha etycznego towarzyszy w Europie brak dyscypliny etnicznej. To kwestia imigrantów, którzy inwazyjnie (napływowo) oraz

demograficznie (rozrodczo) chcą przejąć Europę i radykalnie ją zmienić. Kiedyś imigracja polegała na tym, że imigranci dopasowywali się do systemu prawnego kraju, który ich przyjmował. Dzisiejsza imigracja muzułmańska polega na tym, że imigranci żądają, by państwo (społeczeństwo), które ich przyjmuje, dopasowało się do ich prawnego cudziej kulturowego systemu. Tolerancja dla szariat (prawo koraniczne) jest wypadkową tolerancji dla tsunami osiedleńczego muzułmanów w Europie, tak wielkiego, iż autor „**Zderzenia cywilizacji**”, Samuel Huntington, w nowej książce („**Kim jesteśmy**”, 2004) prorokuje, iż prędzej czy później Europa zostanie zadeptana przez muzułmanów. Już dzisiaj Europa skowyczy. Roger Boyes (2007): „*Winny nas przerażać rosnące getta imigranckie, te otchłanie zakazanych dzielnic, gdzie na obrzeżach naszych miast hula wiatr (...) Europa nie ma wszelako pomysłu jak sobie radzić z problemem imigrantów*”.

Póki co - pomysłem Europy na problem imigrantów jest tolerancja wobec masowych imigranckich przestępstw (ostatnio Włochy tudzież Francja próbują to zmienić, rozpaczliwie wprowadzając twardszy kurs) i finansowanie muzułmańskiego nieróbstwa. Szwecja stanowi modelowy raj imigrantów. Piosenkarz Jerzy Grunwald, który mieszkał w Szwecji 26 lat, wyznał Bohdanowi Gadomskiemu (2007):

- Szwecja bardzo się zmieniła. Bardzo! Kiedyś było zupełnie inaczej. Szwedzi byli bardziej otwarci, spokojniejsi. Obecnie, po ogrom -



nym napływie imigrantów, Szwecja zapłaciła za to otwarcie na świat wysoką cenę. Można zauważyć ogromny wzrost przestępczości. Socjalny dobrobyt został ograniczony, bo przybysze z Afryki i innych krajów rozłożyli dotychczasowy system totalnie na łopatki, wykorzystując go nadmiernie. Sprowadzili swoje rodziny i okazało się, że trzeba ich utrzymywać, podczas gdy oni w ogóle nie integrują się ze Szwecją, wręcz izolują. Na tym tle powstają duże konflikty. A poza tym wszystkim jest wręcz rozdawana ogromna suma pieniędzy ludziom, którzy nie chcą pracować, bo wolą siedzieć na zasiłku socjalnym, ciesząc się, że jest w Europie taki kraj, który podaje rękę wszystkim potrzebującym i chcącym żyć na cudzy koszt.

Niechęć imigrantów wobec asymilacji („w ogóle się nie integrują”) jest równoznaczna z wrogością wobec tradycyjnych europejskich wartości, notabene słabnących wskutek libertyńskiej ofensywy Salonu. Węgierski pisarz - noblista Imre Kertész (2007):

- Kiedy jakaś cywilizacja sprzeniewierza się swym własnym wartościom - upada (...) Nie znam żadnej kultury wyższej rangą od europejskiej, lecz jeżeli Europa nie będzie reprezentować europejskich wartości, tylko mieszanek różnych kultur - wówczas stanie się żywym trupem. Nie chciałbym być świadkiem schyłku europejskiej cywilizacji.

Na razie obserwujemy zwalczanie tradycyjnej tożsamości narodowej państw Europy i próbę zaszczerpienia unijnej „tożsamości paneuropejskiej”. 20 lat temu premier Margaret Thatcher przestrzegła Europejczyków :

- Europa będzie silna tylko wtedy, gdy Francja pozostanie Francją, Hiszpania Hiszpanią, a Wielka Brytania też sobą. Z własnymi zwyczajami, tradycjami oraz tożsamością, bez zastępowania tożsamością paneuropejską tożsamości poszczególnych narodów. Ta paneuropejska byłaby równie niejasna jak policyjny portret pamięciowy.

Bezbożna unijna „tożsamość paneuropejska” wywołuje już tyle sprzeciwów, iż nowy prezydent Francji, Nicolas Sarkozy, powołał nawet Ministerstwo Tożsamości Narodowej, zaś Angela Merkel mocno (głównie kontrpolsko) rozkręca nacjonalistyczną „politykę historyczną”, mającą przy okazji definitywnie włączyć Niemców w krąg głównych, niewinnych ofiar hitlerizmu. Czy ci nowi zachodnioeuropejscy przywódcy są wystarczająco silni, by sprostać zagrożeniom? Także ze-

wnętrznym zagrożeniom, jak to ze strony neomocarstwowego neocara, którego zwą już (kpiarze) prohitlerowsko Adolfem Putinem?\*

Unijnej Europie od dawna brakowało silnych przywódców. Blair, Schröder, Aznar, Berlusconi e tutti quanti mieli dość siły, by myśleć o wspólnocie europejskiej, lecz nie mieli dość chęci i wyobraźni, by myśleć o Europie jako o bastionie, którego tradycyjna tożsamość jest zagrożona. Zdarzało się im ubijać duże lokalne i ponadlokalne interesy, choćby zjednoczenie Niemiec (Helmut Kohl), lecz interes główny - owa tradycyjna tożsamość europejska (mediewalna, renesansowa, barokowa, chrześcijańska) - został zepchnięty na out przez globalizację światową, unifikację kontynentalną, spuściznę oświeceniowo - lewacką tudzież współczesną pseudotolerancję polityczniepoprawnościową. Ostatnim wielkim przywódcą była londyńska „Żelazna Dama”, Małgosia Thatcher. Później brylował ród karłów. Najbardziej zawiedli się zwolennicy Chiraca, który miał być prawicowym tytanem, a okazał się kryptolewicowym dupkiem (czy Sarkozy skończy tak samo?). Tego typu pajace nie obronią Europy ani przed półksiężcem, ani przed sklonowaną gwiazdą czerwoną.

Ta kwestia - brak Piłsudskich - trapi zresztą cały Zachód (profesor Ewa Thompson: *„Niestety, obecnie brakuje na Zachodzie mężów stanu pokroju Ronalda Reagana”*, 2008). A gdy nie ma Piłsudskich - nie ma ducha żołnierskiego. Zwłaszcza w Europie. Amerykanie (Rosjanie też) kpią, że *„Europejczyk dzisiejszy nie dopuszcza myśli, iż armia służy do walki”*. Jest to - niestety - prawda. Gdy państwa UE wysyłają swych żołnierzy (bardzo niechętnie) do pełnienia misji wojskowych w zapalnych rejonach świata, wcześniej chcą mieć gwarancję, że nikt nie będzie tam strzelał, nikt nie zginie, itp. Po co, wobec tego, dają swym rekrutom broń i mundury? Po co w ogóle bawią się w wojsko? Nawet gdy trzeba gasić konflikty europejskie (exemplum Bałkany) - robotę praktyczną, czyli wojenną, wykonują Jankesi, zaś Europejczycy tworzą jedynie *„siły pokojowe”*, które nikomu nie potrafią zapewnić bezpieczeństwa (kilka tysięcy Bośniaków wymordowano na oczach kontyngentu holenderskiego, który miał Bośniaków

---

\* - W mojej powieści **„Lider”**, która o całe pół roku wyprzedziła nowy kryzys kaukaski, jest już powiedziane wszystko to, co inni zrozumieli i zaczęli głosić dopiero wówczas, kiedy wojska Putina najechały Gruzję.

chronić, ale ze strachu nie kiwnął palcem; w roku 2006 rząd holenderski udekorował tych swoich tchórzki medalami „za wzorową służbę”!). Taka Europa będzie bezbronna gdy spadnie żelazny deszcz.

A.D. 2008 żelazny deszcz spadł na głowy Gruzinów. „Stara” Unia Europejska wykazała wówczas - przez pierwszy tydzień tej agresji - kompletny brak solidarności z krajami Europy Wschodniej, które poparły Gruzinów i potępiły agresorów. Dopiero odważna inicjatywa prezydenta Lecha Kaczyńskiego przymusiła tuzy europejskie do deklaracji progruzińskich. Cały ten chaos w tamtych dniach zdemaskował kolejną słabość Europy dzisiejszej - brak czucia solidarnościowego. „**New Statesman**” (2007): *„Jeśli UE chce się domagać uznania swego politycznego prymatu (a tak naprawdę - jeśli ma przetrwać 50 lat), musi być budowana podług reguł wewnętrzzspólnotowej solidarności”*.

Wspomniałem o Polsce, tedy czas skrobnąć kilka słów o naszym udziale w rzekomo silnej strukturze kontynentu. Większość Polaków sobie chwali, bo finansowo zyskują. Gorzej bywa z budżetem państwa. Tomasz Cukiernik (2007):

*„Żyta Gilowska, wicepremier i minister finansów, przyznała szczerze, iż w tym roku, w związku z członkostwem Polski w Unii Europejskiej, po stronie dochodów dołączono do budżetu ponad 14 miliardów zł, a po stronie wydatków... 34 miliardy zł. W 2006 roku z tej okazji dołożono z budżetu 13 miliardów zł netto, a z kolei w planach na 2008 rok po stronie dochodów wykazano 35 miliardów zł, a po stronie wydatków - 57 miliardów zł. Tak więc jasno z tego wynika, że kto jak kto, ale polscy podatnicy nieźle dokładają do tego «złotego» interesu zwanego dotacjami unijnymi”*.

Niektórzy nie chcą dopłacać ni grosza; exemplum znany globtroter Wojciech Cejrowski, który czmychnął z Europy do Ekwadoru i tłumaczył to tak (2008):

- Nie widzę żadnego sensu w tym, by mieszkać na zmurszałym kontynencie bez perspektyw. To jest narastający biurokratyczny kołchoz (...) W Unii Europejskiej płaci się najwyższe podatki i najwyższe ceny. Bilet z Miami do Londynu kosztuje 300 dolarów, a z Londynu do Miami - 650! Racjonalne gospodarowanie swoim majątkiem oznacza więc wyniesienie go poza Unię i płacenie 11% podatku (...) Polska nie zarobi na mnie nic, bo wymyśliła sobie zbyt wysokie podatki. Wszystko, co mogę - majątek, wszystkie biznesy - przenio-



sę za granicę (...) To, co się dzieje w Europie, bardzo mi się nie podoba. Uważam, że obywatelstwo Unii Europejskiej jest najgorsze z możliwych.

Wielu tak uważa. Niektórzy spośród tych wielu nie myślą o podatkach, tylko o tym, że Europie brak jaj, vulgo: charakteru. Gdyby było inaczej, to Stary Kontynent nie zezwalałby się molestować i gwałcić na całego przez zboczeńców. Zboczeńców rozzuchwalonych regularnym przyznawaniem im kolejnych nieobyčajnych uprawnień antywiększościowych tudzież antychrześcijańskich. Nawet Wielka Brytania, niegdyś uchodząca za główną twierdzę europejskiego konserwatyizmu vel tradycjonalizmu („*My home is my castle*”) - dzisiaj „*daje ciała*” hańbiąc. Przykładem odmówienie (przez brytyjski Urząd Adopcyjny) państwu Johnsonom, zastępczym rodzicom, którzy świetnie wychowali 20 sierot (i rodzicom 4 własnych dzieci), prawa do opieki nad kolejnym dzieckiem - „*za nietolerancyjny stosunek wobec homoseksualizmu*”. Czy brytyjska ustawa z 2002 roku legalizująca związki pedalskie i przyznająca pederastom prawo adopcji. Czy rządowy brytyjski projekt ustawy, która zmusi katolickie instytucje adopcyjne tego kraju do oddawania dzieci parom lesbijskim tudzież pedalskim, a gdy jakaś placówka sprzeciwi się temu, będzie karnie zamknięta. Szef „**Rzeczypospolitej**”, Paweł Lisicki, komentując to wyznał (2007), iż boi się takiej Europy. Coraz większą liczbę Europejczyków gnębi strach, odkąd podano (2006), że w Szkocji nie wolno używać słów „*mama*” i „*tata*” (w Hiszpanii nie wolno ich używać do wpisów metrykalnych, są zastępowane terminami „*rodzic A*” i „*rodzic B*”), bo to obraża środowiska lesbogejowskie.

Gdy już w całej Europie nie będzie wolno używać słowa „*matka*”, to czy jeszcze będzie można westchnąć:

- Matko Boska Częstochowska, ratuj!

20

## Mit bezpiecznego seksu



„Chuć” w dziele Cesare Ripy „Ikonomia” (drzeworyt, 1603)

### Part 1 - erotyka

Mit ten jest lansowany przez lobby dwóch przemysłów: gumowego (kondomy) i farmaceutycznego (pigułki antykoncepcyjne), wszelako życie dowodzi, iż seksu zupełnie bezpiecznego nie ma. Przy najskrupulatniejszych choćby zabezpieczeniach podjętych przed stosunkiem seksualnym - fizyczne uprawianie erotyki grozi całą gamą nieszczęść, jak choroby weneryczne i psychiczne (miłość oraz inne dolegliwości serca), reumatyzm lub korzonki (przewianie grzbietu), brzemiennosc, małżeństwo, mendy, wrzody, alimenty, procesy sądowe, teściowa, zdrada, śmierć wskutek wyczerpania lub kalectwo. Co inteligentniejsi próbują uniknąć tych nieszczęść posługując się atrapami partnerów (dmuchane

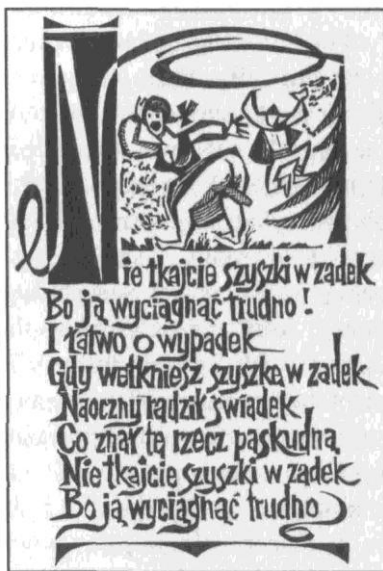
lalki) bądź genitaliów (plastikowe penisy); prezydent Bill Clinton użył nawet kubańskiego cygara dla zorganizowania stażystki Lewiński, która „miała w poprzek”, jednak wtykanie kuśkopodobnych przedmiotów też stanowi duże niebezpieczeństwo, o czym napisał wierszyk(triolet) rymotwórca Juliusz Baykowski\*. Triolet to strofa złożona z ośmiu wersów, gdzie wers pierwszy powtarza się jako wers czwarty i siódmy, a wers drugi występuje ponownie jako ostatni. Mistrz Baykowski trioletem przestrzegał przed bezmyślnym penetracyjnym zastępowaniem członka wysmukłą szyszką:



*„Nie tkajcie szyszki w zadek,  
Bo ją wyciągnąć trudno!  
I łatwo o wypadek,  
Gdy wetkniesz szyszkę w zadek.  
Naoczny radził świadek,  
Co znał tę rzecz paskudną:  
Nie tkajcie szyszki w zadek,  
Bo ją wyciągnąć trudno”.*

Cóż, zważywszy, iż wielu panów nie wypełnia swych zadań jak trzeba (lub w ogóle; nawet Włosi - sondaże mówią, iż 30% włoskich mężczyzn ma problemy ze współzyciem seksualnym, incredible!; tylko 38% Niemek jest zadowolonych ze swego życia seksualnego), i zważywszy, że

„każda kobieta powinna mieć konstytucyjne prawo do orgazmu” (tego publicznie zażądały między innymi feministki ekwadorskie, ustami deputowanej Marii Soledad Vela, która postuluje „możliwość sądowego dochodzenia przez kobiety ich prawa do zaspokojenia sek -



\* - Zbór obscenicznych trioletów Baykowskiego pt. „Uty” (1938, linoryt, nakład 20 egzemplarzy) stanowi arcyrzadkość bibliofilską, rarissimum.

*sualnego*”, 2008) - trudno się dziwić, że damy będące w raptownej potrzebie chwytają jako ersatz wszystko co jest pod ręką (dlatego latem 2008 roku muzułmanie zabronili swoim kobietom kupowania na targowiskach ogórków i marchewek - sic!). Aforyzm indyjski pyta: „*Czego nie widzą poeci ? Czego nie jedzą wrony ? Czego nie gadają pijacy? Czego nie uczynią kobiety?*”. Wiadomo czego. Na przykład zakonnice nie będą tarły marchewek (jak mówi szowinistyczny męski dowcip), aktywistki organizacji lewicowych nie będą tolerowały poniżania transwestytów (Ukrainka Wiera Serdiuczka, czyli transwestyta Andrij Danyłko, jest idolem zaporoskich pań), a naturystki nie będą szukać miejsc intymnych dla uprawiania seksu (magistrat Amsterdamu uchwalił prawo par hetero - i homoseksualnych do swobodnego praktykowania seksu w publicznym Vondelparku, gdzie rocznie spaceruje 10 milionów ludzi i gdzie psom nie wolno biegać bez smyczy, 2008).

Publiczne uprawianie seksu w parkach, na skwerach, plażach, łąkach, trawnikach itp. również dowodzi, iż gadanie o bezpiecznym seksie to mydlenie oczu, zawsze bowiem może człowieka ktoś nadepnąć, lub piesek może nas obsikać, lub deszcz skapać, lub (co nie daj Bóg) piorun strzelić, trzeba bardzo uważać. Gdy żre nas chcica ekshibicyjna - wybierzmy bezpieczniejsze formy prezentowania swej golizny, choćby teatralne. Współczesny teatr właściwie już nie może się obejść bez golasów, nawet Szekspira grają goło (exemplum inscenizacja „**Romea i Julii**” przez charkowski Teatr im. Szewczenki, gdzie aktorzy są nadzy jak „*święci tureccy*” i wzajemnie malują sobie ciała ekskrementami wydalanymi podczas spektaklu, 2007). Niewiasty samorealizują się również fotoreportażowaniem własnych wdzięków w „*środkach masowego przekazu*” (głównie w pismach kolorowych), co jednak stanowi rozrywkę dla wybranych pań, których walory strategiczne są jeszcze niezwiędłe; pogodynka TVN, Omenaa Mensah (2008):

- Myślę, że każda kobieta, która jest w takim wieku, że może się pokazać, powinna zrobić sobie rozbieraną sesję, bo to świetna pamiątka na przyszłość.

No pewnie! Szkoda, że nasze babcie i matki nie wyznawały tej postępowej filozofii, bo moglibyśmy okazywać je dzisiaj naszym dzieciom i wnukom „*au naturel*”, a tak figa! Nawet ich zdjęcia z plaży to zupełny obciach, kostiumy jednoczęściowe od szyi do kolan, miast jednoczęściówek dzisiejszych (stringi), ukazujących wsio. I pomyśleć,

że gdy w 1946 roku francuski inżynier Louis Réard próbował wylansować strój bikini - żadna modelka nie chciała założyć „*nieobyczajnego kostiumu*”, musiał nająć striptizerkę. Od tamtej pory wszakże IQ białogłów wzrosło tak bardzo, że mózg męski wysiada; aktorka Sharon Stone (2008):

- Ktoś, kto chciałby kupić mózg, przekonałby się, że mózg kobiety jest tańszy niż mózg mężczyzny. Dlaczego? Bo używany.

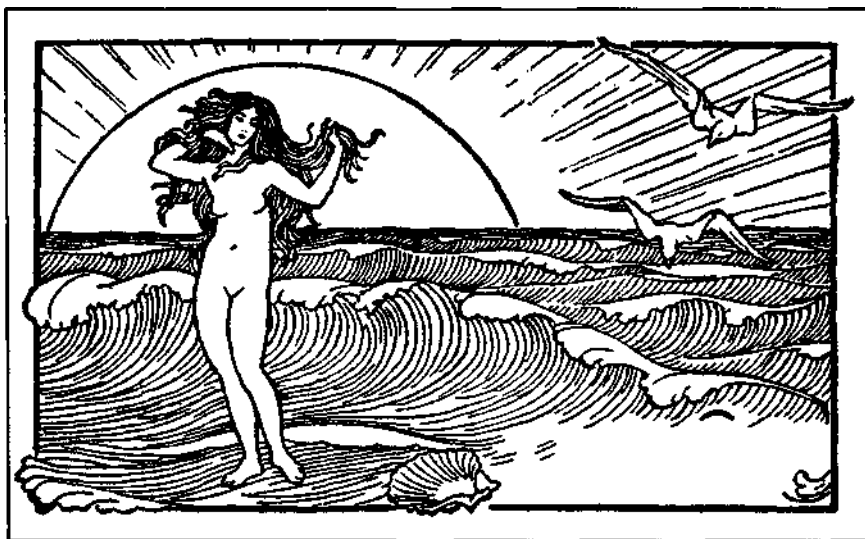
Wyższość mózgu kobiety nie jest, co prawda, optymalna już, damy ciągle muszą się jeszcze czegoś uczyć (przykładowo: uniwersytet w szwedzkim Malmö uczy białogłowy równouprawnieniowego siusiania na stojąco - sic!). Szczególnie modne jest uczenie się matematyki wyższej, a to wskutek gwałtownego zwiększania się liczby seksualnych partnerów obsługujących jednostkę żeńską. Badacze z University of Central Lancashire twierdzą (2007), że jako mężów kobiety wybierają partnerów statecznych, lecz jako amantów wybierają drapieżników. I bardzo ich mnożą, coraz bardziej, czemu służy nie tylko przymus wewnętrzny (presja biologiczna: szukanie optymalnego nasienia) plus „*trynd*” społeczny (postępowa obyczajowość), ale również internet jako komunikujący ludzi rajfur. Przed „*rewolucyjnym*” rokiem 1968 dwie trzecie Francuzek przyznawało się tylko do jednego życiowego partnera. Dzisiaj (2008) wielkowiejska trzydziestoletnia Francuzka deklaruje, że miała już kilkudziesięciu kochanków. Leszek Turkiewicz zacytował (2008) wyznania typowej Paryżanki, Valérie:

- ...Moje życie seksualne nabierało progresywnego tempa. Krok po kroku odkrywałam miłość oralną, analną, seks grupowy. Miałam kontakty homoseksualne, byłam w klubie wymiany partnerów. Każde nowe doświadczenie poprzedzała ciekawość (...) Uprawiam też seks towarzyski. To ostatni krzyk mody. Polega na spaniu ze sobą, żeby się zaprzyjaźnić.

Problem w tym, że (i tu mit o bezpiecznym seksie znowu kłamie) multiplikowanie zaprzyjaźnień poszerza (wedle rachunku prawdopodobieństwa) krąg niebezpieczeństw, uprawiając bowiem akrobatykę z tak dużą liczbą partnerów - prędzej czy później trafi się na zbrojeńca (dewota, prawicowca, faszystę, konserwatystę itp.). Nawet modny seks z dużymi psami (tymi wielkości cieląt) nie jest całkowicie bezpieczny, gdyż psy - co wiadomo - upodabniają się do swoich panów, również do ksenofobów, tradycjonalistów, reakcjonistów, antydemo-

kratów itp. To już nie tylko problem psychologiczny, lecz wprost filozoficzny, bo jak mówiła La Rochefoucauld... Że co? Tak słyszałem z ust lektora czytającego dialogi do filmu o Jamesie Bondzie „**Diamenty są wieczne**” (TVP 2, 6 - V - 2007): „- *Jak mówiła La Rochefoucauld...*”. Co mnie zresztą nie zdziwiło, bo przecież Kopernik też była kobietą. No więc, jak mówiła La Rochefoucauld: „*Można znaleźć kobiety, które nigdy nie miały żadnej miłości, lecz bardzo trudno znaleźć taką, która miała w życiu tylko jedną miłość. Zresztą najmniejszą wadą kobiety oddającej się miłostkom są miłości*”.

Wbrew wszelkim gadkom o bezpiecznym seksie - uprawianie takiego seksu grozi przede wszystkim kajdanami (małżeńskimi), które mogą być dla kobiety bardzo frustrujące. Modelka i piosenkarka Carla Bruni uprawiała bezpieczny seks z rzeszą światowych celebrytów (między innymi: Mick Jagger, Eric Clapton, Kevin Costner, Vincent Perez, Donald Trump, Sean Connery), miała też „*miłości*” z legionem głośnych Francuzów (Fabius, Enthoven, Bertignac i in.), a teraz, jako prezydentowa Francji, musi się ograniczać, co bez wątpienia dławi jej gospodarkę hormonalną. Mme Sarkozy rekompensuje to sobie układając teksty erotycznych piosenek (roku 2008 wydała nowy album), lecz jako zaobrączkowana, i to na szczeblu państwowym, musi unikać obscenów, co dla nowoczesnej kobiety wcale nie jest łatwe.



Kwestia publicznych erowulgaryzmów stanowi jeszcze jeden dowód fałszywości mitu o bezpiecznym seksie. Niebezpieczeństwo czyha ze strony purytanów monitorujących dzięki mediom całą sferę publiczną. Dawniej, w dobie panującej intymności, wszystko zostawało pod kołdrą, również to, co na piśmie. Fryderyk Chopin pisał swej kochance, Delfinie Potockiej: „*Wierny Fryc, który mocno tęskni do Twych cudnych cyc!*” - i czy ktoś prócz samej Delfiny tudzież jej przyjaciółki o tym wiedział? A dzisiaj wszystko jawne, bo leci przed kamerami „*na żywo*”. Choćby dialog w telewizyjnym magazynie kulturalnym „Pegaz” - rozmowa o kulturze między paniami Manułą Gretkowską i Kazimierą Szczuką (2003):

- Ty używasz takich słów jak p.....
- Każda ma p....., ale to nie znaczy, że tę p.... bzyka (...)
- Można powiedzieć: pieprzyć, można powiedzieć: p....., można powiedzieć:

r.....

- Można wszystko.
- Można powiedzieć: wagina, można powiedzieć p....., można powiedzieć: c... .

Tak sobie panie gaworzyły, a później kwakrzy (exemplum Piotr Lewiński, 2008) złośliwie się czepiają. Szczególnie się czepiają „*Jodów*”. Wystarczy, że człowiek sobie otwarcie pogada, jak choćby Dorota Rabczewska i Przemysław Saleta podczas TV - programu „*Gwiazdy tańczą na lodzie*” (2007):

- Przemek Saleta obciągnie ci fleta! - zaczęła Doda.

Saleta ripostował bez mrugnięcia okiem (na dzieci stanowiące część widowni):

- Doda Elektroda zrobi ci loda!

I już purytanie mają pretekst, by się przypierniczyć. Podobnie jak do Jerzego Kryszaka, któremu klapsa dał medialnie Krzysztof Feusette, bo satyryk robił (2007) sugestywne żarty a propos Jarosława Kaczyńskiego („*Mam nadzieję, że mama daje Jarosławowi... he, he!*”), puentując:

- Poprosił posłankę Szczypińską i poszli razem, he, he, he, he, na loda!...

Trudno zaprzeczyć, że przecież można to samo wyartykułować bardziej elegancko, bez używania słowa „*lód*”, czego przykładem piosenkarz Michał Wiśniewski, raportujący problem zaawansowanej ciąży

swej małżonki (na swoim blogu): „Nie mogę sobie podymać z własną żoną. Poczekam. Wprawdzie robi mi dobrze jak może, ale tęsknię za Anią sprzed ciąży”.

Niebezpieczeństwa czyhają też na miłośników seksu gejowskiego. Pełno jest bowiem jeszcze zakutych pał, jak to małżeństwo Mathericków z Chard w hrabstwie Somerset, któremu nie zezwolono wychowywać jedenastoletniego chłopca, bo państwo Matherickowie nie chcieli go uczyć o pozytywnych aspektach homoseksualizmu. Przecież o tym trzeba uczyć, tak jak w niektórych amerykańskich szkołach, gdzie lekturą obowiązkową są fragmenty sztuki Tony'ego Kushnera „**Aniołowie w Ameryce - gejowska fantazja na narodowe tematy**” (Nagroda Pulitzera, dwie nagrody Tony Awards i inne prestiżowe wyróżnienia). Dla smaku - dialog z tego arcydzieła:

- Chcę, żebyś mnie zerznął aż będzie bolało, aż będę krwawić.

- W porządku.

- Zrobisz to?

- No, chcę sprawić ci ból.

- No to pieprz mnie.

- Mocno?

- Jasne, że mocno (...)

- Myślę, że pękł kondom. Jedziemy dalej?

- Jedziemy. Wal mnie. Zainfekuj mnie. To nie ma znaczenia. Nie ma znaczenia.

Plus fragment narracji: „*Zaczynają kopulować, wsadzają sobie ręce do odbytu, wążają, dają polizać, i znowu się całują*”. Gdzie tu niebezpieczeństwo? Ano, rodzice dzieci w niektórych szkołach podnoszą krzyk przeciwko sztuce Kushnera, oskarżając ją o „*treści pornograficzne*”. Czy przy takim wsteczniackim wrzasku można uprawiać bezpieczny seks? Zwłaszcza z dziećmi, co?...

Niebezpieczeństwo seksu z dziećmi jest oczywiste; w tej sferze mit o bezpiecznym seksie trafia kulą w płot. Można już szczeniaków publicznie obznajmiać z językiem erotyki, choćby w dziecięcym filmie (z „**Filmu o pszczołach**”: „- *Spotkałem kiedyś w Las Vegas taką cykadę... Jak ona potrafiła ścisnąć nogami!...*”), czy w książeczkach (reaktywowana Alicja z Krainy Czarów, która „*jest ciągle spragniona fiuta*”, więc „*ciągle ma obolałą cipkę*”, będąc już starą lesbą mówi do dziewczynki: „- *Kochanie, nim ja i Wendy zechcemy się ze*



sobą zabawić, ty mogłabyś opowiedzieć więcej o swoim pieprzeniu się na farmie”). Alan Moore i jego partnerka, Melinda Gebbie, coraz to drukują bestseller dla dziatwy (książkę lub komiks) pełen masturbacji, kazirodztwa, seksu analnego itp. W ich hicie „**Lost Girls**” (2007) młodziutka bohaterka, Wendy, dopada Piotrusia Pana, i to czule spotkanie z „*chłopcem, który nie chce dorosnąć*” zostawiają „*drżącą, rozmarzoną, umazaną spermą*”.

Chłopcy, którzy już dorośli, też nie muszą narzekać, zważywszy, iż regulacje prawne robią się coraz bardziej postępowe. Federalne Centrum Oświaty Zdrowotnej, niemiecka instytucja podległa Ministerstwu ds. Rodziny, wydało broszurę (2007) nakłaniającą ojców, by „*masowali organy seksualne*” córeczek: „*Ojcowie nie poświęcają lechtacze i waginie córki wystarczającej uwagi. Zbyt rzadko ich pieczyoty obejmują te rejony ciała. A tylko w ten sposób dziewczynki mogą rozwinąć poczucie dumy ze swej płci*”. Ten sam urząd wydał (2006) poradnik rozwoju seksualnego przedszkolaków, lansujący nauczanie dziatwy ruchów kopolacyjnych. I bardzo dobrze, tak trzymać! (za „*cipkę*” bachora, rzecz jasna).

Jeśli robi się już tak dobrze, to gdzie niebezpieczeństwo? Cóż, nie żyjemy jeszcze w społecznościach reedukowanych kompletnie, wszędzie więc może wyskoczyć jakiś czarnosecinny cham, który niekulturalnie rozedrze gębę przeciwko seksowi bezpiecznemu. Póki nie spacyfikujemy lub nie wyeliminujemy wszystkich ciemnogrodzkich buraków i oszołomów - mit bezpiecznego seksu zostanie dalej tylko mitem, właśnie przez to drące mordę ciemniactwo.

## **Part 2 - sztuka**

Analogicznie przedstawia się sytuacja na światowej estradzie seksu uprawianego przez współczesnych artystów ze sztuką. Niby wszystko jest w porządku - uprawiamy bezpieczny seks. Mamy przychylnych krytyków, recenzentów, komentatorów, historyków sztuki, którzy tłumaczą ludziom, żeby przestali być zacofani, to jest: żeby przestali do oceny dzieła sztuki angażować tradycyjny gust, tzw. „*dobry smak*”, itp. (Holger Liebs: „*Z bezgranicznymi odmianami sztuki współczesnej nie można się rozliczać wedle dawnych kryteriów, jak warsztat, klasa, poziom czy dobry smak*”, 2007). Mamy muzea i galerie (właściwie już wszystkie) otwarte dla sztuki awangardowej, vide Luwr, który w ra-

mach programu „*Carte blanche*” udostępnił swe sale (2008) modnemu performerowi, Jeanowi Fabre'owi, dzięki czemu jego twórczość (tzw. „*body art*”), pełna krwi, spermy, moczu oraz innych wydzielin, trafia do coraz szerszego publicznego kręgu. Możemy już wystawiać (z sukcesem) wszystko: nagość, seks na żywo, śmietnikowe odpadki, preparowane ludzkie zwłoki - wszystko jest sztuką, niech żyje awangarda! Simon Pope wystawił w Cardiff nicie, to jest gołe ściany muzeum, by zwiedzający, nie widząc żadnych dzieł, musieli uruchomić własną wyobraźnię (2006).



Awangardowa artystka reklamuje swoją twórczość przed wejściem do galerii sztuki

Szczytowym (chwilowo) osiągnięciem współczesnej sztuki awangardowej jest uruchamiająca nie tylko wzrok i wyobraźnię, lecz także węch oraz smak, sztuka skatologiczna. Jeszcze Piero Manzoni, kilkanaście lat temu, zamykał swoje kupy w puszkach artystycznych (osiągały wysokie ceny na aukcjach), lecz późniejsze i dzisiejsze „*fekalne orgie sztuki*” Ottona Muehla, Damiena Hirsta, Chrisa Ofiliego, Gerarda Gasiorowskiego, Franza Westa, Andresa Serrano czy Davida Nebredy - dają już pełnię ekskrementalnych doznań. To, co niegdyś Salvador Dali ledwie sugerował - dzisiaj trysnęło niczym ożywczy gejzer. Gejzer kału artystycznego.

Wszyscy (wyżej wzmiankowani) sławni artyści, a także setki ich naśladowców, przetwarzają kał jak tylko mogą - rozsmarowują go na płótnach, ścianach, podłogach, bryłach, stelażach i na samych sobie. Sztuka jest wielka, fekalia są absolutem, nasza będzie przyszłość! David Nebreda (2000):

- Jak wytłumaczyć doznania, które budzą we mnie moje odchody? Pierwotne było uczucie wdzięczności, później uczucie pełni, radość, czułość, miłość, erotyka. Brałem je, miętosilem, ugniatałem, lepiłem, smarowałem nimi twarz oraz ciało, wkładałem sobie do ust. Czysty seks!



Twarz w kale  
Davida Nebredy

I tu znowu to samo pytanie: jeśli jest już ze sztuką współczesną tak dobrze, to czemu wciąż jest tak źle? Czemu tylu ludzi odrzuca awangardę, nie tylko zresztą awangardę skatologów, ale i każdą inną? Odpowiedź (znowu ta sama): bo nie brakuje reakcjonistów, którzy mieszają ludziom w głowach, piętnując lub wyśmiewając nowoczesne demonstracje sztuki. Reakcjonizm ów przybiera różne formy. Czasami ma formę dość łagodną (jak konstatacja krytyka sztuki, Macieja Mazurka, że „*muzea sztuki nowoczesnej są nudne*”, 2008); innym razem - paskudną. Jak choćby złośliwa recenzja z filmu dokumentalnego o wielkim amerykańskim twórcy, Marku Rothko. Autor recenzji (Waldemar Łysiak) znęca się głównie nad narratorem, historykiem sztuki, profesorem Simonem Schamą (2007): „*Płótna zamalowane równo (gładko) jedną farbą - brązowe, lub bordowe, lub granatowe.*

*Czasami tnie tę jednolitą płaszczyznę poprzeczny pas lub pasek - to wszystko. Mógłby to samo zrobić każdy amator, gdyby mu dano farby i szeroki pędzel malarzy pokojowych, jakiego Rothko używał. Schama, stojąc bitą godzinę przed tymi płótnami dającymi, niczym ściana, jednobarwny kadr - wmawia nam, że to boska transcendencja, czołowe malarstwo XX wieku, szczyt geniuszu”.*

Najbardziej oburzające są duże publikacje - książki - które hamują rzeszom artystów możliwość uprawiania bezpiecznego seksu ze sztuką. Choćby nikczemna książka hiszpańskiego krytyka sztuki, Angela Gonzalesa Garcii, **„Jak malować, nie mając o tym pojęcia”**. Czy nie mniej wredna książka Francuza Jeana Claire'a, **„De Immundo”**, której autor, eksdyrektor Muzeum Picassa w Paryżu, twierdzi, iż wszyscy artyści uprawiający „*sztukę skatologiczną*” to wariaci, ludzie chorzy psychicznie, banda czubów. Albo książka krytyka amerykańskiego, Donalda Kuspita, **„Koniec sztuki”** (Damian Leszczyński: *„Kuspit nie odkrywa Ameryki, lecz powtarza to, co część znawców sztuki - w Polsce przede wszystkim Waldemar Łysiak - twierdzi od co najmniej półwiecza. Chodzi o to, że niemal cała sztuka współczesna, odrzucająca klasyczne kanony estetyki i wykorzystująca przede wszystkim siłę prowokacji, jest jednym wielkim hochsztaplerstwem, intelektualną i artystyczną bańką mydlaną, rozdmuchaną do granic możliwości przez gromadę usługowych krytyków”*, 2007).

A już szczególnie bolą zdrajcy we własnych szeregach. Król awangardowych grafficiarzy, Robin „Banksy” Gunningham z Bristolu, parsknął niedawno (2008) o własnej sztuce:

- To niesamowite, że wy, durnie, naprawdę kupujecie to gówno!

Summa summarum: bezpieczny seks ze sztuką wciąż jest tylko mitem. Ale nie wolno się poddawać - trzeba walczyć o lepszą przyszłość. Gumę włóż! Chwyć nóż!

### **Part 3 - literatura**

I to samo z literaturą. Ponieważ „*śpiewać każdy może*” - więc każdy, kto chce, uprawia seks z literaturą. Coraz rzadziej za pomocą pióra bądź maszyny do pisania, coraz częściej klawiaturą laptopa. Ta masowość przynosi duże kłopoty wszystkim, również ludziom światłym, prowokuje bowiem reakcjonistów do pisania złośliwych tekstów, nawet całych złośliwych książek, jak choćby **„Odczarowanie litera-**

ture” (2007) Francuza Richarda Milleta. Millet gdzie może, tam zrędzi; fragment wywiadu (2007):

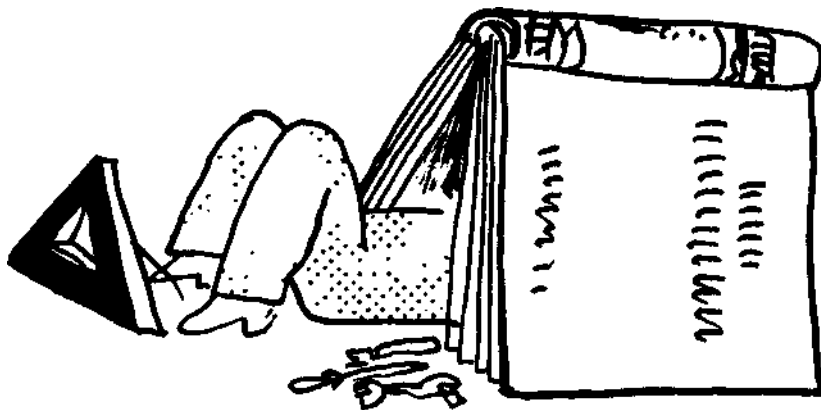
- Tylko jesienią wydano we Francji 727 powieści. To rekord. Pisarzem zostaje byle kto, zaniknęła hierarchia dobrych i złych pisarzy, więc to, co się ukazuje, nie ma już żadnych walorów. Dominuje nędzny kryminał, pierdoły a la Harry Potter, jakieś gówna dla kobiet udające powieści. Tak to z grubsza wygląda. Język francuski runął w błoto przez banalną stylistykę, rozchwianie składniowe i inne żenujące braki warsztatu.

Wtórjuje Milletowi inny nabzdyczony przeciwko postępowej literaturze Francuz, Jacques Seguela, spec od reklamy i PR (2007):

- Ach, ci wszyscy ludzie pozbawieni talentu! Nigdy byśmy o nich nie usłyszeli, gdyby ich nie lansowali ludzie pozbawieni smaku.

Mnożą się także paszkwile wymierzone przeciw postępowym krytykom i recenzentom („*pozbawieni smaku*”), nawet przeciwko tym literaturoznawcom, co głoszą chwałę geniuszów; rażący przykład to czepiaństwo wobec Michaiła Bułhakowa (autora „**Mistrza i Malgorzaty**”) - wielu oszołomów zwie go patalachem miast wirtuozem! Również w samej Rosji, by wymienić pisarza Wiktora Jerofiejewa, którego polski przyjaciel, Andrzej Drawicz, przeklął (zerwał stosunki), gdy Jerofiejew nasmarkał na Bułhakowa.

Mimo tak świątłych ludzi jak Drawicz, Michnik oraz ich koleżeństwo, Polska to - niestety - wciąż zacofana wiocha, pełna postępo -



fobów, którzy utrudniają bezpieczny seks z literaturą wielu twórcom o uznanej renomie. Ma to stare tradycje nad Wisłą. Pewnego razu aktor Roman Wilhelm, przysypiając (jako widz) na sztuce Tadeusza Kantora, mruknął do kolegi, Henryka Talara:

- Heniuś, nie sądzisz, że ktoś tu nas robi w konia, znaczy w bolo?... Zobacz gdzie jest wyjście.

Oburzające! Podobnie jak wszystkie te, dawne i świeże, złośliwości wobec kunsztu Czesława Miłosza. Jan Lechoń (też poeta) pisał o rymach Czesława: „*Jego poezja to psie gówno*”. Wiele lat później Agnieszka Osiecka (też poetka) napisała o nobliście w swoim dzienniku z przedostatniej dekady PRL - u: „*Miłosz jest dla mnie zupełnie już jałowy i nadęty jak balon. Zresztą nadęty był zawsze*”. Równie często, i równie niesprawiedliwie, flekowany bywa mistrz Witold Gombrowicz. Przykładają mu różni prawicowi komentatorzy (jak Andrzej Waśko), i nawet były kontrkulturowiec (czyli były nasz człowiek), neofita konserwatyzmu, Robert Tekieli, warczy (2007): „*Spadło ze mnie salonowe chomąto (...) Zobaczyłem, że ironiczna grafomania Gombrowicza jest po prostu śmieszna w swych filozoficznych pretensjach*”. Jak tak można?! Zwać mistrza grafomanem! Tych łajdaków niewątpliwie rozzuchwała dawna opinia hitlerowskiego kolaboranta, faszysty, ekstremisty, antykomunisty, wileńskiej glisty etc, niejakiego Józefa Mackiewicza, którego faszyści, rzecz oczywista, zwał wielkim patriotą i wielkim pisarzem. Ów typ beczelnie deptał gombrowiczowskie pisarstwo, bredząc w reakcyjnym amoku (1969):

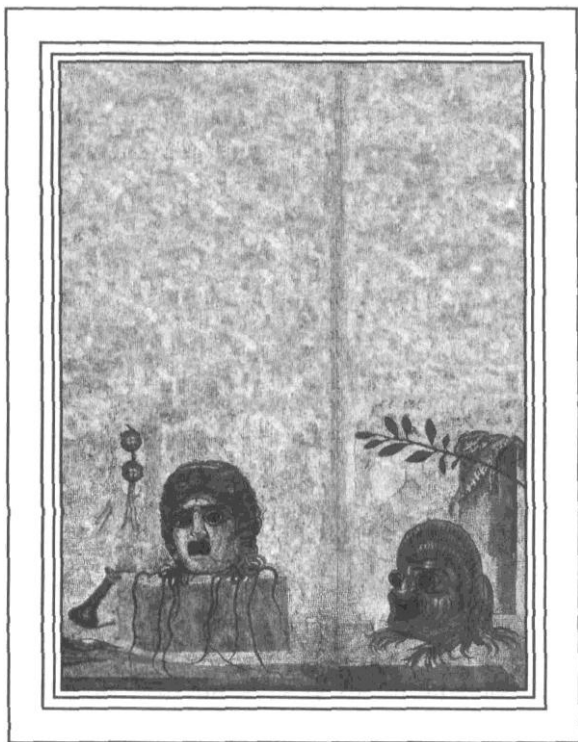
„*Tajemnica powodzenia Gombrowicza jest, moim zdaniem, dosyć prosta. Gombrowicz nie umiał pisać i nie miał nic do napisania. Zastosował więc chwyt, jakiego używają malarze, którzy nie umieją malować i nie mają nic do namalowania: ukrycie treści, a raczej jej braku, pod niezrozumiałą dla otoczenia formą. Czym mniej treści, tym bardziej niezrozumiała forma. Trzeba się tylko nie obawiać absurdu (...) Rzecz oczywista, że nie każdemu taki trik się udaje, lub udać może. Pomijając zakulisowe okoliczności, o których tu mówić nie będę, wymaga to swojego talentu...*”.

Jakie „zakulisowe okoliczności”? Pewnie mowa o nas - o Salonie! Są, niestety, tacy, którzy wciąż przeciw nam gęgają, kásając złośliwie nie tylko Witolda Gombrowicza, lecz i inne dawne mistrzowskie pióra. Przykładem wstecznik Grzegorz Eberhardt (2008): „*Lite-*

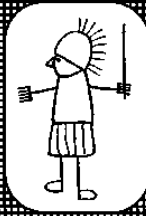
*ratura PRL - u! Te gierki, te układy, te żadności wykreowane na autorów szkolnych lektur!?”.*

Jeszcze gorzej mają nasi żywi, których na bieżąco (za życia) dotyka reakcyjna złośliwość. Starczy wymienić wielką trójcę współczesnej polskiej literatury postępowej: Pawła Huellego, Stefana Chwina i Olgę Tokarczuk. Jesienią 2007 „**Rzeczpospolita**” publikowała duży wywód o rzekomej nędzy polskiej tzw. „*literatury pięknej promowanej*” (lansowanej przez „**Gazetę Wyborczą**” i „**Politykę**”), a jako dowód wskazała regularnie nagradzaną twórczość Chwina, Huellego i Tokarczuk, twierdząc, że ci troje to grafomani produkujący kliniczne barachło. Układacz list bestsellerów, zwany „*michnikolizem*” socjolog Andrzej Rostocki, gdy już mu odradzono głosić, że Adam Michnik to literacki geniusz - zaczął głosić to samo o Jerzym Pilchu, lecz również te słuszne peany są złośliwie kontrowane (np. Rafał A. Ziemkiewicz zwie twórczość Pilcha „*postawangardowym badziewiem*” i „*biegunką słowną*”). „**Życie Warszawy**” (według reakcjonistów - swego czasu brzydko zaubeczone) lansowało (według reakcjonistów - bezwstydnie) twórczość Artura Górskiego (nie mylić z parlamentarzystą o tym samym nazwisku), co zostało wyszydzone jako idiotyzm przez tzw. „*prawicę antysalonową*”. Przykłady można mnożyć; wszystkie dowodzą jednego: nie ma lekko, seks z literaturą nie jest bezpieczny, nawet jako masturbacja.

W tej sytuacji bezpieczniejsze są już chyba nawet bąki puszczane publicznie. Dwa lata temu (2006) pewna francuska oficyna wydała reprint dzieła profesora Hurtauta z 1751 roku pt. „**Sztuka pierdzenia**” („**L'Art de peter**”). Pierre - Thomas - Nicolas Hurtaut, członek Bractwa Wolnych Pierdziuchów, był zwolennikiem swobodnego „*puszczania wiatrów*”. Głosił: „*Pierdząc sobie swobodnie, często i metodycznie, o każdej porze i w każdym miejscu, będę zwalczał przesąd, który tego zabrania*”. I tak właśnie trzeba robić, towarzysze - ze wszystkich sił należy zwalczać przesady reakcji, swobodnie produkując to, co umiemy wytwarzać najlepiej, dla dobra postępu!

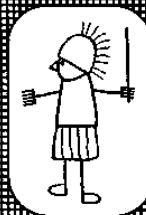






# ANEKS Z PRZEDRUKAMI

[artykuł, siedem felietonów z „Gazety  
Polskiej” i osiem felietonów  
z „Niezależnej Gazety  
Polskiej”]



# Odwet Salonu

czyli

„ręka,

noga,

mózg

na ścianie”

*„Po ludzku rzecz biorąc, nie ma nic gorszego niż tłumaczyć, że nie jest się wielbłądem. Kiedy stajemy wobec takiej konieczności, czujemy niesmak. Bo przecież tłumacząc się, niejako dajemy pozór zasadności zarzutu”.*

*Maciej Łętowski, 2006*

Kiedy Instytut Pamięci Narodowej przyznał mi kilka lat temu status „pokrzywdzonego”, mogłem wreszcie - zgodnie z prawem - zobaczyć swoją „teczkę” esbecką. Była, ku mojemu wielkiemu żalowi, mocno odchudzona na skutek diety, którą kiszczakowskie MSW stosowało selektywnie wobec swych akt (w latach 1989 - 1992) za pomocą niszczarek i płomieni, nie bez życzliwej tolerancji ze strony „naszego premiera”, jego ministrów tudzież całego Salonu. Ale i tak miałem więcej szczęścia niż liczne figury o znanych nazwiskach (Lech Kaczyński, Ryszard Bugaj i in.), które zobaczyły swoje „teczki” kompletnie puste. U mnie zachowało się przynajmniej trochę danych na temat inwigilacji Łysiaka - poligloty, konkretnie: parę materiałów „kartoteki” „*Kontakty z cudzoziemcami*”. Dzięki temu dowiedziałem się m.in., że moje lokum przy al. Stanów Zjednoczonych (gdzie mieszkałem kilkanaście lat, zanim wróciłem do rodzinnego domu na Starej Saskiej Kępie) było monitorowane z mieszczącego się vis - à - vis pawilonu, a główny agent rozpracowujący Łysiaka nosił pseudonim „Cedyk”,

co jest zniekształconą (przez błąd kopisty?, przez chęć uniknięcia zarzutu o antysemityzm?) formą żydowskiego terminu „*cadyk*” (hebrajskie: człowiek sprawiedliwy, człowiek święty). Dzisiaj główna centrala monitorująca działalność Łysiaka mieści się w redakcji „**Gazety Wyborczej**”, a głównym monitorującym jest tamtejszy cadyk, którego zresztą salonowiec Kazimierz Kutz nazwał niedawno „*polskim świętym*”, *expressis verbis*.

Z tym „*świętym*” oraz ze stworzonym przezeń mocarnym Salonem priwiślańskim toczą bezpardonową wojnę już całe siedemnaście lat. Kilkadziesiąt artykułów i felietonów, kilkanaście wywiadów, dziesięć książek publicystycznych - łącznie kilka tysięcy antimichnikowsko - antysalonowych stron. Jeżeli ktoś zrobił więcej dla demaskowania Michnika i dla negligowania łaďactw Salonu - proszę mi tego człowieka wskazać. Salon - prawem rewanzu - wojował ze mną na przemian dwiema metodami: okresowo zamilczaniem (czyli dyrektywą dla mediów: ni pół słowa a propos Łysiaka, nie ma takiego kogoś!), i okresowo dzią kanonadą pomówień plus epitetów. Jedna i druga metoda zawiodły: „*astronomiczne*” nakłady książek Łysiaka nie chciały spadać, tymczasem fałszywawy nimb Michnika i parszywy prestiż Salonu kruszyły się coraz bardziej.

Odkąd do władzy doszedł PiS, brudna wojna salonowców z anty - salonowcami przybrała formy swoiście konwulsyjne wskutek furii przegranych, tudzież ich strachu, bo zwycięstwo braci Kaczyńskich równało się *anihilacji* WSI, czyli ostatniego kagiebowskiego (ściślej: GRU - owskiego) bastionu, dzięki któremu różowo - czerwony Układ bezkarnie dotychczas żerował na III RP, traktując majątek państwa jak zbójcecki łup, demokrację jak knajpianą lafiryndę, a prawo jak piłeczkę cyrkowego żonglera. Stąd permanentne paroksyzmy polityczne (także sejmowe) minionych kilkunastu miesięcy - rozpaczliwa czkawka prób quasi - puczowych, mających wyhamować kataklizm, jakim jest dla Salonu *uzdrawienie* (dekomunizowanie, deagenturyzowanie i deróżowienie) państwa. W tej walce ostatnich dwóch lat słowo drukowane grało rolę ważną.

Dwa lata temu (ze schyłkiem roku 2004) wydałem książkę pod tytułem „**Salon - Rzeczpospolita kłamców**”. Znalazły się tam informacje bolesne (kompromitujące) dla Salonu i mordercze dla A. Michnika. Niewątpliwie Michnikowi podcięła nogi „*afery Rywina*”, lecz

i o moim „Salonie” mówiono, że był niczym osikowy kolek wbity przez Łysiaka w truchło wampira. Wtedy salonowa centrala („Gazeta Wyborcza”) nie reagowała, starali się książkę przemilczeć - zamilczeć na śmierć. Kiedy jednak po kilkunastu miesiącach sprzedano prawie ćwierć miliona egzemplarzy (dzięki czemu w medialnych rankingach za cały 2005 rok „Salon” zdeklasował wszelką konkurencję, polską i cudzoziemską) - uznali, że trzeba zmienić modus, bo tamta metoda jest mało skuteczna. „Salon 2 - Alfabet szulerów” (tom I - II, jesień 2006) potraktowano więc metodą ekstremalnie odmienną - dużym, gwałtownym atakiem na Łysiaka. Zaczekano do świąt Bożego Narodzenia (kiedy gazety rekordowo się sprzedają) i przywalono kolczastą maczugą, by wbić krwawe szczątki Łysiaka w glebę definitywnie. Odwet miał być śmiertelny dla „oszołoma”, którego niegdyś przezwano „publicznym wrogiem numer 1 Adama Michnika”, i który swym piórem tyle krwi napsuł Salonowi, odbierając tej łoży mnóstwo sympatyków.

Jako egzekutora wyznaczono (lub sam się zgłosił) obywatela Wojciecha Czuchnowskiego, etatowego funkcjonariusza „Gazety Wyborczej” (w kręgach pravicowych mówi się o nim „człowiek Michnika do brudnej roboty”; ma też środowiskową ksywkę „bokser”, bo lubi grozić pięściami swym polemistom w studiach radiowych i telewizyjnych). Przydano mu kilku pomagierów (lub sam ich sobie zwerbował) jako podpowiadaczy, kwerendzistów i sui generis konsultantów, robota bowiem miała być bardzo wszechstronna i wykonana perfekcyjnie. Dwaj spośród tych kooperantów odegrali role wiodące - jeden pismak (znany niegdyś dziennikarz, Stefan Bratkowski) i jeden anonim, którego figura przestała być dla mnie anonimowa nim dojechałem do połowy dwukolumnowego antyłysiakowego paszkwilu marki „GW”. Okazało się, że jest to historyk, który kiedyś przez nieomal dekadę był moim kumplem, i którego bezlitośnie pogoniłem przy końcu lat osiemdziesiątych, gdy wyszło na jaw, że tu i tam „chlapał” sekrety powierzone mu w zaufaniu. Teraz gadzina się zemściła, współprodukując salonowy odwet. Tożsamość nędznika zdradziło mi kilka zasugerowanych przezeń Czuchnowskiemu szczegółów, m.in. gadka o mojej publikacji podziemnej (wiedział tylko o tej jednej, dlatego tylko tę jedną wskazał, a Czuchnowski to kupił). Natomiast Stefan Bratkowski był moim sympatykiem w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, kiedy przedsta-

wiał się poufnie jako antykomunista, lecz w III RP przyłączył się do Salonu i stał zajadłym krytykiem prawicy tudzież konserwatyzmu; vulgo: rozdzieliła nas wojenna barykada. Dwa różne światy (światopoglądy), żadnej możliwości budowania kładki nad przepaścią.

Mam stuprocentową pewność, że obywatel - „GW” - Czuchnowski, przystępując do realizacji strategicznego zadania, sądził, iż pójdzie mu bardzo łatwo. Jeśli bowiem ktoś przeżył w PRL - u prawie pół wieku, i jeszcze działał publicznie - to właściwie nie ma takiej szansy, by coś brzydkiego (lub choćby brzydkawego) się do niego nie przylepiło, ergo: by nie można mu było wydlubać z życiorysu jakiegoś brudku, smrodku, czegoś mętnawego, czegokolwiek! Wiadomo, iż nawet te nieliczne ikony prawicy, które dzisiaj uchodzą za krystalicznych, cudem nieubabranych czyściochów epoki PRL - u, mają na swoim koncie różne wstydlive grzeszki, choćby drobne - jakieś nieciekawe znajomości czy chwilowe niefortunne przynależności (organizacyjne), jakieś uczestnictwa, apele (o pokój), marsze, talony, prorezimowe (na przykład rocznicowe) serwituciki piórem, itp. Musiał więc mieć również Łysiak! Znajdzie się to, wywali tłustym drukiem, zdemonizuje odpowiednim komentarzem, i będzie po Łysiaku, a guru „Adaś” pogłaszcze główkę egzekutora, da premię, może awansik? Tak więc, rozpierani optymistyczną nadzieją, redaktor Czuchnowski i jego sztab przystąpili do kwerendy tekstów Łysiaka i do precyzyjnej analizy życiorysu Łysiaka...

Nadzieja bywa mateczką nie tylko głupich, lecz i wrednych. Trafili, biedacy, w kosmiczną pustkę. Nul! O kolaboracji z peerelowskimi „służbami” czy o przynależności do PZPR raczej nie marzyli (to byłoby zbyt piękne!), ale żeby chociaż jakieś członkostwo w „przybudówkach” (SD, ZSL), jakaś paskudnawa organizacyjka (typu PRON), jakieś trefne stowarzyszonko (rodzaju TPPR lub ZP „Grunwald”), ba, jakieś chociażby jednorazowe uczestnictwo w prorezimowej imprezie (wiec, zjazd, konferencja). Tymczasem - nic! „Klient” nie był nawet - o dziwo - członkiem ZLP (Związku Literatów Polskich)! Ano nie byłem, mimo stałej silnej presji w tej sprawie ze strony Wydziału Kultury KC PZPR i towarzysza Putramenta osobiście. Tak więc pod względem aktywności organizacyjnej „klienta” egzekutorzy zanotowali fiasko - zupełny klops! Cóż tedy zostało? Pióro! Pisanina - pisząc tyle lat, musiał coś palnąć wazeliniarsko, choćby jeden razik. Prze-

ryli wszystkie teksty „klienta”, każde zdanie, i wreszcie... znaleźli ten jeden kompromitujący Łysiaka „*razik*”, plus dwa krótkie cytaty z Gierka. Uuuff!

Nim powiem cóż to był za „*razik*” i jakie to były cytaty, muszę wyznać, że czuję głęboką satysfakcję, iż znaleźli się w Salonie ludzie dobrej woli, którzy drobiazgowo, z linijką, przeczytali całą moją beletrystykę, eseistykę i publicystykę. Robiąc to, musieli zaznać wielu zdziwień. Nie mieli bowiem chyba pojęcia jak dużo antykomunistycznych i antysowieckich kopniaków udawało się sprawnemu pióru przepchnąć przez reżimową cenzurę, która się czasami zagapiała. Choćby fragment finałowego dialogu „**Kolebki**” o „*Polsce z pozorami wolności jeno*”, czy cytowanie takich słów cesarza Napoleona: „*Partia podtrzymywana bagnietami cudzoziemców zawsze jest bandą przegranych kryminalistów*”, czy mnóstwo anagramowego kontrbolszewizowania w „**Wyspach bezładnych**” (gdzie puszczono także cały antyrosyjski - metaforycznie antysowiecki - rozdział „**Notre Dame de Petersburg**”), itd., itp., aż po koronę tych gier, po prognozującą upadek ZSRR, aluzyjną (choć jasną dla każdego) frazę z „**Wysp Zaczarowanych**” (1974): „*Nie ma wiecznych imperiów, i nie trzeba tu prorocत्व - trzeba tylko cierpliwości (...) Naprawdę ten się śmieje, kto się ostatni śmieje (...) Wszystko to tylko problem czasu i umiejętności doczekania. Ludzie będą przez ten czas umierać, lecz narody nie. Cierpliwości - trawa z czasem zamienia się w mleko*”. Sześć lat później to samo antysowieckie proroctwo przemyciłem inną frazą („**Asfaltowy saloon**”): „*Nieunikniona zagłada - jak uczy nas pocieszycielka historia - grozi wszystkim imperiom*”. Całą książkę („**Lepszy**” 1990; termin „**Lepszy**” oznacza tam peerelowskiego cenzora) poświęciłem wspomnianiom tych moich długoletnich (i czasami wyrafinowanych semantycznie) bojów z reżimową cenzurą, dając bogaty rejestr „*fuksów*”, czyli sukcesów. „*Zadaniowany*” przez szefów Salonu obywatel - „**GW**” - Czuchnowski musiał mieć niejaki dyskomfort, kiedy to wszystko wertował i czytał.

Teraz już możemy spojrzeć na wspomniany „*razik*” i na dwa cytaciki z Gierka wydłubane przez ekipę „**GW**” jako łysiakowy „*crimen*”. Wszystkie tyczą... zabytków i architektury! Ponieważ obydwie moje dyplomy wyższych uczelni (politechniczny warszawski plus uniwersytecki rzymski), tudzież paryski UNESCO - wski, miały tematykę relikto-

wo - artystyczną (konserwacja zabytków i historia sztuki) - jako publicysta paralem się w PRL - u intensywnie ochroną zabytków (mój „**Raport o stanie zabytków**” został uznany przez Wolną Europę „*artykułem miesiąca na kraj*”), gromiąc katastrofalną niedbałość władz wobec substancji zabytkowej kraju. Podczas walki z lokalnymi partyjnymi kacykami - dla ratowania historycznej architektury dwukrotnie sugerowałem/groziłem, że uprawiają antyrządowy sabotaż, bo przecież Edward Gierek kazał s z a n o w a ć zabytki. Wytyka mi to teraz obywatel - „**GW**” - Czuchnowski, i dokłada kijem PKiN. Otóż (i to jest ów „*razik*”) Łysiak był wazeliniarzem, gdyż... chwalił architekturę warszawskiego Pałacu Kultury i Nauki! Tak jest - plując na mieszkaniowe budownictwo wielkopłytowe oświadczyłem, że przy tych „*betonowych budach dla ludzi*” gmach PKiN jest ciekawszy, a przy tym to ważny zabytek dokumentujący estetykę Socrealizmu, „*bezcenne żywe ś w i a d e c t w o budownictwa o funkcji polityczno - ideologicznej*”. Ani na jotę nie zmieniłem zdania do dziś (notabene wtedy - 1977 - gorąco wychwalał PKiN znany artysta, Franciszek Starowieyski, co było mi duchowym wsparciem).

Prócz PKiN - u wygrzebali jeszcze Mongolię (pół zdania!), uprzemysłowioną według Łysiaka przez Sowietów, ale czynienie mi zarzutu, iż skonstatowałem oczywisty fakt, nie nadaje się w ogóle do polemiki, tak samo jak kulistość Ziemi. Zatem wzięli ten PKiN (cieniutko!) i przywalili nim Łysiakowi, lecz mieli poczucie niespełnienia, bo przecież szukali choć jednej armaty dużo grubszej, a taka cienizna mogła nie ukontentować szefa żadnego krwi Łysiaka. Trzeba było coś wymyślić - więc wymyślili. Tarłem kwadratowe oczy widząc, że tą „*grubą rurą*”, z której mi przywalono, jest fakt, iż władze PRL - u zezwalały drukować moje książki, i to książki - jak z odrazą akcentuje obywatel - „**GW**” - Czuchnowski - „*po które czytelnicy ustawiali się w długich kolejkach, a na czarnym rynku sprzedawano je za kilkakrotnie wyższą cenę*”. Wniosek: Waldemar Łysiak był pieszczochem reżimu!

I tutaj powraca usalonowiony w III RP obywatel Stefan Bratkowski. Wtórjuje tym bredniom obywatela Czuchnowskiego, co jest o tyle komiczne, że ten sam Bratkowski ćwierć wieku temu hagiografował Łysiaka na lamach „**Kultury**” jako antyreżimowego outsidera, pisząc ezopowo (kontrcenzuralnie): „*Zjawisko - w pokoleniu uważanym za naj-*

*bardziej przyjemne, on lata!”,* tudzież jako swoistego Robin Hooda PRL - u, duchowego przywódcę gniewu trzydziestolatków („*może uosabia jakieś marzenia ich wszystkich?*”). Cóż, człowiek zmienia poglądy nie będąc krową: dzisiaj salonowiec Bratkowski usłużnie przytakuje michnikowskim egzekutorom, że tamten sławiony przezeń Robin Hood był, prawdę mówiąc, pupilem Szeryfa z Nottinghamu.

Trzeba mi teraz własną pięścią pokutną uderzyć własną pierś: obywatel - „**GW**” - Czuchnowski rzetelnie wyłuszczył wstydliwą antyłysiacką prawdę, istotnie bowiem wydawałem książki za czasów PRL - u. Hańba!! I nie wiem czy sensownym alibi może tu być fakt, iż miałem dobre towarzystwo, gdyż było więcej takich kolaborantów, na czele ze świętej pamięci Zbigniewem Herbertem, którego drukowano już w latach pięćdziesiątych (więc chyba był pupilem Gomulki), gdy mnie dopiero od 1974 roku (vulgo: za „*odwilży*” gierkowskiej).

A kiedy już przywołałem Herberta, nasuwa mi się ważna dygresja tycząca nuty wiodącej represyjnego tekstu w „**GW**”. Otóż leitmotiwem paszkwilu, który zmajstrował obywatel - „**GW**” - Czuchnowski, jest demitologizacja życiorysu Łysiaka, a zwłaszcza sfery „*kombatanckiej*” tego życiorysu, metodą pseudodowodzenia i sugerowania (głównie sugerowania, bo „dowodów” brak), iż Łysiak to mitoman, mistyfikikator, konfabulator, arcyblagier, baron Münchhausen RP. W tej dziedzinie - w dziedzinie urealniania (czytaj: uabsurdalniania) życiorysów sojusznikom i wrogom - „Gazeta Wyborcza” ma bezkonkurencyjną rutynę, prawdziwe arcymistrzostwo świata, że wspomnę (jako przykłady klasyczne) długoletniego konfidenta SB, Andrzeja Szczypiorskiego, którego michnikowcy latami kreowali na arcygeniusza literatury i na superautorytet moralny III RP, tudzież Zbigniewa Herberta, któremu (kiedy wystawił Michnikowi opinię króla oszustów, intrygantów i manipulatorów) zmajstrowali nowy życiorys kastetem, przyrównując do „*stevensonowskiego wampira Hyde'a*” (sic!) i do „*ludożerczego potwora Minotaura*” (sic!), a także diagnozując jako „*nałogowego alkoholika*” i „*klinicznego cyklofrenika*” czyli wariata (sic!).

Gdy wspominam wszystkie te epitety i te haniebne werdykty, którymi dyżurni szubrawcy z „Gazety Wyborczej” „odmitologizowali” życiorys Herberta - muszę przyznać, że obywatel - „**GW**” - Czuchnowski potraktował mnie łagodnie. Ba, nawet raz skomplementował! To tradycyjna metoda - już doktor Goebbels uczył, że w każdym kłam-



stwie musi tkwić ta odrobina prawdy, która uwiarygodnia kłamstwo. Czuchnowski przypomniał, że walczącemu z cenzurą Łysiakowi udało się „anagramowo” przemycić do pierwszoobiegowej książki tekst o dokonanej rękami Sowietów masakrze katyńskiej. Ten komplement miał zapewnić egzekutorowi wiarygodność jako człowiekowi prawdomórnemu, obiektywnemu, wyzbytemu uprzedzeń. Nie zapewnił, gdyż cała reszta odwetowego tekstu świątecznej „GW” to stek manipulacji, insynuacji, konfabulacji, przemilczeń, absurdów i kłamstw.

Przemilczenia są tam równie ciekawe jak oszustwa. W. Czuchnowski and co. doskonale znają mój „*kombatancki*” życiorys (dzięki memu pamiętnikowi, dzięki kilku wywiadom i dzięki artykułowi pt. „**Rage**”), mogliby więc „odmitologizowywać” (kwestionować, negować, dezawuować) to, co ja zawsze autoironicznie zwałem moją antyrezimową „*kowbojszczyzną*”. Choćby to, że Łysiak był codziennie obecnym na sali „*mężem zaufania*” przywódców KPN - u sądzonych w stanie wojennym przez Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego; że 3 maja 1982 przy pomocy młodych ludzi zbudował na Tamce barykadę (kontenery śmieciowe) i stoczył długą bitwę przeciw ZOMO; że konspirował również na Litwie, szmuglując tam (via jezioro Gaładuś) z miejscowymi dysydentami (Ramunas Verbickas) „*bibułę*” antysowiecką; że studenci Wydziału Architektury PW dwukrotnie groźbą strajku wymusili na władzach uczelni cofnięcie zwolnienia Łysiaka (szefa przedmiotu Historia Kultury i Cywilizacji) za demonstrowany podczas wykładów antykomunizm; itd., itp. - jest mnóstwo takich casusów. Czuchnowski jednak nie ośmielił się ich dotknąć. Dlaczego? Dlatego, że wspomniany historyk - podpowiadacz egzekutora (ta papla, która była kiedyś moim kolegą) znał na bieżąco większość owych zdarzeń (proces KPN - u, Tamka, próby wywalenia mnie z uczelni, itd.), ergo: wiedział, że to wszystko autentyki. No i było jasne, że w Polsce, Ameryce, Kanadzie, RPA i na Litwie żyje jeszcze zbyt dużo świadków tych historyjek, więc „demitologizacja” mogłaby się tu zakończyć kompromitacją michnikowskich egzekutorów.

Przemilczane zostało również wszystko, co mogłoby zdruzgotać drugą główną tezę paszkwilu - że Łysiak był przez komunę pieszczony. Obywatel - „GW” - Czuchnowski and co. przemilczeli więc, iż „klient” ma status „*pokrzywdzonego*”, który IPN daje tylko represjonowanym. Dlaczego przemilczeli? No bo są papiery IPN - u. Przemilczeli również

fakt (świetnie znany choćby Bratkowskiemu, który za komuny nie raz dyskutował o tym ze mną), że cała awangarda publicystycznych pretorianów reżimu (Górnicki, Koźniewski, Groński, Toeplitz, Roszko, Ludwik Stomma i inni) darła pasy z Łysiaka bezlitośnie. Dlaczego to zostało przemilczane? Bo w bibliotekach są zszywki wszystkich numerów tamtych gazet, więc wszystko to jest do sprawdzenia (prawie wszystko - nie zachowały się ujadania radiowe). Przemilczeli wreszcie dwa tzw. „zapisy” („*zapis encyklopedyczny*” i „*zapis profesorski*”), które Łysiaka dotyczyły. Wyraźnie mi na uczelni powiedziano, że wskutek „*postawy antysocjalistycznej*” nie mam co próbować starać się o profesurę, gdyż byłaby to strata czasu - jest szlaban! Identyczny szlaban miał najwybitniejszy polski historyk doby PRL - u, antykomunista Jerzy Łojek (pisał, że Łysiak również „*ma przeciwko sobie wszystkich ugodowców i lojalistów*”) - nie został profesorem nigdy. Od niego się dowiedziałem, że my dwaj jesteśmy gwiazdoramii listy „*zapisu encyklopedycznego*” - nie wolno umieszczać naszych biogramów w encyklopediach. Surrealistyczna rzeczywistość PRL - u wyglądała więc tak, iż najpoczytniejszy historyk i najpoczytniejszy pisarz nie istnieli w polskich encyklopediach aż do 1989 roku, czyli do upadku komuny. Jak na piesszczocha reżimu było to dziwne, arcydziwne, przyzna pan, obywatelu - „**GW**” - Czuchnowski?

Czego egzekutor nie przemilczał? Nie przemilczał zakazu wydawania książek Łysiaka (rok 1979), natomiast przemilczał główną przyczynę owej represji: aferę dyplomatyczną (jedyną taką między 1945 a 1989) na linii Moskwa - Warszawa. Książka Łysiaka „**Cesarski poker**” spowodowała formalną (nota dyplomatyczna!) furię Kremla. Tutaj również nic się „zdemitologizować” nie dało, bo mówiły o tym i pisały zachodnie media (Jerzy Łojek relacjonował tę aferę w radiu francuskim), gdyby zaś Czuchnowski and co. mieli kłopoty z językami obcymi, zawsze mogą wziąć ówczesną prasę polonijną, choćby nowojorski „**Nowy Dziennik**”, który pisał: „*Jest to pierwsza książka opublikowana przez państwowe wydawnictwo, przeciwko której ZSRR złożył oficjalny protest w polskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych, zarzucając jej antyrosyjskość, a także antyradzieckość zawartą w wyraźnych aluzjach do współczesności (...)* W następstwie radzieckiego protestu, a także artykułu w «**Nowych Drogach**» krytykującego książkę i autora - druk następnych książek Łysiaka został zablokowany”.

Autorem wymierzonego Łysiakowi kopniaka w „**Nowych Drogach**” był bonza Andrzej Werblan. Młodszym pokoleniom rodaków dzisiaj ten miesięcznik i to nazwisko nic nie mówią, co pozwoliło obywatelowi - „**GW**” - Czuchnowskiemu zbagatelizować (a właściwie wykipić) sprawę. Tymczasem „**Nowe Drogi**” były doktrynalnym organem Komitetu Centralnego PZPR, „pismem świętym” reżimu, zaś Andrzej Werblan był (z ramienia sprawującej totalitarną władzę partii komunistycznej) sui generis carem od ideologii (doktryny), kultury i medialnego pseudorynku. Obywatelu - „**GW**” - Czuchnowski - czy może pan wskazać drugiego (poza Łysiakiem) pisarza lub publicystę, wobec którego sam główny ideolog PZPR - u, sekretarz KC, wszechmocny towarzysz Andrzej Werblan, wysunął w „**Nowych Drogach**” sugestię, że nie trzeba przeznaczać papieru na jego książki?... Miałby pan duży kłopot ze wskazaniem (tego rodzaju sprawy załatwiano na trochę niższym szczeblu), ale nie ma pan żadnych kłopotów z robieniem sobie „*ja*”, bo tak kazał panu Michnik?

To samo dotyczy zakazu druku książek, wydanego w czerwcu roku 1979 (dwa dni po ataku Werblana!). Obywatel - „**GW**” - Czuchnowski robi tu sobie kpiny, lekceważy, bagatelizuje, nieomal sugeruje, że to jakaś półprawda. Kolejne pudło, albowiem tu również nie brakuje świadków - u r z ę d o w y c h świadków. Że mam szlaban na druk książek dowiedziałem się od szefa „Iskier”, redaktora Łukasza Szymańskiego. Zadzwoił i poinformował mnie, iż właśnie dostał pisemny prikaz Wydziału Kultury KC, by zdjąć z maszyn drukarskich książkę Łysiaka, więc chociaż ubolewa, ale musi to zrobić. Szlaban cofnięto półtora roku później (A.D. 1980), dzięki ofensywie „Solidarności”, która bardzo złagodziła wtedy presję cenzury (pamięta to każdy ówczesny człowiek pióra), a przy okazji wymieciono Werblana z Komitetu Centralnego. Lecz przecież nie „Solidarność” podejmowała decyzje urzędowe - zakaz został zdjęty decyzją tego samego organu, który go wprowadził (Wydziału Kultury KC), a przyczynił się do tego głównie „*liberalny komunista*” Tadeusz Kielan. Panowie Kielan i Szymański chętnie panu wyjaśnią wszelkie detale, obywatelu - „**GW**” - Czuchnowski.

Według egzekutorów z „**GW**” krótkość zakazu świadczy niezbitnie przeciwko... Łysiakowi (pytanie: ilu pisarzy miało zakaz druku książek w PRL - u chociażby przez miesiąc?), zresztą nie tylko ta krótkość. Obywatel - „**GW**” - Czuchnowski wytknął mi jako kolejny grzech śmiertel-

ny, iż kiedy KGB aresztowało mnie w Moskwie (1976), siedziałem na Łubiance krótko i wyszedłem stamtąd bez szwanku, to jest bez tortur i zerwanych paznokci. Czy kiedykolwiek twierdziłem coś innego? Całą tę sprawę opisałem detalicznie (i humorystycznie) na kilku stronach książki „**Lepszy**”, cytując również fragmenty przesłuchaniowych dialogów, więc obywatel - „**GW**” - Czuchnowski, „demitologizując” Łysiaka, robi tutaj ponownie idiotów z czytelników „**Gazety Wyborczej**”, normalnie im „*wciska kit*”.

Uważna lektura „**Lepszego**” kasuje też zarzut michnikowca, że mój udział w studenckim buncie roku 1968 to lipa, bo Łysiak nie należał do komitetu strajkowego swej uczelni. Skąd obywatel - „**GW**” - Czuchnowski posiadał tę cenną wiadomość? Ano z pierwszej ręki - od Włodzimierza Witaszewskiego, „*przywódcy protestu*”. W tamtym gorącym momencie dziejowym znajomy mojego Ojca (Jankes, pracownik ambasady USA) wyklarował mojemu Staremu, że „*Marzec*”, to wewnętrzna gra kilku ubeckich frakcji (moczarowcy, gomułkowcy et consortes), więc niech Łysiak junior lepiej się w to nie pakuje, a jeżeli już koniecznie chce, to niech nie przyłącza się do grupy Witaszewskiego, gdyż student Witaszewski jest synem generała Kazimierza Witaszewskiego !

I znów: dzisiejszym młodszym pokoleniom nazwisko Witaszewski nie mówi literalnie nic, ale w czasach Bieruta i Gomułki generał Witaszewski był figurą legendarną: jako stalinowski szef Głównego Zarządu Politycznego WP (później szef Wydziału Administracyjnego KC PZPR) cieszył się sławą bestialskiego upiora, którego specjalność stanowiło montowanie bojówek „*aktywu robotniczego*” dla krwawych rozpraw z wszelką „*kontrrewolucją*”. Zwano go powszechnie budzącym grozę mianem: „*generał - gazrurka*” (notabene - właśnie zorganizowany przez ubecję „*aktyw robotniczy*” rozpędził gazrurkami głośny studencki wiec na dziedzińcu warszawskiego uniwerku; własnoręcznie brałem w tym mordobiciu udział, choć nie po stronie „*aktywu*”, sorry, panie Czuchnowski). Nie twierdzą, że Witaszewski junior padł blisko jabłoni (tego nie wiem), lecz do strajku sygnowanego nazwiskiem Witaszewski wołałem się (zgodnie z radą mojego Ojca) nie przyłączać. Wyraźnie piszę w „**Lepszym**”, że buntowałem się wówczas „*wraz z moją paczką*”. Finałem była obrona gmachu Wydziału Elektroniki PW, czyli godzinna walka ze szturmującą falangą MO (którą

fotografowałem aż do momentu fizycznego starcia - dwie fotki umieściłem w „Lepszym”, jedną daję poniżej).



Poruszony wyżej problem - to problem chamskiego monopolu na kontrpeerelewską dysydenckość, który różowi przyznali sobie historiograficznie już w III RP. Szczytem i swoistym symbolem tego zawłaszczenia jest fałszywy mit pionierstwa vel prekursorstwa KOR - u (vide rozdział pt. „*Komandosi*” w „Salonie 2”). Nie było żadnych KPN - ów, ROPCiO, „Solidarności Walczącej” itp. - jedynie KOR! KOR - owcy posunęli swą bezczelność tak daleko, że wmówili zachodnim mediom oraz historykom, iż to KOR utworzył „Solidarność” (sic!). A Zachód (zachodni Salon) chętnie kupił tę brechtę naszego Salonu. Każda forma opozycji w PRL - u nielegitymizowana przez J. Kuronia i A. Michnika - nie ma prawa egzystencji na kartach rodzimej Historii. Obywatelu - „GW” - Czuchnowski - A.D. 1968 na mojej uczelni buntowała się nie tylko legalizowana podpisem dziekana grupa Witaszewskiego. Nie wstąpiłem do tej grupy, identycznie jak później nie próbowałem nawet wstępować do KOR - u, bo jego trockistowski matecznik bardzo mi śmierdział.

Ponieważ obywatel - „GW” - Czuchnowski miał przykazane tak zmasakrować Łysiaka „demitologizowaniem” jego życiorysu, żeby zostały

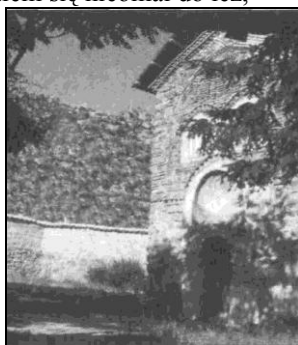
tylko „*ręka, noga, mózg na ścianie*” - nie mogło zabraknąć rytualnego bejsbola salonowców: antysemityzmu. Inaczej odwet byłby niekoszerny, czyli mniej skuteczny. Każdy, kto zna moją literaturę („**Wyspy bezludne**” z dużym fragmentem o Shoah; „**Najlepszego**”, gdzie jest rozprawa ze szmalcownikiem; „**Salon 2**”, gdzie są hasła „*Antysemityzm*” i „*Historia*”; etc.) - wie, iż zarzucać Łysiakowi antysemityzm można mniej więcej tak, jak zarzucać papieżowi satanizm, a wegetarianom kanibalizm. Jednakże to egzekutorowi nie przeszkadzało. Musząc wykonać zadanie - sięgnął po pułkownika Heldbauma, oberesbeka, który stanowi ważną figurę kilku moich antykomunistycznych powieści. Jest to persona cyniczna, przewrotna, bezwzględna, uprawiająca czasami werbalny antysemityzm - vulgo: chwilami odrażająca. Czuchnowski dokonał prostego zabiegu: utożsamił antysemityzm powieściowego szwarccharakteru z rzekomym rasizmem autora powieści. Zrobił to metodą tak nikczemną i tak głupią, że nawet Rafał Ziemkiewicz (piszę: nawet, bo ciepłe stosunki moje i Rafała zepsuły się minionego roku) przyłożył kundlowi Michnika w „**Rzeczypospolitej**”, piętnując cały ten antyłysiakowy odwet - paszkwil jako haniebną „*egzekucję dziennikarską*”.

„Mocną” częścią paszkwilu są lata osiemdziesiąte. Paszkwilant konstatuje nolens volens, iż po 13 grudnia 1981 Łysiak faktycznie zaprzestał uprawiania publicystyki aż do 1989 roku, lecz bezzwłocznie przypomina, że w tych samych latach osiemdziesiątych drukowano książki Łysiaka i telewizja nakręciła trzy spektakle (nieprawda - cztery, panie Czuchnowski!) według scenariuszy Łysiaka, choć aktorzy tamtej dekady bojkotowali TVP! Ciekawostka, bo ja pamiętam, że bojkotowali tylko w „*stanie wojennym*”, a te spektakle były kręcone wcześniej (1981) i później (1984, 1985), więc najlepsi polscy aktorzy ubiegali się o role w tych spektaklach (spektakle miały za temat Cosa Nostrę sycylijską, tak oczywiście podobną do gangu PZPR i do kolejnych rządów pupilów gen. Jaruzelskiego). Grała śmietana aktorskiego olimpu. Henryk Talar, Zbigniew Wardejn, Jerzy Zelnik, Włodzimierz Wysocki, Wieńczysław Gliński, Marek Walczewski, Piotr Fronczewski, Roman Kłosowski, Leon Niemczyk, Piotr Machalica, Krzysztof Majchrzak, Andrzej Szalawski, Bogusław Sochnacki, Marek Bargiełowski, Marek Kondrat, Emil Karewicz, Marcin Troński, Michał Pawlicki, Wiktor Zborowski, Andrzej Kopiczyński, Ryszard Barycz, i wielu, wie-

lu innych. Paszkwilantowi „*something pojebaloś'*„ w tej materii, a już szczytem bredni jest okłamywanie przezeń czytelników „**GW**”, że komuna, chcąc nagrodzić swego pieszczoła za jego wysługi (które Czuchnowski „udowodnił” socarchitektonicznym obiektem), nakręciła Łysiakowi film fabularny pt. „**Szachista**” (według powieści Łysiaka o tym samym tytule). Widocznie spaliła go tuż po nakręceniu, bo nikt nigdy tego filmu nie ujrzał.

Przy tak wielu kuriozalnych lub krętasko zmanipulowanych „zarzutach”, wypełniających szpalty antyłysiakowego paszkwilu, nie dziwiły mnie już nawet bzdury, które chyba tylko rozpaczliwy brak prawdziwej amunicji kazał Czuchnowskiemu pleść (na przykład, że spędziłem z kobietą noc w opuszczonej macedońskiej cerkwi! - i co z tego?!). Kilka razy uśmieiałem się nieomal do łez,

zwłaszcza czytając passus na temat heroizmu egzekutora. Obywatel - „**GW**” - Czuchnowski bowiem, pragnąc uwypuklić swą straceńczą brawurę, poinformował czytelników „**Wyborczej**”, że atakowanie Łysiaka z otwartą przyłbicą jest diabło niebezpieczne, gdyż „*Łysiak ma pieniądze i lubi się sądzić*” (sic!). Znaczący: Łysiak notorycznie i z lubością pozywa swoich przeciwników do trybunałów, wytaczając proces za procesem. Pieniacz! Mój trzydziestosześcioletni syn Tomek wybałuszył wzrok, czytając o moim pieniąctwie i parsknął:



To jest ta cerkiewka, barany! - Svety Nikola w macedońskim Prilepie

- Tato, przecież jedyny proces, jaki ty miałeś w życiu, to „**Proces**” Kafki!...

Fakt. Być może kiedyś życie zmusi mnie do wytoczenia komuś sprawy sądowej, lecz póki co - nigdy jeszcze tego nie zrobiłem, i nigdy nawet nie próbowałem zrobić. Ani razu w całym życiu! Tymczasem „**Gazeta Wyborcza**” ogłasza jako pewnik, że „*Łysiak ma pieniądze*”, więc „*lubi się sądzić*”. Obywatelu - „**GW**” - Michniku i obywatelu - „**GW**” - Czuchnowski - wskażcie choć jedną wytoczoną przeze mnie sprawę sądową, a ja wam oddam całe te pieniądze, plus wszystkie moje zasoby materialne, ręczę słowem honoru, który, w przeciwieństwie -

stwie do was, posiadam. Czyżby rzekomy „anonim”, którego „cytuje” tu faryzejsko egzekutor, pomylił Łysiaka z... Michnikiem??! (adwokat Michnika wytacza ludziom sprawy i ciągle grozi sądami krytykom swego pryncypała). Czy ja jestem podobny do Michnika z profilu? Lub może „*en face*”? I czy paszkwil pełen piramidalnych przekrętów staje się bardziej podobny do groteski, czy raczej do burleski, czy może tylko do farsy operetkowej?

A już nie żartując: cała ta heca to problem jednego słowa, które brzmi: prawda, plus problem jednej cechy, która się zwie prawdomównością. „**Gazeta Wyborcza**” od swych narodzin traktowała prawdę jako swego głównego wroga, dlatego kilkanaście lat temu przezwalałem tę gazetę Orwellowskim „*Ministerstwem Prawdy*”, a jej hasło reklamowe („*Niezależnie od pogody mamy własne zdanie*”) wydrwiłem parafrazując: „*Niezależnie od prawdy mamy własne zdanie*”. Ciekawe czy dziennikarz angażowany na etat do tego organu musi składać przysięgę, że będzie unikał prawdy, tępił prawdę, brzydził się prawdą? Czasami tak to u nich wygląda, jakby musieli kłamać, aby dobrze się czuć. Gdy swoimi metodami (kalumnie, insynuacje, wysysanie pseudofaktów z brudnych paluchów, fałszerska cytologia, manipulacje kontekstowe, itp.) obrabiają wrogów swego kamandira - nie chodzi im o żadną tam demaskację czy demitologizację, o żadne fakty (fakty to plastelina według nich), tylko o zgnojenie wroga każdą możliwą metodą, również nieetyczną. Credo: „*Cel uświęca środki!*”. Salon kosił tak swoich wrogów zawsze. Przykłady? Kąkolewski, Łojek, Narbutt, Herbert, Łysiak; ostatnio też świetny, bezkompromisowy, antylewicowy historyk, dr Piotr Gontarczyk, przeciw któremu „**GW**” urządziła dziką nagonkę, rojącą się od makabrycznych epitetów („*pęta*” etc. - sic!). Nie powinni się więc dziwić funkcjonariusze „**GW**” rzuconym już „*en passant*” (zwyczajowo) przez prawicę kontrmichnikowskim vel kontragorowskim frazom; cytuję z „**Najwyższego Czasu!**”: „*Piotr Stasiński, zastępca redaktora naczelnego «GW», jak zwykle skłamał*”. W tych dwóch wyrazach tkwi sedno: „*jak zwykle*”...

Egzekutor Czuchnowski kończy antyłyksiakowy paszkwil cytując pewien tekst o Łysiaku jako o sumieniu narodu, po czym zadaje cios wieńczący egzekucję: wyjawia czytelnikom „**GW**”, że ów reklamiariski tekst spreparował „*wydawca jego [Łysiaka] książek, Józef Dudkiewicz*”. Tak brzmią ostatnie słowa paszkwilu. Ani jedno z nich nie



jest prawdą. Józefa Dudkiewicza nigdy nie widziałem na oczy - nie znam. Nigdy też nie był ów człowiek moim wydawcą - nie miał nic wspólnego z wydaniem jakiegokolwiek mojej publikacji. To polonijny publicysta, który kilkakrotnie pisał o mnie w prasie amerykańskiej tudzież kanadyjskiej, i te artykuły (recenzje) są dostępne - każde słowo. Michnikowski egzekutor był więc konsekwentny - zaczął kłamstwem, przez dwie kolumny jechał manipulacją plus insynuacją, i zakończył kłamstwem, żeby ramy paszkwilu miały niezmienny kształt.

Owo zaczynające cały paszkwil kłamstwo, które „GW” wydrukowała dużą czcionką, w formie „leadu”, celowo przytaczam dopiero teraz, na końcu riposty; brzmi ono tak: „*Waldemar Łysiak uznał, że większość jego czytelników nie pamięta już kim był w PRL*”. Jest dokładnie na odwrót - moi Czytelnicy świetnie pamiętają, że w PRL - u Łysiak był człowiekiem, który nigdy, nigdzie i niczym, choćby jakimkolwiek drobiazgiem, nie dał tzw. „ciała” reżimowi. Nawet raz, wy hyeny paszkwilankie!

To wszystko. Wiem, iż miast całej tej kontrpaszkwilankiej riposty można było zacytować tylko zdanie wybitnego francuskiego filozofa, Alaina Besancona, który powiedział, że działalność Michnika „*budzi niesmak i usuwa w cień wszelką sprawiedliwość*”, oraz przytoczyć (który to już raz?) słowa wielkiego poety, Zbigniewa Herberta: „*Michnik jest manipulatorem. To jest człowiek zlej woli, kłamca, oszust intelektualny*”. Radzono mi, by tak zrobić. Zdecydowałem się jednak rozpisać, nie chcę bowiem, by moi Czytelnicy mieli podejrzenia wobec moich dawnych czynów, lub żeby uważali mnie za sądowego piniacza, itd., itp. A przegrywam i tak - nakład kalumnijnej „**Gazety Wyborczej**” jest kilkakrotnie wyższy niż nakład „GP”, więc dużo ludzi, którzy przeczytali kłamstwa obywatela - „GW” - Czuchnowskiego, nie zostanie wyprowadzonych z błędu.

Kilka stron przed antyłysiakovym paszkwilem widnieje w Bożonarodzeniowej „**Gazecie Wyborczej**” duży esej redaktora Adama Michnika. Jak zwykle misjonarski, quasi - ewangeliczny - o prawdzie, moralności, sprawiedliwości, itp.

„Gazeta Polska”, 17 - I - 2007

---

---

# FELIETONY

---

---

## Solidarnościowcy.pl

Wzruszenie człowieka ogarniało, gdy w 25 - lecie solidarnościowego buntu weterani „Solidarności” zwierali szeregi. SLD i SdPi na swych ulotkach i konwencjach przypominały gromko swe solidarnościowe korzenie, nie zapominając o swych 21 postulatach strajkowych. Marszałkowie Pastusiak i Cimoszewicz przewodniczyli ceremoniom parlamentarnym ku czci buntu. Prezydent Kwaśniewski wrócił rocznicowo do swej kolebki gdańskiej jako prymus Sierpnia. Ludzie z żelaza godnie uczcili swą heroiczną przeszłość. A że pokolenia winny o niej pamiętać wsięga - spłodziłem poemat heroiczny gwoli unieśmiertelnienia solidarnościowych herosów:

Jaruzel, generał w połowie sowiecki,  
Wymierzył Sowietom cios iście zdradziecki,  
Gdy wojsko swe cichcem przepisał do NATO  
(Pułkownik Kukliński dziękował mu za to).

Rebelia narodu byłaby złamana  
Bez tajnej drukarni Jerzego Urbana,  
Gdzie tłoczył on mały swój organ podziemny  
I lał na tyranów sprzeciwem codziennym.

By targać bibułę, wziął sobie współnika:  
Kolportaż był dziełem Krzysztofa Janika.  
A Janik miał setkę kurierów bez mała;  
Ten sprzeciw - to „*Nie!*” - cała Polska czytała.

Historyk Tom Nałęcz przez całą historię  
Lansował swą antyczerwoną teorię,  
Iż trzeba spiskować rękami oboma,  
Ażeby powstała chata wuja Toma.

Herkules oporu, wuj Mietek Rakowski,  
Przedreptał kraj cały, od wioski do wioski,  
Tłumacząc, że władzę komunie się wydrze,  
Gdy łeb się jej urwie partyjny - jak Hydrze.

Wuj Jerzy Szmajdzinski, nasz człowiek z marmuru,  
Legenda podziemia, Spartakus i guru,  
Nic ino strajkował, i ciągiem się stawiał  
U wrót politbiura - ojczyznę naprawiał.

Wuj Marek Borowski, swym sercem i duszą  
Zaprażył przełamać opresję komuszą:  
Borował komunę jak świder lub kornik,  
Aż całkiem rozdłubał jej trzon tudzież wspornik.

Wuj Olo Kwaśniewski przez plot Stoczni Gdańskiej  
Szybował z fantazją brygady ułańskiej,  
I tak się w swej walce o wolność zapienił,  
Że doznał kontuzji obydwu gołeni.

Za byt suwerenny, za „*freedom*” dla Polski,  
Nadstawiał swą głowę towarzyszy Nikolski,  
Bo wiedział, że partia to wstyd jest i marność,  
A prawa człowieka to grunt - Solidarność!

Wuj Włodek, duch puszczy, jak Robin Hood walczył,  
Partyzant (ten z lasu, co całkiem się sfajczył),  
Pseudonim „*Cimoszka*” - gdy brakło żołnierzy,  
Zubrami wyzwolił aż pół Białowieży.

Zaś mać Jakubowska, do spółki z Dyduchem,  
Waliła komunę przez czerep obuchem,  
By mury runęły i pękły okowy,  
I żeby się krzepił nasz duch wolnościowy.

Pastusiak, ten „*karzeł reakcji zapluty*”,  
Wallenrod, co partii swej chytrze szył buty,  
Dwa lewe jej uszył, więc tocząc bój w hucie,  
Potknęła się, chociaż wciąż trwała w swej bucie.

Wuj Józef Oleksy szpiegował „*Olina*”,  
By móc zdemaskować i sprać sukinsyna  
Za wszystkie kremłowskie kajdany i knuty;  
Ten Józek to również był „*karzeł zapluty*”.

Wuj Florian Siwicki, minister obrony,  
Pomstował, że orzeł nie nosi korony,  
A gdy miał już dosyć tej pticy znad Wołgi,  
Przeciwko komunie skierował swe czołgi.

I „*Lechu!*” wołali do Leszka Millera  
Patrioci, gdy brała ich ciężka cholera,  
Że wciąż rządzi krajem czerwona hołota;  
Czas, aby nasz „*Lechu*” popędził jej kota!

Kiszczaka Czesława te chamy trzymały  
W karcerze, gdzie liżał swe sińce od pały,  
Bo to był czas walki, każdemu wiadomo,  
Że Czesio szarżował z gazurką na ZOMO.

James Bond Siemiątkowski, też „*człowiek honoru*”,  
Obalał specslużby - filary terroru.  
Ów terror bezpieczeństwa był źródłem frustracji,  
Więc wuję tęskniły do specdemokracji.

Specdemokrację służb mamy już od lat piętnastu - wywalczyli ją rycerze, których czołówkę apologetyzuje mój heroiczny poemat. Proszę ten poemat wykuć, by każdy mógł recytować go z pamięci jak „*Litwo, ojczyzno moja*”, i proszę uczynić go lekturą szkolną obowiązkową, zwłaszcza że jest to rym częstochowski, ergo: święty. I kategorycznie zabraniam dezawuować weteranów czynu wolnościowego bezczelnymi kpinami, sugerującymi ich rzekomą dwulicowość, jak to ostatnio zrobiła „**Rzeczpospolita**”, pisząc niekulturalnie o profesorze Tomaszu Nałęczu: „*Jeszcze nikt nigdy w tak uroczy sposób nie robił sobie z własnej twarzy zupełnie innej części ciała*”.

PS. Tyczący III RP termin *s p e c d e m o k r a c j a* objęty jest copyrightem: © by Waldemar Łysiak 2005.

„**Gazeta Polska**”, 7 - IX - 2005

# Fałszerz zapisywacz

Najdramatyczniejsza noc III Rzeczypospolitej: prawicowy rząd Jana Olszewskiego chce wyczyścić świat polityki z psów bezpieczeństwa. Panika sejmowa, którą rejestrują kamery i mikrofony. Wśród spanikowanych również miody dziennikarz. Krzyczy do przechodzącego Lecha Wałęsy: „- *Niech pan nas ratuje, panie prezydencie!*” (Wałęsa posłucha - tej samej nocy quasi - puczem obali patriotyczny rząd). „*Nas*”, czyli kogo? „*Nas*”, czyli TW („*tajnych współpracowników*”), bądź „*nas*”, czyli rodaków przerażonych deagenturyzacyjną dekomunizacją, którą chcą zrobić okrutni antykomuniści? Tertium non datur. Jaki z tych wariantów pan postulował, redaktorze?...

Pytanie kieruję do redaktorzyny, któremu dałem klapsa w „**GP**”, a on zemścił się w agorowskim radiu TOK - FM, bluzgając przeciw Łysiakowi kilka purnonsensowych kłamstw. Co było rzeczą całkiem naturalną, bo raz, że TOK - FM ma u antysalonowców opinię najbardziej załganego radia RP, a dwa, że patentowany kłamczuch, jak sama nazwa wskazuje, jest regularnym wrogiem prawdy. Ów oszczerca to polsatowski Lis, „*redaktor o chytrym nazwisku*”, jak go wzgardliwie przezwał w swym felietonie „**Telerancja**” wybitny publicysta - satyryk, Jan Tadeusz Stanisławski (głośny „*profesor mniemanologii stosowanej*”). Dziennikarze telewizyjni, którzy współpracowali z Lisem, przezywają go po cichu inaczej, ksywką równie wzgardliwą co obsceniczną. Nie przez jego prosalonowość czy polityczną orientację, lecz przez chamski styl bycia, pseudokindersztubę, tudzież drastycznie odmienny stosunek do pryncypałów i do podwładnych - taki jest pono dwoiście sympatyczny chłopak z redaktora Lisa.

Redaktor Lis, ku mojemu osłupieniu, lecz i rozbawieniu, zagrział ślinoTOK - iem iście munchhausenowskim, sycząc: „- *Ten poputecznik komunizmu, towarzyszu Łysiak!*”. Że co, proszę????! A dlaczego nie masochizmu, maoizmu, polpotyzmu, peronizmu, sodomizmu, hitleryzmu, transwestytyzmu, kanibalizmu, alterglobalizmu itp.? - byłoby równie kłamliwie i równie głupio, ale przynajmniej bardziej wesoło. To tak już można w Salonie? - wilka mienić owcą, ptaka zwać rybą, chłopca dziewczyną, Żyda gojem, i na odwrót? Rosyjskie słowo „*poputecznik*” znaczy: okazjonalny sprzymierzeniec, współpracownik

w dziele lub współtowarzysz w podróży. Za cholerę nie pamiętam, żeby mi jakiś komunista współtowarzyszył kiedy podpalałem moją saskołępską „budę” podczas uroczystej akademii ku czci tzw. Rewolucji Październikowej. Wspólne sprawy z komunistami miałem dopiero w bardziej męskich latach, na przykład razem tworzyliśmy literaturę: ja pisałem, oni cenzurowali tudzież co jakiś czas zakazywali mi druku, i tak to wesoło szło ku chwale ojczyzny oraz sztuki. Bardzo mnie kochali, sam główny ideolog partii, sekretarz Komitetu Centralnego, Andrzej Werblan, uhonorował Łysiaka swoim piórem w miesięczniku „**Nowe Drogi**” (doktrynalnym organie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej), żądając, by zrobiono ze mną porządek, czym sprawił mi wielką radochę, bo jak mówią imperialiści hollywoodzcy: *„Źle czy dobrze, byle po nazwisku”*. Po nazwisku to i sam Kreml uhonorował reakcjonistę Łysiaka, składając przeciwko książce tegoż protest dyplomatyczny, jedyny taki za czasów PRL - u - Bóg mi świadkiem, było wesoło! Weseliłem się też na ławie sądowej Warszawskiego Okręgu Wojskowego, gdy trwał „*stan wojenny*”, plus w rozlicznych innych miejscach tudzież okolicznościach. Jako - rzecz prosta - „*poputczyk komunizmu*”, panie Lis! Razem z kardynałem Ratzingerem, który był wtedy agentem Mossadu, i z „*preziem*” Reaganem, który wtedy robił cichcem dla genska Pol Pota, i z premier Małgosią Thatcher, która tańczyła nam wokół rury w barze nocnym prowadzonym przez Fidela Castro w Pernambuco. Lisek z Polsatu, tokując w TOK - u niczym porąbany, marnuje się jako szkalujący psychol. Większą karierę zrobiłby w radiu Erewan, gdzie ponad wszystko ceniono humor surrealistyczny bliski paranoi.

Koniec żartów. Wbrew pozorom - nie ruszam tej sprawy gwoli tylko obrony własnej czci, lecz dlatego, że ma ona dużo szerszy i bardzo groźny aspekt. Lis jest symbolem tego młodego pokolenia dziennikarskich pupilów Salonu III Rzeczypospolitej, które agresywną żurnalistykę i telerobotki uprawia myśląc wolność słowa z brakiem hamulców. Z tym brakiem hamulców, przed którym - co Salon winien wiedzieć lepiej niż ktokolwiek inny - przestrzega „**Talmud**”, mówiąc: *„Albowiem powiedziano: «Będziesz stronił od kłamstwa». I powiedziano: «Nie będziesz rozgłaszał fałszywych wieści» (...) Ten, który obmawia, który świadczy fałszywie przeciwko drugiemu, godzin jest, aby go rzucić psom na pożarcie”*. Wśród „*fałszywych świadectw*” miota-

nych w ramach walki politycznej najobrzydliwszym chwytem jest „zapisywanie do partii” (lub do sympatyków partii) wbrew woli zapisywanego. Czymże innym, jak nie zapisaniem antykomunisty Łysiaka do nieboszczki PZPR bądź do sympatyków PZPR, jest określenie: „towarzysz Łysiak, poputczyk komunizmu”? Dziwnie zatwardziały „poputczyk”, bo mimo wieloletniej presji Wydziału Kultury KC PZPR nie dał się zapisać nawet do reżimowego ZLP (Związku Literatów Polskich). „Redaktor o chytrym nazwisku” wiedział jednak, że terminem „towarzysz” (automatycznie kojarzącym się z członkostwem partyjnym) da się okłamać młodych, niedoświadczonych słuchaczy TOK - FM - da się wmówić im, że Łysiak był członkiem PZPR - u. Tacy zapisywacze do partii istotnie warci są rzucenia psom.

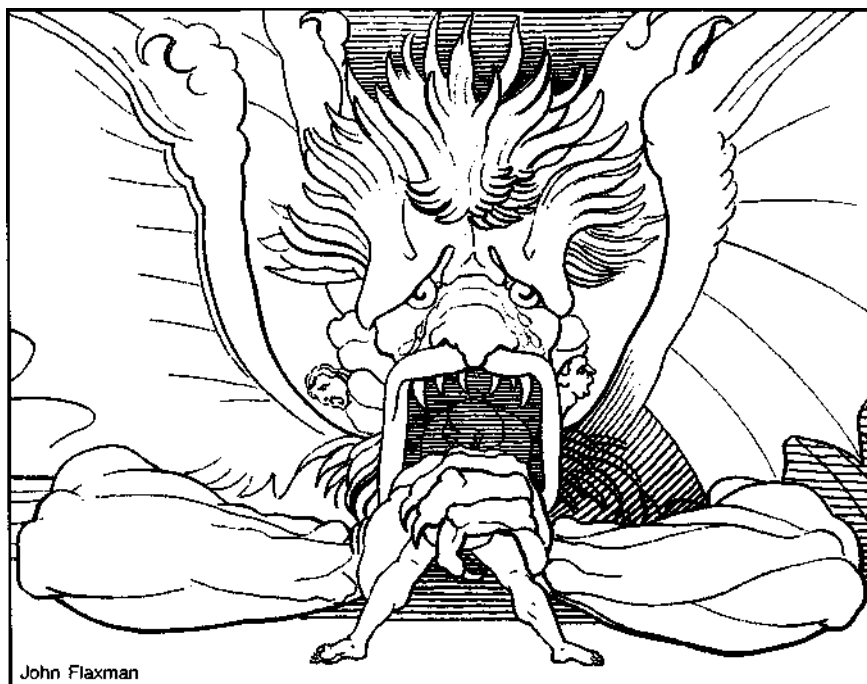
Ten szczególnie haniebnym model pomówienia (o rzekomą dawną działalność) wykorzystano już swego czasu przeciwko genialnemu poecie, Zbigniewowi Herbertowi, gdy wszczął wojnę z Salonem i gdy określił Michnika takimi słowami (które zresztą do Lisa również jak ułał pasują): „*To jest człowiek ziej woli, kłamca, oszust*”. Ktoś puścił plotkę, że Herbert prostytuował się w młodości prostalinowskimi wierszami, jak Szymborska. Media zaczęły napomykać o tym (ja przeczytałem to w tekście K. Pisiewicza, który sflekował Mrożka, Różewicza, Lema, Konwickiego i innych kundlących się za stalinizmu, dodając: „*Przykro się o tym mówi, ale i Herbert napisał kilka wierszy, których dziś bardzo się wstydzi czy wręcz zapiera*”). Dowodem miał być almanach poetycki „**Każdej chwili wybierać muszę**” z 1954 roku. Bezwzględnie sprawdziłem, i co się okazało? W pomówieniu nie było ani grama prawdy! Herbert (tak jak i ja) nigdy, ani jedną sylabą, nie pokłonił się czerwonym.

Groźba, o której wspomniałem, to fakt, że ludzie mojego pokolenia umrą dużo wcześniej niż ludzie pokolenia Lisa, i wtedy Lis - ugwiazdowana szumowina medialna Salonu, która jest żywym dowodem na to, jakiego dna etycznego może sięgnąć człowiek uprawiający profesję dziennikarza - będzie swobodnie zapisywał trupy do którejkolwiek partii, choćby do NSDAP, by moje wnuki czytały lub słuchały o dziadku kłamstwa typu: „*Parteigenosse Łysiak*”.

„Gazeta Polska”, 11 - I - 2006

# Władza zjada

Największym niebezpieczeństwem dla władających Bliźniaków nie był żaden diamdziolący Tusk, mentoryzujący Rokita, czy wierzgający we wspólnej stajni Lepper, tylko coś zupełnie innego. Władza, którą zdobyli, a konkretnie jej natura. Władza bowiem zjada tych, którzy ją sprawują - jej tryby to jej zęby. Siekacze (kompromisy nie do uniknięcia), trzonowce (mury, których nie przebijesz głową), itp. Plus własne słabości różnego rodzaju. Póki się nie było na samym wierzchołku, w świetle wszystkich reflektorów - można było niejedną taką skazę maskować. Rezydując na tronie, jest się dużo bardziej gołym. Nawet kiepskie garnitury, niechlujna polszczyzna (wszystkie te om zamiast a) czy brak angielszczyzny, kołą oczy i uszy elit, zaś wyrzucanie na śmietnik „*kielbasy wyborczej*”, komiczne fałszowanie melodii hymnu i niezbyt jasne tasowanie oraz rozdawanie kart - kołą nerwy prostego ludu.





Bilans prawie rocznych rządów braci Kaczyńskich daje się określić dzięki zapożyczeniu tytułu hollywoodzkiego gniotą: „**Suma wszystkich strachów**”. Do walki o władzę szli ze sztandarami krytyki wszystkich patologii nękających III Rzeczpospolitą: brak dekomunizacji, brak solidnej lustracji, brak mieszkań, korupcja, przestępczość, niesprawiedliwość, nieefektywność, bizantyzm administracyjny, czyli zbyt drogie biurokratyczne państwo, zbyt bandycko - bezczelne polskie GRU (WSI), et cetera. Trochę tego, co mieli zrobić, rozpoczęli ze skutkiem (exem - plum masakra WSI), trochę z widokami na sukces (exemplum Centralne Biuro Antykorupcyjne), trochę z bezsensownym niechlujstwem (exemplum ustawa lustracyjna, której projekt spartaczono wbrew mądrym żądaniom korekcyjnym starszych członków Senatu) i trochę z kompletnym fiaskiem (exemplum całkowicie zarzucone „*potanie państwa*”). Nie jest to bilans imponujący.

Wśród grzechów i błędów najjaskrawiej świecą te, które są efektami wpadania we własne sidła. Sidła koalicyjne (niemożność rządzenia bez półlojalnych sojuszników) i sidła wewnątrzpartyjne PiS - u. Przykładem owo sztandarowe „*tanie państwo*”. Miało potanieć dzięki likwidacji rozlicznych agencji okołorządowych tudzież innych pasożytniczych struktur biurokratycznych, lecz kiedy tylko dorwali się do stołków w tych instytucjach „*nasi chłopcy*” - wszystkie te megapijawki instytucjonalne stały się absolutnie niezbędne i przestano głądzić o ich kasowaniu. Podobnie z projektem ustawy lustracyjnej: przestała się podobać jej dyrygentom, gdy tylko zagroziła „*naszej kochanej Zycie*”. Co śmierdzi faryzeizmem w stylu Salonu, budząc frustrację PiS - owskiego elektoratu, bo ten głosował na etykę bezkompromisową. Relatywizm miał być atrybutem wrogów, a tymczasem życie pokazuje, że „*nic co ludzkie nie jest nam obce*”...

Lepiej byłoby, gdyby PiS - owi nie były obce najlepsze cudzoziemskie wzory. Choćby kanadyjski model „*taniego państwa*”. Prawicowe władze Kanady dotrzymały słowa danego wyborcom: w latach 90 - ych Ottawa żelazną miotłą wygruziła wszystkie rządowe agencje i przedsiębiorstwa, likwidując także 9 spośród 32 ministerstw, co dało schudnięcie „*aparatu*” o 60 tys. posad (17%) i radykalnie poprawiło budżet. Z kolei wzorem lustracyjnym może być ustawa niemiecka, która nie miesza w jednym worku ludzi brudnych, półczystych i czystych (vide kretyński PiS - owski system OZI), nie umożliwia publice dostę-

pu pod każdą kłodrę, et cetera. Reguła Kalego (jak przeciwnik polityczny lub typ bezużyteczny robił źle, to mu pryncypialnie dokopujemy, a jak Zyta robiła źle, to mącimy wodę bądź kamuflujemy) - stanowi obrazę przyzwoitości, panowie!

Alibi dla Bliźniaków, owszem, jest: biorąc władzę, pełni idealistycznego entuzjazmu, zderzyli się z morderczą rzeczywistością typu „*life is brutal*” czyli „*życie to nie je bajka*”. Lecz winni mieć tego świadomość, nikt im nie obiecywał rajskiego władania typu „*muzyka lekka, łatwa i przyjemna*”. Człowiek inteligentny, gdy chwyta ster rządów, słyszy złośliwy szept fortuny: „*Wszystko co od tej chwili powiesz i zrobisz będzie wykorzystane przeciwko tobie!*”. Opozycja i krwiożercze media nie biorą urlopu. Słowem: rządzący polityk nigdy nie bywa prorokiem we własnym kraju. Nie powinien też oczekiwać róż od cudzoziemców...

Za granicą harówka pt. reprezentowanie ojczyzny stanowi orkę trudniejszą niż się Bliźniakom wydawało i przynosi im moc stresów. Prawdziwa „*droga przez mękę*”. Że trzeba będzie wszędzie (w Nowym Jorku, Teł Awiwie itd.) bez przerwy całować Żydów po rękach, przepraszając za rzekomy antysemityzm, za bycie Polakiem i w ogóle za to, że się żyje - to być może przewidzieli, więc wypełniają ten obowiązek rutynowo, mus to mus. Ale że trzeba będzie co i rusz tłumaczyć się w Brukseli i w innych salonowych stolicach, że nie zamierzamy gazować pederastów, mnożyć wypędzonych, palić Kremla i Bundestagu, dziurawić bałtyckiego rurociągu, itp. - to niespodzianka. Garnitury dyplomacji sarmackiej mają już permanentnie krój wora pokutnego, z otworami na plecach, żeby nawet rodacy (byli ministrowie RP) mogli łatwiej wsadzać nóż. Bliźniacy upiekl sobie cholernie ciężki kawałek chleba przejmując władzę z zacięciem idealistycznym.

A tam, gdzie notują sukcesy, brakuje przykładni. Dobre wyniki makroekonomiczne nie chcą się przełożyć na stopę życiową społeczeństwa (bezrobocie wskaźnikowo maleje, a pensje stoją w miejscu i „*wielka emigracja*” liczbowo rośnie). Doskonale kontrmafijne osiągnięcia resortu ministra Ziobry nie skutkują bezpieczeństwem ulicznym i spadkiem liczby „*włamów*”. Energię intencyjną tłamsi dżuma indolencyjna, choroba chroniczna - rodzima impotencja. To nie Amerykanie wykiwali nas na offsecie związanym z zakupem F - 16, tylko nasza pasywność wykastrowała cały ów program, i to nie Unia skąpi nam grosza

na autostrady czy oczyszczalnie, tylko my kompletnie nie umiemy wykorzystywać unijnych funduszy pomocowych (przez własne słabości wykorzystujemy zaledwie kilka procent!). Lista takich fuszerek jest bezbrzeżna.

Porzekadło - przekleństwo mówi: „*Obyś cudze dzieci uczył!*”. Bliźniaków dopadła inna klątwa polska: obyś rządził!

„Gazeta Polska”, 4 - X - 2006

## Sturm und Drang (poradnik)

Minionego roku liczni dygnitarze LPR musieli się rozpaczliwie tłumaczyć, gdyż media ujawniały fotki, na których pechowi członkowie Młodzieży Wszechpolskiej i partii ministra Romana Giertycha wyciągają ramiona w hitlerowskim pozdrowieniu. Tłumaczeniem standardowym, które przeszło już do historii i legendy rodzimych sofizmatów, stała się deklaracja, że tym gestem neoendecy aktywiści zamawiają piwo. Ponieważ jednak tłumaczenie to zostało obśmiane, i zbyt szybko zużyło, no i nie wszędzie można piweńko zamówić (w lesie czy w szczerym polu nie bardzo) - konieczne są inne alibi, bardziej racjonalne. Niżej podsuwam (darmowo) kilka alternatywnych wariantów:

**Alibi gastronomiczne.** Zamawialiśmy wyciągniętą ręką i rozprostowaną dłonią karpia po żydowsku, ewentualnie czulent. Gdy dziennikarz, któremu ten fakt klarujemy, robi kwadratowe oczy, tłumaczymy mu, że czulent to zapiekanka szabasowa, a później recytujemy przepis (mięso wołowe, ziemniaki, fasola, kasza perłowa itd.), co już zupełnie ogłupia rozmówcę i gość daje za wygraną.

**Alibi posturowe.** Chodzi o posturę wymarzoną, taką, którą lubi płeć piękna. Nawiązujemy tu do sławnego filmu „**Być jak John Malkovich**”, tłumacząc, iż tym gestem pokazujemy, że chcielibyśmy być jak Roman Giertych, to jest mieć ten sam imponujący wzrost. Przed mikrofonem lub kamerą filmową moglibyśmy to wyrazić werbalnie, mówiąc: „- *Chciałbym być taki wysoki jak Roman Giertych*”, lecz kiedy pozujemy do zdjęć robionych aparatem fotograficznym - musimy pan-

tomimicznie (gestem) pokazać jakie są nasze marzenia, gdyż papierowym odbitkom fotograficznym brakuje fonii. Najprościej jest wówczas unieść ramię i rozprostowaną dłoń uprecyzyjnić: o, taki wysoki chciałbym być, chciałbym sięgać tego poziomu.

**Alibi gimnastyczne.** Ponieważ tylko „w zdrowym ciele zdrowy duch”, trzeba uprawiać sport lub gimnastykę. Władimir Wysocki swoją głośną piosenką „**Gimnastyka**” zalecał raczej gimnastykę, perswadując a propos sal gimnastycznych: „*Po co ścigać się na bieżni, tu jesteśmy niezależni!*”. Elementarnym ćwiczeniem gimnastycznym jest, jak wiadomo, wyrzucanie obu ramion do przodu, z rozpostartymi dłońmi (plus przysiad, ale niekoniecznie). Bywa jednak, że któreś ramię nam szwankuje, wskutek przeciążeń lub urazu, jak to w życiu, chwilowo więc gimnastykujący się człowiek może użyć tylko drugiego (sprawnego) ramienia. Tłumaczymy, że pechowo zwichnęliśmy sobie lewe ramię (robiąc wcześniej tzw. pompki lub targając ulotki), dlatego mogliśmy się akurat gimnastykować tylko prawym ramieniem.

**Alibi historyczne.** Kategorycznie odrzucamy insynuacje, że małpowaliśmy prawą ręką hitlerowskie pozdrowienia czerpiąc inspirację z nazistowskich kronik filmowych, z dokumentalnych arcydzieł Frau Leni Riefenstahl, z „**Siedemnastu mgnień wiosny**” i z kapitana Klossa. Nie - zainspirowały nas słynne hollywoodzkie filmy o rzymskim Antyku („**Upadek Cesarstwa Rzymskiego**”, „**Ben Hur**”, „**Spartakus**”, „**Gladiator**” itp.), jasno dowodzące, że wzmiankowane pozdrowienie jest pozdrowieniem rzymskich legionistów (tak jak swastyka jest symbolem przynależnym kulturze starohinduskiej). „- *Odkąd to atrybuty Rzymu cesarów mają stanowić coś wstydliwego lub też haniebnego?...*” - pytamy pismaka, który chciał nas sflekować za neonazizm. Facetowi robi się głupio (jako erudycyjnemu ignorantowi), podkula ogon, i mamy święty spokój.

**Alibi pożegnaniowe.** Opuściła nas ukochana kobieta, zabierając ze sobą dzieci. Właśnie odchodzi, dzieci odwracają ku nam płowe główki ze smutnymi oczętami, a my im robimy czułe pa - pa. W tym celu musieliśmy wyciągnąć ramię i rozprostowaną dłoń lekko falować, czyli wykonywać rytualną gestykulację „*pa - pa*”, a nie nasza wina, że fotki, z natury rzeczy, unieruchomią każdy gest. Tłumaczenie takie ma ten walor, że pasuje do rozmaitych warunków krajobrazowych czyli okoliczności przyrody (peron kolejowy, ulica, łąka, plaża, poło-

nina etc.) - Kobiety to istoty zmienne („*donna e mobile*”) i nieprzewidywalne (jak śpiewał Połomski: „*Bo z dziewczynami nigdy nie wie, oj nie wie się!*”), tedy każdego faceta może spotkać wzmiankowana siurpryza, cóż więc się dziwić, że robiliśmy pa - pa, przy okazji myśląc o piwie (dwa w jednym).

**Alibi myśliwskie.** Wędkarze, kiedy chcą zademonstrować jak wielką rybę złowili - rozkładają ręce na boki. Tymczasem myśliwy, który ustrzelił zębca, jelenia, łosia, niedźwiedzia lub innego „*grubego zwierza*” - pozując do fotografii musi innym gestem uzmysłowić publice jak duże było trofeum. Demonstruje tedy: o, był taki wielki, prawdziwy gigant! Alibi to jest całkiem niezłe (przekonujące), pod warunkiem że gwoli uniknięcia kłopotów zaopatrzyliśmy się uprzednio w dobrze sfabrykowaną kartę łowiecką (typu „R”). Nie wiem gdzie się to dzisiaj robi. Dawniej kupowało się wszelkie papiery (prawa jazdy, dowody osobiste, licencje itp.) na Bazarze Różycyckiego (co wiem, bo na „*Różycu*” ojciec kupił mi maturę), ale ten zmarniał kiedy przywlekliśmy kapitalizm. Może teraz na Stadionie Dziesięciolecia (tam gdzie kupuje się kalachy jak skarpetki), ale nie jestem pewien.

**Alibi rolnicze.** Zobaczcie, panocku, latoś nam zboże tak obrodziło, kiej te słoneczniki! Tu unosimy rękę, pokazując dłonią, że genetycznie modyfikowane zboża biją wszelkie rekordy. Alibi to ma dodatkowy walor, gdyż czyni nas człowiekiem postępu, wszelako ma i minus, gdyż póki co Unia Europejska, w ramach krucjaty kontramerykańskiej, tępi uprawy modyfikowane genetycznie. Zawsze jednak możemy argumentować, iż nasza rekordowo wysoka pszenica to rezultat ekspansywnego nawożenia naturalnego przez rodzinę i sąsiadów, bo podczas wesela Zośki zatkał się wychodek i wszyscy biegali w pole za potrzebą. Można też mówić nie o pszenicy, tylko o innym jarym - o kukurydzy. Wówczas nawet dość wysoko uniesiona ręka jest bezgrzeszna vulgo sankcjonowana tak, iż wszelkie wytykanie nam neonazistowskich preferencji robi się śmieszne, kompromitując wytykającego.

**Alibi koprofilne.** Nie mając w plenerze (na przykład pustynnym czy skalistym) papieru toaletowego, podtarliśmy się gołą ręką i wystawiliśmy dłoń ku wiatrowi, żeby obeschła, a ktoś złośliwy trzasnął nam z ukrycia fotkę.

„Gazeta Polska”, 3 - I - 2007

# Wielgusgate (1) - episkopatologia

O Wielgusgate pisali prawie wszyscy i prawie wszystko, więc nie bardzo chciało mi się komentować, tym bardziej że już od dawna publicznie przestrzegałem czym grozi ukręcanie głowy prawdzie i zamiatanie jej zwłok pod dywan przez rodzimych arcykapłanów. No i nie lubię śpiewać w chórze, „*ten typ tak ma*”. Jednak niektórzy stali Czytelnicy moich felietonów są tym rozczarowani i żądają, bym się wypowiedział a propos. Spełniam to życzenie garścią refleksji:

- Refleksja generalna: aferę Wielgusa trzeba uznać za skandal błogosławiony, za tzw. „*palec Boży*”, gdyż liczne jej plusy przeważają jeden ogromny minus.

- Ten bardzo bolesny minus to fakt, że grzech nuncjusza i episkopatu (wprowadzenie w błąd papieża i ślepa, nonsensowna obrona delatora, zwieńczona niedzielną eksplozją kasującą ingres) będzie dość długo utożsamiany vel synonimowany z grzechem Kościoła jako takiego i z kiepską sprawnością wyspecjalizowanych służb Watykanu. „*Bliższa koszula ciału*”, więc kompromitacja Watykanu (tak łatwo kiwanego przez nadwiślańskich szczywanych graczy episkopalnych) mniej boli niż głęboki cień, który zmroził autorytet Kościoła nad Wisłą. Tego cienia raczej długo nie da się całkowicie rozproszyć.

- Wśród plusów dominuje fakt, że kilkunastoletnia gra episkopatu w okłamywanie, grekowanie (udawanie Greka), amnezjowanie, cenzurowanie, kneblowanie i miotełkowanie poddywanowe - zakończyła się katastrofą, dzięki której nie da się już anihilować (bądź odkładać ad calendas Graecas) lustracji kościelnej. Teraz będzie to proces trwały (chyba), i być może relatywnie szybki (oby), lecz jeśli nawet dalej byłby zółwi - to i tak będzie dużo szybszy niż odbudowa autorytetu stanu kapłańskiego nad Wisłą.

- Drugi plus to definitywne zdruzgotanie przez aferę abp. Wielgusa wiarygodności wszystkich tych (jakże licznych!) tzw. „*autorytetów moralnych*” (kościelnych tudzież świeckich), które nadużywając swoich funkcji, foteli, tytułów, urzędów, wpływów, sznurków, dostojeństw i nazwisk, notorycznie (od lat) robią społeczeństwu „*wodę z mózgu*”.

Jest to horda ludzi zlej woli. Członkowie Salonu (lewicowi i kryptolewicowi pyskacze zwani intelektualistami tudzież inteligentami); „*politycznie poprawni*” dziennikarze, będący gwiazdami mediów; zepsuci (acz na pokaz świętoszkowaci) hierarchowie Kościoła i jego „*postępowi*” koryfeusze medialni (jak ksiądz Boniecki). Wszyscy ci ludzie odegrali bezwstydną, faryzeuszowski spektakl (broniąc kapusiów, a gromiąc lustratorów) już przy sprawie księdza Czajkowskiego (TW „*Jankowski*”), zaś w pierwszym tygodniu afery Wielgusa odegrali „*sequel*”, głośno utożsamiając demaskatorów z siłami zła, bredząc o parafaszystowskiej „*dzikiej lustracji*”, o brunatnym spisku, o mordzie na niewinnym człowieku, itp.

- Trzeci plus to zdemaskowanie nędzy charakterologicznej polskiego episkopatu i zatrzważającej słabości umysłowej prymasa Glempa, który bezzwłocznie po dymisyjnej decyzji papieża wydrwił ją z ambony jako niemoralny osąd. Dzięki Wielgusgate każdy rodak mógł się tedy przekonać, iż sztab Kościoła tworzą u nas ludzie bardzo małego formatu. Wcześniej, kiedy Łysiak oraz podobne mu maniaki wskazywały Dziwisza, Głódzia, Glempa, Pieronka, Zycińskiego czy Gocłowskiego jako mniej lub bardziej brutalnych hamulcowych kościelnej sanacji (sanacji przez lustrację) - można było krytykowanie tych kardynalskich, arcybiskupich i biskupich gagatków zaliczać do kategorii „*oszołomstwo*”, bagatelizować, etc. Teraz już się tak nie da - zbyt dużo czarnego „mleka” się wylało. Jasno widać, że episkopatem trzęsie gang kontrlustratorów, a reszta członków to potulne stado baranów, które nie będą wszczynać buntu na rzecz prawdy, sprawiedliwości i przyzwoitości, gdyż ciepłe posadki są dla nich ważniejsze niż zbawienie i wyzwalająca ewangeliczna wolność. Chyba że jest jeszcze gorzej - że większa grupa spośród tych hierarchów umoczyła się esbecko tak, jak „*uwikłał się*” kłamliwy nygus Wielgus.

- Kolejny zysk to ujawnienie się dzięki aferze Wielgusa nieoczekiwanych koalicji medialnych. Całe życie marzyłem, by zostać członkiem „*szwadronu śmierci*”, więc kiedy „**Gazeta Wyborcza**” i Radio Maryja zgodnym chórem (plus identyczną terminologią) określiły ludzi „**Gazety Polskiej**” jako zbrodniczy „*szwadron śmierci*” - moje marzenie przybrało realny kształt. A już nie kpiąc: bulwersująca, prowielgusowo - antylustracyjna koalicja Rydzyka (RM), Michnika („**GW**”), Urbana („**NIE**”) i Barańskiego („**Trybuna**”) - coś niby „*Lewacy*,

*krytolewacy i ubecy wszystkich gadzinówek, łączcie się!*” - zaskoczyła wielu Polaków. Mnie nie zaskoczyła. Gdy w felietonie z 13 września ubiegłego roku klarowałem, że Rydzyk to przysłowiowy diabeł, który wdział ornat i ogonem na mszę dzwoni - Czytelnicy podrzucili mi korespondencyjnie całą listę kapusiów i eksfunkcjonariuszy SB, którzy byli fetowani przez Radio Maryja i goszczeni tam jako „*eksperti*”, autorytety, wymądrzacze (a więc nie tylko wskazany przeze mnie kapuś Szaniawski). Rzucając tłum ogłupionych radiomaryjną sofizmatyką prostaczków do Warszawy na prowielgusową krucjatę (okołoingresową bitwę uliczną za pomocą kłatw, pazurów i parasolek) - Rydzyk wykonał solidną kontrlustratorską (vulgo: proesbecką) robotę dla piekła. Szatan zacierał ręce.

• Tuż po niedzielnym ingresowym krachu toruński „*ojciec dyrektor*” przystąpił - wraz z kardynałem Glempem, wielebny Życiński i paroma innymi hierarchami - do jeszcze jednego sojuszu: do koalicji głoszącej „*spiskową teorię dziejów*”. Że mianowicie abp. Wielgusa uwalono li tylko wskutek bezbożnego spisku mediów plus sił ciemności. Ksiądz Rydzyk równał Wielgusa (TW „*Adama*”, TW „*Greya*”) oraz kardynała Stefana Wyszyńskiego, i expressis verbis nazwał pierwszego świętym (!), a Glemp, majacząc w wywiadzie dla TVP 1, oznajmił, że całkowicie niewinny agent „*Grey*” musi wytoczyć spiskowcom proces o zniesławienie (sic!). Ci dwaj duchowni - polski prymas i toruński prymus - często chyba oglądają Monty Pythona, więc zbyt przesiąkli tym rodzajem humoru.

„*Gazeta Polska*”, 24 - I - 2007

## Wielgusgate (2) - gniew i łzy

Kontynuuję temat sprzed tygodnia - rzucam garść refleksji o superaferze, która wstrząsnęła Polską:

• Kłamstwa Stanisława Wielgusa (dzisiaj już nawet ministranci wiedzą, iż jest to patentowany kłamczuch) ukoronowały tradycyjny system autoobrony konfidentów, który można zwać „*fazowym cyklem zaparcia*” (mój syn Tomek żartuje, iż „*wszyscy oni mają zaparcie*”). **Fa-**



**za 1** (gdy pojawia się pierwszy sygnał o współpracy): „- *Nigdy nie współpracowałem z SB!*”. **Faza 2** (gdy pojawiają się pierwsze dokumenty): „- *To fałszywki produkowane przez SB!*”. **Faza 3** (gdy wiarygodność dokumentów potwierdzają eksperci IPN): „- *Odbyłem tylko kilka rozmów paszportowych i podpisałem kilka zobowiązań wyjazdowych bez znaczenia*”. **Faza 4** (gdy ujawnione zostają odręczne konfidenckie raporty i sygnatury): „- *Zmusili mnie, ale starałem się nie szkodzić nikomu*”. Ten modus wybielającego bełkotu jest już kulturą ściągawką dla kolejnych demaskowanych renegatów, czemu mocne imprimatur dała ekscelencja wielgusowa ku chwale służby.

- W niektórych przypadkach stosowana bywa jeszcze dodatkowo **faza 5**: „- *Współpracowałem tylko z wywiadem!*”. Delikwent (exem - plum Wielgus) sugeruje tym publice, że nie szkodził wewnątrz kraju, czyli rodakom, a jedynie cudzoziemcom, pracując dla służby wywiadowczej swej ojczyzny. Jest to łgarstwo; historycy (ostatnio Marek Lasota) nieraz już tłumaczyli, że ów „wywiad” (I Departament MSW), inwigilujący polskie środowiska emigracyjne tudzież Polaków rezydujących okresowo za granicą (choćby w Watykanie), był taką samą esbecją jak wszystkie inne departamenty MSW. To, iż Wielgus najpierw przez kilka lat pracował dla „wewnętrznej” SB, a później dla „zewnątrznej” - nie umniejsza łotrostwa ni o gram.

- Jego ekscelencja profesor arcybiskup Stanisław Wielgus całą swą karierę naukową i akademicką (zwieńczeniem była dekada rektorowania KUL - owi) budował donosicielstwem. Nasuwa się tu prosta refleksja: przecież to samo czyniło mnóstwo naukowych i uczelnianych koryfeuszy świeckich! Ilu z nich - pełniących długie lata (także dzisiaj) rolę wybitnych autorytetów moralnych, kulturowych i scjentycznych - zawdzięcza swą karierę konfidenckiej wysłudze dla SB? Lub przynajmniej lojalności partyjnej (pezetpeerowskiej)? Legion! Tylko autentyczni twardziele (exemplum Jerzy Łojek) mieli wówczas szlaban na profesorski tytuł. Twierdzę, że primo: bezwzględna lustracja elity środowisk akademickich i PAN - u przyniosłaby trzęsienie ziemi większe niż lustracja episkopatu; secundo: bez „efektu Mojżesza”© (musi wymrzeć całe tamto pokolenie, do ostatniego kapusia) będziemy mieli wszystkie sfery życia (polityczną, kulturową, naukową, kościelną, itd.) zaświnione uczestnictwem zdrajców, często dożywotnio nierozpoznanych, bo wiele „teczek” przepadło. Tylko FSB (następczyni KGB) oraz

GRU dysponują dossier kompletnym, lecz nie dla naszego, ale dla własnego użytku.

- Kto jest winien temu, że pomimo bojowego wsparcia ze strony radiomaryjnego „ojca dyrektora” runął misterny plan Moskwy, i metropolitalnego tronu nie objęła kukielka, którą Kreml mógłby kręcić łatwo? Grupka „łowców czarownic”, na czele z „**Gazetą Polską**”, wyklętą (tzw. „*ekskomunika lubelska*”) przez arcybiskupa Życińskiego, od dawna zapiekłego łowcę głów (głów lustratorów).

- Kto natomiast jest bazowo winien całej serii demaskatorskich skandali, których traumatycznym dla Kościoła zwieńczeniem stała się „*afera Wielgusa*”? Dwaj czołowi, zaprzyjaźnieni ze sobą od lat „*ludzie honoru*”: Adam Michnik i Czesław Kiszcza. Oberdysydent i oberesbek. Motorniczowie antylustracji i antydekomunizacji, wspomagani przez eszelony lojalistów i dyzmoidów, rozmaitych Małachowskich, Kozłowskich, Wachowskich, Mazowieckich, Wałęsów, Szczypiorskich, Celińskich, Życińskich, Pieronków i innych kuroniowatych amnezjologów. Teraz Polska musi płacić wstydem i chaosem za ich abolicyjny triumf w III Rzeczypospolitej.

- Najzagorzalsi wielbiciele Jana Pawła II nie mogą już z czystym sumieniem odrzucić supozycji, że szerzona przezeń idea ultramiłosierdzia (bezwartunkowego wybaczenia) miała istotny wpływ na praktykę kontrlustracyjną episkopatu, czyli na usilne zamykanie pod dywan problemu kolaboracji między częścią kleru a bezpieczeństwem.

- Wini się dzisiaj nuncjusza Kowalczyka, że niedoinformował lub wręcz oszukał papieża w sprawie przeszłości Wielgusa. Inni piętnują za to samo prymasa Glempa. Ja sądzę, że istnieje tutaj ktoś bardziej winny. Szukałbym w grodzie Kraka, co nie zmienia generalnego faktu tycaącego Kościoła - iż „*ryba psuje się od głowy*”.

- Że zepsucie polskiej Wielkiej Ryby (Ecclesii) sięga też mocno dołów - świadczą nie tylko hordy pocziwców tumanionych rydzykową kazuistyką przez toruńską jaczejkę, ale i uczelniane kręgi KUL - u (wychów Wielgusa). Jedyne rodzaj ekspresji różni pierwszych od drugich. Rydzykowcy wrzeszczą, plują, biją, natomiast ci lubelscy inteligenci bez cienia żenady, dysząc humanitaryzmem i humanistyką, elegancko tłumaczą do mikrofonów, że brudne jest bielsze od bieli, czyli to samo co rydzykowcy (że Wielgus jest świętym męczennikiem), tylko kulturalniej. Groza!

• Być może najwięcej o rozdarciu polskiej Ecclesii mówi scenka spod katedry Świętego Jana w dniu niedoszłego ingresu. Wybrali się tam Jan Kelus i mój przyjaciel Wojciech Kochlewski, weteran „Solidarności”. Trzymali kontrwielnogusowy transparent: „WIELGI WSTYD”. Rydzykowcy wyzwali ich od Żydów, a także (nie rozumiejąc gry słów) od analfabetów: „*Nawet po polsku pisać nie umią!!!*”, później zaś tłukli parasolkami (tę bitwę o transparent „**Dziennik**” uwiecznił barwną fotografią). Wojtek zrelacjonował mi co było dalej:

- Raptem podbiegł do mnie jeden rydzyk, i zaczął okładać mój brzuch pięściami. Trzymałem drzewce transparentu, lecz miałem puchową kurtkę, a on miał słabą krzepę, więc te uderzenia niewiele mi szkodziły. Gdy wałał mnie już kilkanaście razy, zapytałem: „- *Panie, pan chyba był członkiem ZOMO?...*”. Facet przerwał, spojrzął mi w twarz, i ku mojemu zdumieniu... zawiesił mi się na szyi, objął, przytulił do mnie, i zaczął rozpaczliwie szlochać...

„Gazeta Polska”, 31 - I - 2007

## Savoir - vivre

Zeszłotygodniowy felietonik poświęciłem kulturze umysłowej, intelektualnej, więc niniejszy poświęcam kulturze bycia, dla równowagi. Francuski termin „*savoir - vivre*” oznacza (zerkam w „**Słownik wyrazów obcych**”): zasady dobrego wychowania, reguły kulturalnego sposobu bycia, normy oglądy towarzyskiej, znajomość eleganckich form. No i, rzecz jasna, ich praktykowanie, czyli wdrażanie kindersztuby. Co robić wypada, a czego nie wypada. Przykładowo: smarkać na chodnik nie wypada, a na murawę stadionu, w trakcie meczu - proszę bardzo, wszyscy gwiazdorzycy robią to ciurkiem. Dynamiczny rozwój cywilizacji homines sapientes sprawia, że „*savoir - vivre*” ulega ewolucji, czyli postępowi, jak i wszystko, trzeba więc bardzo uważać. Gdyby tak słowiańskiego samca, który jako emigrant (Londyn, Paryż, Chicago) popadł w śpiączkę dwadzieścia lat temu, wybudzono dzisiaj i nie poinstruowano - całowałby dalej ręce dam, puszczał je w drzwiach przodem i głąkał komplementami, nie wiedząc czemu dostaje za to po gębę, słyszy, że jest „*szowinistyczną świnią*”, i musi płacić grzywny, bo

„molestował”. Cóż, postęp jest nieubłagany - nic (prócz viagrosztorców) nie stoi w miejscu, „panta rhei”.

Problem „savoir - vivre'u” zrobił się nad Wisłą równie „trendy” co lustracja, aborcja i dekadycyzacja, a to za sprawą elektroniki, konkretnie kanału TVN Style i kanału, w jaki czerwonych „towarzyszy” wpuścił didżej Gudzowaty puszczać występ performerera Oleksego. Zresztą oba media miały momentami wspólny mianownik, gdyż pan Gudzowaty, realizując polskie nagrania, zarejestrował też solówkę pana Oleksego tycaząc gwiazdy TVN Style, Jolanty „Bezy” Kwaśniewskiej: „- *Siedzi wyfiokowana Jola i przez piętnaście minut czy więcej uczy obywateli jak jeść beże! I to jest, k... , program Pierwszej Damy!... Za sto tysięcy złotych robi takie pierdoły!... By się wstydzila!...*”. Internauta „Galba” skomentował to pryncypialnie: „*Pani Kwaśniewska robi z siebie pośmiewisko, objaśniając telewizjom czym się różni rurka z kremem od parówki*”. Są to, moim zdaniem, pretensje zupełnie nieuzasadnione. Ktoś musi społeczeństwo uczyć elementarnych norm „savoir - vivre'u” (jedzenia, odróżniania, stosowania itp.), a postkomuniści wybornie się do tego nadają, bo jako komuniści przeszli solidne samodoksztalcanie w tym względzie, to był długi marsz.

Proces schodzenia czerwonych z ich drzew zaczął się gdzieś w latach 60 - ych minionego wieku. Dobrym przykładem jest tu choćby casus dyplomacji „bloku wschodniego”. Była to dekada, w której nastąpiła zasadnicza rewolucja wśród dyplomatów wschodnioeuropejskich. Czerwoni ambasadorowie i konsulowie oswajali się z całą gamą takich utrudnień, jak: nieużywanie hotelowych wind do puszczenia bąków, umywalek do siusiania, a ręczników do podcierania się, coraz rzadziej czkali na przyjęciach, i coraz częściej zamiast sztućców ze stołu kradli pastę do zębów z butiku hotelowego, zaś niektórzy interesowali się już nawet kwestią: w której dłoni powinno się trzymać widelec, jeśli w prawej dłoni trzyma się befsztyk tatarski? Podczas następnej dekady (lata 70 - e) procent „skończonych żułów” (by użyć terminologii profesora Józefa Oleksego) systematycznie malał i przeciętny komunista, nawet obarczony dużą chłonością alkoholu, stawał się coraz bardziej kulturalnym człowiekiem - na przykład często zwiedzał zabytki (w których główną atrakcją były rytmiczne występy gołych kobiet oplecionych wężami). Kolejny etap tej ewolucji, lata 80 - e, zmienił bolszewików w wykształciuchów, a lata 90 - e transformowały wykształciuchów

w elegantów nieprzypominających już flakogarniturowych łachudrów, ino baronów (wojewódzkich, paliwowych, branżowych itp.). Niektórzy tak się uwłaszczyli, że na Wielkanoc mogą już spożywać jajka Faberge bez keczupu. I mogą szkolić pobratymców z Samoobrony, którzy są dopiero na etapie zastępowania mydła „perfumą” (tak to kiedyś przezwala Mme Beger: „- *Ja to lubię tą perfumę*”).

Nie bez przyczyny wspomniałem wyżej o elegancji odzieżowej, ta bowiem („*jak się nosić*”) również wchodzi w skład kanonów „*savoir - vivre'u*”, dlatego Józef Oleksy poświęcił w swej prelekcji parę zdań temu istotnemu zagadnieniu. Być może garderoby tyczyła opinia, że „*Oluś, za co się brał, wszystko spier....P*”, ale jeśli tak, to chyba tyczyła bielizny, bo garnitury prezydent Kwaśniewski miał nienaganne, i naciągały się one tylko w chwilach wzdęć (kiedy urlopowana była dieta), a marszczyły tylko wskutek ciężkich przechyłów na burtę chorowitej goleni (jak przysięgał narodowi prawdomówny doktor Kalisz). Łatwiej już zrozumieć (co nie znaczy zaakceptować) passus: „- *Tych zegarków miał od cholery i nosił je, k..., nie wiadomo po co!*”. Wiadomo, wiadomo - dla uczczenia krasnoarmiejców, którzy wyzwalali Polskę w latach 1944 - 1945 i każdy miał kilka „czasów” wyżej przegubu każdej ręki, jako dar wdzięczności od „*ludu pracującego*”.



Całkowicie klarowna jest również smokingowa wymiana zdań między didżejem a solistą, tycząca elitarniej (salonowej) sfery odzieżowego „savoir - vivre'u”. Gudzowaty: „- *Nakupowali wam smokingów. Wyglądaliście jak pingwiny, k..., w czasie Bożego Narodzenia! Makabra, no!...*”. Oleksy: „- *Ja mam swój prywatny smoking!*”. Dandys Oleksy, jako arbiter elegancji promowany przez Panienkę Częstochowską, u stóp której tak gorliwie pozował na klęczkach (któż nie pamięta tego tv - spotu?), otwarcie więc stwierdził, że komunistom kupiono smokingi. „*Nakupowali wam...*”. Człek rad by wiedzieć kto nakupował. Kiedyś Moskwa szyła im mundurki, a teraz pewnie „*kosmopolityczne gangi*”, o których lekko antysemicko zaciągał wokalista. Pytanie: czy dla bezpośredniego sprawdzenia szwajcarskiego konta (pilnowanego przez Raskolnikowa alias Vogla) właściciel konta musi przyjść do zuryckiego banku w smokingu, czy wystarczy T - shirt projektu designera Palikota (PO)?

Swego czasu „**Gazeta Wyborcza**” lansowała lewakonapisowy i homonapisowy „*fashion - style*” koszulek. Teraz czyni to Platforma (bada grunt?) torsem tudzież grzbietem swego mandaryna. Na piersi: „*Jestem z SLD*”, na plecach: „*Jestem gejem*”.

Nie jest wszakże prawdą pogłoska, że za miesiąc PO będzie się zwała Platformą Obrzygatelską lub Platformą - SLD.

Jest prawdą, że na najbliższym kongresie PO Donald Tusk straci fotel przewodniczącego, ustępując Chuckowi Norrisowi.

„**Gazeta Polska**”, 9 - V - 2007

## Niežnośna lekkość fałszu

Kilku czytelników „**Gazety Polskiej**” i „**Niezależnej Gazety Polskiej**” wysunęło wobec mnie listowne pretensje a propos wicepremier Zyty Gilowskiej. „*Dlaczego sugeruje Pan jej agenturalność, mimo uniewinniającego wyroku sądu?*”, itp. Odpowiedź jest prosta: bo wierzę nie jej zapewnieniom i nie zapewnieniom esbeka, który się z nią kontaktował, tylko twierdzeniom historyków IPN - u, którzy nie mają żadnych wątpliwości co do jej winy. We wszystkich oddziałach IPN - u

ze świecą można szukać badacza, który wątpi, że Gilowska była „tajną współpracownicą”. Niektórzy wyrazili to publicznie. Niżej przywołam opinie dwóch historyków - dr. Macieja Korkucia (pracownik krakowskiego oddziału IPN) i dr. Piotra Gontarczyka (były pracownik Biura Rzecznika Interesu Publicznego).

Szczęściem w nieszczęściu Zyty Gilowskiej było, że jej „teczka pracy TW” została zniszczona przez SB w 1990, natomiast nieszczęściem w szczęściu fakt, że liczne dokumentalne „echa” tej współpracy (kopie meldunków itp.) znaleziono w innych zestawach esbeckich papierów. Sama Gilowska twierdzi (jak prawie każdy zdemaskowany TW), że obciążające ją „kwity” to fałszywki wyprodukowane przez SB (konkretnie przez esbeka, który pono fikcyjnie Gilowską zarejestrował jako TW „Beatę” i sam preparował jej rzekome meldunki). Tymczasem właściwie wszyscy pracownicy IPN - u oraz Biura Rzecznika, ludzie, którzy zęby zjedli na badaniu „zasobów MSW” czyli spuścizny esbeckiej, gotowi są dać głowę, że SB nigdy nie fałszowała swych „dokumentów operacyjnych”, bo byłoby to dla niej działanie samobójcze tout court. Jedyne fałszywki, jakie esbecja PRL - u programowo preparowała, powstawały w ramach „gier operacyjnych dezinformujących i dezintegrujących środowiska opozycyjne”. Były to np. listy wysyłane do żon dysydentów na temat rzekomej zdrady małżeńskiej działacza podziemnej „Solidarności”, bądź rozpuszczane przez TW plotki, iż jakiś opozycjonista to kapuś. Skłócono tak niejedną komórkę podziemną. Ale sobie nie wbijano noża w brzuch fałszowaniem własnych archiwów. Dr Korkuć, komentując sprawę Gilowskiej, wyartykułował tę prawdę twardo: „Szeroko rozpowszechniane opowieści o bezładnym preparowaniu przez SB fałszywych dokumentów są kłamstwem”. To samo, i tak samo twardo (również a propos Gilowskiej), zaświadcza dr Gontarczyk: „0 żadnym fikcyjnym rejestrowaniu agentów nie mogło być nawet mowy”.

Nie mogło być mowy m.in. dlatego, że w MSW prowadzono bardzo restrykcyjną kontrolę „gier operacyjnych” i działań „oficerów prowadzących”. Dr Korkuć: „W SB wielki wysiłek wkładano w wyeliminowanie praktyk godzących w podstawy pracy operacyjnej, polegających na wprowadzaniu zwierzchników w błąd (a tym byłoby preparowanie doniesień). Każdy oficer bezpieczeństwa wiedział, że nieprawdziwe raporty szybko mogą zostać obnażone (...) Informacje agentów by-

ły stale weryfikowane, także przez innych współpracowników, o których nie wiedzieli ani agenci, ani ich oficerowie prowadzący. Nazywano to krzyżową agenturą. Każde doniesienie było analizowane i na tej podstawie wyznaczano kolejne zadania”. Dr Gontarczyk: „Wprowadzenie fikcyjnego TW do ewidencji było więc niesłychanie ryzykowne i groziło natychmiastową de konspiracją”. Vulgo: „oficerowi prowadzącemu”, który próbowałby kiwać swoich zwierzchników, szybciotko urwano by łeb, i każdy z nich dobrze wiedział o tym.

„Oficerem prowadzącym” TW „Beatę” był kpt. Wieczorek. Grupa kontrolna Głównego Inspektoratu Ministra Spraw Wewnętrznych przynajmniej raz (1989) przebadła autopsyjnie (na miejscu, w Lublinie) jego współpracę z Gilowską i nie miała żadnych zastrzeżeń. Tymczasem teraz, podczas rozprawy sądowej (lustracyjnej), Wieczorek oświadczył, że zarejestrował Gilowską lipnie, bo była jego dobrą znajomą, więc chciał tym fałszywym werbunkiem chronić ją przed mackami własnej „firmy”. Dr Gontarczyk: „Linia obrony przyjęta przez kpt. Wieczorka okazała się niezbyt wiarygodna. Przełożony Wieczorka, który miał pono zaakceptować ów fikcyjny werbunek, nazwał historyjkę wierutnym kłamstwem. Ponadto dodał, że nigdy nie spotkał się z fikcyjnymi rejestracjami”.

O ile żaden funkcjonariusz SB, a później żaden badacz pracujący dla IPN - u, nigdy nie zetknął się z fikcyjną rejestracją TW - o tyle dzisiaj ciągle stykamy się z „kryciem” ekskapusiów przez ich „oficerów prowadzących” podczas sądowych rozpraw lustracyjnych (exem - plum wcześniejsza sprawa Niezabitowskiej). Jest to bowiem bezkarne. Mogą do woli kłamliwie dziś zeznawać, że dawno temu fałszowali papiery i rejestry - mogą, gdyż skutek przedawnienia nie grozi im za to odpowiedzialność karna (dr Gontarczyk: „Stąd ich fantazja nie jest niczym ograniczana”). Zresztą nie tylko mogą, lecz wprost muszą. Bandycki kodeks honorowy esbeków nakłada na nich bowiem obowiązek „chronienia za wszelką cenę swoich dawnych źródeł informacji”, o czym kilka lat temu mówił publicznie sędzia Bogusław Nizieński (Rzecznik Interesu Publicznego). Dawanie teraz wiary idiotyzmowi recytowanym przez tych funkcjonariuszy podczas procesów można porównać do dawania wiary enkawudzistom, którzy podczas procesu w Norymberdze przekonywali gorąco trybunał, iż zbrodnia katyńska to dzieło siepaczy hitlerowskich.



Zyta Gilowska gotowa jest przyznawać się jedynie do nadmiernego gadulstwa w serdecznych kontaktach z kpt. Wieczorkiem (o którym całe lata dobrze wiedziała, że to pracownik MSW - temu nie mogła zaprzeczyć), czyli że była „trajkotą” (tak ją przezwano). Znający jej esbeckie dossier historycy śmieją się z tych wykrętów. O dostarczanych przez nią informacjach dr Gontarczyk rzekł: „Można wykluczyć, aby SB pozyskała je inaczej niż od «osobowego źródła informacji». Przekazanie ich przez przypadkowe gadulstwo, które miałby zapisać kapitan Wieczorek - z racji specyfiki tych informacji można śmiało uznać za niezbyt prawdopodobne”.



„Niezależna Gazeta Polska”, 5 - V - 2006

## Ja w sprawie rotmistrza Pileckiego

Na łamach „**Gazety Polskiej**” doszło do starcia w sprawie narodowego bohatera, rotmistrza Witolda Pileckiego, którego zamordowały władze PRL - u. Przyczyną starcia był spektakl Teatru Telewizji pod tytułem: „**Śmierć rotmistrza Pileckiego**” (15 - V - 2006). Miał on bardzo dużą oglądalność. Tydzień później Tadeusz M. Płużański zamieścił w „**GP**” dwukolumnowy tekst krytyczny wobec spektaklu. Dwa tygodnie później „**GP**” opublikowała list kierownictwa Teatru Telewizji, zaczynający się tak: „*Tadeusz M. Płużański (...) podważył wiarygodność historyczną spektaklu Teatru Telewizji. Jego prawo. Naszą rzeczą było zapewnić naukową weryfikację scenariusza i uczyniliśmy to - przedstawienie powstało we współpracy z IPN, konsultantami naukowymi byli Jacek Pawłowicz oraz prof. dr hab. Wiesław Jan*”

*Wysocki, autor biografii Witolda Pileckiego. W artykule Tadeusza M. Płuzańskiego bardzo emocjonalnej krytyce spektaklu - skądinąd zrozumiałej, zważywszy, że autor jest synem jednego ze współoskarżonych w procesie Pileckiego - towarzysząc fałszywe oskarżenia. Te wymagają sprostowania”.*

O dziwo jednak - żadne sprostowania się w tym liście nie znalazły (dalsza część listu precyzuje... plany TVP dotyczące innych figur antykomunistycznego podziemia). Szkoda, bo warto byłoby wiedzieć co kierownictwo Teatru ma do powiedzenia a propos takich passusów z artykułu Płuzańskiego:

*„Czy Pilecki to święty polskiego patriotyzmu (określenie mojego śp. ojca), czy raczej wariat, fantasta, a może i kapuś? Czy rzeczywiście uwierzył w słowo honoru szefa Departamentu Śledczego MBP, płk. Józefa Różańskiego, który nadzorował śledztwo? (...) Czy zakapował przyjaciół? (...) Pilecki podjął jedynie prywatną grę z Różańskim, mając zapewne cień nadziei, że przekona go do swoich racji. Co prawda, mógł myśleć: to jeden z głównych prześladowców ludzi walczących o wolną Polskę, uosobienie sowieckiego zła, ale przecież też jest człowiekiem, a w dodatku nosi polski mundur, który powinien do czegoś zobowiązywać...”.*

Ostatnie z wyżej cytowanych zdań ma tłumaczyć postawę Pileckiego w śledztwie, ale jest - niestety - mętne, nie oddaje istoty. Te zdania, wyjęte przeze mnie z dużego artykułu, brzmią zresztą (jako zwarty cytat) i tak mocno, lecz w dwukolumnowym (do tego źle wewnątrznie skonstruowanym) artykule giną, są w nim jakby rozmyte, utopione, brzmią tam słabo. Tymczasem sprawa jest niesłychanie ważna - stąd mój felieton.

Ojciec zaszczerpił mi kult ludzi pokroju rotmistrza Pileckiego - ludzi niezłomnych, których on (Witold Pilecki) był rzekomo (dzisiaj mówię: rzekomo) chlubą, brylantem pośród diamentów. Granitowy wojownik, cezariański „*Vir clarissimus*” (mąż najświetniejszy), człowiek, który ochotniczo poszedł do Auschwitz, by zorganizować konspirację wewnątrz lagru, a przy tym głęboko religijny - słowem ideał. No i męczennik, by tej glorii niczego nie brakowało. Tacy nastoletni gówniarze jak uczeń Łysiak gryzli palce ze złości, że wyrokiem złośliwego losu urodzili się zbyt późno, aby walczyć przeciw Szwabom i jako „*wyklęci żołnierze*” brać udział w kontrsowieckiej desperacji-

dzie („wojnie domowej” lat 1945 - 1954). Pilecki to był wzór. Spektakl reżyserowany przez Ryszarda Bugajskiego zachwiał mi tę wizję. Doznałem swoistego szoku - i myślę, że nie tylko ja.

Jakiego rotmistrza Pileckiego ukazał milionom widzów Teatr Telewizji? Świętoszkowatego idiotę, który wydał na męki mnóstwo ludzi. Gdyby zrobił to wskutek tortur, wina byłaby o całe niebo (lub raczej: o całe piekło) mniejsza, bo że właściwe tortury fizyczne łamią najtwardszych - to wiadomo od tysięcy lat. Pileckiego ciężko torturowano (zerwano mu wszystkie paznokcie), i człowiek ten wykazał, że fizycznie jest ze stali, gdyż nie zaparł się swej idei antykomunistycznej. Natomiast jeśli chodzi o sypanie ludzi - nie był torturowany. Nie było takiej potrzeby, gdyż wcześniej, u samego progu śledztwa, beztrósko wypaplał wszelkie nazwiska płk. Goldbergowi (Różańskiemu), gaworząc sobie z nim jak humanista z humanistą. Wszelkie, to znaczy nie tylko nazwiska współtowarzyszy, lecz i nazwiska przygodnych ludzi, jakich spotkał konspiracyjnie - ludzi niemających z konspiracją nic wspólnego. Wszystkich tych pechowców bezpieka oczywiście aresztowała i wrzuciła w maszynkę do mielenia mięsa zwaną aparatem śledczym MBP. Po procesie Pilecki żali się Goldbergowi, że ten zawiódł jego zaufanie, co jest rzeczą brzydką, niehonorową! Taki obraz rotmistrza dała nam TVP. Czy jest to wizerunek prawdziwy?

W spektaklu Bugajskiego swoiste alibi dla naiwności rotmistrza stanowi jego dewocyjność, która za fundament ma ukochaną książkę Pileckiego - dzieło Tomasza a Kempis „**O naśladowaniu Chrystusa**”. Dziwne to naśladowanie Chrystusa, bo Chrystus nie zachowywał się jak głupek - roztropek i nikogo nie sypał. Pilecki jako pobożniś byłby figurą dubeltowo piękną (niezłomny rycerz i niezłomny chrześcijanin), lecz jako pobożniś łatwowierny niczym pensjonarka, paplający oprawcom na dzień dobry listę kontaktujących się z nim osób (kioskarza, portiera i przekupki nie wyłączając), to kretyn o IQ minus zero! Dla człowieka charakterologicznie bliższego wilkowi niż barankowi - musi to być szokujące. A chyba i dla każdego rozsądnego człowieka. Jak można było tak ufać (niczym spowiednikowi!) osławionemu „*upiorowi bezpieki*”, Goldbergowi, otwierając przed nim serce i duszę podczas towarzyskiej konwersacji a la kawiarniane plotkowanie na każdy temat? ! Jaki stopień zdziecinnienia czy debilizmu jest do tego potrzebny?! Chyba że cały ów telewizyjny wizerunek to kłamstwo.

Stawiam proste pytanie, bo rzecz bardzo mnie obchodzi: czy mój ojciec się mylił wskazując mi rotmistrza Pileckiego jako wzór bez skazy ni zmaży, czy też reżyser Bugajski to paszkwilant, a jego konsultanci naukowi to ignoranci lub szalbierze? Tertium non datur.

„**Niezależna Gazeta Polska**”, 7 - VII - 2006

## I ty, Brutusie?!...

W III Rzeczypospolitej toczyły się rozliczne wojny naziemne i podskórne (używając norwidowszczyzny: „*tajne, widne i dwupłciowe*”) - tak polityczne, jak i gospodarcze, kulturowe, socjalne, kryminalne et cetera. Żadna jednak nie może się równać z siedemnastoletnią już batalią o lustrację, nie mniej zaciekle niż lotnicza „*bitwa o Anglię*”, a powszechniejszą, bo bierze w niej udział prawie cała ludność prócz niemowlaków, zdechłaków i abnegatów zupełnych: wszystkie sfery polityczne i kulturowe, wszystkie media, Kościół, mnóstwo organizacji, tudzież rzesze tak zwanych „*szarych obywateli*”. Tylko futbol przykuwa co dwa lata większą uwagę tłumów (mistrzostwa globu i mistrzostwa kontynentu), lecz chwilowo (na parę tygodni), podczas gdy lustracja budzi emocje trwałe. Do wiosny i lata 2006 roku teatr wojny był prosty: front antylustracyjny (michnikowszczyzna) przeciwko zwolennikom lustracji („*oszołomstwu*”, „*ciemnogrodowi*”, „*czarnej sotni*” itp.). Obraz począł się jednak zaciemniać wskutek piruetów Kościoła (gdy jak grad runęły demaskacje księży - konfidentów), a skomplikował się bardzo przez kilka fatalnie niezręcznych wystąpień Jarosława Kaczyńskiego.

Antylustratorzy (Salon i okolice) używali w tej wojnie wielu mniej lub bardziej obłudnych sofizmatów i wymyślnych trików, lecz ich koronnym argumentem była zawsze pewna brechta lansowana jako pewnik: MSW fałszowało „*teczki*” czyli dokumentację resortową (esbecką). Vulgo: cała lustracja jest krzywdzącym ludzi absurdem, gdyż opiera się na fałszywkach. Powstanie IPN - u i wnikliwe badania historyków pracujących dla tej instytucji zadały owemu argumentowi ciężki

cios, gdyż ci badacze twardo deklarowali: nie znaleźliśmy choćby jednego sfalszowanego dokumentu! Równocześnie tłumaczyli, iż esbecja musiałaby być szalona, aby fałszować własne dokumenty, bo to wprowadziłoby taki chaos, że praktycznie obezwładniłoby ją, zniszczyłoby cały system inwigilowania społeczeństwa. Dlatego właśnie MSW wprowadziło rygorystyczne procedury kontrolne (wewnątrzresortowe) i groźbę bardzo surowych kar dla funkcjonariuszy, którzy chcieliby gwoli zysku okłamywać resort. Nie było ani jednego takiego przypadku!

Cóż w tej sytuacji pozostało antyilustracyjnej michnikowszczyźnie? Znaleźć taki przypadek, choćby jeden jedyny. Jedna sfalszowana „teczka”, jeden fałszywy papiórek, mogły skutecznie zasiać wątpliwość co do wiarygodności esbeckich „kwitów”. Potrzeba jest matką wynalazków, więc taką „sfalszowaną «teczkę»” znaleziono - „teczkę” byłego marszałka Sejmu, Wiesława Chrzanowskiego. Oznajmił to publicznie generał Gromosław Czempiński, chcąc się Salonowi podlizać. Ale spotkała go (i Salon, i Czempińskiego) duża przykrość: nazajutrz pan Chrzanowski rozesłał do mediów pismo mówiące, że nie rozumie dlaczego generał mija się z prawdą, bo w jego (Chrzanowskiego) „teczce” nie ma żadnych fałszywych papierów! Dla michnikowszczyzny była to taka wpadka, taki wstyd, że „**Gazeta Wyborcza**” odmówiła druku tego sprostowania. I na jakiś czas przestano bredzić o „*esbeckich fałszywkach*”. Póki nie wspomógł antyilustratorów - ku powszechnemu zaskoczeniu - Jarosław Kaczyński!

Wspomógł w tym roku - i to aż trzykrotnie. Najpierw pokazał wszystkim przed kamerami TV dwa dokumenty ze swojej „teczki”, mówiąc, iż zostały one sfalszowane. Chodziło mu o fałszowanie dokumentów przez salonowy UOP III RP (za czasu rządów UW) - konkretnie przez tzw. „grupę pułkownika Lesiaka”, której zadaniem było kompromitowanie prawicy - ale nie wyartykułował tego dostatecznie jasno. W efekcie miliony telewidzów - miast zrozumieć, iż fałszu dokonano już po 1989 roku, za rządów Unii Wolności - zrozumiały jedno: esbecja (ta peerelowska) fałszowała „teczki” obiektywne. Istotę sprawy rozumieli tylko co światlejsi ludzie, lecz wkrótce oni również dostali po głowie od Jarosława Kaczyńskiego. Dostali, kiedy zarzut współpracy z SB uderzył panią wicepremier Zytę Gilowską.

Gdy Zyta Gilowska - identycznie jak wcześniej wszyscy zdemaskowani (od stoczniewca Jurczyka do księdza Czajkowskiego) - za-

częła krzyczeć, że jest niewinna, szkalowana itp., Kaczyński, w wywiadzie dla „**Życia Warszawy**” (30 - VI - 2006), napomknął, iż możliwe jest, że rozregulowana esbecja późnego PRL - u „*fabrykowała*” vel „*falszowała*” dokumenty (użył obu tych terminów). Redakcja gazety skorzystała z okazji i wywaliła to grubą czcionką na pierwszą stronę. Nie trzeba było gazety kupować - każdy przechodzień, mijając kiosk „Ruchu” czy „Kolportera”, widział za szybą gruboccionkowy tytuł: „**Jarosław Kaczyński: mogło dojść do fałszerstwa teczki Gilowskiej**”. Tym razem już nie było chronologicznego *qui pro quo* - mowa była o bezpiecie sprzed 1989 roku, bezpiecie PRL - u!

Salonowe media wprost oszalały z radości. „**Newsweek**” bezzwłocznie dał cały artykuł (trzy kolumny) pt. „**Lustracyjna kawa na ławę**” (9 - VII - 2006), podkreślając w kilku miejscach, iż sam prezes PiS - u mówi o fałszowaniu „*teczek*” za PRL - u, pewnie dlatego, że - cytuję - „*bardzo polubił Zytę*”. Przywołano też historyka z IPN - u, Antoniego Dudka, który nie zaprzeczył równie twardo, jak dotychczas to robili badacze z tej instytucji: „*Ja żadnego takiego przypadku nie znam, jednak w drugiej połowie lat 80 - ych liczebność agentury bardzo się zwiększyła, a system wewnętrznej kontroli w SB nieco osłabł. Może dokonywano jakichś machinacji. Ale nie mówiłbym o tym z taką pewnością jak pan Kaczyński*”.

Niefirasobliwość (delikatnie mówiąc) premiera Kaczyńskiego wykorzystwała również - jakżeby inaczej - dyżurna przeciwniczka lustracji/deagenturacji, redaktorka Monika Olejnik. Podczas swojej audycji („**Prosto w oczy**”, 14 - VII - 2006, ekskluzywnie o 20<sup>15</sup> TVP 1) zapytała premiera (tego dnia Kaczyński odebrał nominację) a propos kłopotów Gilowskiej, i pan premier znowu nie wykluczył, że służby represyjne PRL - u fałszowały kompromitujące dokumenty!

Nie jestem z panem Kaczyńskim na „*ty*”, nigdy z nim nie rozmawiałem (choćby przez telefon), lecz rozwścieczony jego ciosem zadany lustracji, zezwalam sobie na swoistą poufałość: i ty, Brutusie?!... Ja rozumiem, panie prezesie Rady Ministrów, że pan „*bardzo polubił Zytę*”, jednak może lepiej, by pan bardzo polubił prawdę, wedle arystotelesowskiej zasady „*amicus Plato, sed magis amica veritas*”.

„**Niezależna Gazeta Polska**”, 4 - VIII - 2006

## Jedenaste: nie łzyj!

Ponieważ w tym numerze „NGP” jest mój duży tekst o fachu człowieka zarabiającego pisaniem (literaturą tudzież publicystyką), niniejszy felieton poświęcam najgorszemu grzechowi „ludzi pióra” - kłamstwu. Zimmemu, premedytacyjnemu kłamstwu, od jakiego niektórzy przedstawiciele tej profesji nie stronią, gorzej - czynią z kłamstwa swój miecz, swój instrument zasadniczy. Jest to patologia, która kwitnie w III RP niby bezbrzeżne łąny chwastów, co wszyscy każdego dnia obserwujemy dzięki walce politycznej między lewicą a prawicą, między Salonem a kontrmichnikowszczyzną, między wynikami sondaży i rankingów a realiami, etc. Lecz nie jest to rodzima „*spécialité de la maison*”, bo wszędzie na świecie publikują swe łągarstwa hordy szulerów, i nie jest to domena współczesnych czasów, bo drukowane kłamstwo ma brodę równie długą co druk. W Europie za przysłowiowego króla politycznych łągarzy uchodzi dr Goebbels, ja jednak - gdybym miał dać komuś miano superłągarza wieku XX - wskazałbym raczej pana Duranty.

Walter Duranty, gwiazdor amerykańskich mediów przed II Wojną Światową, był europejskim korespondentem prestiżowego „*New York Timesa*”. Nobilitującą Nagrodę Pulitzera dostał za „*obiektywne reportaże ze Związku Radzieckiego*”. Obiektywizm tych reportaży polegał na informowaniu Zachodu przez pana Duranty'ego, że Rosja sowiecka jest wzorową demokracją, enklawą dobrobytu i szczęśliwości - istnym rajem. Duranty sprzedawał te łągarstwa wówczas, kiedy w ZSRR szalał ludobójczy stalinowski terror (krwawe „*czystki*” i masowe syberyjskie wywózki, czyli „*gulagi*”, łącznie dziesiątki milionów ofiar), a głód ukraiński (też represyjne dzieło Stalina) miał już rozmiary hekatomby ogólnonarodowej. Na Zachód przyszły jednak wreszcie wieści, iż kilka milionów Ukraińców zmarło z głodu, ale Walter Duranty publicznie określił to jako zupełną bzdurę, „*antykomunistyczną propagandę*”, i Zachód uwierzył sławnemu dziennikarzowi. Jego autorytet miał wielką moc.

Czy Duranty był agentem NKWD? Prawdopodobnie tak, lecz bez otwarcia „*szafl Łubianki*” nie można tego udowodnić. Natomiast że łągał cynicznie i permanentnie, robiąc światowej opinii publicznej wo-

dę z mózgu - dowiedziono już dawno. Kilka lat temu grupa amerykańskich konserwatystów zażądała od kapituły Nagrody Pulitzera, by Duranty'emu pośmiertnie odebrano splendor laureata, gdyż jego nazwisko hańbi „dziennikarskiego Nobla” w sposób drastyczny. Szefostwo Pulitzer Prize odmówiło, mimo iż równocześnie ujawnione zostały bardzo bliskie związki Duranty'ego z „guru satanistów”, Aleisterem Crowleyem, wielbicielem totalitaryzmu (głównie komunizmu i faszyzmu), hagiografującym Lenina, Stalina, Hitlera i Mussoliniego jako „*tytanów satanistycznych*”. Notabene Duranty, który reklamował Stalina jako „*wcielenie ideału*” (sic!), kilkakrotnie - podczas osobistych spotkań - sugerował kremlowskiemu ludobójcy, by ten uczynił satanizm oficjalną ideologią ZSRR (w miejsce komunizmu), lecz Stalin nie dał się przekonać. Dopiero epigoni Duranty'ego (lewicująca inteligencja Zachodu) przekonali Salon, aby uprawiał i propagował swoisty kulturowy i obyczajowy satanizm, choć (dla mimikry) bez używania źle się kojarzącego ludziom terminu.

Premiowanie kłamstw nagrodami klasy super/ultra/ekstra/lux tyczy również literackiej Nagrody Nobla, co obserwujemy każdego roku. Od ćwierć wieku dostają ten laur wyłącznie lewicowcy (komuniści, staliniści, goszyści; nie brak i zupełnych szajbusów, tzw. „*kopniętych lewaków*”, jak Włoch Dario Fo czy Austriaczka Elfriede Jelinek), więc że nagroda jest przyznawana już wyłącznie ze względów politycznych, nie zaś artystycznych, kuma każde dziecko. Tego roku salonowe media bredziły, iż literacki Nobel 2006 (dla Turka Orhana Pamuka) nie może być wreszcie kontestowany przez prawicę jako „*polityczny*”, bo Pamuk całkowicie zasłużył swoją literaturą. To nieprawda. Dostał Nobla, gdyż (skądinąd słusznie) wytknął swym rodakom ludobójczą rzeź Ormian - tylko dlatego. Ten masochistyczny weryzm Pamuka spodobał się Francuzom (mają gigantyczny ormiański elektorat), więc uruchomili swoje wpływy w Sztokholmie i Turka uhonorowano „*comme il faut*”. Jego przeciwnicy sarkają, że ów proormiański weryzm był klasycznym „*wyjątkiem potwierdzającym regułę*”, albowiem Pamuk to notoryczny kłamca.

Postanowiła to sprawdzić autopsyjnie hiszpańska pisarka i dziennikarka, Rosa Montero. Gdy tylko przyznano Turkowi laur, ruszyła do Turcji i przeprowadziła z nim długi dialog, skarżąc się później, że jest to człowieczek „*arogancki, humorzasty, impertynencki, irytujący, nie-*



*unikający kłamliwych wykrętów*”. Z tej rozmowy, opublikowanej przez prasę hiszpańską, zacytuję jeden fragment symptomatyczny:

- Czytając pańską książkę pt. „Nazywam się czerwień”, można istotnie uwierzyć, że społeczeństwa muzułmańskie nie uległy zeświecczeniu, bo kraje arabskie nie miały swojego Renesansu...

- Co?!... To idiotyzm!

- Przecież pan sam mówił...

- Nie mogłem czegoś takiego mówić, bo nie podzielałem etnocentrycznej tezy, że islam został w tyle, gdyż nie miał swojego Renesansu.

- Mówił pan to bardzo wyraźnie trzy lata temu, udzielając wywiadu, zacytuję pańskie słowa: *„Wschód nie przeszedł transformacji kulturowej typu renesansowego, więc ma rozwój opóźniony o jakieś trzysta lat”*.

- Tak powiedziałem?

- Dokładnie tak.

- Nonsens, nie mogłem tak mówić. Chociaż, być może tak sobie palnąłem. I pani w to uwierzyła?

- Uwierzyłam.

- Niepotrzebnie. Nie wolno wierzyć we wszystkie bzdury, kobieto.

Pewnie, że nie wolno. Życie to słodki sen. Dziś się wygłosi, że białe jest czarne, jutro, że nie czarne, ino zielone albo czerwone, pojutrze uzna się wierzących w to słuchaczy lub czytelników za durniów, a pojutrze dostanie się od Salonu nagrodę wieńczącą ten relatywizm, gdyż relatywizm jest modny i ceniony. Wesołych Świąt.

„**Niezależna Gazeta Polska**”, 1 - XII - 2006

## Sztuka przegrywania na stojąco

Dwieście lat temu, 2 grudnia 1805, pod małą morawską wsią Austerlitz (dzisiaj Sławkowo) Napoleon - dzięki serii fenomenalnych manewrów - unicestwił rosyjską armię cara Aleksandra I, który płacząc zwił z pola bitwy. Rosjanie stracili sto osiemdziesiąt dział i kilka-

dziesiąt tysięcy ludzi (w tym ośmiu generałów). Rosyjski generał Langeron rzekł wówczas do swego kolegi, generała Dochtórowa:

- Widziałem już różne klęski, ale takiej nie mogłem sobie nawet wyobrazić!

To samo pomyślałem sobie, gdy zakończył się finałowy mecz siatkarskich mistrzostw świata między Brazylią a Polską. Nie pisałbym tego felietonu, gdyby nie „patriotyczne” chrzaniecie rodzimych mediów o rzekomym wielkim sukcesie naszej reprezentacji (srebrny medal). Nie chodzi już nawet o to, iż Jankesi mają rację twierdząc, że nie istnieją żadne drugie czy trzecie miejsca - istnieje tylko zwycięstwo, tylko pierwsze miejsce, tylko złoty medal, cała reszta jest warta funta kłaków. Chodzi mi o coś innego - o styl przegranej. Można przegrać (sport to sport), i można „dać ciała”; różnica między jednym a drugim jest gigantyczna niczym Grand Canyon. Polacy „dali ciała” haniebnie. Przegrali nie na stojąco, lecz na klęczkach. Wstyd.

Wstyd przed całym światem. Mecze rund eliminacyjnych, i nawet półfinałowe, ciekawiły wyłącznie zainteresowanych bezpośrednio, ergo: kibiców z krajów uczestniczących. Mecz finałowy był oglądany przez cały glob. I cały glob zobaczy! klasyczny „mecz do jednej bramki” - starcie profesjonalistów z „kelnerami”, gorzej: mężczyzn z małymi dziewczynkami siusiąjącymi po nogach. Wygrany (mimo naszej słabej gry) półfinał z Bułgarią, która miała akurat jedyny swój kiepski dzień w turnieju, rozbudził tromtadracką pychę. Dobę przed finałem rodzime media chóralnie wieszczyły sukces naszych twardzieli, którym nic niestraszne, żaden wróg. Wielkoczcionkowe tytuły gazet grzmiały, że „nie boimy się” Brazylii. „Real” był kubłem lodowatej wody, hadko było patrzeć.

Przez cały ten turniej denerwowałem moich znajomych i kumpli studząc ich entuzjazm, i zyskując tym opinię niepoprawnego malkontenta, który upierdliwie szuka dziury w całym. Wskazywałem bowiem, że wygrywamy kolejne mecze bardziej dzięki głupim błędom przeciwników i tzw. „fartowi”, niż dzięki własnym umiejętnościom. Owszem, czasami seryjnie funkcjonował nam blok, zdarzały się niezłe ataki, wystawiający Zagumny w pewnych meczach był natchniony, prawie się nie mylił, a już libero Gacek przechodził sam siebie, „biorąc” wszystkie mordercze serwisy konkurentów, te „urywające głowy” (moim zdaniem, wbrew mediom, to właśnie on był przez cały turniej absolutnym

MVP polskiej drużyny, a nie ci fedrujący przy siatce pseudomistrzowie) - lecz generalnie nasza gra była bardzo nierówna, można rzec: konwulsyjna (od „fartu” do dziadowania i vice versa). Główne moje obawy budziła fizyczna słabość atakujących („zbijających”) polskich ramion: nawet w wygranych meczach Polacy raczej przerzucali piłkę przez siatkę, niż „ścinali”. Uderzali zbyt miękko. Tak podwórkowo się dzisiaj nie gra. Ale Bóg był łaskaw - dojechali tym żeńskim smeczowaniem do finału.

Finał obnażył prawdę. Cóż przeszkodziło im normalnie grać? Paralizujący strach przed przeciwnikiem lub przed wizją zdobycia tytułu? Byli spięci niczym nastoletnie panienki konkurujące w castingu o rolę filmową - serduszka im zamierały, nóżki drżały, głosik się łamał, trema wypompowywała powietrze z płuc, a rozumek z baniaczków. Gdzie się podziały męzne sarmackie serca? Siatkówka, którą pokazali całemu światu, urągała trzecioligowym rozgrywkom dowolnego kraju. Paru „*canarinhos*” wbiło Polskę w parkiet „*lewą ręką*”, nawet się specjalnie nie wysilając, a mimo to ośmieszając biało - czerwonych. Słowo kompromitacja jest tu niewłaściwe, gdyż stanowi eufemizm - dla takiej żenady brakuje w języku polskim adekwatnych słów. Wy zaś, panowie dziennikarze, odmieniacie przez wszystkie przypadki słowo „*sukces*”. Puknijcie się!

Współsprawcą tej błazenady był trener „*Napoleon*” Lozano. W finale robił same błędy. Zaczął od tego, że miast sześciu graczy, wpuścił na parkiet... czterech i pół! Czterech sprawnych, pół Świderskiego (bo „*Świder*”, który pięknie rozpoczął turniej, słabł później fizycznie z meczu na mecz i stał się cieniem samego siebie) oraz jednonogiego kalekę, kontuzjowanego w meczu z Bułgarami. Paranoja! I chociaż Brazylijczycy robili co chcieli, ogrywając te nasze panienki niemiłosiernie - dokonał zmian (krótkich i nietrafnych) zbyt późno, gdy było już „*po balu*”. Nie nauczył też swoich chłopców „*czytać*” celnie przeciwnika. To Brazylijczycy bezbłędnie „*czytali*” grę Polaków, mieli rozpracowane wszystkie nasze warianty. Mój znajomy, wcześniejszy entuzjasta i hagiograf Lozano, przeklinając klęskę warczał, że widocznie nasz trener wziął pieniądze od Brazylijczyków. Bzdura, nie wziął, tylko źle odrobił lekcję, a później zgłupiał raptownie do imentu, co się zdarza nie tylko ludziom zakochanym bądź klientom kasyna. On również był w finale cieniem siebie.

Powtarzam: można wygrać albo przegrać, taki jest sport. Przegrana nie przynosi ujmy. Lecz tylko przegrana będąca rezultatem dzielnego boju. Wtedy trzeba chwalić również zwyciężonych - „*gloria victis!*”. Jednak nie wtedy, kiedy dali się rozjechać żółto - zielonym czołgistom niby stado pingwinów czyli nietotów.

Rada na przyszłość: dokooptujmy do zespołu szkoleniowego, gdzie jest tylu specjalistów (lekarze, fizykoterapeuci, masażyści etc), psychologa, który wyuczy biało - czerwonych orłów sztuki przegrywania. Reszta (z „*coachem*” w roli głównej) niech uczy ich zwyciężać, tymczasem on niech im wpaja - gdyby zwycięstwo było akurat całkowicie nierealne - kunszt przegrywania po męsku. Vulgo: niech im zaszczepli honor. Dzięki temu unikniemy blamażów i świat nie będzie rechotał oglądając popisy Lechitów. Zbyt dużo żądam?

„**Niezależna Gazeta Polska**”, 5 - I - 2007

## Pieśń wypędzonych

Dwuodcinkowy niemiecki film telewizyjny (fabularny) reżysera Kaia Wessela „**Die Flucht**” („**Ucieczka**”) ogłądało w marcu kilkanaście milionów Niemców i zrobiło się o tym filmie bardzo głośno, gdyż problem niemieckich „*wypędzonych*” to ostatnio gorący kartofel niemiecko - polskich stosunków. Film, jak cała propaganda tzw. ziomkostw, fałszuje historię, gdyż tuszuje aspekt fundamentalny: że główną przyczyną tych wypędzeń był niemiecki totalitaryzm, który rozpętał II Wojnę Światową realizując swą żądzę agresji paneuropejskiej. Możemy tylko ubolewać, że film jest artystycznie dobry, ale tak to już bywa - dobre filmy „*rozliczeniowe*” często sprzedają bezczelne kłamstwo. Exemplum dwa świetne filmy „*bezpieczniackie*” - „**Psy**” Władysława Pasikowskiego i „**Życie na podsłuchu**” Floriana Henckela von Donnersmarcka - które wciskają widzom nonsensowny „*kit*” o cynicznych, lecz wewnętrznie bardzo przyzwoitych, gotowych do pełnej duchowej metamorfozy funkcjonariuszach czerwonych represyjnych służb. Tylko patrzeć jak ktoś zaproponuje nam pomnik „*szlachetnego esbeka*” (czyli w Polsce majora Hodysza plus kilku jego kolegów) tudzież mu-

zeum niezwyfikowanych „rasowych psów”, analogicznie do muzeum niemieckich uchodźców wypędzonych przez polskich grabieżców, które lansuje blondaryjka Erika S.

Literatura i historiografia zajmują się wypędzeniami od dawna, bo od niepamiętnych czasów gromady ludzkie są wypędzane przez bliźnich. Archaiczne „wędrowki ludów” często były efektami gwałtu; również średniowieczne ekspulsje Żydów z zachodniej Europy to klasyczne masowe wypędzenia. Zawsze będące tragedią dla wypędzanych. Franciszek Karpiński, rymopis doby rozbiorów, pisał w „Pieśni mazurskiej”:

„.....wypędzony,  
Porzucił dom, stodoły,  
Uciekł prawie goły”.

Jeden uciekł, drugiego wywieziono zapakowawszy do bydłowego wagonu (jak setki tysięcy Polaków z Kresów). Niemców przegonił z naszych „ziem odzyskanych” totalitaryzm sowiecki, ale detonatorem był tu totalitaryzm niemiecki, inicjator wojny. Polacy byli jedynie pionkiem tego tasowania map przez tytanów piekła. I zgodnie z losem pionków - być może zapłacą kiedyś cenę najwyższą, którą będzie utrata terytorium dzisiaj jeszcze polskiego. Faustowski bohater mojej powieści „Dobry” (1990) tłumaczył swemu Mefistofelesowi, płk. Heldbaumowi, że w postkomunistycznej Europie Niemcy prędzej czy później wyciągną łapy po „wschodnie landy”, by je rewindykować: „- Marzą o tym! Nie zrezygnują. Mowa, iż to cywilizowany kraj zachodni, to mowa trawa, o tylek ją potłuc. Sojusznicze więzy, humanizm, kultura, cywilizacja i te pe, to retoryka kłamców i debilów. Szwaby nigdy nie zrezygnują!”.

Według uniofobów realna groźba wygląda tak: widząc niemożność rewindykowania za pomocą militarizmu, „Szwaby” działają za pomocą paneuropeizmu, czyli likwidowania granic i suwerenności narodowej w ramach kołchozu UE. Pożywkę dla takich spekulacji (być może słusznych) dają przesłanki wielce intrygujące (jak fakt, że Niemcy są głównym płatnikiem netto, ergo głównym sponsorem Unii Europejskiej, a czy Niemiec to idiota bezsensownie vel bezinteresownie dokładający do interesu?), tudzież przesłanki bulwersujące (jak dwie bardzo nieostrożne wypowiedzi kanclerza Schrödera na zjazdach ziomkostw i wypędzonych: „- Bądźcie cierpliwi, ja wam zwrócę wschodnie lan-

*dy. Zaufajcie mojej metodzie!”; „- Siedźcie cicho, póki Polska nie wejdzie do Unii, potem sama wpadnie nam w łapy”).*

Siedzieli cicho, a gdy Polska weszła - rozpętali gromką hecę z „wypędzeniami”, z muzeum tej niemieckiej traumy, i z masowymi żądaniem Powiernictwa Pruskiego, odwołującego się do trybunału w Strasburgu i do polskich sądów. Jeden polski werdykt już zapadł (mieszkańcy mazurskiej wioski mają się wynieść i oddać swój dobytek Niemcom! !!) - ten bezczelny „proeuropejski” werdykt pokazał, że idzie „koniec żartów”. Tu ciekawostka erudycyjna: pierwszym „żartownisiem”, pomysłodawcą wypędzenia Niemców (aż 20 milionów!) w jakieś zadupie świata, był Henry Morgenthau, sekretarz skarbu prezydenta Roosevelta, perswadujący, że sprawców morderczej wojny światowej trzeba ukarać. Ergo: Stalin, realizując przesiedlenia, czerpał z „planu Morgenthaua” - planu, którego Biały Dom koniec końców się wystraszył, a którym Kreml się zachwyił.

Na koniec warto wspomnieć, że Polacy - nie dość, iż mają u siebie sporo renegatów (publicystów, jurystów, akademików), salonowców biorących berliński żołd, vulgo: lobbystów Bundesrepublik Deutschland - mają zero adwokatów za Odrą, chociaż Frau Angela Merkel stara się być niby muzyka lekka, łatwa i przyjemna: taktycznie łagodzi emocje retoryką antyrewindykacyjną. Nawet tak inteligentny historyk jak Ernst Nolte wypowiada się za „słusznymi prawami Niemców”. Inteligentny, gdyż jako jeden z pierwszych wskazał całkowitą paralelność ludobójstwa hitlerowskiego i stalinowskiego (całkowitą oprócz liczb - bolszewia wymordowała dużo więcej ludzi niż hitlerowcy), i jako jeden z pierwszych zanegował wyjątkowość Shoah, wskazując liczne inne holocausty i tłumacząc bezpodstawność prawa „narodu rzekomo wybranego” (sic!) do uzurpowania sobie tytułu szczególnych ofiar. Wskutek tego został odsądzony od czci i wiary przez „politycznie poprawnych” historiozofów. Dzisiaj ten człowiek, niestety, mówi, iż muzeum wypędzonych jest konieczne, bo „nadszedł czas, by uhonorować niewinne niemieckie ofiary”, a ziemie trzeba Niemcom zwracać, bo „podstawowym prawem człowieka jest prawo do zwrotu bezprawnie odebranej własności”. Szkop to jednak Szkop. A Rusek to Rusek. Kto nam zwróci Kresy?

Prędzej niż Boska Opatrzność zwróci nam prapolskie Kresy Wschodnie - grozić nam będzie krwawa wojna niemiecko - żydowska nad Wis-

lą. Jedni i drudzy bowiem chcą zwrotu. Ci zwrotu ziemi, tamci zwrotu mienia, gdyby więc jakieś usłużne sądy przyznały jednym i drugim to prawo w wymiarze przez nich oczekiwanym (czyli de facto Polskę likwidującym) - zwroty mogłyby się na siebie co i rusz nakładać, budząc gwałtowny spór triumfatorów o dobra zrewindykowane. Obejrzelibyśmy hekatombę, drugi cud nad Wisłą.

„**Niezależna Gazeta Polska**”, 4 - V - 2007

## Dalsze rozwiązywanie kwestii polskiej

Żadnemu przyzwoitemu Polakowi nie sprawiła satysfakcji sensacyjna wiadomość o gigantycznej hołsztaplerce finansowej praktykowanej co roku przez organizatorów tak zwanego Marszu Żywych, czyli corocznych gromadnych wypraw młodzieży izraelskiej do Auschwitz dla zobaczenia niemieckiej fabryki Holocaustu. Prokuratura izraelska capnęła aferzystów, i to nie jest nasza broszka. Natomiast dużą przykość sprawiły Polakom informacje, które upubliczniono przy okazji tej afery. Okazało się bowiem, że młodzież izraelską ekspedioną wycieczkowo do Polski faszzerowano przed wyjazdem kłamstwami o polskim (większym niżli niemiecki) współsprawstwie Holocaustu. Wręczano tym dzieciakom broszurową instrukcję, pełną nienawiści do Polaków, którzy - wedle twórców druku - dalej są takimi samymi antysemitami jak ich ojcowie i dziadkowie mordujący niegdyś Żydów w obozach Auschwitz - Birkenau, Treblinka lub innych („*Wszędzie tam będą nas otaczać Polacy. My będziemy ich nienawidzić za ich udział w zbrodniach*”, itp.). Wyszło też na jaw, że kiedy telawiwska ambasada RP wydała dla członków Marszu Żywych broszurę odpierającą antypolskie kłamstwa, władze izraelskie nie zezwoliły rozprowadzać tego druku! Pretekstem był fakt, że autorzy użyli niepoprawnego politycznie terminu „*Niemcy*”, zamiast poprawnego „*naziści*” (sic!). Oto czemu sondaże w szkołach izraelskich, amerykańskich, australijskich,

kanadyjskich tudzież innych zachodnich stale wykazują, że na pytanie: „*Kto to jest nazista?*”, młodzież całego świata odpowiada: „*Polak*”. Zgodnym chórem.

Mordercze szkody dobremu imieniu narodu polskiego przynoszą ciągle publikacje żydowskich pseudohistoryków piszących o antysemitkiej genocydowej pasji Polaków. Niektóre zyskują duży rozgłos międzynarodowy, jak chociażby oszczerstwa miotane przez dawnego „*komandosa*” z kręgu Michnika i Kuronia, publicystę J. T. Grossa, zwanego „*makabrycznym bajkopisarzem*”. Takich Grossów jest na Zachodzie legion, exemplum T. Rosenbaum (syn ocalałych z Holocaustu przez polską rodzinę), który głosi Amerykanom (w „**The Los Angeles Times**”) jaki był stosunek Polaków wobec Żydów kiedy upadł hitleryzm: „*Polscy sąsiedzi urządzali nagonki, łapali Żydów, okradali, zabijali, wywlekali z wagonów, rozbijali głowy żelaznymi łomami. Do tropienia Żydów najęto polskich harcerzy. Polska stała się, jak długa i szeroka, strzelnicą, a ocaleni z Holocaustu - celami. Mienie masowo mordowanych zawłaszczano bez pardonu. Była to rasowa czystka*”. Trudno wobec autora takich makabrobredni użyć innego określenia jak termin, którym posłużył się Józef Oleksy wobec swego towarzysza partyjnego, znanego komucha: „*konfabulant schizofreniczny*”.

Świat jest pełen żydowskich „*schizofrenicznych konfabulantów*”, którzy przypisują Lechitom powojenną kontynuację żydობójstwa ery wojennej. Za główny argument mają ci paszkwilanci tak zwany „*pogrom kielecki*”, chociaż Krzysztof Kąkolewski dziełem „**Umarły cmentarz**”, a później paru publicystów artykułami prasowymi, udowodnili bezspornie, że zbrodnia kielecka była ewidentną prowokacją stalinowskiej bezpieki, robotą NKWD i UB (nawet oficjalna przyczyna „*pogromu*”, dzieciak, którego rzekomo uprowadzili Żydzi, był synem ubeka, wywiezionym z miasta przez UB!). Oddaję głos Antoniemu Zambrowskiemu :

*„Pogrom został przygotowany pod nadzorem NKWD przez majora W. Spychaję - Sobczyńskiego, a wykonany siłami oddziału KBW pod dowództwem sowieckiego oficera w polskim mundurze oraz PPR - owskiej względnie ubeckiej bojówki pozorującej robotników pobliskiej fabryki metalowej. Ci bojówkarze zostali przyjęci do fabryki na kilka dni przed pogromem i ulotnili się jak jeden mąż następnego dnia po uwieńczonej sukcesem akcji. Oni wraz z żołnierzami zmasakrowali Ży-*



dów mieszkających w domu na Plantach, ale tylko z jednej klatki schodowej. Chodziło o wykonanie misternego zadania odstrzelenia wyłącznie Żydów wybierających się do Palestyny (Żydzi z drugiej klatki schodowej pozostawali pod ochroną UB). Dlatego nie mogło być mowy o dopuszczeniu pod dom niekontrolowanego motłochu”.

Język hebrajski zawiera dwa wyrazy - „magii” (obrzydlivy) i „doche” (odpychający) - które świetnie pasują do obrzydliwej antypolskiej propagandy, robiącej z Polaków dyrygentów i maszynistów Shoah. Lecz czymś równie obrzydliwym jest automatyczne kwitowanie każdej obrony dobrego imienia Polaków, każdej próby dezawuowania kontrpolskich łgarstw - epitetem: antysemityzm! Ten uniwersalny „pocałunek śmierci” (jak mówią Amerykanie) stosowany jest bardzo wybiórczo, zgodnie z zasadami salonowego relatywizmu, który stanowi socjotechniczny element terroru „poprawności politycznej”. Hermann Goering ryczał: „- To ja decyduję kto jest Żydem!”, a dzisiaj szafarze „pocałunków śmierci” decydują kto był lub jest antysemitą. Subiektywnie stosując abolicyjne prawo łaski nawet wobec „zoologicznych antysemitów”. Niżej kilka „soczystych” przykładów tej relatywistycznej deantysemityzacji głośnych figur historycznych:

Karol Marks nie był antysemitą (choć ciągle głosił, że „Żydzi to szalbierze - kultem Żyda jest oszustwo”); Zygmunt Freud nie był antysemitą (choć pisał, że modelowy Żyd to „sprytny fałszywiec”); Virginia Woolf nie była antysemitką (choć pisała: „Nie lubię niczego żydowskiego - Żydzi mogliby być utopieni bez straty dla świata”); generał Charles de Gaulle nie był antysemitą (choć piętnował „pychę Żydów, ich chęć dominowania wszędzie”); guru lewackiej ekonomii, John Maynard Keynes, nie był antysemitą (choć wieszał psy na Żydach bez ustanku). Nawet lewacka ikona chilijska, obalony przez Pinocheta prezydent Salvador Allende, nie był antysemitą (choć swą rozprawą doktorską przekonywał, że „typowe dla Żydów są obłuda, oszustwo i oszczerstwo”).

Tymczasem Polacy to „urodzeni antysemitci” i zbrodniarze, którzy dzięki temu, że „są antysemityzm z mlekiem swych matek” (opinia byłego prezydenta Izraela) wymordowali miliony Żydów. Obowiązuje wobec nich reguła bezwzględnego i bezdowodowego „domniemania winy”. Jest bowiem tak, jak rzekł ksiądz Waldemar Chrostowski: „- Dawniej antysemitą był ten, kto nie lubił Żydów. Dzisiaj

*jest nim ten, kogo nie lubią Żydzi*". Żydzi najbardziej nie lubią Polaków, a władze RP zbyt rzadko i zbyt miękko reagują na antypolskie werbalne ekscesy Żydów. To się musi zmienić.

„**Niezależna Gazeta Polska**”, 1 - VI - 2007

## Płynna suwerenność

Determinizm. Murzynek Bambo nie jest winien temu, że wskutek złośliwości fatum urodził się w kraju pt. Zimbabwe, przez co musi cierpieć każdego dnia. Redaktor Lis nie jest winien temu, że wskutek zjawisk hormonalnych, mitochondrialnych czy innych biologicznych dostał taki a nie inny profil charakterologiczno - mentalnościowy, którego sługą będzie do końca żywota swego, ku zde gustowaniu przyzwoitych ludzi. I tak samo Polska nie ponosi winy za swą lokalizację geograficzną. Nie wybieraliśmy sobie miejsca na mapie. Los usytuował naszą ojczyznę między Rosją a Niemcami, co sprowadza na nas rozmaite kłopoty i nieszczęścia od tysiąca lat - i musimy z tym żyć. Miliony ofiar pomordowanych i powywożonych, a nawet kiedy wojny akurat nie ma - ciągła szarpanina graniczna, terytorialna, majątkowa, surowcowa, handlowa, polityczna, ideologiczna, kulturowa, prestiżowa, piarowa itp. Dzisiaj Szkopy również wyszarpują (sądowo) polską ziemię, rugując Polaków, i masowo przywracają pomniki swej zbójckiej chwały na polskim terytorium, a Kacapy nieustannie grożą, straszą, dyskryminują, zamykają kurki i granice, słowem: nastają - ten sam cyrk, te same małpy. Powstaje pytanie: czy jest zagrożona nasza suwerenność? Odpowiedź uczciwego historyka brzmieć musi: przy takiej lokalizacji suwerenność nie może być gwarantowana wiecześnie. Historia dowiodła nam już kilka razy jak szybko traci się krępką pozornie suwerenność. W historii bowiem termin „*na zawsze*” jest królem idiotyzmów.

Moje refleksje a propos wywołała informacja telewizyjna z 4 czerwca. Otóż według sondażu TVP 3: 67% rodaków uważa, że nie jesteśmy krajem niepodległym. Vulgo: dwie trzecie współobywateli kwestionuje naszą suwerenność. Szokujące, nieprawdaż? Nie znając przy-

czyń takich opinii, można jedynie spekulować, że ankietowanym szło o unijne ograniczenie suwerenności członków, gdyż państwa należące do UE wyzbyły się części niepodległości narodowej (zwłaszcza prawnej) na rzecz kontynentalnych dyrektyw Brukseli i Strasburga. Nie możemy już robić wszystkiego co chcielibyśmy robić, bo za samowolę grożą ciężkie unijne restrykcje. I to się będzie pogłębiać, ergo: powiększać się będzie skala zdesuwerenizowania Lechistanu. Pytanie: czy nasze wnuki przez słowo „suwerenność” (suwerenność polityczna) będą już rozumiały wyłącznie suwerenność pankontynentalną, niepodległą Europę, a suwerenność narodowa stanie się identycznym archaizmem jak średniowieczny system lenno - wasalny, legitymizm dynastyczny czy polskie Kresy Wschodnie? Lub, jeszcze dalej idąc: czy przetrwa w ogóle termin „narodowe państwo europejskie”, czy też forma federacji, konfederacji, unii etc. zepchnie ów bibelot historii do śmietnikowego lamusa dziejów?

„Na dzień dzisiejszy” (mówiąc brzydkim dzisiejszym slangiem) ciekawi mnie inne pytanie: czy owe 67% respondentów kwestionujących aktualny brak niepodległości ojczyzny wyraziło swą opinię jako krytyczną, to jest w sposób pejoratywny dla faktu? Gdyby tak było, mielibyśmy bulwersującą sprzeczność, albowiem sondaże wskazują, że aż 82% Polaków cieszy się, iż Polska została członkiem Unii. Lecz to tylko pozorna sprzeczność, czego dowodzi choćby casus Jacka Kuronia. Rozdając zupki (tak jak Unia Europejska rozdaje dotacje) i chrzaniąc wzniosłe dyrdymały (tak jak Unia tolerancyjnie wszystkich upolitpoprawnia) - osobnik ów przez długie lata miał regularne poparcie sondażowe rządu 72 - 75%. Jednak gdy udecy chcieli tę popularność skonsumować politycznie, pakując go na fotel prezydenta - wystawiony jako kandydat Kuroń otrzymał ledwie 10% głosów i przepadł z kretesem. Dotacje, taniość kurortów, plus łatwość emigracji zarobkowej, mogą budzić sympatię wobec unijnego kołchozu, a równocześnie nostalgia za utraconą częścią suwerenności narodowej może budzić złość, i to się chyba nie kłóci. Tak sobie spekuluję, bo te 67% wbiło mi w łepetynę ćwiek jak cholera.

Bardzo mi się podoba sentencja wryta na starożytniej cegle, którą archeolodzy znaleźli swego czasu w ruinach Babilonu: „Jeśli się tak dobrze rozejrzeć dookoła, to ludzie wszyscy razem są głupi”. Trawestując: jeśli się tak dobrze rozejrzeć dookoła, to wcale nie trzeba bruk-

selskich nakazów dla skonstatowania, że suwerenność doznaje uszczerbku w rozmaity sposób, pod różnymi względami, vulgo: niesuwerenność ma formy bardzo bogate, bardzo dziwaczne, bardzo drażniące, i jest ich bez liku. Czasami są to lokalne dziury w suwerenności, lecz bolesne, gdyż związane z metropoliami naszego kraju. Ilu Polaków wie, że prócz ambasad (które są eksterytorialne na całym świecie, mocą prawa międzynarodowego) mamy w kraju rosyjskie posiadłości (w samej Warszawie kilka kompleksów gmachów!) praktycznie całkowicie eksterytorialne, właściwie prawem kaduka? Ich bandycka eksterytorialność polega na tym, że funkcjonariusze naszego państwa (wszelakich służb!) nie mają tam wstępu pod żadnym pozorem. Notabene, prawo własności Rusków do tych budynków i terenów jest oparte na dawnych umowach Kremla z prosowieckimi władzami PRL - u, a władze III RP nie ingerują w tę hucpę prawną, by „nie zaogniać sytuacji międzynarodowej”. Inaczej mówiąc: Kacapy właściwie siłą zajmują pewne domeny na terytorium niepodległego rzekomo państwa. Jest to dużo gorsze aniżeli okresowa tylko (choć regularna, coroczna) utrata władzy nad częścią polskiego terytorium między Krakowem a Oświęcimiem, bo - ilu Polaków o tym wie? - kiedy trwa tzw. Marsz Żywych, kilkudniową władzę nad tym „korytarzem” przejmują izraelskie służby specjalne, Shin - Beth i Mossad. Spróbowalibyśmy zrobić coś takiego my, w Izraelu lub gdziekolwiek indziej za granicą!

Niedostatki suwerenności mają inne jeszcze oblicza (które wzmiankowałem często piórem publicysty) - jak choćby skryta szpiegosłużebność dygnitarzy zwerbowanych dawniej przez „ludowe” służby (KGB, GRU, StB, StaSi etc). Osobnym tematem jest niewola, w którą popadamy u globalnych terrorystów, takich jak „polityczna poprawność”, feminizm itp. Na niektórych polskich uczelniach wyższych akademicy rejestrują już kamerami egzaminy studenckie, by uniknąć oskarżenia o seksmolestowanie. Tak wycieka ludzka suwerenność, i świat zamienia się w teatr absurdu.

**„Niezależna Gazeta Polska”, 6 - VII - 2007**



„Bicz Boży” w dziele Cesare Ripy  
„Ikonologia” (drzeworyt, 1603)

# SPIS TREŚCI

Nota edytorska	5
Przedmowa [zamiast „wywiadu - rzeki”]	7
1. Mit tytana Nikodema W	17
2. Mit „jazgotmenscha” B	31
3. Mit Liska chytruska	43
4. Mit bojowca monopolisty	55
5. Mit człowieka z farfuru	66
6. Mit świątobliwego grzybka	79
7. Mit kolistego mebla	83
8. Mit ekumenizmu religijnego	93
9. Mit Radia Wolna Europa	105
10. Mit pt. Jaka piękna kaczastrofa!	117
11. Mit nieważności donosicielstwa	133
12. Mit niemiecko - polskiego partnerstwa	146
13. Mit nieistnienia Salonu	156
14. Mit Historii nauczycielki	169
15. Mit wyzwolenieckiego pokolenia '68	183
16. Mit „państwa prawa”	196
17. Mit inteligentnego Zachodu	208
18. Mit autentyczności demokracji	220
19. Mit silnej Europy	233
20. Mit bezpiecznego seksu	244

## SPIS TREŚCI

ANEKS Z PRZEDRUKAMI	259
Odwet Salonu czyli „ <i>ręka, noga, mózg na ścianie</i> ”	260
Solidarnościowcy.pl	276
Falszeryz zapisywacz	279
Władza zjada	282
Sturm und Drang (poradnik)	285
Wielgusgate (1) - episkopatologia	288
Wielgusgate (2) - gniew i łzy	290
Savoir - vivre	293
Niezdolna lekkość fałszu	296
Ja w sprawie rotmistrza Pileckiego	299
I ty, Brutusie??!	302
Jedenaste: nie łzyj!	305
Sztuka przegrywania na stojąco	307
Pieśń wypędzonych	310
Dalsze rozwiązywanie kwestii polskiej	313
Płynna suwerenność	316

